

Przez świat

Tom XXII

pod redakcją naukową

Andrzeja Urbanika

Macieja Brożyny

Łukasza Godka



WYDAWNICTWO
UNIwersytetu Rzeszowskiego
Rzeszów 2018

Autorzy: Katarzyna Anoszczenko, Krzysztof Batycki, Paweł Burchard, Tomasz Cukiernik, Ewa Flak, Roman Husarski, Jarosław Kociel, Anna Kolmas, Radomir Kolmas, Rafał Robak, Beata Rujner, Jacek Strejch, Tomasz Szymkiewicz, Piotr Wiland

Współpraca redakcyjna

portal internetowy www.travelbit.pl

Recenzował

dr hab. inż. Marian Kowalewski, prof. AWF w Warszawie

Projekt okładki

Andrzej Urbanik

Fotografia na okładce

fot. K. Kobus – TravelPhoto.pl

Przygotowanie do druku

Dorota Koczub

Korekta

Janina Dubiel

ISBN 978-83-903830-0-2 (całość)

ISBN 978-83-7996-589-2 (tom XXII)

CIP – Biblioteka Narodowa

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2018

© Copyright by portal internetowy www.travelbit.pl, Kraków 2018

Autorzy i wydawca tej książki starali się, by jej tekst był rzeczowy i aktualny. Należy zdać sobie sprawę, że podane fakty i dane mogły ulec zmianie. Autorzy i wydawca nie mogą wziąć odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikające z korzystania z podanych w książce informacji. Wydawca nie odpowiada za treść zamieszczonych w tej książce reklam.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU RZESZOWSKIEGO

35-959 Rzeszów, ul. prof. S. Pigoń 6, tel. 17 872 13 69, tel./faks 17 872 14 26

e-mail: wydaw@ur.edu.pl; <http://wydawnictwo.ur.edu.pl>

wydanie I, format A5, ark. wyd. 14, 10, ark. druk. 12, zlec. red. 98/2018

Druk i oprawa: Drukarnia Uniwersytetu Rzeszowskiego

Drodzy Czytelnicy

Książka, która trafia do Waszych rąk, jest niezwykła, niezwykli bowiem są jej autorzy. Na pozór są zwyczajnymi ludźmi, zanurzonymi w szarej codzienności, ale w sercach noszą tęsknotę za dalekimi wożażami, którą zaspokajają w czasie wakacji, przemieniając się w wytrawnych podróżników. Dla nich podróż to sztuka życia, pozbawiona jałowości masowej turystyki. Co więcej, potrafią oni dzielić się swoimi doświadczeniami, a często i bezcennymi informacjami. Z relacji ich podróży powstała ta oto książka, która pozwoli Wam wyruszyć w świat bez niepewności dokąd, jak i za ile. Nie zastępuje ona przewodników, ale je uzupełnia, podpowiada bowiem, jak zrealizować konkretne podróże w ciekawe zakątki świata, zarówno bliskie, jak i dalekie.

Język relacji jest prosty, ale bardzo konkretny, dlatego staraliśmy się zachować specyficzny charakter tej książki, ograniczając korekty redakcyjne do minimum. W tekście zachowano pisownię nazw geograficznych podaną przez autorów.

Tom pierwszy „Przez świat” był swego rodzaju eksperymentem, ponieważ na polskim rynku nie ukazała się dotąd książka tego rodzaju. Jednak powodzenie, jakie osiągnął tom I, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Książka zniknęła błyskawicznie z księgarni, a w mediach ukazały się znakomite recenzje. Jeszcze lepiej wypadły kolejne tomy. Co jednak najbardziej nas cieszy, otrzymaliśmy ogromną liczbę listów zarówno od podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich podróżach. Otrzymujemy także kolejne relacje, którymi dzielimy się z Wami. Kiedy książka ta trafi do Was, będziemy pracować nad następnym tomem, do którego współtworzenia serdecznie zapraszamy.

Tradycyjnie zapraszamy na imprezy przez nas organizowane (informacje o nich znajdziecie na kolejnych stronach), a także na naszą stronę www w Internecie.

Życząc ciekawej lektury, mamy nadzieję spotkać Was na globroterskim szlaku.



Andrzej Urbanik



www.travelbit.pl

To adres internetowy travelbit-u.

Już od 1996 roku zapraszamy wszystkich podróżników-internautów do odwiedzania naszej strony. Znajdziecie tam informacje o nas, o imprezach przez nas organizowanych, wiadomości zebrane przez OSOTT-owiczów, a także informacje o książkach „Przez świat”. W dziale „Relacje z wypraw” zebrano ciekawe sprawozdania z eskapad po całym świecie. Bardzo przydatny jest dział „Imprezy dla podróżników” będący kalendarium najważniejszych imprez podróżniczych i turystycznych w Polsce oraz na świecie. Osobny dział poświęcono najważniejszemu spotkaniu globtroterskiemu w Polsce, jakim jest Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów (OSOTT).

Jednak chyba najcenniejszą możliwością jest nasza Lista dyskusyjna. Jest ona najbardziej dostępnym i najszybszym sposobem wymiany informacji. Jeżeli zdobyłeś ciekawe wiadomości, po prostu prześlij je do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli szukasz towarzyszy podróży, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli masz jakieś problemy związane z podróżowaniem, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u.

Im więcej będzie nas uczestniczyć w naszej Travelbitowej liście dyskusyjnej, tym łatwiej będzie nam się kontaktować i na bieżąco wymieniać informacje.

W świecie globtroterów

Trudno z całą pewnością ustalić, kiedy w Polsce powstał ruch globtroterski. Najpewniej wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych w środowisku akademickim, gdy powszechne stało się organizowanie wyjazdów turystycznych, nazwanych wkrótce trampingowymi. Ich uczestnicy organizowali je sami, wymyślając trasę, a wędrowali bez pomocy biur turystycznych.

Na trampingowy szlak wyruszali także coraz śmielej podróżnicy indywidualni, korzystając z oficjalnych przydziałów dewizowych (po wielu zabiegach można było wykupić, po oficjalnym kursie, niższym pięciokrotnie od czarnorynkowego, równowartość kwoty 150 USD). Hasło „Świat za 150 dolarów” stało się modne i z tą magiczną kwotą wędrowali po nim polscy globtroterzy.

W 1976 roku w Krakowie, w studenckim biurze podróży Almatu, Andrzej Urbanik, jeden z głównych organizatorów trampingowych eskapad, stworzył BIT, czyli Bank Informacji Trampingowej. Początkowo był to zwykły skoroszyt, do którego wpinał relacje z podróży własnych i swoich znajomych. Pomysł okazał się znakomity i wkrótce BIT rozrósł się do rozmiarów sporego archiwum, a w roku 1994 przekształcił się w Travel BIT – Centrum Podróżnicze, które działa w sposób niekomercyjny i specjalizuje się w informacji globtroterskiej. Często jednak okazywało się, że w czasie zdobywania informacji konieczny jest bezpośredni kontakt z tymi, którzy wędrowali w rejonie, do którego chcielibyśmy się właśnie udać. Dotarcie do właściwych osób nie zawsze było proste, a często nie gwarantowało także sukcesu. Przekonał się o tym Andrzej Urbanik, kiedy nie udało mu się uzyskać informacji o Indonezji, a jedynym argumentem „życiowego” informatora było stwierdzenie, że najlepiej jest się uczyć na własnych błędach. Kiedy Andrzej dotarł wraz ze swoim przyjacielem – podróżnikiem Krzysztofem Kmiecikiem do Indonezji, podzielił się z nim pomysłem zorganizowania mityngu globtroterów. Było to na Bali w 1985 roku. Po powrocie do kraju „rozpuścili wici” i w listopadowy wieczór do podkrakowskich Harbutowic zjechało ponad 50 podróżników. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę i odtąd co roku w listopadzie, w różnych miejscach w Polsce, spotykają się na OSOTT (Ogólnopolskie Spotkania Organizatorów Turysty-

ki Trampingowej), czyli głównym mityngu podróżniczym, zarówno polscy, jak i zagraniczni globtroterzy. Ma on formę sympozjum, w czasie którego prezentowane są przeznaczone z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem (najważniejsza jest sesja „Geografia Podróżowania”). W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone dla doświadczonych podróżników, ale i tych, którzy planują wyruszyć w świat. Warto podkreślić, że impreza ma całkowicie niekomercyjny charakter. Co bardzo cenne – OSOTT-owicze coraz częściej organizują podobne imprezy o charakterze lokalnym lub regionalnym, umożliwiając przekonywanie do podróżowania kolejnych marzycieli.

Ważną rolę od początku istnienia ruchu globtroterskiego w Polsce odgrywały wydawnictwa. W latach 1987–1991 na łamach Ilustrowanego Magazynu Turystycznego „Światowid” ukazywały się rubryki „Vademecum Globtrotera” i „Klub Globtroterów”, redagowane przez Liliannę Olchowik i Andrzeja Urbanika, które były głównym forum wymiany informacji podróżniczej. Od roku 1989 BIT wydawał własne pisma – najpierw „Globtroter”, potem „Travel”. Uczestnicy OSOTT-ów stali się autorami pierwszych globtroterskich przewodników w Polsce. Najpopularniejszy, będący już klasycznym przykładem, to wydany w 1987 roku „Przewodnik Trampingowy: Birma, Tajlandia, Malesja, Singapur, Indonezja” autorstwa Andrzeja Urbanika, z którym powędrowało w ten piękny rejon świata już kilka pokoleń podróżników (ciekawostką jest wydanie plagiatu). Chyba najwięcej zamieszania (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) w podróżniczym światku wywołała książka Ediego Pyrka pod znanym tytułem „Niech cały świat myśli, że jestem szalony, czyli do Indii za 30 dolarów”. Po jej przeczytaniu wielu dotąd niezdecydowanych marzycieli wyruszyło na globtroterski szlak. Od roku 1996 rozpoczęto wydawanie serii wydawniczej „Przez świat”. Jest ona w pewnym sensie kontynuacją pism „Globtroter” i „Travel”. Książki tej serii spełniają nie tylko zadanie informacyjne, ale także pełnią rolę integracyjną dla środowiska podróżników.

To tyle historii, a teraz odpowiedź – jak trafić do świata globtroterów. Najlepszą okazją jest przyjazd na OSOTT – Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów. Spotkanie przeznaczone jest dla podróżników i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.

Od roku 2013 OSOTT rozszerza swoją formułę, jako że organizowany jest wspólnie przez serwis www.travelbit.pl oraz Uniwersytet Rzeszowski. Więcej informacji na stronie www.travelbit.pl/osott.



**Uniwersytet Rzeszowski
oraz serwis podróżniczy www.travelbit.pl
serdecznie zapraszają na XXXIV OSOTT 2018,
który odbędzie się w Rzeszowie w dniach 9–11 listopada 2018.
Do udziału zapraszamy nie tylko doświadczonych podróżników,
ale i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.**

Informacje:
**www.travelbit.pl/osott
www.ur.edu.pl**

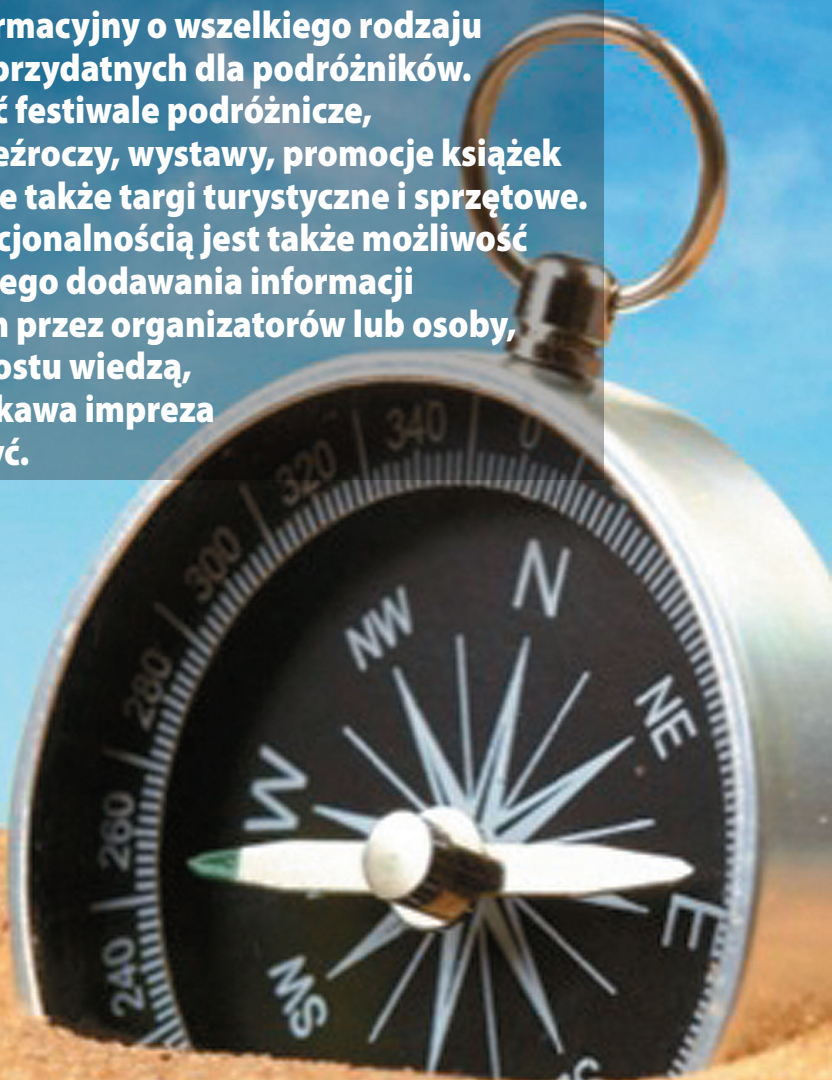


Impreza odbędzie się pod honorowym patronatem
Prezydenta Miasta Rzeszowa, Marszałka Województwa Podkarpackiego
oraz Rektora Uniwersytetu Rzeszowskiego



imprezy-dla-podroznikow.pl

Serwis informacyjny o wszelkiego rodzaju imprezach przydatnych dla podróżników. Mogą to być festiwale podróżnicze, pokazy przeźroczy, wystawy, promocje książek i sprzętu, ale także targi turystyczne i sprzętowe. Cenną funkcjonalnością jest także możliwość samodzielnego dodawania informacji o imprezach przez organizatorów lub osoby, które po prostu wiedzą, że jakaś ciekawa impreza ma się odbyć.





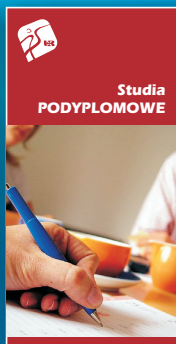
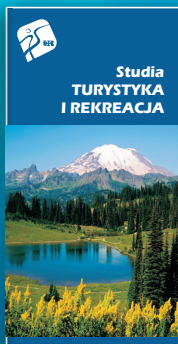
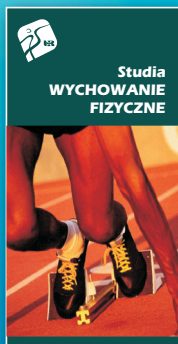


Wydział Wychowania Fizycznego

Uniwersytet Rzeszowski

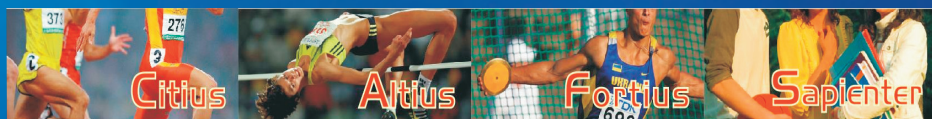
35-959 Rzeszów, ul. Towarnickiego 3, tel. 17 872 1861

<http://wf.univ.rzeszow.pl>



W ofercie edukacyjnej:

- * studia licencjackie i uzupełniające
- * tryb stacjonarny i niestacjonarny
- * studia w jęz. angielskim
- * letnie i zimowe obozy programowe
- * kursy doskonalące
- * zajęcia w sekcjach sportowych
- * praktyki i staże w krajach Unii Europejskiej
- * studenckie koła naukowe



**Absolwencie, czy znalazłeś już swój wymarzony kierunek?
Zapraszamy na Wydział Wychowania Fizycznego!**

Konkurs na relację z wypraw

Uniwersytet Rzeszowski oraz Travelbit zapraszają do przysyłania relacji z podróży. Zamieszczone będą na stronie www.travelbit.pl w dziale „Relacje z wypraw”. Mogą one mieć dowolny układ, jednak proponujemy, aby zamieszczać w nich jak najwięcej informacji praktycznych – takie relacje są najchętniej czytane i oceniane najwyższej. Autorzy najlepszych relacji będą nagradzani książkami z serii „Przez świat”.

Mamy także przyjemność poinformować, że jeżeli nadesłane relacje spełnią warunki regulaminu (patrz poniżej), będą automatycznie brały udział w konkursie z nagrodami, a najlepsze z nich znajdą się w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w corocznym konkursie.

Konkurs na relację do tomu XXIII książki „Przez świat”

Każdy uczestnik może nadesłać dowolną liczbę sprawozdań/relacji z podróży odbytych w latach 2017–2018. Termin nadsyłania prac – na adres mailowy **travelbit@travelbit.pl** – upływa w dniu 20 lutego 2019. Relacje będą oceniane pod kątem wartości praktycznych informacji, czyli na ile po ich lekturze będzie można zrealizować taką samą podróż.

Zaleca się, aby maksymalna objętość dziennika/sprawozdania wynosiła 12 stron A-4 (12 stron po 1800 znaków); zwięzłość mile widziana. Prosimy także autorów, aby relacje były pisane w tym samym czasie (teraźniejszym lub przeszłym), a także aby nie zamieszczać tabel. Jako wyróżnień tekstu prosimy nie używać WERSALIKÓW, wystarczy **Bold**.

Preferowany układ:

Przejazd – na trasie – za ile – ile trwał – jaki środek komunikacji – ew. firma – uwagi,

Noclegi – nazwa hotelu – adres – cena – uwagi,

Zwiedzanie – nazwy obiektów – lokalizacja – dojazd – ceny wstępów – uwagi,

Dodatkowo – termin odbytej podróży, kursy walut (najlepiej w stosunku do USD lub EUR), ceny żywności oraz inne podstawowe, ważne informacje (np. szczepienia, wizy...). Najlepiej jeżeli te informacje będą podawane w układzie opis podróży dzień po dniu. Jeżeli jednak uznacie, że opracowana przez Was inna forma będzie lepsza – zaproponujcie własny układ. Prosimy o niezamieszczanie informacji opisowych i historycznych, jakie można znaleźć w przewodnikach (chyba że są to nieznanne fakty albo są na tyle ważne, że trzeba o nich napisać).

Najlepsze prace zamieścimy w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Przewidujemy umieszczenie prac na stronie **www.travelbit.pl**, a także współpracujących z nami portali (jeżeli uczestnik konkursu nie zgłosi w tej sprawie zastrzeżeń). Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w konkursie.

Z naszej strony nie czynimy przeszkód, aby teksty zamieszczone w książce „Przez świat” były później publikowane w innych mediach.

Rowerami wokół Gotlandii



Termin: 28 lipca – 15 sierpnia 2017 r.

Gotlandia – druga co do wielkości wyspa na Bałtyku, największa należąca do Szwecji. Po raz pierwszy odwiedziłem ją w 2010 r. Wówczas objechałem jej wybrzeża, łącznie z wysepką Faro, na północ od stolicy wyspy – Visby. Tym razem wybrałem się z Zosią na nieeksplorowaną jeszcze przeze mnie część wybrzeża – na południe od Visby.

RELACJA Z PODRÓŻY

28 lipca. Samochodem dotarliśmy do Sopotu, gdzie przenocowaliśmy.

29 lipca. Z Sopotu udaliśmy się rowerami do bazy promowej na Westerplatte, gdzie o godz. 18 wjechaliśmy na prom „Wawel” (bilet w obie strony dla jednej osoby z rowerem – ok. 1000 zł). Na promie znajduje się kilka lokali gastronomicznych, sklep, dyskoteka, otwarty pokład do spacerowania. Ceny nie są wygórowane: obiad można zjeść już za kilkanaście złotych, kawa to koszt rzędu 10 zł.

30 lipca. W południe przyплыliśmy do Nynashamn. Rowery wraz z całym ekwipunkiem zostawiliśmy oparte o ścianę budynku terminala promowego (co w Skandynawii raczej nie naraża ich na kradzież) i udaliśmy się pociągiem do oddalonego o niecałą godzinę drogi Sztokholmu (pociągi kursują dość regularnie, co godzinę, koszt biletu w obie strony to 60 SEK). Po stolicy spacerowaliśmy do późnego wieczora i do Nynashamn wróciliśmy ok. północy ostatnim pociągiem.

31 lipca. Na prom z Nynashamn do Visby wjechaliśmy o godz. 2.30 rano (choć promy na tej trasie kursują przez całą dobę, wybraliśmy takie połączenie, gdyż było najtańsze).

W Visby wysiedliśmy o godz. 5.45 i zgodnie z naszym planem, omijając miasto, ruszyliśmy od razu na południe. Naszym pierwszym celem było oddalone o niespełna 40 km miasteczko Klintehamn. Po drodze zwiedziliśmy 3 średniowieczne kościoły, których na wyspie – poza Visby – jest 92. Stanowią one – obok Visby – najważniejszy zespół zabytków, będący źródłem przydomku wyspy: „wyspa stu kościołów”.

Wkrótce po zakończeniu się epoki średniowiecza wyspa bardzo straciła na znaczeniu na mapie gospodarczej Bałtyku. Lokalnych społeczności zwykle nie było już stać na modernizowanie kościołów w nowych, modnych stylach architektonicznych. Toteż panującej mniej więcej od przełomu renesansu i baroku aż do XX w. biedzie zawdzięczamy to, że w większości kościołów do dziś zachowało się wyposażenie i wystrój pochodzący nierzadko nawet sprzed ponad 800 lat. Tak więc na Gotlandii XII-wieczna chrzcielnica, XIII-wieczny ołtarz, XIV-wieczne freski czy XV-wieczna ambona są czymś bardzo powszechnym. Wszystkie kościoły są zadbane, pieczołowicie odrestaurowane, w sezonie letnim udostępnione dla pielgrzymów i zwiedzających codziennie od rana do wieczora. Ze względu na niewielką liczbę wiernych biorących aktywny udział w życiu religijnym, nabożeństwa odbywają się bardzo rzadko. Kościoły bywają natomiast miejscami wydarzeń kulturalnych, jak koncerty, wystawy fotografii, malarstwa.

Obowiązkowym elementem wyposażenia każdego skandynawskiego kościoła jest model statku wotywnego, podwieszony pod sufitem nawy głównej.

Wczesnym popołudniem dojechalśmy do miejscowości Klintehamn, skąd niewielkim statkiem popłynęliśmy na pobliską wyspę – Stora Karlso. Rowery i namiot musieliśmy zostawić w portowym magazynie, gdyż na wysepce są zbędne – obowiązuje na niej zakaz biwakowania. Ponieważ wyspa ma niespełna 2 km średnicy, można ją bez problemu zwiedzić pieszo.

Już z daleka wszystkich zbliżających się do Stora Karlso wita majestatyczna, XI-X-wieczna latarnia morska, która była naszym celem. Jest ona połączona z domem latarnika, w którym znajdują się pokoje gościnne. My nocowaliśmy w sąsiednim, współczesnym budynku, który mieści niewielki (kilka pokoi) hostel. Podobnych budynków z pokojami gościnnymi jest na wyspie kilka. W sąsiedztwie przystani, do której przybijają statki z turystami, znajduje się restauracja. Większość powierzchni wyspy, którą obeszlśmy w całości, stanowi rozległy płaskowyż, pokryty łąkami, na których pasą się niezliczone stada owiec, pomiędzy którymi kicają nieliczne zające. Najliczniejszymi mieszkańcami wyspy pozostają ptaki. Znajduje się na niej również kilka niewielkich lasów i jaskinie.

Podróż statkiem w obie strony (Klintehamn – Stora Karlso) i jeden nocleg dla dwóch osób to koszt rzędu 600 zł.

1 sierpnia. Wyspa pożegnała nas obfitymi opadami deszczu, przed którymi schroniliśmy się w jednej z jaskiń, wspólnie z niewielkim stadem owiec.

Około południa dopłynęliśmy, tym samym statkiem co dzień wcześniej, z powrotem do Klintehamn, skąd ruszyliśmy rowerami dalej, na południe. Prócz czterech kolejnych średniowiecznych kościołów, napotkaliśmy jeden z przynajmniej kilkunastu znajdujących się na wyspie, charakterystycznych grobowców z epoki brązu. Pochodzi on sprzed ok. 3000 lat i składa się z kilkudziesięciu kamieni ułożonych w charakterystyczny kształt łodzi. Grobowce te są różnej wielkości, największe mają nawet po ok. 30 metrów długości.

Noc spędziliśmy „na dziko”, biwakując w niewielkim lesie tuż za miejscowością Burgsvik.

2 sierpnia. Kilka kilometrów od miejsca naszego noclegu znaleźliśmy światło nawigacyjne, przypominające swym kształtem niewielką latarnię morską.

Następnie dotarliśmy do miejscowości Bottarve. Znajduje się w niej jeden z licznych na wyspie skansenów. Na terenie każdego wznosi się zwykle kilka lub kilkanaście budynków – jeden mieszkalny i pozostałe gospodarcze – stajnia, stodoła, obora, chlew, owczarnia, kurnik czy też sauna. Muzea te gromadzą głównie narzędzia rolnicze, sprzęty gospodarstwa domowego, narzędzia używane przez rzemieślników, wyroby rzemiosła ludowego, dzieła ludowych artystów. Prezentują również historię danego regionu wyspy. Niektóre z budynków pochodzą nawet z epoki średniowiecza.

W działającej w skansenie w Bottarve restauracji mieliśmy przyjemność zjeść smaczny obiad (ot – taka odmiana od zawakowanego domowego jedzenia, które towarzyszyło nam podczas całej podróży).

Kolejnym, nieodłącznym elementem krajobrazu Gotlandii są wiatraki. Widywaliśmy je codziennie, zwykle gdzieś w polu, na otwartej przestrzeni, na niewielkim wzgórzu. Choć po każdym widać było, że już od dekad znajduje się „na emeryturze”, nie miałąc zboża, to każdy cieszył oko, dodając uroku pięknym krajobrazom.

Kilka kilometrów przed południowym krańcem wyspy napotkaliśmy jeszcze jeden niewielki skansen – kamieniołom Kattelviken, w którym od średniowiecza jeszcze do XX w. wydobywano piaskowiec. Zachowały się w nim liczne maszyny pochodzące w większości z XIX w.

Tego dnia zwiedziliśmy tylko jeden kościół.

Ustronne miejsce na nocleg znaleźliśmy w niewielkim, nadmorskim lesie.

3 sierpnia. Dokładnie w południe dotarliśmy do jednego z kilku najważniejszych punktów naszej podróży: latarni morskiej Hoburgen, położonej dokładnie na południowym koniuszku Gotlandii. Osiągnęliśmy połowę naszej trasy rowerowej. XIX-wieczna latarnia morska znajduje się na niewielkim wzniesieniu i rozciąga się z niej wspaniały widok na Bałtyk i Gotlandię. W domu latarnika znajduje się niewielka ekspozycja fotografii.

Kolejnym, nieodłącznym elementem krajobrazu Gotlandii są skrzynki pocztowe (popularne również na północy Szwecji). Ich właściciele mają zwyczaj malować na nich różne obrazy, najczęściej przedstawiające okolicę lub sceny z udziałem morza (latarnie morskie, statki, klify). Jako dzieła czysto amatorskie mają swój wyjątkowy i niepowtarzalny urok.

Tego dnia zwiedziliśmy dwa kościoły i po raz pierwszy nocowaliśmy na wschodnim wybrzeżu Gotlandii, w sąsiedztwie kolonii domków letniskowych, przy piaszczystej plaży.

4 sierpnia. Kolejny dzień upłynął nam pod znakiem średniowiecznych kościołów (4) i skansenów. Miłą odmianą było Muzeum Rolnictwa w Havdhem, posiadające wyjątkowo bogatą kolekcję tysięcy sprzętów używanych w rolnictwie: od prostych narzędzi, przez sieczkarnie i snopowiązałki, po wielkie traktory.

Szwedzi w ogóle, nie tylko ci z Gotlandii, są miłośnikami zabytków techniki. W kraju powszechne jest posiadanie, oprócz użytkowanego na co dzień współczesnego samochodu, samochodu zabytkowego. Każdego dnia widywaliśmy mijające nas lub zaparkowane pod domami, pieczołowicie odrestaurowane, stare saaby lub volvo z lat 60. czy 70. Rzadziej zdarzały się inne marki – fordys, scanie czy volkswageny.

Tego dnia po raz pierwszy nie znaleźliśmy noclegu nad samym morzem i rozbiliśmy się w głębi lądu, na skraju lasu.

5 sierpnia. Kolejne średniowieczne kościoły (2) i skanseny, ze względu na ich dużą liczbę, nie robiły na nas już tak wielkiego wrażenia, jak na początku. Jednak tego dnia dotarliśmy do malowniczo położonej latarni morskiej Nar – naszej ostatniej podczas tej wyprawy.

Na Gotlandii pełno jest zwierzyny. Choć najczęściej spotykaliśmy niezliczone stada owiec, to zdarzyło nam się spotkać zające, lisa czy jeża.

Dogodne miejsce na nocleg znaleźliśmy nad piaszczystą plażą, w sąsiedztwie kolonii domków letniskowych (w której akurat tej nocy nie było absolutnie nikogo). Z wnętrza naszego namiotu mieliśmy przyjemność podziwiać piękny wschód księżyca nad Bałtykiem.

6 sierpnia. Wreszcie dotarliśmy do Falhammar – miejscowości, w której znajduje się rezerwat przyrody charakterystycznych dla Gotlandii, wyjątkowo malowniczych, nadbrzeżnych form geologicznych, noszących nazwę Raukar (ostańce wapienne). Dzięki erozyjnemu działaniu morza przybierają one niesamowite, zróżnicowane formy, pobudzające wyobraźnię i pozwalające dostrzec w nich wiele różnych kształtów.

Zwiedziliśmy także 4 kolejne kościoły.

Nocowaliśmy na skraju lasu, nieopodal piaszczystej plaży.

7 sierpnia. Dzień jak co dzień podczas rowerowej podróży wokół Gotlandii: 3 średniowieczne kościoły, skansen, pełen czerwonych domków port rybacki, skrzynki pocztowe, stare samochody i niezliczone stada owieczek. Nocleg – podobnie jak poprzedniego dnia – w odludnym miejscu nad morzem.

8 sierpnia. Wreszcie dotarliśmy do Dalhem – kolejnego, obowiązkowego punktu naszej podróży, jednego z najciekawszych muzeów wyspy – skansenu Kolei Gotlandzkich. Zgromadził on prawie wszystko, co zachowało się po zlikwidowanej w 1960 r. sieci kolejowej: kilkanaście zabytkowych budynków oraz liczący kilkadziesiąt zabytkowych wagonów i lokomotyw tabor. W budynkach zgromadzone są liczne pamiątki po kolei i pracujących dla niej ludziach, natomiast pociągi odbywają w sezonie letnim regularne kursy wycieczkowe do oddalonej o kilka kilometrów miejscowości Roma. Można tam udać się również specjalną drezyną rowerową, napędzaną siłą własnych mięśni.

Prócz muzeum zwiedziliśmy też 3 kościoły.

Wieczorem dotarliśmy do Visby, kończąc pierwszy etap naszej podróży.

Podsumowanie I etapu podróży

W ciągu 9 dni pokonaliśmy na rowerach przeszło 300 km. Z Polski zabraliśmy prowiant, który wystarczył nam na całą podróż. Sklepy na Gotlandii należą do rzadkości. Nieraz pokonywaliśmy dziesiątki kilometrów, nie napotykając po drodze żadnego. Gdy już jakiś się trafił, był to z reguły dobrze zaopatrzony supermarket. Lokale gastronomiczne czy stacje benzynowe również są dość rzadkie. Z kolei zdobycie wody pitnej od lokalnej ludności nie stanowi żadnego problemu.

Na miejsca noclegów zawsze wybieraliśmy ustronne miejsca, tak by nikt nas nie niepokoił. Staraliśmy się, by były one osłonięte drzewami od wschodu (by nie „ugotować” się w namiocie nad ranem) i znajdowały się nad piaszczystą plażą, która była nam bardzo przydatna do kąpiei i mycia naczyń.

Uzupełnianie energii elektrycznej nie stanowiło problemu – w każdym kościele znajdowały się kontakty, umożliwiające nam doładowanie telefonu, aparatu fotograficznego i kamery.

Mało znanymi zabytkami Gotlandii są bunkry z czasów II wojny światowej. Szwedzi, obawiając się niemieckiej inwazji, na przełomie lat 30. i 40. ufortyfikowali całe swoje wybrzeże (zarówno kontynentalne, jak i najważniejsze wyspy). Bunkry na Gotlandii, choć dość liczne, są małe i ulokowane w odludnych, trudno dostępnych miejscach. Ze względów bezpieczeństwa raczej wszystkie są na co dzień zamknięte. Nic nam również nie wiadomo na temat tego, by gdziekolwiek zachowało się ich wyposażenie.

II etap – Festiwal Średniowieczny w Visby, 9–13 sierpnia

W czasach średniowiecza Visby było wielkim, wspaniałym, bogatym miastem handlowym. Choć w późniejszych wiekach, ze względu na zmianę szlaków handlowych, upadło, to do dziś o jego dawnej świetności przypominają lepiej lub gorzej zachowane zabytki. Samych średniowiecznych jest przeszło ćwierć tysiąca. Do najważniejszych należą ruiny murów obronnych do dziś opasujące niemal całe miasto, liczne kamieniczki, spichlerze. W różnej formie zachował się co trzeci kościół, a miasto posiadało ich aż 27. Ciasne, kręte, średniowieczne uliczki pozwalały nam bez końca czerpać radość ze spacerów, którą dodatkowo zwiększała ciepła, sierpniowa pogoda.

Termin naszego pobytu w Visby nie był przypadkowy. Przypadał dokładnie na Festiwal (Tydzień) Średniowieczny – cykliczny festyn, odbywający się co roku w połowie sierpnia. Przyciąga on zawsze dziesiątki tysięcy osób. Towarzyszy mu przeszło setka wydarzeń kulturalnych: koncerty, spektakle teatralne, warsztaty tańca, turnieje rycerskie, pokazy średniowiecznego rzemiosła, tańca z płonącymi pochodniami, sztucznych ogní. Udział w większości jest bezpłatny.

Wielu uczestników festiwalu przywdziewa średniowieczne stroje, które można nabyć na licznych straganach. Dzięki temu, spacerując po mieście, co chwilę spotyka się księżniczki, rycerzy w lśniących zbrojach czy też zwyczajnych, średniowiecznych wieśniaków.

W „średniowiecznej wiosce” zaaranżowanej po wewnętrznej stronie murów obronnych znajdują się setki straganów, na których kupić można niemal wszystko: od wyrobów średniowiecznego rzemiosła, jak nawet cały ekwipunek rycerski, poprzez biżuterię, na dziecięcych zabawkach skończywszy. Również baza gastronomiczna jest bardzo bogata, pozwalając zjeść niemal wszystko, na co tylko człowiek mógłby mieć ochotę.

Przez cały pobyt w Visby mieszkaliśmy w naszym namiocie na nadmorskim kempingu, położonym kilka minut marszem od Starego Miasta.

13–15 sierpnia. Wróciliśmy do Polski przez Nynashamn, Sztokholm i Gdańsk.

Gotlandia jest jednym z najcieplejszych i najbardziej słonecznych regionów nad Bałtykiem. W lipcu i sierpniu opadów jest niewiele, a temperatury nierzadko przekraczają 30°C. Przed nieprzyjemnymi upałami chroni na co dzień niezbyt silny, orzeź-

wiający wiatr wiejący znad morza. Ze względu na dłuższe niż w Polsce nasłonecznienie w ciągu dnia, dobowe wahania temperatur są mniejsze niż u nas, czyli noce są tam nieco cieplejsze.

Powszechnym elementem w krajobrazie wyspy są typowe dla Skandynawii, malownicze, czerwone, drewniane domy.

Gotlandia, jako integralna część terytorium Szwecji, jest również terytorium Unii Europejskiej, leżącym w strefie Schengen. Do poruszania się po niej wystarcza nam dowód osobisty. Przy wjeździe nie są rutynowo wykonywane kontrole graniczne. Podróżnym przysługują świadczenia zdrowotne należne z tytułu ubezpieczenia w polskim ZUS. Wskazane jest posiadanie przy sobie Europejskiej Karty Ubezpieczenia Zdrowotnego (EKUZ).

Obowiązującą w Szwecji walutą jest korona szwedzka (1 SEK = 0, 44 PLN). Szwecja jest „najtańszym” spośród krajów Skandynawskich. Ceny na wyspie nie są szczególnie wygórowane. Płacenie polskimi kartami płatniczymi nie stanowi problemu i możliwe jest w zdecydowanej większości miejsc. W samym Visby bankomatów jest pod dostatkiem, natomiast poza stolicą są one rzadkością.

Podobnie jak w całej Szwecji, biwakowanie dozwolone jest niemal wszędzie. Znaleźnienie kempingu również nie stanowi większego problemu – Gotlandia jest jednym z najbardziej turystycznych regionów Szwecji.

Praktycznie wszędzie można porozumieć się w języku angielskim.

Beata Rujner, Tomasz Cukiernik

Świąteczno-noworoczny Cypr



Termin: 22 grudnia 2017 – 1 stycznia 2018 r.

Całkowity koszt podróży: 2500 zł/os., w tym samolot 460 zł/os.

Trasa: Lotnisko w Pyrzowicach – Larnaka – Nikozja – Kirenia – Pafos – półwysep Akamas – Güzelyurt – góry Troodos – Larnaka – lotnisko w Pyrzowicach

RELACJA Z PODRÓŻY

22 grudnia. Auto zostawiliśmy na parkingu Guard w Pyrzowicach – 50 zł za 11 dni z dowozem na lotnisko. Wylot samolotem WizzAir Airbus 321 o godz. 17 (opóźnienie 50 min). Na pokładzie kanapka 4 euro/szt. i 6 win 187 ml łącznie za 18 euro.

Przylot do Larnaki o godz. 20.50 czasu lokalnego. Z lotniska za 12 euro zabrał nas właściciel mieszkania w Larnace, u którego na bloking.com wynajęliśmy 2-osobowy pokój na 5 dni za 150 euro.

23 grudnia. Rano śniadanie z marketu (chleb, masło, szynka, pomidor, cebula, bułka z oliwkami, mleko – niemal 13 euro). Po ulicach Larnaki wałęsało się sporo imigrantów. Poszliśmy na długi spacer wzdłuż plaży: promenada z palmami, marina, lody 1 euro za dużą gałkę, meczet, katedra grekoortodoksyjna, port, widokówki – 0,2–0,5 euro.

O godz. 14 pojechaliśmy autobusem Intercity Buses do Limassol odwiedzić znajomych – 7 euro w 2 strony/os. Ok. 19.10 miał być autobus powrotny. Niestety, przyjechał dopiero przed godz. 20 i okazało się, że jest pełny i nas nie zabierze, bo nie można jechać na stojąco. To był ostatni autobus tego dnia do Larnaki, ale kierowca powiedział, że za 10 min przyjedzie dodatkowy. Po pół godzinie nic nie przyjechało, więc zdecydowałem się na zakup za 9 euro/os. biletów na autobus na lotnisko do Larnaki, by potem za 1,5 euro dojechać do centrum. 10 min później przyjechał... zastępczy autobus do Larnaki, a mi facet w kiosku nie chciał przyjąć biletów Larnaka Airport Express, bo miały konkretną datę. Jednym słowem, przez niepunktualnych Cypryjczyków wtopiłem 18 euro. Za 45 min byliśmy w Larnace.

24 grudnia. Poszliśmy za spacer wzdłuż plaży, a następnie do słonego jeziora z różowymi flamingami. Dalej dotarliśmy pieszo na lotnisko. Najpierw pomyliliśmy drogę i doszliśmy do starego, nieczynnego już terminala, gdzie zatrzymała nas policja, ale po krótkiej pogawędce puścili nas. Na lotnisku rozeznaliśmy się w ofertach różnych firm wypożyczających samochody (tu jest największy wybór) i w końcu wybraliśmy firmę Astra&Petsas Rent a Car. Niebieska toyota IQ za 8 dni kosztowała 180 euro + 55 euro depozyt za paliwo.

Żeby wypróbować auto, od razu ruszyliśmy do Agia Napa. Początkowo miałem problemy z automatyczną skrzynią biegów i ruchem lewostronnym, ale po kilkudziesięciu kilometrach dostosowałem się bez problemu do tych warunków. Przejechaliśmy przez brytyjską bazę wojskową Dehelia. W Agia Napa okazało się, że to typowo turystyczna miejscowość z samymi hotelami i restauracjami, ale ponieważ byliśmy poza sezonem, to wszystko było pozamykane. Wróciliśmy więc autostradą do Larnaki, gdzie – w ramach wieczery wigilijnej – poszliśmy na kolację przy promenadzie – spaghetti z sosem i grillowanym kurczakiem, ale dość drogo – 12,2 euro/os. Wszędzie dekoracje świąteczne: mikołaje na saniach, świeczące ozdoby, kołеды, tylko brakowało śniegu. Wieczorem lekki deszczyk.

25 grudnia. Wczesna pobudka o godz. 6.30 i wyjazd na całodniową wycieczkę do tureckiej części Cypru. Przejazd autostradą z Larnaki do Nikozji – w Boże Narodzenie rano drogi niemal puste. W Nikozji parking przy szpitalu naprzeciwko parlamentu – duży, pusty plac bez opłat. Spacer przez dworzec autobusowy na ul. Ledra i główny deptak w greckiej części miasta, który prowadzi do przejścia granicznego. Wszystko pozamykane. Granicę przeszliśmy bez problemu (konieczny paszport) i dalej spacer przez część turecką, przez plac Atatürka, gdzie znajduje się kolumna wenecka. Po drodze wymiana pieniędzy w banku. Nikozja ma niesamowite mury wokół Starego Miasta. Doszliśmy do bramy Kireńskiej. Na prawo od tej bramy jest przystanek autobusowy, skąd można jechać do Kirenii. Autobus kosztuje 6 TYR/os., 30 min.

W Kirenii super ciepło, słońce, 25 stopni. Sok wyciskany z granatów – 10 TYR, z pomarańczy – 5 TYR. Spacer przy marinie – piękna, malownicza. Fale mocno waliły w betonową konstrukcję przy marinie. Imponująca twierdza wenecka – wstęp 12 TYR/os. + 2 TYR toaleta. Niesamowite widoki z twierdzy na morze, wybrzeże i miasto, widać brzegi Turcji. W środku sale muzealne. Obiad na mieście – musaka za 30 TYR/os.

Powrót autobusem do tureckiej części Nikozji:

- parlament Cypru Północnego;
- meczet Selimige Cami, największy w mieście, który został przekształcony z chrześcijańskiej katedry;
- obok meczetu Bedestan – dawny kościół, gdzie teraz odbywają się pokazy tańców derwiszów – 7 euro/30 min – warto!
- Büyük Man – piękne miejsce, gdzie teraz znajduje się wykwinna restauracja – 56 TYR/2 os.

Przejście na stronę grecką Nikozji i powrót autem do Larnaki.

26 grudnia. Poranny wyjazd do klasztoru Stavrovouni, który znajduje się w górach. Droga wiedzie ostrymi serpentynami. W klasztorze zakaz wstępu dla kobiet. Nieste-

ty, okazało się, że w godz. 11–14 jest zamknięty dla zwiedzających, a byliśmy o 11.10. Zmylił nas przewodnik Rough Guide, gdzie było napisane, że przerwa jest w godz. 12–15. Ale z góry rozpościerają się niesamowite widoki na wszystkie strony dookoła. Zjechaliśmy spod klasztoru i przejechaliśmy do neolitycznej wioski Choirokoitia, a raczej ruin po niej, która jest na liście UNESCO. Wstęp 2,5 euro/os. (nic specjalnego). Stamtąd chcieliśmy jechać do stanowiska neolitycznego Tenta, ale pomyliliśmy drogę. Nie było znaków, jak jechać i gdzie się znajduje i ostatecznie wjechaliśmy na autostradę. Dojechaliśmy do miejscowości Kiti, gdzie znajduje się kościół Angeloktisti z mozaiką z VI w. Naprzeciwko w tawernie zjedliśmy suflaki za 19 euro/2 os. Potem pojechaliśmy na przylądek Kiti, gdzie znajduje się otomańska latarnia morska. Była zamknięta do zwiedzania, ale obok przepiękne morze – można pospacerować na klifie przy zachodzie słońca. Na dole piaszczysta plaża, a u góry wybudowano całe osiedle domów z widokiem na morze. Trzeba było zatankować: 1 l = 1,233 euro. Niedaleko znajduje się wieża wenecka, ale nie udało się dotrzeć.

Był też plan, by jechać do Salaminy w części tureckiej, ale dojazd byłby zbyt skomplikowany. Było kilka opcji:

- 1) autem do Nikozji, przejście pieszo granicy i autobusem z Nikozji do Famagusty ponad 1 godz., następnie 8 km nie wiadomo jak do Salaminy, chyba taxi – zbyt długo;
- 2) autem pod granicę niedaleko Famagusty i dalej taxi, 5 km do Famagusty lub 13 km do Salaminy – za drogo;
- 3) przejazd autem do Salaminy, ale trzeba dodatkowo wykupić ubezpieczenie za 20 euro/3 dni, które nie obejmuje AC – za duże ryzyko.

Ostatecznie zrezygnowaliśmy – może innym razem.

27 grudnia. Rano wyjazd z Larnaki i przejazd do Pafos. Po drodze:

- starożytny Kurion – 4,5 euro/os. (w przewodniku było napisane 2,5 euro) – ruiny miasta na klifowym wybrzeżu (warto!);
- średniowieczny zamek Kolossi – 2,5 euro/os., ale nie wchodziliśmy;
- niedaleko w wiosce Kolossi ładny kościółek, obok drugi z zaprzęgiem św. Mikołaja na „śniegu”, który został zastąpiony białym materiałem;
- muzeum cypryjskiego wina w wiosce Erini – 4 euro/os. z niewielką degustacją.

Przyjazd do Pafos. Wynajmujemy duży apartament Kalamos od Rosjanina w Chlo-rakas, niedaleko plaży: pokój dzienny, sypialnia, łazienka, kuchnia, taras – 115 euro za 5 dni. Popołudniu pojechaliśmy na zakupy do Lidla. Następnie poszliśmy na plażę. Wieczorem pizza w pizzerii – 14 euro/2 os.

28 grudnia. Po porannym praniu pojechaliśmy do Pafos do kompleksu archeologicznego. Parking za darmo. Najpierw zrobiliśmy sobie długi spacer wokół zamku Pafos i dookoła półwyspu. Potem zwiedziliśmy kompleks archeologiczny – bilet za 4,5 euro/os. – ruiny greckie, rzymskie, chrześcijańskie, mozaiki rzymskie, amfiteatr, latarnia morska.

Znaczek na pocztce – 0,68 euro.

Na obiad suflaki w restauracji – 15 euro/2 os.

W markecie chcieliśmy kupić lody. Wzięliśmy jedno opakowanie za 1,59 euro. Myśleliśmy, że w środku są dwa lody. Przy kasie pani powiedziała, że w związku z promo-

cją drugie opakowanie jest gratis, więc wzięliśmy również drugie. Kiedy siedliśmy nad brzegiem morza, by zjeść lody, po otwarciu pierwszego opakowania okazało się, że w środku są 4 lody, co oznacza, że kupiliśmy aż 8 lodów! No i trzeba było je wszystkie zjeść na miejscu, bo by się rozmroziły!

29 grudnia. Rano po śniadaniu wyruszyliśmy autem na półwysep Akamas (nie ma komunikacji publicznej). Szybko skończyła się droga asfaltowa. Dojechalśmy do plaży w zatoce Lara, gdzie wylęgają się żółwie, ale latem. Długi spacer po piasku. Potem wróciliśmy do początku wąwozu Avakas – dość ślisko. Piękne pionowe skały i trzy muflony. Po południu siedzieliśmy na pustej plaży w słoneczku.

W drodze powrotnej z Akamas pojechalśmy do Agios Georgios – klifowe wybrzeże, bardzo malownicza mała przystań jachtowa, kościółek.

30 grudnia. Całodniowa wycieczka w góry Troodos. Wyjazd o godz. 7. Pierwszy przystanek to wioska Pelentri, gdzie znajduje się kościółek z listy UNESCO Timios Stavros – czynny od godz. 9. Otwiera go starsza kobieta, która mieszka obok. Piękne malowidła w środku, ale zakaz fotografowania kościoła z XIII w. Wstęp darmowy. Kupiliśmy 2 widokówki z malowidłami po 0,5 euro. Dalej pojechalśmy na granicę niedaleko od Astromeritis. Na pasie ziemi niczyjej strefa demarkacyjna z bazą ONZ. Na przejściu Cypru tureckiego obowiązek kupienia ubezpieczenia auta – 20 euro/3 dni, 8 km dalej jest miasto Güzelyurt (po grecku Morfou). W centrum duży ruch. Obok białego meczetu znajduje się Muzeum Archeologii i Przyrody. Tam kupiliśmy bilet do dawnego kościoła św. Mamasa, który zamieniono na Muzeum Ikon – 7 TRY/os. Kościół jest zamknięty i otwierany specjalnie dla zwiedzających. Według legendy znajduje się tam grób św. Mamasa, który jest patronem osób uchylających się od płacenia podatków. W drodze powrotnej stacja benzynowa. Pompierz wlał tyle paliwa, że połało się po karoserii. Ale znacznie taniej niż w greckiej części wyspy – 1 l za 3,67 TRY.

Przed granicą jest jeszcze wieś Kato Zodia, gdzie przy drodze stoi dawny kościół z przetrąconym krzyżem, a obok budowany jest duży biały meczet. Następnie przejazd przez granicę i do kościółka Panagia Asinou z XII w. – wstęp za darmo. Ładnie położony w lesie, malowidła, na liście UNESCO. Następny malowany kościółek to Agios Nikolaos tis Stegis z XI w. – ostatnia pozostałość po klasztorze. Jedno z malowideł wewnętrznych przedstawia, jak ubierali się członkowie zakonu. Dalej przejazd ostro w górę do miejscowości Troodos – 1725 m n.p.m. Nadeszło załamanie pogody: mgła, deszcz, ok. 5 stopni. Ośrodek narciarski, obok najwyższy szczyt Cypru – góra Olimbos (1951 m n.p.m.), szlaki trekkingowe. Następnie przejazd przez Platres, nieco cieplej, ale nadal mgła. Zjazd do wioski Omodos – bardzo ładnie, w centrum klasztor św. Krzyża i sklepiki. Obiad gigant – meze, czyli po trochu wszystko co serwują w danej restauracji – 17 euro/os. Powrót do Pafos.

31 grudnia. W sylwestra (niedziela) w Pafos bardzo spokojnie, sklepy pozamykane, mało ludzi na ulicach. Wieczorem wszystkie knajpki... pozamykane. Ostatecznie zjedliśmy obiad w restauracji na naszej ulicy, którą właściciel zamykał o godz. 20. W sylwestra nie ma imprez. Ludzie spędzają ten dzień w domach u znajomych i rodziny. W nocy puszczono kilka sztucznych ogni i to tyle.

1 stycznia 2018. Po śniadaniu i spakowaniu rzeczy o godz. 11.30 wyjechaliśmy na lotnisko. Po drodze zatrzymaliśmy się nad morzem w Petra tou Romiou, czyli w miejscu narodzin Afrodyty – piękne skały i krajobrazy, klifowe wybrzeże, kamienista plaża. Wcześniej niedaleko byliśmy w sanktuarium Afrodyty w wiosce Palaipafos, ale nie wchodziliśmy na teren kompleksu archeologicznego. Następnie pojechaliśmy do wioski Kiti, gdzie zjedliśmy porządną obiad za 16 euro/2 os. Na koniec tankowanie do pełna na lotnisku. W wypożyczalni oddano depozyt 55 euro. Na lotnisku ofoliowanie plecaka 10 euro, a zważenie – 1 euro.

Przylot do Polski o czasie ok. godz. 23.30.

Informacje praktyczne:

Przekraczanie granicy. Na Cypr można jechać na dowód osobisty, mimo że kraj nie znajduje się w strefie Schengen. Przy wjeździe do tureckiej części Cypru trzeba mieć paszport.

Zdrowie i bezpieczeństwo. Nie ma żadnych specjalnych niebezpieczeństw zdrowotnych. Obie części Cypru są bezpieczne dla turystów, także w nocy. Ludzie są przyjaźnie nastawieni do obcokrajowców.

Waluty. Na Cyprze obowiązuje euro. W części tureckiej Cypru turecka lira – nie ma problemów z wymianą pieniędzy w bankach.

Noclegi. Poza sezonem wynajęcie apartamentu czy pokoju jest dość tanie, znacznie tańsze niż w sezonie (połowa ceny). My dwa razy rezerwowaliśmy przez booking.com.

Jedzenie. Ceny w marketach podobne jak w Polsce. Ceny w restauracjach na Cyprze wyższe niż w Polsce. W części tureckiej Cypru w restauracjach jest znacznie taniej. Woda mineralna 1,5 l – 1,6 TRY. Najdroższa woda mineralna jest na lotnisku w Pyrzowicach – skandaliczna cena 10 zł za 1,5 l. Sklep, który jest monopolistą, bezczelnie wykorzystuje fakt, że z powodu przepisów do samolotu nie można zabrać własnej wody.

Komórki i Internet. W restauracjach powszechnie dostępne i bezpłatne Wi-Fi. Nie ma problemu z zasięgiem telefonów komórkowych.

Pogoda i różnica czasu

Podczas pobytu na wybrzeżu w ciągu dnia temperatura wynosiła ok. 20–25 stopni. W głębi wyspy w górach znacznie zimniej. Generalnie słoneczna pogoda, dwa dni padał deszcz. Naszą zimą różnica czasu między Polską a Cyprzem wynosi jedną godzinę, którą należy dodać.

Język. Łatwo można dogadać się po angielsku.

Wynajęcie samochodu. Toyota IQ w najtańszej wypożyczalni za 8 dni kosztowała 180 euro + 55 euro depozyt za paliwo. W sezonie letnim jest znacznie drożej. Niektóre wypożyczalnie zakazują wjazdu do części tureckiej, a firma Astra&Petsas Rent a Car pozwala swoim klientom na przekraczanie granicy do części tureckiej, ale kierowca ponosi wszelką odpowiedzialność za auto (brak ubezpieczenia w części tureckiej). Są także obostrzenia na wjazd do niektórych rejonów pozbawionych dróg asfaltowych, jak półwysep Akamas. Na Cyprze drogi są dość dobrze oznakowane. Autostrady są bezpłatne. Paliwo na Cyprze nieco droższe niż w Polsce, w części tureckiej – tańsze.

Jechać czy nie jechać? O etycznych problemach podróży do Korei Północnej



W skali globu historia turystyki nie ma nawet 200 lat. Jednak wraz z modernizmem i wzrostem światowej klasy średniej w ostatnich dekadach zjawisko to nabrało niespotykanego dotąd przyspieszenia. Wszystko wskazuje na to, że proces ten w najbliższych latach stanie się jeszcze bardziej dynamiczny. Nie dziwi zatem, że wraz z upowszechnieniem się podróżowania, pojawiła się również potrzeba refleksji nad jego formą i konsekwencjami. Coraz więcej osób zadaje pytanie, jak turystyka wpływa nie tylko na nas samych, ale również na odwiedzane narody.

Zarówno temat odpowiedzialności, jak i etyki podróżniczej szerzej omawiany jest od stosunkowo niedawna. Niektórzy badacze jako moment przełomowy wskazują konferencję International Association of Scientific Experts in Tourism (AIEST) z roku 1992, podczas której tematem przewodnim była etyka turysty i problemy związane z masową turystyką. W ostatnich latach pojawiły się również książki poruszające wspomnianą tematykę, m.in. Davida Fennella *Tourism Ethics* (New York 2006) czy Brenta Lovelock, Kirsten Lovelock, *The Ethics of Tourism: Critical and Applied Perspectives* (New York 2013). Pomimo rozwoju literatury dotyczącej etyki podróżniczej wiele tematów wciąż pozostaje przedmiotem sporu. Jednym z nich jest podróż do krajów uważanych powszechnie za totalitarne, łamiące prawa człowieka, obłożone sankcjami przez ONZ itd. Chciałbym przyjrzeć się najpopularniejszym argumentom pojawiającym się w tej debacie w kontekście Korei Północnej. Kraju, który jest jednym z najbardziej zamkniętych i opresyjnych reżimów, a jednocześnie – najbardziej medialnym. Przedmiotem mojej refleksji będą nie tylko same argumenty etyczne, ale również to, jak sama podróż wpływa na sposób postrzegania kraju przez turystów. Esej wzbogaci również moje własne doświadczenie – państwo to odwiedziłem w 2014 roku.

„Jadąc do Korei Północnej wspieram reżim Kimów”

Klasycznym argumentem przeciwników podróży do krajów totalitarnych jest kwestia finansowa. Według nich pieniądze z turystyki trafią wyłącznie lub w przeważającej mierze w ręce dyktatora i jego współpracowników. Kapitał związany z tym przemysłem

jest zapewne istotny dla rządzących. Turystyka to dziś potężny biznes. Obecnie szacuje się, że aż dziesięć procent globalnego produktu brutto wytwarza właśnie turystyka i usługi z nią powiązane. Budżet niektórych państw jest od niej wręcz uzależniony. W Korei Północnej nie istnieje możliwość globtroterstwa z niskim budżetem. Najtańsze wycieczki zaczynają się od ok. 150 USD za dzień (np. poprzez Young Pioneers Tours), a cena w zależności od oferty nie zawiera w sobie różnych kosztów dodatkowych, jak np. dojazdu, wizy, napiwków dla przewodników, wejścia do Wieży Idei Dżucze itd.

Korea Północna nie jest pierwszym krajem, który wzbudza takie kontrowersje w kontekście podróży. Słynnym przykładem bojkotu turystycznego jest postulat Aung San Suu Kyi, birmańskiej opozycjonistki. Junta wojskowa nie zaakceptowała przegranych wyborów w Birmy w roku 1990 i objęła Suu Kyi aresztem domowym. Fatalną sytuację ekonomiczną próbowano ratować turystyką. Aung San Suu Kyi wielokrotnie przestrzegała turystów przed wizytą w swoim kraju. W roku 1999 pisała: „Nadal uważam, że ludzie nie powinni przyjeżdżać do Birmy, ponieważ większość pieniędzy z turystyki trafia prosto do kieszeni generałów i nie tylko, jest to forma moralnego wsparcia dla nich, ponieważ sprawia, że władze wojskowe myślą, iż społeczność międzynarodowa nie jest przeciwna naruszeniom praw człowieka, które łamią cały czas”. Jednak gdy w roku 2011 dołączyła do rządzącego establishmentu, oficjalnie zmieniła zdanie, zapraszając turystów do kraju. Nie zapomniała jednak napomknąć, aby pamiętać o „odpowiedzialnej podróży”. Aż do roku 2011 turystyka miała marginalne znaczenie dla Birmy, pomimo usilnych starań generałów, którzy co rusz ogłaszali akcje promocyjne i budowali nowe kurorty. Kwestia turystyki mogła być jedną z kart przetargowych Aung San Suu Kyi w rozmowach z wojskowymi. Choć efekty jej obecnego udziału we władzy są dyskusyjne, to nie sposób ignorować faktu, że życie przeciętnego Birmańczyka uległo poprawie.

Przypadek Korei Północnej powierzchownie może przypominać Birmę. W KRLD reżim, próbując ratować gospodarkę, wydał ogromne pieniądze na budowę wielkich hoteli i centr turystycznych, które obecnie świecą pustkami. Być może najbardziej spektakularną porażką władz jest Hotel Ryugyong, który ze względu na swój kształt przez krytyków bywa nazywany Ministerstwem Prawdy. Budowa rozpoczęła się w roku 1987 i do dziś nie została ukończona. Hotel ma obecnie 330 metrów i w zależności od źródeł posiada od 3000 do 7665 pokoi. Obecnie wpisany jest w Księdze Rekordów Guinnessa jako największy nieukończony budynek na świecie. Turystyka w KRLD wciąż jest na niskim poziomie, podobnie jak w Birmy przed zmianami politycznymi. Zachodnich turystów jest bardzo mało. W roku 2014 Koreę odwiedziło zaledwie 3851 osób z zachodniego świata. W dodatku po śmierci Otto Warmbiera w roku 2017 większość biur turystycznych nie zabiera amerykańskich turystów. 22-letni Amerykanin został oskarżony o kradzież plakatu propagandowego z Hotelu Yanggakdo i skazany na 15 lat ciężkich robót. Po niecałym roku został jednak odesłany do domu w śpiączce i z uszkodzeniem mózgu. Cała sytuacja jest tematem licznych kontrowersji, m.in. rodzina uważa, że film z kradzieży plakatu, który miał być dowodem jego zbrodni, został spreparowany. Z drugiej strony, cała sprawa może się przyczynić do zwiększenia zainteresowaniem podróży do KRLD. Z pewnością zwiększy

sza się liczba odwiedzających z Azji. W samym 2014 roku Koreę odwiedziło 80 000 turystów z Chin.

Znaczącą różnicą pomiędzy KRLD a innymi autorytarnymi krajami jest jednak kontrola i pełna nacjonalizacja przemysłu turystycznego. Nawet w Birmie istniała pewna strefa prywatnych hotelików, choć wciąż zmuszonych do oddawania wysokiego podatku rządowi. Dawało to jednak szanse wycieczkowiczom na wsparcie lokalnego biznesu. W Korei Północnej liczba hoteli jest znacznie ograniczona (w stolicy funkcjonuje ich zaledwie osiem) i nawet kwestia posiłków jest ustalona z góry. Nie istnieje możliwość swobodnego przemieszczania się po ulicy, a pamiątki kupuje się jedynie w specjalnych wyznaczonych do tego sklepach. Również osoby zatrudnione w biznesie turystycznym należą do wąskiej grupy wybrańców – w silnie klasowej KRLD już sam wjazd do stolicy stanowi przywilej jedynie dla 1/3 mieszkańców kraju. Choć podobny model zagospodarowania branży turystycznej możemy odnaleźć w nielicznych krajach na świecie, np. w Bhutanie czy Erytrei, to kontrola nigdzie nie jest aż tak wysoka. By zminimalizować wpływ, jaki turyści mogliby mieć na ludność lokalną, najczęściej trzyma się ich w miejscach specjalnie odizolowanych, takich jak resorty czy w przypadku Pjongjangu, Hotel Yanggakdo. Do dziś jest to najbardziej popularny hotel w stolicy dla zachodnich turystów. Najprawdopodobniej ze względu na swoją lokalizację – znajduje się na wyspie. Hotel skrywa też pewien ponury sekret, o czym mogłem się przekonać podczas mojego pobytu. Tajemnicą poliszynela jest, że na piątym piętrze znajduje się centrum szpiegowania hotelowych gości. Z moim współlokatorem, brytyjskim wykładowcą akademickim, potajemnie zjechaliśmy windą dla obsługi hotelowej na piąte piętro, by przyjrzeć się jemu z bliska. Znajdowało się tam wiele plakatów propagandowych, ale nie mieliśmy zbyt dużo czasu, bo słysząc kroki, wróciliśmy do siebie. Po kilku latach nauki języka koreańskiego przetłumaczyłem napisy z plakatów, które głosiły: „Sto razy zemsta!” i „Nigdy nie ufaj jankeskim szakalom!”.

„Obcokrajowcy mogą zmienić ten reżim”

Chad O'Carroll, brytyjski koreanista przeprowadził w Korei Południowej badania na uciekinierach z KRLD, pytając ich, co sądzą o znaczeniu turystyki w kraju, z którego uciekli. Zdania były podzielone. Część uciekinierów zauważała, że już sam widok obcokrajowców daje do myślenia i prowokuje pytania. Zwłaszcza, że od lat mieszkańcy Pustelniczego Królestwa karmieni są jadowitą, rasistowską propagandą w stosunku do ludzi z zewnątrz. A jeżeli okaże się, że medialny przekaz reżimu myli się w jednej kwestii, to może nie ma też racji w innych? Jak wskazał jeden z uchodźców, nawet krótka obserwacja może mieć swoją wartość – dla niego było to wyobrażenie sobie zewnętrznego świata. Z drugiej strony, inni uciekinierzy argumentowali, że obywatele KRLD wiedzą już wystarczająco dużo o obcokrajowcach, by spotkanie z nimi miało cokolwiek zmienić, oraz że pieniądze z turystyki wspierają wyłącznie reżim. Zaznaczali, że stała obecność przewodnika ogranicza prawdziwy kontakt.

Ciężko jednoznacznie stwierdzić, czy turyści faktycznie mogą zmienić wyobrażenie mieszkańców o zewnętrznym świecie. W wyobrażeniu niektórych komentatorów turystyka może wręcz zapoczątkować zmiany i doprowadzić do otwarcia się Pustelniczego Królestwa. Nicholas Bonner, szef firmy turystycznej Koryo, również mó-

wił mi w wywiadzie, że ciężko wyobrazić sobie bardziej odizolowany kraj. Skoro gorzej już być nie może, to turystyka powinna mieć chyba dobry wpływ? Niestety, mam wątpliwości.

W KRLD, w przeciwieństwie do Birmy, opozycja nie istnieje. Koreańczycy obserwujący turystów nie dysponują podobnym do nich systemem wartości, nie mają też tych samych punktów odniesień. Pojawia się za to kontekst, w którym umieszczają odwiedzających same władze. Każdy przybywający do KRLD musi obowiązkowo pokłonić się przed pomnikami Kimów – o czym jest uprzedzony przed podróżą. Miejsc do oddawania pokłonów jest jednak więcej. Trzeba je bić również w mauzoleum wodzów, które jest także stałym punktem wycieczek. Propaganda KRLD od lat wykorzystuje zdjęcia i filmy z tych wydarzeń, głosząc, że cały świat przyjeżdża oddawać hołd ich przywódcom. Inna sprawa, że separacja i dostęp do luksusu dla turystów, którego nie posiadają przeciętni mieszkańcy, oraz inna kultura mogą wręcz powodować wzrost negatywnego uczuć. Zwłaszcza że niektóre biura turystyczne podkreślają swój hedonistyczny charakter. Na stronie Young Pioneers Tour przeczytamy np. że „dopóki nie napijecie się soju i nie zaśpiewacie w nocy karaoke, nie byliście w Korei Północnej”. Biorąc pod uwagę koreański konserwatyzm, zachowania turystów mogą mieć równie dobrze negatywny wpływ i zamiast budować mosty potęgować przepaść.

Generalnie w Korei Północnej nie da się uciec od kontekstu politycznego. Zarówno Korea Południowa, jak i Północna straciły wiele historycznych miejsc w czasie wojny. Jednak w KRLD aż do lat 80. nie istniała specjalna potrzeba konserwowania zabytków. Nie mówiąc już o podejściu do historii, która liczona jest w Korei Północnej od narodzin Wielkiego Wodza. W efekcie turysta ma do wyboru praktycznie wyłącznie miejsca związane życiem Kim Ir Sena.

„Byłem, więc wiem lepiej”

Izolacja Korei, jej wyjątkowość i odrębność sprawia, że dla niektórych turystów staje się upragnioną lokalizacją. Podróż do niej może być wręcz czymś w rodzaju sprawdzenia swojego męstwa, wyjątkowym podróżniczym trofeum, dowodem brawury. Sprzyja temu też chaos informacyjny, który sprawia, że spada zaufanie do obiegowych informacji. W Internecie krążą historie o Korei, która wysłała swoich astronautów na słońce, że wszyscy muszą nosić fryzurę „na Kim Dzong-una”, a nawet, że Korea Północna wmawia swoim obywatelom zwycięstwo w mistrzostwach świata w piłce nożnej. Informacje, które zazwyczaj powstawały jako żart, często kończyły powielane przez oficjalne portale informacyjne. Internet teoretycznie powinien dawać możliwość szybkiego dementowania fałszywych informacji. Krytyczne głosy i sprostowania jednak rzadko zmieniają zasięg ich działania. Zmyślane historie często osiągają dużo większy krąg niż te prawdziwe, gdyż są bardziej atrakcyjne dla szerokiego odbiorcy. Przeciętny użytkownik nie ma czasu sprawdzać każdą informację, zwłaszcza gdy podaje mu ją jego ulubiony bloger lub portal informacyjny.

Gigantyczna fragmentaryczność cyfrowego świata prowadzi do sytuacji, w której nie wiadomo, komu ufać. W świecie, w którym zaufanie do mediów drastycznie spada, coraz bardziej liczy się własne doświadczenie. „Byłem, więc wiem lepiej niż ty” – można przeczytać na różnych blogach. Podróż tego typu daje indywidualnym turystom po-

czucie gnozy. Pjongjang kusi swoją tajemniczością. Wnioski z takiej przygody są często diametralnie różne.

Swego czasu napisałem artykuł dla polskiego National Geographic o syndromie pjongjańskim, który objawia się poczuciem misji i paranoi zarazem. Osoba nim dotknięta odnosi wrażenie, że wszystko w tym kraju zostało przygotowane, by ją zwieść. Sprzątaczkę hotelową wydadzą się być tajnymi agentami reżimu, przewodnik tylko czeka na jego spotkanie, by postawić go przed sądem i nawet metro funkcjonuje wyłącznie dla turystów. Po powrocie do domu turysta tego typu opowiada, jak narażając życie wykradł Kimowi fotografie kompromitujące reżim. Ignoruje przy tym instytucje badawcze czy choćby Associated Press, które ma swoje biuro w Pjongjangu.

Po drugiej stronie stoi, obecnie całkiem już pokaźna grupa blogerów, którzy zaakceptowali warunki gry narzucone im przez reżim. Jeszcze przed wizytą w kraju Kimów każdy turysta musi zgodzić się na szereg zasad ograniczających jego swobodę. „Notes for Travelers”, które otrzymuje planujący urlop w Korei, zawiera 10 stron szczegółowych informacji dotyczących tego, jak powinien się zachowywać, które przed przyjazdem musi podpisać. Oprócz wskazówek, by zabrać latarkę (ze względu na częste braki prądu), prezentów dla przewodników (np. papierosy), istnieje informacja, w jaki sposób należy mówić o przywódcach kraju (trzeba pamiętać o ich tytułach np. „Prezydent Kim Ir Sen”, „Generał Kim Dzong-il”). W grę nie wchodzi zabranie ze sobą jakichkolwiek materiałów religijnych, krzyży, a tym bardziej Biblii, ponieważ prozelityzm jest w Korei poważnym przestępstwem. Nie można też wwozić prasy i materiałów odnoszących się do KRLD, ponieważ te nieautoryzowane przez rząd postrzegane są jako niebezpieczne dla statusu quo. Restrykcji podlega też fotografowanie. Szczególnie trzeba uważać, by nie przyciąć (źle wykadrować) kogoś z wizerunków liderów kraju. Przewodnicy mają również prawo dokonać rewizji naszych kart i telefonów w każdym momencie. W dodatku w tekście pojawia się zobowiązanie odnośnie do weryfikacji materiałów publikowanych po podróży. Posty na Facebook czy prywatny blog nie są problemem, publikowanie w komercyjnych mediach już tak. System ten prowadzi do masowej autocenzury blogerów zwłaszcza tych, którzy planują jeszcze do KRLD powrócić. Podobną patologię można zresztą zaobserwować w przypadku badaczy Korei Północnej.

Sam odczułem, jak taki system działa. Gdy pisałem moją relację z XIV Festiwalu Filmowego w Pjongjangu, który był powodem mojego wyjazdu do KRLD, cały czas zastanawiałem się, ile mogę napisać. Biuro turystyczne sprawdziło mi mój tekst i odesłało z poprawkami. Wtedy postanowiłem, by już nigdy więcej nie wchodzić w tak wątpliwy moralnie układ.

Wielu blogerów, zwłaszcza ci, którzy jak Emil Truszkowski sami zarabiają na podróżach do KRLD, nie mają z tym problemu. „My Daily Life in North Korea (Mysterious 7 Day Trip)” przygotowany przez Jacoba Laukaitisa ma ponad 9 milionów wyświetleń. Materiał jest kompilacją najciekawszych miejsc turystycznych i innych atrakcji, na które składają się m.in. pokaz wojskowej parady i oglądanie filmu propagandowego. Jacob Laukaitis mówi, że odczuł kontrolę, ale nie chce jednoznacznie ocenić kraju. Innym przykładem jest seria filmów o podróży do KRLD Luisa Cole, autora wymownie

brzmącego kanału na Youtube, FunForLuis, który śledzi prawie 2 miliony osób. Jego nagrania pokazują, jak na wiele przyjemnych sposobów można spędzić czas w Korei Północnej. Zobaczymy w nich zabawy w parku wodnym, dziko rosnące konopie siewne, dużą liczbę restauracji, surfing, wypoczynek na plaży w Wonson, jazdy na deskorolce, żarty na ulicach Pjongjangu i dużo okrzyków radości. Jego produkcje ściągają się z innymi tego typu w kategorii: co jeszcze fajnego można zrobić w Korei Północnej. Nagraniom towarzyszy słoneczna muzyka. Innymi słowy – pełny eskapizm. Jak sam Luis podkreśla, chce skupić się na pozytywnych aspektach mało znanego kraju, który w mediach ma tylko negatywny pijar. Właściwie jedyne na co uważa się podczas swoich nagrań to brak Internetu.

Wspomniany już Emil Truszkowski swoje spostrzeżenia prezentuje na blogu Pozdro z KRLD i vlogu o tym samym tytule. Strona zapowiadała się jako ciekawa alternatywa dla poszukujących informacji o Korei Północnej, którą również początkowo wspierałem. Jednak dziś strona zajmuje się właściwie wyłącznie reklamowaniem KRLD i pokazywaniem jasnej strony tego kraju. Pokazuje więc pełne półki sklepowe, modelowe pegeery, wyśmiewa się z popularnych mitów odnośnie do tego kraju. Wszystko podane jest w lekkiej, żartobliwej formie, o czym można się przekonać, przeglądając choćby tytuły jego filmów np. „Czas wolny w Korei Północnej – Park rozrywki Kaesong”, „Sushi u mistrza Kim Jong Ila – Rowerem po Pjongjangu, Supermarket w Korei”, „Sexy stewardesy w Korei Północnej – Air Koryo An-148” itp. Na swoich filmach zdarza mu się pojawić w północnokoreańskiej ludowej marynarce (kor. *inminbok*, której król Koreańczycy skopiowali od chińskich komunistów) z przypinką flagi KRLD, na innych – w koszulce z flagą kraju z napisem „Spotkajmy się w Pjongjangu”. Nie uważa, by taki image był wyrazem poparcia dla reżimu. Za wsparcie finansowe wysłał pocztówki z KRLD.

Korea lata masowego głodu ma już za sobą, a ekonomia powoli się poprawia. Nie zmałał jednak terror, który według wielu ekspertów (czyt. np. Andrei Lankov) za Kim Dzong-una jest jeszcze większy. Blogerzy oczywiście zazwyczaj bronią przed krytyką, mówiąc, że nie są sympatykami reżimu. Jacob Laukaitis w swoim filmie podkreśla, że dla niego wolność do wyboru odwiedzenia jakiegokolwiek miejsca na ziemi jest fundamentalna. Truszkowski i Cole argumentują, że jedynie chcą w ten sposób otwierać kraj „Zamkniętych drzwi”. Sposób, w jaki przedstawiają rzeczywistość w Korei, jest dokładnie tym, czego od nich oczekuje reżim i legitymizuje władzę Kimów. Można to w pełni zrozumieć z perspektywy psychologicznej. Drugą stroną stałej kontroli jest poczucie komfortu. Turyści otrzymują to, co w kraju jest najlepsze. Przy piwie Taedonggang i w towarzystwie młodych, uśmiechniętych przewodników czas płynie przyjemnie. Hotele, choć przypominają głęboki PRL, to zapewniają względny luksus. Czytając lub oglądając materiały blogerów z KRLD, często ciężko oprzeć się skojarzeniom z Walterem Durantem, amerykańskim korespondentem „New York Timesa” z Moskwy, który w latach 30. opisywał stalinowską Rosję, lecz nie dostrzegł ani głodu, ani problemów ekonomicznych, lub z apologetami reżimu Czerwonych Khmerów. Pomimo rozbudowanych systemów opresji w rozmaitych despotiach wiele osób żyło i żyje „normalnie”. Ludzie chodzą do pracy, rodziny odwiedzają wesołe miasteczka, w których dzieci zjadają się lodami itd. Ba!, mieszkańcy takich krajów mogą nawet szczerze po-

pierać dyktatorów ze względu na działającą specyfikę ideologiczną, połączoną z aparatem represji i brakiem alternatywy. Pjongjang jest dużo sprytniejszy niż mógłby ktoś przypuszczać.

„Po co tam jechać?”

Ktoś mógłby powiedzieć, że pieniądze, które trafiają do elit z turystyki, stanowią niewielki procent budżetu kraju. To prawda, choć przecież to również może się zmienić. Bardziej fundamentalne wydaje się pytanie, na które każdy musi odpowiedzieć indywidualnie w swoim zakresie, czyli po co jechać do Korei Północnej. Czy po to, by móc pochwalić się przed znajomymi egzotycznym trofeum? Dla mnie celem było zdobycie brakujących filmów północnokoreańskich, które stanowią część moich badań nad studium propagandy. Jednak nie ukrywam, że chciałem też przekonać się, jak wygląda kraj, o którym tak wiele piszę. Wizyta uświadomiła mi, jak silną bańkę nakłada na odwiedzających system. Dla osoby przyzwyczajonej do swobodnego podróżowania z plecakiem i autostopem, warunki te były trudne do zniesienia. U niektórych osób wyjątkowość tego doświadczenia, nieustanna, pełna kontrola, wywoływała wręcz zaskakujący entuzjazm. To, że w Pjongjangu jeżdżą drogie samochody, nie zmienia charakteru systemowego tego kraju. Są wycieczki turystyczne, które wydają się mieć większy sens niż tylko zwiedzanie pomników Kim Ir Sena, tych bardziej i mniej znanych. Istnieją opcje wolontariatu, pracy humanitarnej, nauki języka. Być może taka forma wyjazdu, praca u podstaw, miałyby więcej pozytywnych aspektów. Wreszcie istnieje mnóstwo aktywności, które osoba zainteresowana KRLD może przeżyć i zobaczyć w Korei Południowej, łącznie z pracą z uciekinierami.

Opcji może być wiele, co jest wartością samą w sobie. Konsekwencje naszych decyzji mogą być dalece większe niż przypuszczamy.

Ewa Flak, Jarosław Kociel

Luksus na piasku



Termin: 24 października – 7 listopada 2017 r.

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Mirek, Wiesiek, Bogdan

Trasa lotnicza: Katowice–Dubaj–Katowice (Wizzair 658 PLN)

Koszty podróży: 3601 PLN/os.

Kursy walut: 1 USD = 3,61 PLN, 1 USD = 0,38 OMR, 1 USD = 3,65 AED

Czas: W zależności od pory roku latem + 2 godz., zimą + 3 godz.

Bezpieczeństwo: Turysta może czuć się tu bezpiecznie.

Wizy: Do ZEA wiza jest bezpłatna, w Omanie płacimy 20 OMR/os.

Język: Angielski i wiele innych języków z całego świata.

Pogoda: Przepiękna pogoda, 100 % niebieskie niebo, temp. 32°C – 36°C

Elektryczność: Należy mieć adapter z dwoma płaskimi bolcami

Przewodniki i mapy: Lonely Planet „Oman + ZEA”

Koszty podróżnika: Woda mineralna 2 l – 2,5 AED, coca-cola 2,5 l – 7 AED, mleko 4-pak – 2,25 AED/szt., masło 250 g – 10 AED, margaryna 500 g – 13,90 AED, ser żółty 1 kg – 25 AED, jajka 30 szt. – 12,75 AED, olej 1 l – 10,95 AED, lody 1 l – 12 AED, herbata 10 szt. – 5,25 AED, kawa 50 g – 8 AED, cukier 1 kg – 4,10 AED, chleb europejski 800 g – 6 AED, chleb tostowy – 3,90 AED, bagietka – 1,99 AED, krem czekoladowy 220 g – 7,5 AED, ziemniaki 1 kg – 2,95 AED, ryż 1 kg – 8,35 AED, spaghetti 3 pak – 7,80 AED, parówki paczka – 10,25 AED, pomidory 1 kg – 6,65 AED, ogórek – 3,33 AED, pieczarki – 5,9 AED, banan 1 kg – 5,66 AED, papierosy paczka – 15 AED, benzyna 1 l – 1,92 AED.

Ceny produktów spożywczych w Omanie są o 10–15% niższe od tych w ZEA.

RELACJA Z PODRÓŻY

24 października • Katowice–Dubaj. Po raz pierwszy od kilku lat nie musieliśmy zarywać nocy, bo lot do Dubaju mieliśmy o godz. 12.45. Tak więc, samochodem do-

tarliśmy do Pyrzowic i stąd zaczęliśmy kolejną podróż. Do Dubaju polecieliśmy liniami Wizzair. Jak wiadomo, w niskobudżetowych samolotach nie ma darmowych napoi, posiłków oraz ekranów w fotelach, tak więc 5,40 godz. trzeba było sobie jakoś zagospodarować. Oczywiście obsługa samolotu co chwilę coś oferuje, sprzedaje, komunikuje, ale wszystko jest płatne. Jeśli więc ktoś wybiera się tanimi liniami, to warto zapewnić sobie jakiś prowiant, bo w ofercie są tylko batoniki, kawa i zupki w kubkach. O godz. 20.25 byliśmy na miejscu, przedstawiając zegarki o + 2 godz. Odbiór samochodu mieliśmy ustalony na lotnisku z wypożyczalnią Sixt, która nie ma tam biura, więc na przylotach czekał na nas ich człowiek. Okazaliśmy mu kartę kredytową, paszporty, prawo jazdy, a on zaprowadził nas do VW Jetta i przekazał kluczyki. Za wypożyczenie samochodu na 12 dni zapłaciliśmy 1930,07 zł (cena po ściągnięciu z karty). Rezerwację trzeba zrobić przed wyjazdem, żeby mieć przynajmniej kilka dni na zgłoszenie, że wjeżdżamy do Omanu. Z lotniska ruszyliśmy do centrum miasta. Na początku wyglądało to w miarę spokojnie, szerokie oświetlone autostrady, umiarkowany ruch. Dopiero jak wjechaliśmy do centrum Dubaju na 10-pasmową autostradę, potrójne zjazdy, ślimaki, nawigacja wariowała, a my staraliśmy się trafić w odpowiedni zjazd. Po jakimś czasie dojechaliśmy do At The Top Hostel przy King Salman Bin Abdulaziz Al Saud Street, Al Soufouh – Elite Residence, 6601, Dubai Marina. Nocleg w hostelu kosztował 550 AED/5 os. Po wejściu do hotelu na recepcji spisali nam paszporty i pozwolili wjechać na górę na 66 piętro. Na górze w recepcji hostelu okazało się, że obsługuje dziewczyna z Białorusi. Poinformowała nas, że nie ma miejsca na parkingu podziemnym, tak więc samochód zaparkowaliśmy pod hotelem i do godz. 8.00 rano mieliśmy spokój. Hostel okazał się fajny, szczególnie, że oferował super widok na marinę i palmę Jumeirah. Zrobiliśmy rozeznanie cen i zakupy w Carrefour, a potem poszliśmy spać.

25 października • Dubaj–Al Ain–Muscat. Po śniadaniu ruszyliśmy do Omanu. Mieliśmy dzisiaj do pokonania z Dubaju do Muscat 480 km. Na tutejszych autostradach obowiązuje ograniczenie prędkości do 120 km/godz. Po 1,30 godz. byliśmy w Al Ain, mieście graniczącym z Omanem. Tu obejrzelśmy z zewnątrz stadion Hazza Bin Zayed. Pojemność obiektu wynosi 25 000 tys. Podjechaliśmy do granicy, gdzie trzeba opłacić podatek wyjazdowy w wysokości 30 AED/os. Najpierw kluczyliśmy trochę w strefie granicznej, bo policja wciąż nas kierowała na wjazd do Dubaju. Potem okazało się, że mamy jechać prosto w kierunku Omanu. Jechaliśmy jakieś 30 km, nie mając pieczętek wjazdowych, zastanawiając się, co będzie dalej. Przy autostradzie wybudowano w poprzek budynek, który jest punktem granicznym. Trzeba było wysiąść i wejść do środka, gdzie można kupić wizę za 20 OMR/os. Jakiś czas temu na krótkie pobyty kosztowała 5 OMR/os. Na koniec jeszcze sprawdzono nam bagażnik, ale czego szukano, nie wiemy. Pojechaliśmy w kierunku Muscat, po drodze zatankowaliśmy 40 l benzyny, litr paliwa kosztuje 0,205 OMR (1,95 PLN). Trzeba mieć na uwadze, że na stacjach benzynowych Shell nie można płacić kartą. Muscat podzielony jest na kilka dzielnic, właściwie składa się z trzech osobnych miast: Old Muscat, Ruwi i Mutrah. W tym ostatnim jest baza turystyczna, nadmorska promenada oraz liczne sklepy z pamiątkami. W stolicy zatrzymaliśmy się w Delmon Hotel przy Al Wadi Al Kabeer, Muscat 112. Za nocleg zapłaciliśmy 2285 PLN/5 os., za 3 pokoje na 4 noce.

Pierwszą kolację zjedliśmy w restauracji niedaleko hotelu, zamówiliśmy tradycyjne indyjskie potrawy, które dla naszych kompanów podróży okazały się za ostre. My jesteśmy przyzwyczajeni, bo na co dzień jadamy pikantnie doprawione. Okazało się, że w tym rejonie hindusi przejęli usługi gastronomiczne, i tak stali się naszymi żywicielami do końca wyprawy. Zawsze najlepiej stołować się tam, gdzie jadają miejscowi, czyli w popularnych Coffie Shop (restauracjach) u Hindusa lub Pakistańczyka, a poza miastem w przydrożnych barach. Łatwo się tutaj porozumieć, większość Arabów mówi dobrze po angielsku, restauracje, hotele i sklepy prowadzone są przez Hindusów, dla których angielski to drugi język po hindi. W hotelu jest siłownia, a na dachu... basen, więc skorzystaliśmy z tej atrakcji. Niesamowicie popływać w małym baseniku na dachu hotelu przy śpiewie muezina z pobliskiego meczetu. Okolicę otaczają wysokie góry, które są podświetlone blaskiem okolicznych reflektorów i księżyca.

26 października • Muscat–Rustaq–Nakhal. O godz. 4.59 obudził nas śpiew z pobliskiego meczetu, ale ponownie usnęliśmy. O godz. 8.00 zjedliśmy śniadanie i ruszyliśmy w drogę. Najpierw podjechaliśmy do Rustaq, które było niegdyś stolicą Omanu, znajduje się tu fort Ar-Rustak, zbudowany w IV wieku przed powstaniem islamu w Omanie. Jego imponująca struktura opiera się na trzech poziomach, zawierających oddzielne domy, zbrojownię, meczet i cztery wieże. Najwyższa wieża ma ponad 18,5 m wysokości i 6 m średnicy. Wstęp do fortu kosztował 0,500 OMR/os. Ar-Rustak jest obszarem posiadającym lecznicze ciepłe źródła, najbardziej znane to Ain al Kasafa. Jego wody mają temperaturę 40°C i są traktowane jako lek na reumatyzm i choroby skóry.

Dalej pojechaliśmy do Nakhal Fort, znany również jako Husn Al Heem. Został tak nazwany na cześć stanu Nakhal. Jego historia, sięga czasów przedislamskich. Przez wieki przeszedł wiele remontów i ulepszeń. Został on ponownie zbudowany przez architektów Omanu w XVII wieku, dla ochrony obszaru oazy i pobliskich szlaków handlowych. Wstęp kosztował 0,500 OMR/os. Po obejrzeniu fortu skorzystaliśmy z gorących źródeł, które w tym rejonie są co najmniej letnie. Upał niemiłosierny, więc ciepło wody było relaksujące. Po chwili do naszych stóp podплыły ławice małych rybek Dr. fish, które zrobiły nam peeling. Super SPA i to za darmo. Powyżej jest stworzony zbiornik, w którym można się wykąpać, jednak wiele osób woli siedzieć na kamieniach i cieszyć się rybkami. Wróciliśmy do Muscat.

Kolację zjedliśmy w pobliskim coffie shop, który stał się naszym ulubionym punktem żywieniowym. Ceny bardzo niskie, zamówiliśmy typowe hinduskie dania, na drugi dzień szef obiecał dosai masala. Wieczorem skorzystaliśmy z hotelowej siłowni.

27 października • Muscat–Bimmah Sinkhole–Wadi Tiwi. Po śniadaniu pojechaliśmy wzdłuż wybrzeża malowniczą drogą do Bimmah Sinkhole, które zlokalizowane jest 6 km od wioski Dibab, znajduje się tam cud natury, czyli Sink Hole. Jest to geograficznie rzecz nazywając wywierzyisko, czyli głęboka jama w ziemi, coś jakby jaskinia otwarta od góry, na dnie której jest źródło. Woda jest krystalicznie czysta, o niesamowitym turkusowozielonym kolorze. Kolor ten jest zasługą mieszania się ze sobą wód słodkiej i słonej. Przypominający „zielone oko” zbiornik wodny, do którego prowadzą strome schody, ma wymiary: 70 m długości, 50 m szerokości, 20 m głębokości, znajduje się 600 m od morza. Można tu skorzystać z kąpieli, schodząc do wnętrza tej pół od-

krytej jaskini. Teren otoczony jest płotem, jednak wstęp jest darmowy. Przy wejściu siedzący mężczyźni, poczęstowali nas miejscową kawą i daktylami.

Potem pojechaliśmy do Wadi Shab, które leży 2 km od miejscowości Wadi Tiwi. Wadi Shab to jeden z najpiękniejszych wąwozów w Omanie, mimo że na początku może nam się wydać niezbyt ciekawy. Dokładnie nad ujściem wadi zbudowano nową autostradę, która psuje widok. Potężne kolumny blokują nieco ujście, więc woda jest w tym miejscu zanieczyszczona. Najpierw trzeba przepłynąć na drugą stronę kanału łódką (1 OMR/os). Potem ruszyliśmy pieszo wzdłuż doliny. Trasa wiedzie pośród plantacji palmowych nawadnianych za pomocą starych kanałów faladż. W trakcie spaceru można spotkać tubylców pracujących pośród drzew lub wypasających kozy. Nie pozwalają się fotografować. Jest tu kilka miejsc do kąpieli, z której korzystała zarówno miejscowa młodzież, jak i turyści. Woda płynie wąwozem przez cały rok i formuje pośród jasnych skał piękne baseny o szmaragdozielonym kolorze. Ostatnie oczko skrywa niespodziankę – niedużą jaskinię, do której można wpłynąć bardzo wąskim przejściem. Jeśli poziom wody byłby wysoki, należałoby zanurkować. My także podpłynęliśmy do jaskini. Przepłynięcie przez takie wąskie gardło do środka jaskini wymaga spokoju. W jaskini można przytrzymać się występów skalnych lub półek, które wyrzeźbiła woda. Jest pięknie i naprawdę warto było tu przyjechać. Wróciliśmy do Muscatu. Tu w „naszym” coffie shopie zjedliśmy zamówioną dosai masale. Obiad kosztował 0,600 OMR/os.

28 października • Muscat. Dziś ruszyliśmy na objazd Muscat, jest tu do obejrzenia kilka atrakcji. Miasto jest nowoczesne i rozległe, dominuje niska, jednolita architektura, nie ma strzelistych wieżowców, szklanych domów. Oman jest bardzo czysty. Jest to duże zaskoczenie dla nas, bo wszędzie chodzą pracownicy, którzy sprzątają, polerują, zbierają śmieci. To nie jest typowy arabski kraj. Nie ma hałasu, brudu, targowiska są czyste, uporządkowane. Sprzedawcy nagabują, ale spokojnie, nienachalnie. Odnieśliśmy bardzo dobre wrażenie. Ponad 3/4 obywateli Omanu to charydźcy, a dokładniej mówiąc, członkowie jedyne go przetrwałego do dnia dzisiejszego, najbardziej umiarkowanego nurtu w obrębie charydżyzmu – ibadytyzmu. Między innymi to sprawia, że innowiercy traktowani są bardzo przyjaźnie.

Pojechaliśmy z centrum 15 km, gdzie znajduje się Sultan Qabos Grand Mosque największy i najwspanialszy meczet w Omanie. Jest otwarty dla zwiedzających w dni pracujące od niedzieli do czwartku, w godzinach 8.00–11.00. W krajach arabskich weekend zaczyna się w piątek (dzień wolny), natomiast niedziela jest dniem pracującym. Wymagany jest tu stosowny ubiór (zakryte nogi, ramiona, tatuaże). Prace nad budową tego bez wątpienia cudu architektonicznego rozpoczęte zostały w 1995 r. i ukończone 6 lat później. Znajduje się on przy głównej drodze Sultan Qabos Street, łączącej Muscat z Seeb. Kompleks o powierzchni 40 000 m² zbudowany został tradycyjnie dla omańskich meczetów na podwyższeniu w stosunku do pobliskich ulic i umiejscowiony w otoczeniu przepięknie zaaranżowanych terenów z wielkimi palmami, idealnie przyszykowanymi żywopłotami, fontannami tryskającymi wodą i zielonymi równymi trawnikami. Zielen w połączeniu z białymi i szarymi lśniącoymi marmurami sprawia niesamowite wrażenie czystości, porządku i harmonii. Z daleka widoczne jest

5 minaretów, z których najwyższy ma 90 m. Symbolizują one 5 filarów islamu. To z nich muezzini wyśpiewując adhan 5 razy dziennie, nawołują wyznawców islamu do modlitwy. Minarety pełnią także funkcję wentylacyjną, wymuszając cyrkulację powietrza w meczecie. Główna sala modlitewna (musalla) Wielkiego Meczetu zbudowana jest na planie kwadratu o boku 74,4 m. Centralna kopuła wznosi się na wysokość 50 m od posadzki, a w niej umieszczony jest niesamowity, wysoki na 14 m żyrandol o średnicy 8 m, wykonany z kryształów Swarovskiego. Wszystkie jego metalowe elementy pokryte są 14-karatowym złotem. Całość waży 11 ton. Drugim elementem, z którego słynie musalla, jest dywan wypełniający prawie całą jej powierzchnię. Ręcznie tkane dzieło tworzone było 4 lata przez 600 irańskich szwaczek i szwaczy. Z wymiarami 70 x 60 m i wagą 21 ton jest obecnie drugim największym dywanem świata. Jak w każdym meczecie, po przeciwległej stronie wejścia znajduje się skierowana w stronę Mekki ściana zwana qibla (w tłumaczeniu – kierunkiem), a pośrodku niej przepiękny mihrab otoczony wersetami Koranu. To w tę stronę kierują swe twarze modlący się wierni. Sala modlitewna pomieści 6 500 wiernych, z kolei na terenie całego obiektu może jednocześnie przebywać nawet 20 000 wyznawców. W pobliżu sal modlitewnych znajdują się pomieszczenia, w których dokonać można ablucji.

Dalej podjechaliśmy pod budynek królewskiej opery w Muscat, którą obfotografowaliśmy od zewnątrz. Budowla jest olśniewająco biała i przyprawia o ból oczu. Odbijające się promienie powodują, że po chwili każdy z nas odwracał wzrok lub mrużył oczy. Niedaleko jest droga w kierunku morza. Tu skorzystaliśmy z kąpieli w Morzu Arabskim, które łączy się z Oceanem Indyjskim. W starym Muskacie są jeszcze do obejrzenia, ale tylko z zewnątrz: Pałac Sułtana Quabosa Bin Saida oraz średniowieczne forty na skałach, dawniej strzegące zatoki. Wracając do centrum miasta podjechaliśmy do mariny, w której cumują nowoczesne jachty.

Potem dotarliśmy na stary bazar Muttah (souq), na którym sklepiki są otwierane po godz. 16.00. Na zadaszony bazar wchodzi się wprost z nadmorskiej promenady. Ruszyliśmy na zwiedzanie targu złota. Wyroby złotnicze są typowe dla arabskiego rękodzieła, pełne przepychu i koronkarskiej precyzji. Kwestia gustu, ale widok ogromnego naczynia z turkusami i koralami sięgającego do pasa robił na każdym wrażenie. Stragany uwodzą zapachem kadzidła, przypraw i tysiącami odcieni kaszmirowych tkanin. Jest oliwa, nasiona, orzechy, koszyki plecione z liści palmowych. Gorący klimat powoduje, że mężczyźni chodzą w białych szatach, a kobiety ubrane są na czarno. Turystów jest tu jak na lekarstwo, a klientami na targu są prawie sami Omańczycy. Po godz. 18.00 wróciliśmy do hotelu. Zjedliśmy kolację i chwilę poćwiczyliśmy. Jeszcze nas upał nie zmęczył i nie pozbawił sił, więc staramy się zachować rytm treningowy.

29 października • Muscat–Bahla–Nattalah–Nizwa. Rano odwiedzamy w Muskacie muzeum Oil and Gas. Jest to idealne miejsce, gdzie można uzyskać odpowiedź na wiele pytań dotyczących historii i produkcji oleju. Następnie jedziemy do Bahla Fort, potężnej twierdzy zbudowanej z gliny, otoczonej murem o wysokości 5 m, położonej przy oazie. Fort został zbudowany w XVII wieku przez dynastię Nabhani, której państwo miało stolicę w Bahla. Potem podjechaliśmy do Nattalah, gdzie znajduje się zamek Jabreen. Jest duży i rozległy, można zajrzeć do wielu zakamarków, są tu cieka-

we rozwiązania techniczne służące do przepływu wody, można zobaczyć malowidła ściennie, wykaligrafowane fragmenty koranu. Zachowały się również kawałki arabesk ozdabiających ołtarz. Zamek jest pod opieką UNESCO. Wstęp kosztuje 0,500 OMR/os.

Dojechaliśmy na przedmieścia Nizwa, gdzie mieliśmy zarezerwowany nocleg w hotelu Al Karam Apartaments, 610 OMR/2 noce/2 os. ze śniadaniem. Późnym popołudniem pojechaliśmy do centrum miasta, do którego mamy 10 km. Zwiedzamy starówkę, gdzie zaczynało się wieczorne życie. Otwierały się restauracje i sklepiki, w których można było zakupić najlepsze pamiątki z Omanu, czyli srebrną biżuterię, zakrzywione noże khanjar czy kadzidełka. Jest to jedno z trzech miejsc na świecie, gdzie są drzewa kadzidłowe (żywica z tych drzew to właśnie kadzidło). Poszwendaliśmy się po okolicy, odwiedziliśmy jeszcze targ rybny oraz warzywno-owocowy. Za kolację w Al Zuhly Restaurant zapłaciliśmy 1,400 OMR/os.

30 października • Nizwa–Misfal al Abriyyin–Jebel Shams. Rano udaliśmy się do Jaskini Al Huta, która należy do najpopularniejszych atrakcji turystycznych Omanu. Niestety, nie dane nam było wejść do środka, bo w poniedziałki jest zamknięta. Pojechaliśmy więc do wioski Misfat al Abriyyin. Tu pochodziliśmy po uliczkach, przyglądając się codziennemu życiu. Jest to kontrast dla nowoczesnych miast, tu mogliśmy podejrzeć stare techniki budowania domów, mieszkań i układania dróg.

Następnie wyruszyliśmy w drogę na Jebel Shams (góra słońca). Jest to szczyt w paśmie Al Hadzar, położony w północno-wschodnim Omanie na północ od miasta Al Hamra. To najwyższa góra kraju i część gór Al-Hadzar. Jest to popularny obszar turystyczny. Na górę nie trzeba się wspinać, jesteśmy przecież w Omanie, kraju, gdzie wszędzie dojeżdża się samochodem. Latem temperatura na tej wysokości wynosi około 20°C, a zimą spada do dramatycznych 5°C. Najwyższym punktem Jebel Shams jest szczyt północny, który jest zajęty przez bazę wojskową i jest obszarem zamkniętym – ma wysokość 3009 m n.p.m. Jebel Shams ma drugi szczyt – South Summit, który jest publicznie dostępny do trekkingu za pośrednictwem szlaków. Wysokość drugiego szczytu na południu wynosi 2997 m n.p.m. Droga wiedzie krętymi serpentynami i początkowo jest asfaltowa, a potem zaczyna się koszmar kierowcy. Tylko ubity piasek, bez zabezpieczeń, z wystającymi kamieniami, ciągnący się ok. 8 km. Zwykły samochód osobowy trochę się pomęczy, ale też wjedzie. Dojechaliśmy na górę do Resortu Jebel Shams. Zostawiliśmy samochód i pochodziliśmy po kilku szlakach. Na szczycie (bardzo płaskim) jest piękny widok na rozciągający się nieopodal kanion. Widoki zapierające dech. Kanion jest ogromny, w dole widać wyschnięte koryto rzeki, a wąskimi szlakami przemierzają się turyści. Ponadto widać pola uprawne i osady. Drogę powrotną przejechaliśmy trochę szybciej, wiedząc już, czego można się spodziewać. Dotarliśmy do hotelu zakurzeni, a nasze auto wyglądało jak po pustynnej burzy. Na kolację idziemy do Alhawader Cafe Restaurant (ryż z kurczakiem i sałatką) za 1100 OMR/os.

31 października • Nizwa–Al Ain–Dubaj. Zjedliśmy śniadanie i ruszyliśmy w kierunku Al Ain w ZEA. To już koniec naszej przygody z Omanem. Kraj wart polecenia na rodzinną przygodę i samodzielne wyprawy. W Al Ain odbywa się codziennie targ wielbłądów. Podjechaliśmy tutaj, aby pooglądać te przesympatyczne zwierzęta. Bystre, zdolne do nauki, o miłym usposobieniu budzą sympatię każdego. Pozowały jak najlep-

sze modelki, kokieterynie spoglądając spod długich rzęs w obiektyw. Atrakcję stanowiły małe wielbłądziki, dopiero urodzone, które niepewnie stały na chudziutkich nóżkach. Niestety, część z dorosłych osobników przeznaczona jest na ubój, bo mięso wielbłądów jest źródłem białka. Jest to zwierze hodowlane jak nasze krowy czy świny. Dają mleko, wełnę, mięso, są środkiem transportu, uczestniczą w wyścigach oraz są atrakcją turystyczną. Te wytrzymałe zwierzęta są cenne, kosztują ok. 1000 USD.

Następnie podjechalśmy do oazy, która znalazła się jako pierwszy obiekt ZEA na liście UNESCO. Ścieżki są tam wytyczone, wybrukowane, ogrodzone murkami. Można zejść z chodnika do takiego daktylowego zagajnika, obejrzeć kanały nawadniające, ale to nie to samo co w oazie tunezyjskiej lub marokańskiej. Wszystko jest tu poukładane, są nowoczesne przepusty. Wejście do oazy jest darmowe.

Późnym popołudniem dojechalśmy do Dubaju. Tu mamy zarezerwowany apartament w dzielnicy Deira, na drugim końcu miasta w starej części Al Zahabiya Hotel Apartments przy Doha Centre, Riqqa Road, Deira – Dubai. Za 111-metrowy apartament zapłaciliśmy 3558 AED/7 dni/5 os., czyli 101 PLN/noc/os. Niedaleko jest tani, pakistański bar „Purple Chilli” przy Omar Bin Al Khattab, gdzie stołowaliśmy się do końca pobytu w Dubaju. W pobliżu stacji metro Union, znajduje się Carrefour i inne sklepy, tak więc lokalizacja jest bardzo dobra.

1 listopada • Dubaj–Abu Dabi Jedziemy do Abu Dabi. Najpierw odwiedzamy tor wyścigowy F1. Można tu wynająć za 100 AED samochód z kierowcą do jazdy po torze. Trzeba się jednak wcześniej umówić, bo jazdy są w wyznaczone dni. Obok znajduje się Dubajland, największy park rozrywki na świecie (dwa razy większy od Disneylandu na Florydzie). Potem odwiedziliśmy futurystyczne Masdar City, pierwsze w pełni ekologiczne miasto nieemitujące CO₂, czyli całkowicie zasilane energią słoneczną, wiatrową, wodną, biopaliwową. Miasto o docelowej powierzchni 6 km², ma być domem dla 50 tys. mieszkańców oraz miejscem pracy dla 40 tys. pracowników spoza miasta. Następnie podjechalśmy do biurowca Aldar. Budynek stoi na pustyni Al Raha, na działce z widokiem na przystań i kanał. Ma 110 m i 25 kondygnacji, architekci za wzór budynku wzięli kształt małży. Na 62 000 tys. m² powierzchni mieści się siedziba największej saudyjskiej firmy developerskiej Aldar Properties, są tam restauracje, hotel oraz centrum badań. Jest to jedyny okrągły wieżowiec na świecie, cudo architektury nowoczesnej, ponadczasowa geometria.

Kolejnym punktem architektonicznym był Capital Gate. To najbardziej krzywy budynek na świecie. Ten drapacz chmur to popis inżynierów i architektów, którzy zbudowali wieżowiec mający 160 m, 35 poziomów i jest odchylony aż o 18 stopni w bok. Dla porównania, wieża w Pizie jest przechylona zaledwie o 4 stopnie. Wieżowiec jest analogicznie nazywany krzywą wieżą w Abu Dhabi, oferuje miejsce do pływania znajdujące się na 19. piętrze. Jest tu również punkt widokowy, ze wspaniałą panoramą na Zatokę Perską oraz całe miasto. Są tam głównie komercyjne biura oraz siedziby firm.

Wieczór zbliżał się nieubłaganie, a z nim korki w mieście. Trzeba sobie tak rozplanować czas podróży i zwiedzania, aby nie wpakować się w korki, które są ok. godz. 9.00 i 18.00. Wtedy jest największy ruch samochodowy w mieście. Przez godzinę próbowaliśmy pokonać 20 km, jazdą w ślimaczym tempie, unikając stłuczek i otarć. Po-

mimo tak zorganizowanej sieci dróg najtrudniej było ustawić się na odpowiedni zjazd z autostrady E11, która przecina całe miasto i była naszym codziennym elementem podróży. Kolację zjedliśmy u Pakistańczyka, który serwował co chciał, czasem zamówienie nie zgadzało się z otrzymanym talerzem. Szczególnie, gdy dotyczyło to indyjskich potraw. Zazwyczaj przybierały pakistańską wersję, ciut droższą. Ogólnie obiady tanie od 10 AED w górę.

2 listopada • Dubaj-Rub al-Khali (pustynia). Jedziemy na pustynię Rub al-Khali w pobliżu Dubaju. W pobliżu, to znaczy jakąś godzinę drogi samochodem. Miasto rozrasta się w głąb pustyni, anektując kolejne hektary pod inwestycje. Mają rozmach, pieniądze, najlepszych inżynierów z całego świata, firmy, które wybudują każdą fanaberię. Tu mogą realizować się najlepsi architekci. Nie ma ograniczeń, nawet czas tu nie gra roli, ponieważ przy takiej sile roboczej w postaci Afgańczyków, Hindusów, Pakistańczyków, Filipińczyków budynki rosną jak na drożdżach, a autostrady kładą się jak tasiemki. Położona na południu Półwyspu Arabskiego pustynia Rub al-Khali wygląda niczym pomarańczowe morze. Wydmy mają ok. 300 m wysokości, wdrapaliśmy się na jedną z nich...i jeszcze jedną i następną. Chłopaki poszli do wielbłądów, które pasły się w pewnej odległości, a ja spróbowałam swoich sił na desce do zjeżdżania po piasku (sandbord), udało mi się chwilę utrzymać, ale potem walnęłam na tyłek. Temperatura była już na tyle wysoka, że trzeba było wracać do samochodu. Oporządkiliśmy się trochę, wytrzepaliśmy piasek z kieszeni, butów i pojechaliśmy w pobliże archeologicznej odkrywki. Ja zostałam w samochodzie, a reszta grupy poszła „zdobywać” pustynię, mieli przejść jakieś 3 km. Wrócili po jakimś czasie umęczeni upałem. Następnie pojechaliśmy do Emirates National Auto Muzeum, wstęp 10 AED/os. Warto tutaj zajrzeć, szczególnie pasjonaci zabytkowych samochodów będą czuć się jak w raj.

3 listopada • Dubaj-Fujairah. Jedziemy na wyścigi wielbłądów, ale spóźniliśmy się 30 minut. Następny cel to miasto Fujairah, tutaj jedną z atrakcji są walki byków. Okazało się, że odbywają się po godz. 16.00. Mieliśmy dużo czasu, więc najpierw znaleźliśmy palarnię sziszy. Tu ponad 2 godz. smakowaliśmy grejpfrutowo-miętowego dymka. Potem zjedliśmy obiad u Hindusa (a jakże) i podjechaliśmy do Zatoki Omańskiej, by zażyć kąpieli. Następnie udaliśmy się w miejsce, gdzie walczą byki. Walki byków kojarzą się z Meksykiem lub Hiszpanią, ale w leżącym na Półwyspie Arabskim ZEA i Omanie także są organizowane. Są jednak zupełnie inne. Tutaj byki walczą ze sobą, stając naprzeciwko siebie. Pierwszy, który zostanie powalony lub ucieknie – ten przegrywa. Taka walka trwa kilka minut, nie dłużej. Byki nie doznają zazwyczaj żadnego uszczerbku, krew się nie leje. W pewnym momencie jeden z buhajów mocno się wkurzył, pogonił rywala i wbiegł w tłum ludzi. Wszyscy się rozpierzchli, było trochę krzyku, pisku i kurzu, ale na całe szczęście wszystko dobrze się skończyło. Walki byków odbywają się w piątki po południu w chłodniejsze miesiące, a miejsca, gdzie można je najczęściej zobaczyć, to takie miasta jak: Seeb, Barka, Sawadi czy Sohar. Jest to jedna z ciekawszych atrakcji w tej okolicy, co było widać po numerach rejestracyjnych z okolic Dubaju, Bahrajnu. Szkoda, że w ofercie biur turystycznych ta atrakcja nie jest odnotowana. Do Dubaju wróciliśmy pełni wrażeń przed godz. 20.00.

4 listopada • Dubaj–Jebel Jais–Ras al Khaimah. Dzisiaj jedziemy do Ras al Khaimah. Najpierw jednak zahaczamy o wyścigi wielbłądów, na które przyjeżdżamy specjalnie wcześniej (odbywają się między godz. 7.00–9.00). Udało nam się załapać do jednego z samochodów jadących za wielbłądem, w którym mogliśmy zobaczyć, jak naganiacze mobilizują swoje zwierzaki do biegu. „Nasz” był drugi. Potem załatwiłam przejazd chłopakom, którzy zostali jeszcze poczęstowani kawą i jedzeniem. Następnie pojechaliśmy na najwyższy dostępny punkt ZEA. Jebel Jais to góra znajdująca się na granicy ZEA i Omanu. Jej najwyższy punkt znajduje się w Omanie i sięga 1925 m n.p.m. Jednakże ok. 350 m na zachód od szczytu na stoku górskim znajduje się najwyższej położony, a zarazem nienazwany punkt ZEA mający 1910 m n.p.m. Te rejony to idealne miejsce na piknik, grilla, górską wędrówkę lub złapanie świeżego powietrza na wysokości prawie 2000 m n.p.m. Droga jest kręta, wyjątkowo malownicza i stanowi atrakcję samą w sobie. Jest na wielu zdjęciach i pocztówkach. Na trasie znajdziemy wiele punktów z widokiem na kanion i góry. Można tu swobodnie jechać samochodem osobowym. Dla osób szukających adrenaliny polecamy zjazdy linowe i Via Ferrata. Popularne w tym regionie jest również kolarstwo górskie i jazda motocyklem. My dojechaliśmy tylko do punktu kontrolnego, bo dalej droga jest zamknięta z uwagi na roboty i wysadzanie skał. Dalsza jazda to możliwość dostania mandatu 10 000 AED. Następnie udaliśmy się do starej rybackiej części Ras al Khaimah, a potem wykąpaliliśmy się w Zatoce Perskiej.

5 listopada • Dubaj. Zamiast zwracać samochód na lotnisku, oddajemy go w centrum miasta, kilka dni wcześniej, bo sam Dubaj wygodniej będzie zwiedzać komunikacją miejską. To nic, że „titek” (klakson) nie działał, a silnik był słaby. Była to jedyna Jetta, jaką spotykaliśmy na naszej drodze. W sumie przejechaliśmy 3575 km, spalając średnio 7,8 l/100 km. Poszliśmy na metro, gdzie najpierw kupiliśmy kartę silver za 25 AED, z czego do wykorzystania jest 19 AED. Potem trzeba było ją doładowywać. Przejazdy zazwyczaj kosztują 3, 5, 7 AED w zależności od odcinka. Metro w Dubaju jest jednym z najdłuższych w pełni zautomatyzowanych systemów kolei na świecie (bez maszynisty). Do wyboru mamy (póki co) dwie linie: czerwoną (35 stacji) i zieloną (22 stacje). Podjechaliśmy do Burj Khalifa, ale okazało się, że wszystkie wjazdy widokowe na najbliższe dwa dni były już wykupione. Tak więc kupiliśmy bilety za 125 AED/os. dostępne na wtorek. Uff...byłoby kiepsko, gdyby się okazało, że nie ma wstępów w najbliższym czasie.

Idziemy do Dubai Mall, jest to największe centrum handlowe na świecie, zajmujące powierzchnię 470 tys. m². Mieści ponad 1200 sklepów, 22 sale kinowe, 120 kawiarni i restauracji. Są tu ogromne wodospady i akwarium z egzotycznymi rybami (wstęp kosztuje 100 AED/os). Potem odwiedzamy Candylicious największy na świecie sklep ze słodyczami. Na 900 m² znajdziemy niezliczoną ilość czekoladek, draży, batoników, galaretek i czego tylko łakoma dusza zapagnie. Mieszkańcy Dubaju i turyści wydają na słodycze ponad 100 mln dolarów rocznie, nie dziwi więc fakt, że to właśnie tutaj powstał ten prawdziwy cukierkowy raj. Na środku sklepu stoi czekoladowe drzewo z cukierkowymi liśćmi, a po całym centrum handlowym jeździ cukierkowy samochód, którego kierowca rozdaje klientom słodycze. Następnie Jarek spróbował swoich sił, jeżdżąc przez prawie 40 min na tutejszym lodowisku (wejście kosztowało 60 AED + 5 AED za wypożyczenie łyżew). O godz. 13.00 i 13.30 poszliśmy dwukrotnie na pokaz grających fontann. Wyrzu-

cają wodę na wysokość 152,4 m (czyli połowę wysokości wieży Eiffła). W nocy towarzyszy im 6600 światła i 25 projektorów. Fontanny kosztowały 218 mln USD.

Po tym spektaklu pojechaliśmy metrem do Dubaj Marina, dalej tramwajem do przystanku Palm Jumeirah, skąd monorailem na palmę. Przejazd w dwie strony kosztował 30 AED/os. Środkiem palmy biegnie wiadukt kolejki i autostrada, początek wyspy to wieżowce z apartamentami, potem poszczególne odnogi to osiedla mieszkaniowe. Palma Jumeirah to pierwsza sztuczna wyspa usypana na morzu. Pień palmy to 16 gałęzi o rozpiętości prawie 5 km, rozmiary są imponujące. Na wyspie zbudowano 1500 willi, 2500 apartamentów, 32 hotele, centra handlowe, parki wodne – jednym słowem całe miasto. W ich budowie chodzi nie tylko o splendor, ale i o wydłużenie linii brzegowej. Już sama Jumeirah podwoiła linię brzegową Dubaju, dodając do niej dodatkowe 78 km piaszczystego wybrzeża, druga z wysp, o 40% większa Jebel Ali ma ponad 120 km. Pomiędzy nimi wyrasta kolejny kompleks nazwany The World (Świat), a to dlatego, że wysepki oglądane z góry będą przypominały mapę świata. Na końcu wyspy stoi Hotel Atlantis, który stanowi atrakcję z uwagi na specyficzną architekturę. Zainwestowano tu 1,5 mld USD w luksusowy pałac z 1373 pokojami, 17 hektarowym parkiem wodnym oraz z oceanarium, w którym żyje 65 tys. ryb i innych morskich stworzeń. Największy apartament Bridge Suite jest zawieszony między dwiema wieżami i ma 924 m² powierzchni. Pochodziliśmy chwilę, ale na osiedla nie można wchodzić, są strzeżone, więc wróciliśmy do Dubaj Marina. Tutaj przeszliśmy się wzdłuż plaży. Za rzędem hoteli wznosi się betonowa dżungla – drapacze chmur, każdy po 30–40 kondygnacji, a w nich tysiące luksusowych apartamentów. Przeszliśmy przez jeden z hoteli, gdzie mogliśmy zaobserwować dubajski przepych.

6 listopada • Dubaj. Pojechaliśmy do Burji al Arab. Najpierw metrem do Mall of the Emirates. Stąd prawie 3 km ze stacji przeszliśmy do jednego z najdroższych hoteli świata. Hotel żagiel, to wizytówka Dubaju. Mieni się w nim od zdobień (sufit jednej z restauracji to 29 tys. kryształków Swarovskiego uformowanych w Drogię Mleczną). Wieża Arabów stoi na sztucznej wyspie na 230 kolumnach zatopionych w piasku. Choć ma 321 m wysokości, to liczy zaledwie 60 przestronnych pięter i mieści 202 apartamenty. Najmniejszy ma 169 m² i noc kosztuje w nim 1000 USD, za najdroższy 780 m² trzeba zapłacić 24 000 USD, a mimo to chętnych ponoć nie brakuje. Każdy gość hotelowy ma osobistego lokaja. Proporcja liczby pracowników do liczby gości wynosi 6:1. Rezerwację trzeba robić z trzymiesięcznym wyprzedzeniem. W budynku znajduje się kilkanaście restauracji, jest tu platforma widokowa, dwie pływalnie, dwa głębokie baseny do nurkowania, lądowisko dla helikopterów. Przenieść się w świat luksusu mogą tylko ci, którzy mają rezerwację pokoju lub zamówiony wcześniej w jednej z restauracji posiłek (śniadanie kosztuje minimum 100 USD, a lunch lub kolacja 200 USD). Sylwetka przypominająca żagiel widnieje nawet na tablicach rejestracyjnych tutejszych samochodów. Wstęp na wyspę z hotelem broni szlaban. Porobiliśmy zdjęcia i poszliśmy na plażę miejską.

Potem powolnym krokiem wróciliśmy do Mall of the Emirates, gdzie znajduje się 5 stoków narciarskich, najdłuższy ma 400 m długości i 80 m szerokości, różnica wysokości wynosi 85 m. Przez szybę widać ludzi w kombinezonach jeżdżących na nar-

tach. W miasteczku śnieżnym u podnóża stoku są także tory saneczkowe. Po zabawie, w schronisku można napić się gorącej czekolady. W kraju, gdzie temperatura latem przekracza 50°C stworzono warunki jak w alpejskim kurorcie. Narciarze wjeżdżają wyciągami krzesełkowymi lub orczykiem. Dzieci lepią kule, rzucają się śnieżkami, zjeżdżają na sankach lub oponie. To jest wszystko takie nierealne, bo na zewnątrz panuje potworny upał, a tu w środku ludzie jeżdżą na nartach. Stworzono półmrok, jakby niebo było zachmurzone, są mikołaje, wyciąg, tor saneczkowy. Stała temperatura we wnętrzu wynosi -1°C, ale gdy pada śnieg obniża się do -7°C. Na wystawach sklepowych stoją choinki i można kupić ozdoby choinkowe. Abstrakcja!

Następnie podjechaliśmy do Al-Bastakijja, XIX-wiecznej starej dzielnicy. Choć do połowy zburzona, cudem ocalała z ferworu konstrukcyjnego szaleństwa. Dzielnice wzniesli ok. 1890 r. przybywający tu z Iranu kupcy, handlujący perłami i tkaninami na pobliskim Mina Bazar. W starych kupieckich domach pełno dziś galerii, klimatycznych knajpek, pensjonatów i muzeów. Dalej podeszliśmy do przystani, skąd można popłynąć w rejs kanałem. Jest to coś w rodzaju taksówki wodnej. Następnie podjechaliśmy metrem na targ złota, gdzie chłopaki dokonali zakupów pamiątkarskich. Wolnym krokiem przemierzaliśmy ulice tej dzielnicy, które wieczorową porą zamieniały się w tętniące życiem arabskie miasto. Handlarze oferowali zegarki, odzież i inne towary, ale nas ciekawili jak zwykle ludzie. Dotarliśmy na piechotę do stacji Union, która jest w okolicy naszego hotelu. Zjedliśmy tradycyjnie u Pakistańczyków. Dziś nogi przypomniały o sobie... Po kolacji przeszliśmy się jeszcze nad wybrzeże, gdzie można wykupić rejs pięknie podświetlonym statkiem.

7 listopada • Dubaj–Katowice. Okazało się, że w metrze od godz. 9.00 są ogromne tłumy ludzi, chcących dojechać do pracy czy szkoły. Stwierdziliśmy, że pojedziemy wcześniej i trochę poczekamy na wejście do Burj Khalifa. Bilety mieliśmy na godz. 8.30, kosztowały 125 AED/os. Punktualnie o wyznaczonej godzinie wjechaliśmy na 124 piętro. Tutaj znajduje się przeszklony taras widokowy. Porobiliśmy zdjęcia i podeszliśmy piętro wyżej schodami stylizowanymi na elegancką klatkę schodową. Budynek to najwyższy wieżowiec świata, ma 829 m i 160 pięter. Na dole znajduje się hotel stworzony przez Giorgio Armaniego. Piętra od 45 do 108 mieszczą 700 apartamentowców, wyżej są biura, na 124 piętrze znajduje się taras widokowy. Na 76 piętrze wybudowano basen, a na 158 meczet. Pod budynkiem jest garaż na 3000 samochodów. Jest tu 57 wind dwupokładowych, z których każda mieści 21 osób, przewożąc pasażerów z zawrotną prędkością 65 km/godz., są to najszybsze windy na świecie. Wszystko to w mieście, które wyrosło z pustyni w ciągu 20 lat.

Potem autobusem nr 8 podjechaliśmy pod Meczet Jumeirah, ale nie dane nam było wejść do środka, bo wcześniej trzeba było się zarejestrować. Stąd autobusem nr 9 wróciliśmy do hotelu, spakowaliśmy się i zjedliśmy obiad. Potem metrem pojechaliśmy do stacji Ibn Battuta Bus Station. Stąd odjeżdża autobus nr 55 na lotnisko Dubaj al-Maktum. Przejazd trwa ok. 40 min. Odlot do Polski mamy o godz. 21.55, by o godz. 1.25 wylądować na lotnisku w Pyrzowicach.

8 listopada • Katowice–Bytom

Około godz. 2.15 byliśmy w domu.

Podsumowanie

Wynajęcie samochodu to 1259 AED + wjazd do Omanu 385 AED, do tego zakładana jest blokada na karcie na kwoty: 2500 AED na konto szkód, 1500 AED na poczet mandatów. Nam po tygodniu ściągnięto jeszcze z karty 116 AED, za zaległą autostradę – trudno, co zrobić. Po 15 dniach blokada jest zdejmowana, czyli licząc z zapasem karta powinna mieć limit około 6000 PLN.

Bagaż w liniach lotniczych Wizz to ciekawostka, bo w trakcie naszego wyjazdu zmieniają się zasady: tam 1 szt. bagażu podręcznego (42x32x25), czyli 33 litry, powrót 1 szt. bagażu podręcznego (55x40x23), czyli 50 litrów.

Ciekawostki

- Parking policji w Dubaju wygląda jak marzenie fana motoryzacji. Ulice patrolują tu szybkie Ferrari FF, niezwykle wygodny Bentley Continental GT i Lamborghini Aventador, który do setki przyspiesza w 2,9 sek. i może jechać 350 km/godz., a jego jedyłą wadą są zaledwie dwa miejsca w środku. Najdroższy z radiowozów – Aston Martin One-77, którego wyprodukowano zaledwie 77 egzemplarzy – jest wart prawie 1,8 mln USD.
- ZEA nie jest dobrym krajem, ani dla piwoszy, ani dla lubiących mocniejsze alkohole. Z siedmiu emiratów (Abu Zabi, Dubaj, Szardża, Ajman, Umm al-Kajwajn, Ras al-Chajma i Fudżajra) alkohol jest dozwolony tylko w trzech: Dubaj, Ajman i Fudżajra). Bez ograniczeń można go kupować w dwóch ostatnich. W Dubaju są ograniczenia tego typu, że piwo jest dostępne tylko w specjalnie wydzielonych punktach oraz bez ograniczeń w hotelowych restauracjach czy dyskotekach. Będąc np. w Ajmanie czy w Fudżajrze można zakupić coś mocniejszego, ale przewieźć go do Dubaju nie można, gdyż wtedy trzeba przejechać przez Szardżę, gdzie alkohol jest zakazany. Kontroli pomiędzy emiratami jako takiej nie ma, ale w jej przypadku trzeba się liczyć z 30-dniowym więzieniem. Alkohol można kupować powyżej 21 roku życia. Jeszcze niedawno istniało prawo, na podstawie którego na jego zakup trzeba było mieć zgodę policji. Kolejna istotna informacja to, że przebywanie w stanie nietrzeźwym w Dubaju jest przestępstwem. Ceny w hotelach za piwo są dosyć wysokie od 25 AED za butelkę 0,33 l do 45–50 AED za lane. W normalnych sklepach czy marketach jest sporo piw bezalkoholowych licencyjnych (np. Holsten) oraz miejscowe Barbicany (tylko w butelkach). W ZEA obecnie są dwa "browary" warzące piwa tylko bezalkoholowe, pierwszy to Aujan Industries w Dubaju (położony ok. 40 km od lotniska), oraz drugi, mniej znany Union Beverages Factory w Szardży, robiący b/a napój słodowy Maaza Malt.
- Oman – był jedyną prawdziwą potęgą kolonialną w świecie arabskim. W czasach bliższych współczesności staje się zależny od Wielkiej Brytanii. Anglicy pomagają sułtanom zażegnać bunt plemion w głębi kraju. W roku 1951 powstaje jedno państwo. Jeszcze 40 lat temu domy w miastach i wsiach Omanu wznoszone były z gliny. Pod rządami „oświeconego absolutyzmu” sułtana Qaboosa (doszedł do władzy w 1970 r. po obaleniu swojego ojca, znanego z fanatyzmu i okrucieństwa) Oman przeszedł ze średniowiecza wprost do XXI wieku i stał się jednym z najbogatszych krajów w regionie. Dziś ten górzysto-pustynny kraj przecinają wielopasmowe au-

tostrady, a jego obywatele (choć wciąż noszą tradycyjne białe szaty) korzystają ze wszystkich zdobyczy cywilizacyjnych, z elektroniką włącznie. Wszystko to dzięki bogatym złożom ropy naftowej i innych minerałów. Sułtan odstąpił od wielowiekowej polityki izolacji kraju i nawiązał stosunki z sąsiadami i całym światem. To legendarne imperium żeglarzy i kupców położone na Półwyspie Arabskim przeżywa dziś swój złoty czas. Sułtanat Omanu to państwo niezwykle, a w pewien sposób odmienne od swoich sąsiadów. Jest państwem z wielowiekową tradycją, zabytkami, a w dodatku jest otwarty na przybyszów. Są tu białe miasta, błękitne morze, skalista pustynia, oazy, tradycyjne souki, zabytkowe minarety. Klimat jest tu suchy i zwrotnikowy. Od października do lutego panuje przyjemna temperatura wynosząca 25–30°C.

Oman niczego nie udaje. Leżący na południowo-wschodnim krańcu Półwyspu Arabskiego kraj różni się od swoich sąsiadów: Dubaju, Bahrajnu, Kataru. Nie ma w nim wieżowców, gigantycznych turystycznych zagłębi i tego, co można nazwać arabskim city. Są oczywiście wspaniałe, luksusowe hotele, gładkie autostrady, nowoczesne budynki (ostatecznie jest przecież i ropa) – ale to wszystko w skali nieprzytłaczającej i pozwalającej zachować charakter kraju, który być może pozostanie jednym z ostatnich autentycznych miejsc łączących Orient, Azję i Afrykę, przeszłość i teraźniejszość. Tradycja zderza się tu na każdym kroku ze współczesnością. Oman pozostaje monarchią absolutną, gdzie sułtan (jego wizerunek można zobaczyć na banknotach, portrety wiszą we wszystkich instytucjach, hotelach, również na ulicach i bazarach) jest szefem rządu, ministrem finansów i spraw zagranicznych. W kraju nie ma parlamentu ani konstytucji, obowiązuje szariat, jednak w łagodnym wydaniu. Państwo wyróżnia się bezpieczeństwem, dobrą siecią autostrad, czystością i bogactwem z eksportu ropy naftowej. Najciekawsze atrakcje Omanu to przyroda i ludzie, znajdziemy tu również setki zamków, fortów i twierdz, są to pozostałości po czasach okupacji Portugalczyków. Oman ma powierzchnię zbliżoną do Polski, ale ponad 10 razy mniej mieszkańców.

- Dubaj – to sztuczna metropolia, mieszka tu siedem razy więcej obcokrajowców niż rodowitych mieszkańców. Aż trudno uwierzyć, że 50 lat temu żyło tu 6 tys. mieszkańców. Rodzimi Dubajczycy noszący się na biało stanowią około 15% mieszkańców. Największą grupą narodowościową są Hindusi (43%), i dlatego język hindi jest tak samo popularny jak arabski. Obywatele 150 państw przenieśli się tutaj, by żyć i pracować. Praca w ZEA jest podzielona pomiędzy poszczególne narodowości i tak: Afgańczyków można zobaczyć w 50°C upale, jak bez wytchnienia budują kolejną autostradę wiodącą przez pustynię. Hindusi, Pakistańczycy pracują w sektorze budowlanym, prowadzą sklepy, restauracje, zakłady fryzjerskie i wypożyczalnie limuzyn. Filipińczycy to pomoc domowa, rynek usług rozrywkowych, zespoły muzyczne, kelnerzy. Europejczycy i Amerykanie to zatrudniona w Dubaju wyższa kadra menadżerska, inżynierowie i architekci. Na szczycie tej sztywnej, ale dobrze funkcjonującej społecznej piramidy stoją Arabowie, obywatele Emiratów. To oni płacą pensje wszystkim pozostałym. Jest to jedno z najbogatszych miast świata, bogactwo aż kłuje w oczy i tylko gorące powietrze po wyjściu z klimatyzowanych budynków przypomina, że znajdujemy się na pustyni.

- Nowo powstałych apartamentowców jest już więcej niż mieszkańców. Szejkowie zaczęli obawiać się, że budynki będą stać puste. Na szczęście wraz z modą na Dubaj pojawili się Rosjanie. W ciągu dwóch lat kupili ponad 10 000 mieszkań.
- Dubaj to szaleństwo i gigantomania, odwaga i perfekcja, przesada i kicz. Efekt prześcigania się architektów w nierealnych pomysłach. ZEA urzeczywistniły pomysł „państwa hotelowego”, gdzie celem podróży nie jest kraj, jego zabytki czy przyroda, tylko właśnie hotel i zakupy. To tu znajduje się najwyższy budynek, najwyższy hotel, największa sztuczna wyspa, największa fontanna, największe centrum handlowe, jedyny kryty stok narciarski, największy port, 10-pasmowe drogi. Niesamowite spotkanie z XXI wiekiem... Wieżowiec Burj Khalifa pokonał najwyższy wieżowiec świata – wieżę Taipei 101 w Tajwanie, nie o jakieś marne kilkanaście czy kilkadziesiąt metrów, ale o 320. Nie wydaje się, by tutejsi szejkowie znali frazę: nie da rady... W ciągu kilkudziesięciu lat zamienili budowle z gliny na cuda architektury, a ich apetyt na tworzenie miasta przyszłości rośnie proporcjonalnie do kurczących się w Emiratach zapasów ropy. Największa fala zakupoholików z całego świata przyjeżdża tu zimą na słynny Dubaj Shopping Festiwal, kiedy obniżki dochodzą do 80%. W Dubaju pojawia się wtedy ponad 3 miliony turystów. Miasto przyciąga też amatorów złota, których Dubaj jest największym importerem na świecie, sprzedaje go ponad 45 ton rocznie. Jedynym towarem trudno dostępnym wydaje się być alkohol, choć można go zamówić w specjalnych sklepach dla turystów. Cena może odrobinę zadziwić, bo za butelka piwa trzeba zapłacić 35 AED. W mieście jest więcej świątyni komercji niż meczetów, zasadzki czyhają na każdym kroku. „Wschodnie Las Vegas” w całej swojej krasie zachęca wszystkich do wydawania pieniędzy. Dubajowi można pozazdrościć optymizmu. Tutaj słowo „niemożliwe” zostało zapomniane. Wystarczy popatrzeć na miasto z góry, by się o tym przekonać... Dubaj chce chyba pobić wszystkie rekordy. Synonim bogactwa, przepychu i rozmachu. Państwo stać również na budowę klimatyzowanych przystanków autobusowych – jest ich 500 (każdy na 14 osób), są też udostępnione darmowe rozmowy z telefonów stacjonarnych. Po odkryciu ropy naftowej w 1966 r. petrodolary zostały zainwestowane w infrastrukturę potrzebną do rozwoju handlu. Dziś dochody Dubaju pochodzące z ropy stanowią mniej niż 10%, nawet jeśli wyschną źródła tego paliwa, miasto nadal będzie tętniło życiem. Dostrzeżono tu następną „żyłę złota”, jaką jest turystyka. Dubaj ma wszystko, co jest potrzebne do jej rozwoju: morze, piaszczyste plaże, słońce, niezbyt długi lot z Europy (ok. 5.30 godz. i niedużą różnicę czasu 2–3 godz., w stosunku do Europy). To na pewno są atuty. W dubajskiej krainie marzeń wszystko jest możliwe, tutaj pieniądze pokonują pustynię. Z powodu bliskości morza jest wilgotno i duszno, a deszcz stanowi rzadkość. Roczna suma opadów w Dubaju nie sięga 100 mm. Nie ma tu stałych rzek. Przez wieki Dubaj był wioską rybacką i małym, biednym portem handlowym. Latem ludzie nie wychodzą na zewnątrz, jeśli nie jest to konieczne. Dubaj wywiera nacisk na resztę świata arabskiego i muzułmańskiego. Jest to wyspa islamistego liberalizmu. Dubaj nie przypomina żadnego innego miejsca na Ziemi, to światowa stolica ekstrawaganckiego życia. Ludzie zaczynają zadawać swoim rządóm pytanie. Skoro Dubaj potrafi, dlaczego my nie?

Indie – Gudżarat, stan Maharasztra i Bombaj w czasie Diwali



Termin: druga połowa października 2016 r.

Ceny:

Wiza indyjska – 380 PLN: na to się składa koszt samej wizy – 350,90 PLN (płacone w dolarach HG i nie płaciłem za pośrednictwo, bo przez Internet) oraz koszty tylko zdjęcia – 30 PLN

Wymiana pieniędzy: Wymiana w Polsce 1 USD = 3,82 PLN; na lotnisku w Bombaju: 1 USD = 62,30–64 Rp; opłata za wymianę na lotnisku 500 Rp przy sumie 300 USD; w hotelu przy podobnej sumie tylko 35 Rp; 1 GBP = 76,15 Rp

Przejazd:

Samolot: cena na trasie Wrocław–Frankfurt–Bombaj–Frankfurt–Wrocław 3040 PLN; po wykupieniu bilet bezwrotny, zmiany płatne, do wykupienia w ciągu 48 godz. Wrocław–Frankfurt (LH1375); Frankfurt Intl (Terminal 1) Mumbai–Terminal 2 (LH 756) (8 godz.); Mumbai Terminal 2 – Frankfurt Terminal 1 (LH757) – (8 godz. 55 min) Frankfurt – Wrocław (LH1372); Mumbai–Rajkot – cena 490 PLN; dopłata za 1 kg nadbagażu w liniach Jet Airways – 100 Rp/kg; Mumbai Terminal 2 – Rajkot – (9W-7001, Jet Airway (1 godz. 5 min).

Cena łączna za dwa połączenia Rajkot–Mumbai–Aurangabad – 660 PLN, bilet bezwrotny, zmiany rezerwacji płatne, do wykupienia w ciągu 1–2godz.

Rajkot–Mumbai–Terminal 2 (9W-702, Jet Airways) (1 godz. 10 min); Mumbai Terminal 2 – Aurangabad (9W-7148, Jet Airways) (1 godz.).

Przejazd lądowy: transport z lotniska Rajkot do hotelu w pobliżu Sasan Gir (około 3–4 godz. jazdy, odległość około 180 km) – cena 4300 Rp; wynajęcie auta z kierowcą na cały dzień na drogę: Sasan Gir – Somnath – Junagadh – Rajkot – orientacyjny czas około 10 godz., odległość do pokonania około 300 km – cena 7000 Rp.

Wynajęcie auta Aurangabad – Ajanta z kierowcą z hotelu Taj – 6950 Rp; wynajęcie auta Aurangabad – Daulatabad – Ellora – Bibi Ka Maqbara z kierowcą z hotelu Taj – 3300 Rp.

Taxi z lotniska w Aurangabadzie – Taj Vivanta (Alfa Indian Tours & Travels Pvt Ltd – 400 Rp (www.alfatoursandtravels.com); przewiezienie z hotelu Vivanta taksówką z ho-

telu na stację kolejową wcześniej rano: 780 Rp; taksówki w Bombaju: stacja Dadar – Taj Mahal – 750 Rp (AC), kino Regal – Haji Ali Mosque – 150–200 Rp; kino Regal – Victoria Terminus – 200 Rp (AC); kino Regal – dom Mahatmy Gandhi – 150 Rp; August Krasiński Maidan – Hanging Gardens – 50 Rp; Hanging Gardens – Banganga Temple Complex – 100 Rp; Banganga Temple Complex – Girgaum Chowpatty Beach – 100 Rp; Marina Drive (Islam Gymkhana) – kino Regal – 100 Rp; kino Regal – dzielnica Bandra (20 km, 45 min jazdy) – 600 Rp + 60 Rp koszt za przejazd auta wiaduktem.

Przejazd koleją Aurangabad – Mumbai 1050 Rp (771 Rp + 279 Rp – pośrednictwo) – Takkal – kupiony dzień wcześniej pomiędzy 10 a 11 – 365 km (6.00–12.30).

Statek (Luxury boat) – Gateway of India – Elephanta Island – tam i z powrotem (ok. 45 minut w jedną stronę) – 180 Rp.

Hotele: hotel na lotnisku w Bombaju – Niranta Airport Transit Hotel – Inside International Airport (6660 Rp + 19% podatek) = 7925 Rp (114,29 EUR = 512,96 PLN) – (ze śniadaniem); Asiatic Lion Lodge: Sasan Gir. 362150; Bhalchel, Haripur Road: noc – 4887,50 Rp (ze śniadaniem i kolacją); The Fern Residency – Rajkot, Delux Cinema Chawk, Kuwadava Rd – cena 3962 Rp = 245,34 PLN; Vivanta Taj Hotel (Aurangabad) – jedna noc netto 5525 Rp – z podatkami (luxury tax 10%) service tax (8,4%) i inne drobne = 6544,76 = 101 USD; The Gordon House Hotel, Mumbai, 5 Battery Street, Apollo Bunder, za kinem Regal 1 noc = 7436 Rp; Taj Lands End, Mumbai, Bandra West – netto – 7360 Rp – 8787,71 Rp (brutto).

Ceny w restauracjach (standardowo jest doliczany zarówno w restauracjach, jak i kawiarniach 10% podatek):

Asiatic Lion Lodge: lunch Tawa Roti – 45,44 Rp, mieszane warzywa – 250 Rp, woda mineralna – 22,72 = 318,16 + 10% podatek = 350 Rp; kawa espresso – 115 Rp (Bandra West); lotnisko w Bombaju: kawa Flat White (ok. 260 Rp) oraz ciastko figowe – z podatkiem 425 Rp.

Wstęp do obiektów:

Koszty udziału w safari po Gir National Park: pozwolenie dla cudzoziemca w dniach świątecznych – 6000 Rp (może na to pozwolenie wjechać łącznie 6 osób, wtedy koszty obniżają się do 1000 Rp na głowę, ale dotyczy to tylko jednego wjazdu; jeśli chce się wjechać drugi raz, trzeba zapłacić jeszcze raz) + 2700 (jeep z hotelu – przyjazd i odwiezienie oraz jazda po parku) + 300 Rp (przewodnik) + 1200 Rp (opłata za aparat fotograficzny każdy z osobna, ale wymagano zapłaty tylko za jeden aparat) – można wejść na stronę i zarezerwować (www.girlion.com), ale akceptują tylko karty wydane w Indiach – stąd dopłaciłem jeszcze 500 Rp dla hotelu za pośrednictwo i użycie ich karty kredytowej. Godziny wyjazdu na safari: 06.00–09.00; 09.00–12.00; 15.00–18.00.

Wstęp do Dewaliya – dla cudzoziemców w dni świąteczne – 50 USD (3000 Rp) oraz 2000 Rp za samochód w godzinach przedpołudniowych.

Ceny biletów: Watson Museum (Rajkot) – 50 Rp, Ellora Caves – 500 Rp + 25 Rp za filmowanie, bilet za autobus – 21 Rp do grot dżinijskich 30–33 – uwaga: otwarta 9.00–17.30, zamknięte we wtorki; Ajanta Caves – 500 Rp + 25 Rp za filmowanie, bilet za autobus – 16 Rp w jedną stronę, uwaga: otwarta od 9.00–17.30, zamknięte są w poniedziałki; fort Daulatabad – 200 Rp (9.00–17.30); grób Rabiadurani – Bibi Ka Maqbara

– Aurangabad – 200 Rp (8.00–20.00); buddyjskie groty w Junagadh – 200 Rp; Elephanta Caves – 500 Rp, sam wstęp na wyspę – 5 Rp (Tax), wejście do Mani Bhavan Gandhi Sangrahalaya, 19, Laburnum Road – 20 Rp (można fotografować). Bilety: 20 Rp.

Może jednak pojechać do Indii?

Dopiero miesiąc wcześniej przed planowanym urlopem mogłem się zastanawiać, dokąd się wybrać. Dowiedziałem się wtedy, że od niedawna wizę do Indii można otrzymać niemal bez wychodzenia z domu. Visa on-line, podobnie jak wiza do Birmy wymagała wykonania we właściwej pozycji swojego zdjęcia cyfrowego, skanu paszportu, opłaty (678,60 HKD, czyli dolarów Hongkongu) i wypełnienia kilku szczegółów swoich danych personalnych, w tym pytań tak istotnych dla bezpieczeństwa Indii, jak: czy rodzice lub dziadkowie nie pochodzą czasem z Pakistanu? Wszystko poklikałem w ostatni piątek września i na odpowiedź miałem czekać trzy dni robocze. Tutaj niestety był poślizg. Dopiero szóstego dnia otrzymałem od nich tzw. promesę wizy z numerem i moim zdjęciem, którą miałem wydrukować (bardzo ważne) i okazać na przejściu granicznym.

Przepisy wizowe we wrześniu 2016 roku miały pewne ograniczenia. Po pierwsze nie można jej wyrobić na lotnisku, trzeba o to zadbać przed wylotem w odpowiednim czasie, najlepiej około 3–4 tygodni. Większość właściwych informacji można było uzyskać pod adresem <https://www.indianvisaonline.org.in/login>

W międzyczasie jeszcze bardziej się utwierdziłem w pomyśle wyjazdu do Indii, gdy okazało się, że miało to przypadać na święto Diwali. Moim punktem docelowym – szóstej już z kolei wyprawy do Indii – miał być tym razem Bombaj. Tam jeszcze nigdy moja noga nie stała; ale – co było jeszcze ważniejsze – to znajdowały się tam położone w rozsądnej odległości (6 godzin jazdy pociągiem) skalne świątynie Ellory i malowidła w Adżancie. Bilety do Bombaju o tej porze roku nie były zbyt drogie, więc decyzja mogła zostać podjęta.

Aby urozmaicić planowaną wędrowkę, postanowiłem odwiedzić stan Gudżarat z rezerwatem Gir. To jedyne miejsce, gdzie można spotkać azjatyckie lwy. Im bardziej jednak chciałem wszystko tam sobie zorganizować, tym bardziej się komplikowało. Zarezerwowałem hotel niedaleko wjazdu do parku w stanie Gudżarat, poprosiłem o zorganizowanie transportu z miasta Rajkot oraz organizację samego safari. Mój respondent czy respondentka – Mittal, wpięrow mi podał/a cenę transferu na 3100 Rp, potem się to zwiększyło na 4300 Rp, aby ostatecznie stanąć na podwójnej stawce 8600 Rp. Ale dużego manewru nie miałem, bo zależało mi na czasie i pewności, że przejazd z lotniska do hotelu (te 3 czy 4 godziny jazdy) nie wydłuży się. A miejsca na safari podlegały rezerwacji w Internecie, za którą cudzoziemiec musi słono zapłacić. Na dodatek było to możliwe tylko dla posiadaczy indyjskiej karty kredytowej. Mittal ofiarował/a się, iż to załatwi, ale też wymagano ode mnie wcześniejszej wpłaty przez PayUPal.

Ale nie udało mi się zapłacić swoją kartą. Poruszyłem niebo i ziemię, próbowałem z jedną i drugą kartą kredytową, pytałem się w banku, zmieniłem nawet system weryfikacji ze zdrapki na kod przez SMS i wszystko na darmo. Przesłałem więc potwierdzenie nieudanej próby logowania do Mittal i dostałem ostateczne potwierdzenie safari na sobotnie popołudnie na dzień przed wylotem.

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1–2. Dojazd do Gir Hills (Gudżarat)

O szóstej rano miałem odlot z Wrocławia do Frankfurtu, więc już nie planowałem kłaść się spać. Odlot miałem ze strefy C, skąd niemal jak co roku startowałem. Loty do Indii odbywają się seryjnie około południa, tak aby do Indii dolecieć około północy. Wpierw był odlot do Chennai, następnie w odstępie co 20–30 minut do Bangalory, potem mój lot do Bombaju, a potem jeszcze do Delhi. W Bombaju powitała mnie o północy temperatura 28 stopni, a różnica w czasie do przodu wynosiła 3 i pół godziny (w czasie obowiązywania czasu letniego w Polsce) i było już grubo po północy.

Posiadacze visa on-line mieli swoje własne okienko przy kontroli paszportowej. Nie obyło się bez patrzenia w oko kamery czy składania odcisków palców, które wciąż nie chciało przyjąć moich niepowtarzalnych linii papilarnych. Ostatecznie przybito mi pieczętkę i droga do Indii stała przede mną otworem.

Moją pierwszą noc spędziłem na lotnisku, ale w dość komfortowych warunkach: na łóżku w pokoju 307 w Niranta Airport Transit Hotel. Nie musiałem się borykać z wyjazdem w nocy taksówką na miasto. Chociaż pod tym względem Bombaj wyglądał dość przyzwoicie. O pierwszej w nocy, kiedy to doleciałem, były otwarte stanowiska Taxi prepaid. Tłum oczekujących rozłożył się już poza budynkiem przylotów, można było też wymienić dolary na lotnisku za sumę nieco lepszą niż rok wcześniej. I co ciekawe, choć nominalnie kurs wymiany wynosił 60 Rp za 1 USD, i do tego powyżej około 100 USD miały być opłaty w wysokości 6% transakcji, to od razu mi oferowano korzystniejsze kwoty. Za 200 USD kurs miał wynieść 12 800 (64 Rp = 1 USD), choć pomniejszone o 500 Rp.

Niełatwo mi było zasnąć o drugiej w nocy. Poranną pobudkę miałem o siódmej trzydziści. W tych ostatnich dniach spałem dość krótko. Gdybym jednak wiedział, że mój lot do Rajkot się opóźni do 12.05, mógłbym sobie jeszcze poleniuchować. A tak przyszło mi podziwiać lotnisko w Bombaju. Potężne filary w kształcie palm, spore, rozległe przestrzenie, a nawet i niewielkie muzeum wewnątrz drugiego terminalu sprawia, iż było tam co podziwiać. Księgarnie na lotnisku zamiast przewodników po Bombaju mogły się pochwalić sporą liczbą książek *Mein Kampf* Adolfa Hitlera. Ustawiono je tuż obok dzienników Anny Frank. Hindusi nie mieli tych doświadczeń, które były naszym udziałem w Europie.

Z punktualnością samolotów nie było w tym dniu najlepiej. Było sporo opóźnień; przodował właśnie mój lot i ostatecznie poleciałem 2 godziny później. Samolot wzniósł się w powietrze nad Oceanem Indyjskim i za godzinę dolecieliśmy do milionowego miasta Rajkot. Miasto leży w centrum Saurashtry, jednej z części stanu Gudżarat. Ta kraina otoczona jest z dwóch stron przez wody zatoki Kachchh i Zatoki Khambhat. Saurashtra znaczy „Ziemia Stu Królestw”, gdyż kiedyś była mozaiką posiadłości około 220 książąt, zanim została włączona do stanu Gudżarat.

Gudżarat jest określany jako jeden z najbogatszych stanów w Indiach. W tym stanie produkuje się połowę leków w Indiach, w Gudżaracie też koncentruje się cięcie i szlifowanie diamentów, skąd wędrują te szlachetne kamienie do Antwerpii. Nie ma się więc co dziwić, iż to bogaty stan, choć jak wszędzie w Indiach panują spore kontrasty. Miasta wedle zapowiedzi miały lśnić czystością i wzorowym porządkiem.

Na lotnisku czekał już na mnie kierowca z tabliczką z moim nazwiskiem i ruszyliśmy w drogę.

Z Rajkot na południe prowadzi czteropasmowa droga. Wpierw trzeba było się przedrzeć przez uliczny labirynt. Mój kierowca znał tylko parę słów po angielsku, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało, bo oczy się natychmiast zamykały po przeczytaniu kilku stron książki o *80 pociągach po Indiach*. Od czasu do czasu kątem oka mogłem tylko zauważyć, jak to na wąskim pasie zieleni dzielącym drogę szybkiego ruchu wałęsa się stado kóz, a ich pasterz porusza się ślamazarnie pod prąd naszego kierunku jazdy. Odłożyłem na bok tę próbę czytania, gdy skręciliśmy z głównej magistrali w kierunku wyłaniających się na horyzoncie wzgórz. To były już Sasan Gir Hills.

Kierowca zwolnił do przepisowych 20 km/godz., gdy okazało się, iż wjechaliśmy na teren parku narodowego. Zupełnie niepotrzebnie znajdowały się tam zwalniające garby, gdyż droga była tak usiana dziurami, że szybciej i tak nie dało się jechać. Czasem przez drogę przebiegła jakaś mangusta albo też w to popołudnie w pobliskich krzakach rozsiadły się łatwe do zobaczenia wszędobylskie pawie.

Aż otwały się podwoje posiadłości Lion Lodge. Cekał tam już na mnie powitalny drink i mogłem się wprowadzić do obszernego pokoju w bungalowie. Naprzeciwko mojej chatki znajdował się taras z krzesłkami i stoliczkami na kawę oraz planszami pełnymi ptaków, które ranną i popołudniową porą lubią odwiedzać ten zakątek. Po zmroku na otwartej przestrzeni rozpoczęła się projekcja filmowa o lwach azjatyckich z Gir Hills. Edukacja na całego. Widzowie w liczbie sześciu zasiedli na krzesłkach, światła nie trzeba było gasić, choć wyłączenie księżycy było poza naszymi kompetencjami.

W cenę noclegu miałem wliczone śniadania i kolacje. Śniadania do urozmaiconych nie należały; przy stricte wegetariańskiej i wegańskiej diecie panującej w całym stanie Gudżarat mój manager Karan musiał specjalnie dla mnie zamówić jajka. Ale dobór dań na kolację był urozmaicony.

Dzień 3. W poszukiwaniu azjatyckich lwów

Tym razem nie musiałem wstawać przed świtem i zadawać gwałt fizjologii. W końcu choć raz czułem, że jestem na prawdziwych wakacjach. O dziewiątej miałem ruszyć spod hotelu razem z Karanem, z którym dzień wcześniej się umówiłem, na wyprawę do tzw. Centrum Interpretacyjnego Parku Narodowego Gir. To takie koło ratunkowe dla tych, co przebyli pół Indii, a może i pół świata, i lwa im się nie udało zobaczyć. Dla nich przygotowano właśnie obszar 412 hektarów, gdzie mogliby upolować na swoich ekranach komórek czy większych aparatów króla zwierząt i nie wrócić z niczym do swoich domów.

Wpierw zapłaciłem za wstęp, a dopiero potem zapytałem się, ile lwów grasuje po tym terytorium. Podobno jakieś 8 sztuk. Dużo to czy mało? O tym dopiero się miałem przekonać, ale wpierw trzeba było uiścić opłatę za wstęp. A ceny w dni świąteczne dla non-Indian były dość oszałamiające – dwudziestokrotnie większe niż Hindusów. Dobrze przynajmniej, że dolarami płacić nie można było i nie przeliczali tego na aktualny kurs, bo w przeliczeniu wyszłoby mi jakieś 46 USD. I to podobno za jakieś nominalne pół godziny przejażdżki po parku.

Nic więc dziwnego, że byłem jedynym białym rodzyńkiem wśród tzw. „domestic tourists”. Jako ten niemal uprzywilejowany wszedłem do zwykłego autobusu Forest

Department i zająłem miejsce tuż przy kierowcy. Pojazd szybko się zapełnił. Przed wielką bramą – służą dzielącą tzw. centrum obsługi klienta od sanktuarium dzikiej zwierzyny – stało już kilka autobusów. Ruszyliśmy. Na tej powierzchni i przy sporym zagęszczeniu zwierząt na efekty długo nie musieliśmy czekać.

Po około 10 minutach dotarliśmy do wielkiego, rozłożystego drzewa. Odpoczywały w jego cieniu trzy lwy. Miały liczną widownię: trzy autobusy z pstrykającymi zdjęciami członkami szkolnej wycieczki dwóch wielkich autobusów i widzów z naszego pojazdu. Czasem tylko któraś z lwic uniosła nieco głowę, przewróciła się na drugi bok i zapadała w płytką drzemkę, mając tuż pod bokiem strumyczek. Po drugiej stronie wysoki płot odgradzał je skutecznie od świata zewnętrznego. W godzinach odwiedzin *homo sapiens* między 8 a 11 oraz 15 a 18 wołały zbytnio nie marnować energii. Potem nikt im już nie hałasuje i wtedy mogą zabrać się do poszukiwania jakiegoś wikt.

Pozostałe atrakcje okolicy, jak mała farma krokodyli czy pojedyncze ptaszki nad małym jeziorkiem, mógłbym sobie już odpuścić, szczególnie że temperatura rosła im bliżej było południa. Ale wszystko to było w planie wycieczki. Po powrocie czekał mnie krótki relaks w moim bungalowie, następnie jakieś małe danie w restauracji i nadszedł czas na wjazd do tzw. prawdziwego parku narodowego. Miałem poczucie, że teraz dopiero zacznę się coś dziać.

Tego popołudnia tłumy ludzi szturmowały kasy i wsiadały do czekających na nich dżipów, aby zaspokoić ludzką ciekawość, której i ja nie byłem pozbawiony. Kiedy wsiedliśmy do dżipa, który przewiózł mnie przez bramę parku, usłyszałem, że lwów jest podobno 523 (spis z 2015 roku). To dwukrotnie więcej niż lampartów, które zresztą zobaczyć jest bardzo trudno. Jednakże tego popołudnia proporcja lwów do ludzi przedstawiała się niemal jak jeden do jednego.

Wgłębiając się bowiem w te wszystkie złożoności zamawiania i kupowania pozwoleń na wjazd do parku, można powiedzieć, iż na każdą porę wjazdu (są dwie w ciągu dnia: ta wczesnym rankiem od 6 do 9 oraz popołudniowa od 15–18) przyznawane jest 90 pozwoleń, które dotyczą do 6 osób. Ja byłem dość wyjątkowy, gdyż miałem pozwolenie warte w dni świąteczne 6000 Rp. A byłem sam. Gdyby była nas czwórka spoza Indii, też płacilibyśmy 6 tysięcy rupii. Takie są uroki podróży w pojedynkę.

Park otwarty był dopiero od tygodnia, kiedy minęła już pora monsunowa. W tym okresie park jest zamykany dla turystów (od 16 czerwca do 15 października), głównie ze względu na trudne warunki drogowe. Według Karana pracownicy parku zauważyli, że o tej porze, podczas wakacji od turystów, lwy upodobały sobie ten czas na amory i przedłużanie gatunku. Ale nie ma jedynej najlepszej pory roku na konkury u lwów. Równie dobrze może się to zdarzyć i później, np. na przełomie października i listopada, jak to określono w monografii o lwach.

Pierwszym napotkanym gatunkiem w parku narodowym było byłoby domowe pilnowane przez pasterza. To bardzo łatwa zdobycz do upolowania przez lwy. Nie potrafią one tak szybko uciekać jak antylopy czy jelenie. Uważa się, że prawie połowa tzw. biomasy dla lwów pochodzi od tych stworzeń wypasanych przez pasterzy ludu Maldhari. Ci ostatni od setek lat zamieszkują te okolice i oni jedynie mają prawo wypaszać swoje krowy i bawoły w parku narodowym, ale oczywiście tylko w ciągu dnia.

To nie były rozległe afrykańskie sawanny. Teren był zalesiony, a wśród drzew dominowały drzewa tekowe, które już o tej porze roku traciły liście. Pomimo to widoczność była bardzo ograniczona. Podobno trzeba mieć trochę szczęścia, aby w tym wszystkim wypatrzeć lwy. Ale jaki procent szans mieliśmy tego popołudnia na spotkanie oko w oko z królem zwierząt, o to już się nie zapytałem Karana. Po co zresztą gasić entuzjazm.

Po 2 godzinach kręcenia się po drogach parku powoli traciłem nadzieję na przynajmniej wzrokowe upolowanie jakiegokolwiek lwa. Aż nagle z drzemki wyrwał mnie okrzyk naszego przewodnika: *lions, lions*. Kilkadziesiąt metrów dalej para lwów wchodziła w zarośla dumnie pokazując nam swoje pośladki i ogony. Nie uszły daleko. Tak jakby chciały nam dać jeszcze trochę szansy. Moje drżące ręce chwyciły za aparat i udało mi się pstryknąć kilka fotek pt. „Widziałem lwa”. Lwy tymczasem postanowiły na chwilę odpocząć w niedalekich krzakach. A przecież tą drogą przejeżdżało w ciągu ostatnich kilku minut szereg dżipów, których pasażerowie uważnie penetrowali mijane zarośla.

Dopiero jak wróciliśmy do hotelu, usłyszałem od Karana, iż od 3 dni nikt z tych kilku tysięcy osób, które w tym czasie wjechały do parku, nie zobaczył ani przodu, ani tyłka, ani nawet ogona lwa. Owszem przez pierwsze dni po otwarciu parku jakiś lew czy lwica się tam komuś pojawiła, ale potem była istna posucha. Ja byłem pierwszy, który przełamał tę złą passę. To się nazywa mieć szczęście. A jeszcze przed chwilą miałem zwieszony nos na kwintę, iż mógłby mi ten lew lepiej się wystawić do aparatu. I że to tak drogo kosztuje. Ale kiedy tylko zacząłem porównywać się względem innych ludzi, mój obraz świata się całkowicie przeistoczył.

W tym dniu co najmniej dwóch ludzi mogło mieć szczęście. Tym drugim był przewodnik, który otrzymał ode mnie napiwek większy od jego dziennego zarobku.

Pozostaje pytanie: czym jest szczęście? A może raczej: jaka jest recepta, aby mieć szczęście?

Dzień 4. Powrót do Rajkot

Zgodnie z planem wracałem z powrotem do Rajkot. Ale drogą nieco okrężną. Wpierw chciałem jeszcze zahaczyć o Diu, ale Karan mi szybko to wyperswadował, że do tej dawnej portugalskiej enklawy potrzebowałbym dodatkowo jeszcze koło 6 godzin. Wyliczył mi, iż moja okrężna trasa przez Somnath do Rajkotu zająć mi może nawet 12 godzin. Trudno, wszystkiego nie da się zrealizować.

Słońce jeszcze się nie rozkręciło zbyt mocno, kiedy to wjechalśmy do kurortu i jednocześnie miejsca pielgrzymkowego, jaki stanowi miasto Somnath. Nic dziwnego, że prowadzi tutaj nowoczesna czteropasmowa droga z centrum stanu Gudżarat. Kiedy drogi ekspresowe osiągają brzeg morza, to od razu powstają hotele. Klientami są niemal wyłącznie Hindusi. Na palcach jednej ręki mógłbym bowiem policzyć dotychczas napotkanych zagranicznych turystów w stanie Gudżarat. Karan mi opowiadał, że dużo tu przejeżdża Bengalczyków, dla których to jest spory dystans – więcej niż tysiąc kilometrów – ale za to mogą mieć szansę zobaczyć lwa. Wszystkie hotele błyszczały i wyglądały, jakby miały co najmniej 5 gwiazdek. Pozory mogą czasem mylić, gdyż w tych Indiach doganiających XXI wiek najważniejsza jest szata zewnętrzna.

My też przyjechaliśmy tu niemal z pielgrzymką. W Somnath nad brzegiem morza od co najmniej półtora tysiąca lat stoi świątynia poświęcona bogu Sziwie. Na teren świątyni nie wolno wносить niczego więcej poza własnym przyodziewkiem. Nie wolno mieć przy sobie ani jakiegokolwiek aparatu fotograficznego, telefonu komórkowego, toreb, i tradycyjnie wszelkiej broni. Oczywiście na tych, co mają coś z tego przy sobie, oczekują przechowalnie wszystkich drogocennych rzeczy, które ofiarowują, iż uczynią to bez żadnych kosztów.

Teren całej świątyni otoczony jest płotem, a policjanci przy wejściu sprawdzają, czy wchodzący stosują się do obowiązującego prawa. Nie miałem zaufania do przechowalni cennych przedmiotów, więc tylko obszedłem świątynię z zewnątrz. Jak to zwykle w takim świętym miejscu od razu zwierzęta okazję krowy, licząc na hojność przybywających tu z wielu zakątków Indii pielgrzymów.

Ruszyliśmy dalej w kierunku miasta Junagadh. Droga była przez pewien czas czteropasmowa przedzielona pośrodku pasem zieleni, gdzie szukały czegoś do jedzenia krowy. Trzeba więc było bardzo wtedy uważać, aby nie przyszło takiej krowie do głowy przejść na drugą stronę drogi. Kiedyś w Junagadh władała dynastia muzułmańskich nawabów. Dzień dzisiejszy Junagadhu to liczne meczety, w których zielony kolor miesza się z białym, a same minarety wyglądają tak, jakby były nieco poskręcane. Na ulicach widzi się głównie biel i czerń. Biel długich szat noszonych przez mężczyzn, a czerń należy do kobiet. Niektóre są niemal całkowicie okryte z małą szparą na oczy. Jakże różne są te światy. Na drugim biegunie są kobiety hinduskie, od których aż tryska kolorami. Zresztą wiele z nich z oddali wydają się być o niebo atrakcyjniejsze właśnie przez te krzyjące barwy.

Do Rajkot dotarłem wczesnym popołudniem. Hotel Fern przy swoich czterech gwiazdkach był całkiem przyjemny. Jak to w hotelach o angielskiej tradycji zawsze do dyspozycji był czajnik. Po kilku minutach miałem już swoją „cup of tea”, choć jeszcze zegar nie wybił piątej. Ale te prawdziwe Indie były tuż, tuż, za drzwiami. Wystarczyło tylko pokłonić się witającym i żegnającym portierom i opuścić przyjemny chłód klimatyzowanych pomieszczeń. Czekala mnie niemal szokowa kuracja. Przynajmniej wiedziałem, gdzie jestem. Wreszcie mogłem się zanurzyć w coś, co można nazwać esencją miejskich Indii. Hałas, tłok, spaliny, ryksze, czasem jakieś krowy.

Według Wikipedii Rajkot zajmuje szóstą pozycję pod względem czystości ze wszystkich miast Indii. Gdybym nie wyszedł, musiałbym to przyjąć na wiarę. Ale po 100–200 metrach nie byłem do końca pewny, czy do tego konkursu aby nie zgłosiło się tylko sześć miast. Bo to ponadmilionowe miasto niczym się nie różniło od innych metropolii na subkontynencie indyjskim.

Dzień 5. Podróż do Aurangabadu

Czasem cały dzień trzeba poświęcić na przemieszczenie się z punktu R, czyli Rajkot do punktu A, czyli Aurangabad. Wpierw musiałem na lotnisku zapłacić dla Jet Airways 200 rupii za 2 kg nadbagażu ponad przepisowe 15 kg. Następnie czekałem kilka godzin na lotnisku w Bombaju. Bezskutecznie poszukiwałem tam jakiegoś przewodnika po Bombaju. Nic takiego nie mieli poza książką *Bombaj – Maximum City* i jakichś przewodników po takich krajach, jak Hiszpania czy Meksyk. I żadnych płyt z muzyką indyjską.

Mnóstwo na lotnisku było różnych kafejek, a nawet jadłodajnia „Street food”, ale z cenami kilkakrotnie wyższymi, do których dolicza się jeszcze co najmniej 30% podatek.

O zachodzie słońca samolot dotknął kołami lotnisko w Aurangabadzie. Mój hotel znajdował się tym razem poza ścisłym centrum. Wziąłem taksówkę, za którą zapłaciłem jeszcze na lotnisku. Hotel zarezerwowałem wcześniej przez booking.com. Nazwa Taj zobowiązuje. Hotel wyglądał bajecznie nie tylko na zdjęciach, ale i w rzeczywistości. Otrzymałem pokój z tarasem i widokiem na ogród, gdzie co wieczór odbywały się występy taneczne.

Dzień 6. Jaskinie Adżanty

Nie miałem okazji, aby rozkoszować się leniwym trybem dnia, wstawaniem bez dźwięków budzika czy też lekturą gazety przy śniadaniu. Poprzedniego dnia załatwiłem wpięć auto z kierowcą do jaskiń w Adżancie, a na kolejny dzień do skalnych świątyń Ellory. Z Aurangabadu do Adżanty było co najmniej dwie godziny jazdy. Z pokorą pochyliłem się więc przed wyznaczonym mi czasem wyjazdu, czyli siódmą trzydziści rano. Lepiej byłoby nie trafić do Adżanty w sam środek dnia, kiedy to słupek rtęci, a w zasadzie cyferki na desce rozdzielczej samochodu podniosą się powyżej 30 stopni.

Usiadłem z przodu obok kierowcy, aby przez 2 godziny patrzeć, jak wyglądają zasady ruchu drogowego na szosach Maharasztry. I jak w tym gęszcu porusza się mój kierowca. Uff. To nie był koniec mojej podróży, gdy wysiadłem na parkingu w Ajanta Caves. W trosce o środowisko dalsze cztery kilometry miałem odbyć czerwonym autobusem. Tym zwykłym, spalinowym, który na samym starcie wydzielił z siebie kłęby duszącego dymu. Ale potem miało już być nieco lepiej. Cena za przejazd wynosiła 16 rupii. O tym wszystkim dowiedziałem się oczywiście od ochotnika, który bezinteresownie wybiegł mi na spotkanie. Od razu na wstępie oświadczył, że rozumie mnie, że spieszy mi się do zabytków. Ale jak już będę wracał, to koniecznie muszę odwiedzić jego sklep nr 48 („Pamiętaj nr 48, mam dla ciebie kryształ, przyjdź, przyjdź”). Na wszelki wypadek nie potwierdziłem, ani nie odchrząknąłem „yhm”, aby sobie nie komplikować życia w niedalekiej przyszłości. Autobus przyjechał na miejsce, gdzie trzeba było znowu płacić. Tym razem kwotę niemal 10 USD (500 Rp). Wyraźnie podróżowało, bo jeszcze w tamtym roku opłaty za wstęp w równie ciekawych miejscach były o połowę tańsze. Ponadto dostawiano się ładne kolorowe bilety. A teraz nie dość, że drożej, to i bilety były zupełnie bezbarwne z paskiem kodowym odczytywanym z telefonu komórkowego przy wejściu na teren.

Na początku czekało mnie trochę wysiłku. Aby wejść z poziomu kasy, trzeba było wspiąć się kilkadziesiąt metrów wyżej schodami lub drogą. Można było alternatywnie pofolgować trochę luksusowym zachciankom i dać się wnieść w lektycę przez czterech tragarzy. Nie trzeba się było targować, bo ceny były podane na tablicy: za sam fotel 1000 Rp oraz 325 Rp za każdego tragarza; razem więc 2300 Rp za tę eskapadę. To zwyczaj wzięty z Chin, gdzie jest to bardzo popularne. Ja wolałem bardziej spartańskie warunki. Ale niektóre osoby o skośnych oczach wybierały podróż w lektycę.

Dobrze wyszło, że pierwsze dwie jaskinie (nr 1 i 2) należały do tych najbardziej bogatych w malowidła. Około 11 rano nie było jeszcze tak dużo zwiedzających, a czasem warto było przyłączyć się do grupy zwiedzającej z przewodnikiem, który z użyciem latarki czy wskaźnika oświetlał co ciekawsze fragmenty i do tego opisywał je z dużymi szczegółami.

Wszystkie trzydzieści jaskiń zostały wykute wyłącznie dla buddyjskich mnichów. Znajdują się tutaj klasztorne pomieszczenia, gdzie oni mieszkali i gromadzili się na modlitwach. Zwą się one *wihara*, jest ich 25. W większości z nich, gdy zostały zbudowane w późniejszym okresie w stylu Mahajana, w niszy centralnej ustawiono posąg lub posągi Buddy. Bywają one oświetlone dla nadania większego nastroju kolorowym światłem. Są także *czajtja*, czyli sanktuaria, bardzo przypominające nasze kościoły. Tych jest z kolei tylko 5. Mają one fasadę, a wewnątrz jest podzielone często na 3 nawy przez szereg kolumn.

Warto nie ulegać zniechęceniu, jakie może towarzyszyć wchodzeniu do kolejnej podobnej jaskini i siły zarezerwować na znajdującą się niemal na samym końcu drogi jaskinię nr 26. Tam oprócz wspaniałej fasady spoczywa siedmiometrowy Budda w momencie, gdy ma osiągnąć nirwanę. Dla jego uczniów umieszczonych niżej to moment smutku, opłakiwania, ale wśród istot niebiańskich, których zamysł artystów umieścić nad rzeźbą Buddy, panuje radość z przybycia tak doskonałego gościa.

Wracając do pyrkającego autobusu, nie mogłem się opędzić od miejscowych sprzedawców przeróżnych albumów. Całkowity brak mojego zainteresowania ofertą książki za 12 USD albo 1200 rupii nie odstręczył wytrawnego sprzedawcy. Czekał, aż wreszcie zmięknę wciąż zmniejszającą się ceną. Nawet wejście do autobusu go nie zraziło, kiedy to wciąż próbował wcisnąć mi przez okno książkę *Ajanta & Ellora*. Przy cenie 300 rupii doszło ostatecznie do transakcji niemal w ostatniej chwili, gdyż autobus już ruszał. Było jednak warto. Aż do teraz służy mi przy identyfikacji różnych scen na zdjęciach, które wtedy zrobiłem.

Dzień 7. Świątynie w Elorze

Stałem się już wygodniejszy i postanowiłem ruszyć do jaskiń Ellory dopiero o ósmej rano. To nie było tak daleko od Aurangabadu – około 30 km, czyli trzy kwadranse jazdy. Jak to w Indiach tuż po wyjściu z samochodu zostałem przejęty przez indyjskiego wolnego strzelca, który chciał mi wyłącznie pomóc. Pokazał mi, jak dojść do kasy, choć było to dziecinnie proste, wskazał, w którym kierunku mam pójść do groty nr 1 i starał się nawiązać nić porozumienia. Tak tylko przy okazji pokazał mi jakiś kwarc czy stare monety zawinięte w gazetę i oczywiście zapytał się o moje imię i narodowość.

– Poland.

– O bardzo dobry biznes, dużo kupują, nie to co ci Rosjanie, piją alkohol, mało co kupują i są tacy jacyś szaleni.

Choć nieco połaskotał moją dumę narodową, szczególnie w zetknięciu ze wschodnim sąsiadem, to jakoś nie zdecydowałem mu się obiecać, że odwiedzę jego sklepik. Już bym wtedy nie mógł się opędzić od tysięcy ofert, każda tańsza od drugiej.

Zabytki Ellory przypominały mi to, co zwiedzałem już dzień wcześniej w Ajancie. Przydałaby się pomiędzy tymi dwoma atrakcjami jakaś przerwa, taka zupełnie z innej bajki. Przykładowo jakieś polowanie z aparatem fotograficznym na zwierzęta widoczne gołym okiem. A tak pozostawała mi chłodna ocena porównawcza.

Czym się to różni od tego, co widziałem w dniu wczorajszym? Ellora była w różnych okresach przez te ponad dwa tysiące lat zajmowana przez wyznawców różnych religii, jakie wyrosły kiedyś na tym subkontynencie, czyli buddyzmu, hinduizmu i dżini-

zmu. Ci ostatni zbudowali swoje siedziby w pewnym oddaleniu od innych, co sprawia, iż nie dociera tam każdy zwiedzający. Ale jak zawsze, rozpocząłem od wejścia do jaskini nr 1. Zarówno w przeszłości, jak i obecnie należy ona do buddystów. Gdy wszedłem do wielkiej sali kolumnowej, usłyszałem jednostajny śpiew kilku mnichów buddyjskich. Niektóre z tych jaskiń, czy bardziej świątyń, miały po kilka pięter. Zwykle to co atrakcyjne wymagało wspinania się schodami na pierwsze czy nawet drugie piętro.

Już po drugiej jaskini pojawiło się uczucie znużenia, kiedy sobie uzmysłowiłem, że mam ich przed sobą jeszcze 32. Ale we wczesnych godzinach porannych nie było zbyt dużo ludzi, a szczególnie gromady wycieczek szkolnych. Duża część osób zadawała się tym, co jest najbliżej i co jest najciekawsze, czyli szwiacką świątynią Kajlas (Kajlasanatha – Pan Kajlasy), która ma przypominać górę Kajlas, siedzibę Szwiwy w Himalajach. Jeśli byśmy mieli zobaczyć tylko jedną rzecz w Ellorze, to do tej świątyni trzeba koniecznie wstąpić. Oczywiście musimy się też przygotować, że będzie tam najbardziej tłoczno.

Próbowałem odnaleźć drogę na sąsiadujące skały, z których można by spojrzeć na świątynię, tak jak ją kiedyś widzieli jej budowniczcy, ale wszystkie ścieżki były przegrodzone z napisami o grożącym niebezpieczeństwie. Za to trawnik przed wejściem do świątyni niepodzielnie należał do małp, które uprawiały tu dzikie harce i wyraźnie dawały wszystkim odwiedzającym odczuć, kto tu naprawdę rządzi.

Uff. Gorąco dawało mi się we znaki. Ambitnie doszedłem jeszcze ponad kilometr drogą do świątyń dżinijskich zbudowanych najpóźniej (od IX do XI wieku). Architektura dość podobna do tych z wcześniejszych okresów, jedynie postać czczonego Buddy czy Szwiwy zastąpiła tu androgyniczna forma Mahawiry. Z powrotem ten kilometr drogi przejechałem autobusem i klucząc, szybko dopadłem mojego auta, aby uniknąć naga-bywania kupna miejscowych arcydzieł w szpalerze straganów.

Kiedyś wioska, dziś miasteczko Khuldabad jest miejscem, gdzie pogrzebano świętego sufickiego szejka Zainuddina, który zmarł w 1370 roku. Tuż obok jego grobu kazał się pochować ostatni z Wielkich Mogołów, Aurangzeb. Życzył sobie, aby nie znalazło się na grobie jego nazwisko. Mój kierowca wysadził mnie przed meczetem, gdzie po zdjęciu obuwia mogłem popatrzeć na grób ostatniego władcy z dynastii Wielkich Mogołów. Niewidomy mężczyzna stojący tuż przy grobie wyszeptał formułkę o Aurangzebie; obdarowany, przyjął ode mnie ze zrozumieniem rupiowy banknot. Wszystko to jakże było odmienne od blichtru grobowca matki Aurangzeba, Mumtaz Mahal, czyli Taj Mahal w Agrze.

Wracając do Auranagabadu, mogłem zobaczyć już z daleka twierdzę położoną na wysokim wierzchołku górującym ponad 200 metrów ponad rozległą płaszczyzną. To cytadela Bala Hisar, stanowiąca ostatni punkt obrony twierdzy Daulatabad. Wysiadłem naprzeciw wielkiej bramy tej fortecy, należącej do rozległego, pierwszego pasa obronnego zwanego Amabarkot, czyli Zewnętrznym Fortem. Kupiłem bilet wstępu i drzwi obite wielkimi kołcami „przeciwśtoniowymi” stały przede mną otworem. Po południowa pora to te dwa, trzy stopnie Celsjusza mniej. Obdarowany przez mojego kierowcę zimną butelką wody ruszyłem po wrażenia z tego Miasta Szczęścia, czyli Daulatabadu.

Długa, prosta droga poprowadziła mnie do wewnętrznego fortu przez tzw. Bramę Śmierci, w której rozłożyła się spora grupa wieśniaków, którzy przybyli tutaj, aby sobie trochę pograć i pośpiewać. Ponownie schody do góry i ponownie kolejna przeszkoda. Tym razem głęboka na ponad 30 metrów fosa, nad którą przerzucono żelazną kładkę. Czas się zmieniają i obecnie zamiast czekających z otwartą paszczą krokodyli, wyłaniały się tysiące plastikowych butelek. Nie tylko fosa broniła cytadeli. Było i mroczne podziemne przejście do cytadeli, gdzie, aby nie błdzić, warto wziąć przewodnika i latarkę.

Na mnie przyszedł już czas na powrót, bo przed zachodem słońca umyśliłem sobie jeszcze odwiedzić Bibi ka Maqbara, grobowiec Dilras Banu Begum. To najbardziej spektakularna atrakcja Aurangabadu dla szukających śladów historii tego miasta.

Dilras-banu Begam była pierwszą żoną Aurangzeba. Bardzo szanował swoją małżonkę. Nie rodziła w rytmie „co rok to prorok”. W ciągu ich 20-letniego pożycia urodziła mu trzy córki i dwóch synów. Historia jednak lubi się powtarzać. Ona również, tak jak matka Aurangzeba – Mumtaz Mahal, zmarła podczas połogu dwadzieścia lat później w miesiąc po urodzeniu syna.

„Grób Pani” Bibi-ka-Maqbara to jedyna większa budowla powstała z inicjatywy Aurangzeba. Zaczęto ją stawiać już w kilka lat po jej śmierci i ostatecznie ukończono pod nadzorem jej syna, Azama w 1679 roku. Mauzoleum zwane jest też „Taj Dekanu”, „Ubogą Siostrą” czy mniej wystawną kopią Taj Mahal w Aurangabadzie. Kopuła jest marmurowa, ale w pozostałych strukturach wykorzystano piaskowiec, który pokryto gipsem. Mniej turystów to też i mniej naciągaczy przy wejściu do obiektu; nie ma kilometrów kolejek, super restrykcji z odbieraniem kamery czy wody do picia. Wszystko jest bardziej kameralne, można naprawdę odpocząć bez tego nieustannego zgietku.

Dzień 8. Przyjazd do Bombaju

Było jeszcze ciemno, gdy pociąg wtoczył się na stację kolejową w Aurangabadzie. Miałem miejscówkę w wagonie bezprzedziałowym C1. Nie musiałem rozpaczliwie szukać tej części pociągu już po jego przyjeździe. Na peronie wyświetlały się bowiem nazwy poszczególnych sektorów zarówno w miejscowym alfabecie (mogłem siebie określić jako tutejszego analfabetę), jak i alfabecie łacińskim, który był mi znany.

Dniało, a mnie wzięło na sen, którego wciąż miałem mało. Pociąg był bezprzedziałowy, miałem swój fotel i tak pomiędzy snem a jawą zawieszony przebyłem te ponad trzysta kilometrów w jednej chwili. Dopiero widok ciągnących się dziesiątkami kilometrów przedmieść Bombaju na dobre pobudził mnie do życia. Pociąg raz zwalniał na stacjach, raz nieco przyspieszał, a na peronach tysiące ludzi objuczonych bagażami przymierzało się, aby wtargnąć do wagonów kolei dalekobieżnych czy lokalnych. Po obu stronach torów każda piędź ziemi znalazła swojego amatora na sklecenie jakiejś prowizorycznej lepianki, ulokowanej w tak „korzystnym” układzie komunikacyjnym.

Kończącą stacją dla wielu pociągów nie jest bynajmniej monumentalna Victoria Terminus, ale stacja kolejowa w Dadar. Stąd do południowego cypla półwyspu, na którym położony jest Bombaj, jest jeszcze kilkanaście kilometrów. Tam na samym południu znajduje się najbardziej znana wizytówka Bombaju, czyli Brama Indii. A obok niej, pięć minut spacerkiem, tuż obok znanej ulicy Colaba miał się znajdować mój hotel, gdzie miałem rezerwację na następne trzy dni. Zanim jednak zasiadłem w pojemnej

taksówce z klimatyzacją za 750 rupii, stałem się obiektem małej kłótni między kierowcami, który to z nich może mnie zaanektować. Zwyciężył potężny Sikh, który towarzyszył mi jak tylko opuściłem pociąg.

Mój hotel ofiarował mi pokój tuż przy recepcji i od razu zażyczo no sobie kasy za cały pobyt. Wolałem uiścić to gotówką, więc powędrowałem z chłopcem hotelowym do pobliskiego kantoru, gdzie przynajmniej uzyskałem przyzwoity kurs wymiany, lepszy niż ten, który był na lotnisku. Nie miałem jeszcze sprecyzowanych planów zwiedzania. One dopiero się miały rodzić. Na pierwszy ogień więc wybrałem Bramę Indii.

Było już późne popołudnie, idealny czas na wyjście z domu, spacer i podziwianie widoków na Morze Arabskie i wylaniające się z oddali zarysy stałego lądu indyjskiego. Budowlę tę postawiono od strony zatoki, od której też miasto mogło wziąć swoją nazwę. Portugalczycy nazwali Bom Bahia, czyli Dobra Zatoka. Na duży plac nie da się inaczej wejść, jak tylko po kontroli bagaży i tego co w kieszeniach. Obawa przed terrorem, który w listopadzie 2008 roku osiągnął swoje apogeum i to rękoma dziewięciu zamachowców, nadal była żywa. Tuż obok Bramy Indii znajduje się prestiżowy Taj Mahal Hotel, ale sama brama jest zamknięta dla ciekawskich. Można ją tylko obejść ze wszystkich stron, obfotografować, zrobić sobie selfie i być obfotografowanym przez innych. Zazwyczaj zawsze się coś ciekawego dzieje. Tym razem kręcono film z wstawką taneczną; pomieszanie stylu, bo byli i tancerze *kathakali*, jak i ci bardziej współcześni, i oczywiście mnóstwo gapiów.

Przez kilka ostatnich dni usilnie poszukiwałem na lotniskach jakiegoś przewodnika po Bombaju. Nadaremnie. W hotelu też nie mieli zielonego pojęcia, gdzie się może znajdować w okolicy Collaba jakaś księgarnia. Wreszcie ktoś poradził mi, abym przeszedł się do pobliskiej dzielnicy Kala Ghoda. Znajduje się tam szereg najważniejszych muzeów, uniwersytet, budynek Sądu Najwyższego oraz bombajska giełda. Klucząc wąskimi uliczkami, dotarłem do Placu Fontanny Flory, gdzie w arkadach placu znajdowała się księgarnia Kitab Khana (Somaiya Bhavan, Mahatma Gandhi Road 45/47). Tam udało mi się wygrzebać małą książeczkę o mieście Mumbai za 144 Rp, która stanowiła przez następne kilka dni skarbiec niezbędnych wiadomości o tym mieście.

Kiszki mi już mocno marsza grały, ale odpowiedniej knajpki do jedzenia tak szybko nie udało mi się odnaleźć. Po pierwsze zwykle restauracje otwierają dopiero po godzinie 19. Colaba to dzielnica dość droga, o czym mogłem się przekonać, gdy wstąpiłem do położonej w pobliżu naszego hotelu restauracji The Table z przyciemnionymi szybami. Ceny przekraczały tam granice przyzwoitości. Najłatwiejszym punktem odniesienia dla mnie zwykle bywa cena spaghetti. W tym lokalu przekraczała ona 2-, 3-krotnie cenę makaronu w centrum Rzymu. Szukałem dalej. Cierpliwość w szukaniu jednak popłacała. Restauracja Delhi Darbar na Singh Road w pobliżu Wellington Fountain była strzałem w dziesiątkę. Podawano tam głównie kuchnię hinduską. O dobrej jakości w stosunku do ceny mogła przekonać frekwencja w lokalu. Większość stolików była zajęta. Od tej pory co wieczór zostałem ich już niemal stałym bywalcem.

Dzień 9. Wyspa Elefantyna i Bombaj

Śniadania były serwowane na dole, gdzie jednocześnie można było z dużego ekranu dowiedzieć się, co tam w świecie się dzieje. Wyglądało dość groźnie. Ponownie miała miejsce jakaś wymiana ognia na granicy pakistańsko-hinduskiej. Czyżby miało

się szykować ponownie na jakiś konflikt. Sprawdziłem miejsce, gdzie strzelano. Okazało się to być Kaszmir, oddalony te kilka tysięcy kilometrów.

Uspokojony nieco tym faktem kupiłem w jednej z kilku kas w pobliżu Bramy Indii bilet na tzw. statek luksusowy na wyspę Elefantynę, wszedłem na pokład i w drogę. Pokład był niemal pełen pasażerów, a przepłynięcie przez zatokę miało nam zająć co najmniej godzinę. Oczywiście z uwagi na przeróżne instalacje portowe, a może nawet i jakieś obiekty militarne, na statku widniała tabliczka o zakazie fotografowania, ale mało kto to czytał, a jeszcze mniej osób brało to na serio. Przypłynęliśmy do długiego mola, skąd dla wygody podróżnych doprowadzono linię minikolejki (Elephanta Mini Train). W tempie nieco tylko szybszym niż wolny marsz przejechałem te kilkaset metrów, a może nawet i kilometr za sumę 10 rupii do granicy miasteczka. Tym razem obyło się bez podziału cen dla krajowców i cudzoziemców. Przed wstąpieniem na schody pobrano od nas opłatę turystyczną – o sumę nie przyporządkowaną o zawrót głowy. Pięć rupii można było przełknąć.

Do świątyni pozostał mi jeszcze ciąg 120 schodów, które prowadzą siedemdziesiąt pięć metrów wyżej, gdzie przed wiekami wykuto w skale świątynię. Chociaż upał panował niemiłosierny, to jednak dzięki straganom i rozpiętymi nad nimi prowizorycznymi daszkami szedłem przez cały czas w cieniu.

To co najciekawsze mieściło się w Jaskini nr 1 zwanej też Wielką Jaskinią, gdzie znajduje się sześciometrowa potężna rzeźba Sziwy o trzech głowach – znana jako Trimurti lub Maheshmurti. Niemal każdy, kto tu przychodzi, uśmiecha się od ucha do ucha i niemal co chwilę błyskają flesze, aby uwiecznić się na tle jednej z indyjskich ikon, która nie podlega jak dotąd żadnym zakazom fotografowania. Panuje tu istna rewia indyjskiej mody. Pojawiają się też istoty od stóp do głów ukryte w czarnej szacie. Zazwyczaj grupce tych kobiet w czerni towarzyszył jakiś postawny mężczyzna w kolorach znacznie bardziej dowolnych. Łącznie taka wycieczka zajęła mi około 5 godzin, bo przepłynięcie na wyspę zajmuje niecałą godzinę w jedną stronę. Nie można się tam wybierać zbyt późno, gdyż stateczki przestają kursować po zachodzie słońca. Na szczęście zostało mi jeszcze trochę czasu do zmierzchu.

Mój hotel miał dobre usytuowanie. Piechotką można było się przejść do wielu intrygujących miejsc w Bombaju. Część z nich było tak blisko, jak np. Muzeum Księcia Walii, iż zwiedzanie tego odłożyłem sobie na ostatni dzień pobytu. Niemal w samym centrum pomiędzy Mahatma Gandhi Road a wielkim terenem zieleni, jakim jest Oval Maidan, uwagę zwracają budynki w opłakanym stanie. Można by rzec, że to jakiś przykład skrajnej nędzy w tej stolicy finansowej Indii. Tak wyglądał Esplanade Mansion, kiedyś Hotel Watson znany z historii kina, gdyż tam w 1896 roku odbył się pierwszy pokaz filmu. Za to mieszkańcom tych ruder niedaleko było do wielkiego kawałka zieleni, jakie stanowią Oval i Cross Majdan. Trawa porastająca rozległy park bywa niemal zawsze – z wyjątkiem deszczu czy mżawki – miejscem rozgrywek krykieta. Szybko się można znudzić tą grą, szczególnie jak nie zna się reguł i oczekuje jakiegoś finału. Ale uwaga: mecz może trwać przez kilka dni z obowiązkową przerwą na obiad czy podwieczorek. Kilkaset metrów dalej jest już Marine Drive. To nadmorski bulwar połączony z promenadą dla pieszych, zwany też Netaji Subhash Chandra Bose. Ta nowa nazwa to efekt tzw. nacjonalizacji nazw ulic i miast na modłę lokalnego rządu Maharashtra.

Na deptaku wzdłuż morza obowiązywał zakaz drobnego handlu i noclegu dla tych bez domu, jakże powszechny widok w wielu innych miejscach w Bombaju. Przy tej ulicy ulokowały się prestiżowe hotele czy biura, zamieszkiwały też gwiazdy filmowe. Podobno wieczorem miały się też odbyć z okazji Diwali pokazy sztucznych ogni. Ale o której i w jakim dniu nikt nie miał zielonego pojęcia. Ta okolica była też wielokrotnie sceną przeróżnych filmów rodem z Bollywood. Nie ma się co dziwić: tam gdzie jest spory płacheć plaży, można kręcić wymyślne sceny taneczne, bez których nie może obejść się żaden film.

W czwartkowe popołudnie aż kusi, aby dotrzeć do nabrzeża nad Zatoką Worli Bay ukrytego za Wzgórzami Malabarskimi. Tam wejściem schowanym wśród przeróżnych bud i straganów mogłem wejść na groblę prowadzącą na małą wysepkę, gdzie znajduje się grobowiec Ali Shah Bukhari. To święte dla muzułmanów miejsce przyciąga też setki żebraków siedzących rzędem wzdłuż całej grobli; nie ma w nich natarczywości; ufają, że swym widokiem wzbudzą pamięć wyznawców islamu o trzecim filarze ich wiary, czyli jałmużnie (*zakat*).

Od czwartku do soboty jest tam niemal zawsze tłoczno, jak i też głośno. W pawilonie obok grobowca rozbrzmiewała muzyka sufich zwana *Quawwali*. Nie było żadnych ograniczeń dla niemuzułmanów, każdy był tu mile widziany. Niemal każdy próbował sobie zrobić pamiątkowe zdjęcia czy selfie, można było też i korzystając z okazji schwycić w ułamku sekundy zasłuchane twarze w muzykę quawwal czy też osoby gaworzące nad brzegiem oceanu.

Dzień 10. Bombaj w drugi dzień Diwali

Niestrudzony w zwiedzaniu wskoczyłem jeszcze raz do taksówki – jednej z wielu nieustannie czekających na klienta na bocznej uliczce w pobliżu mojego hotelu.

– Dokąd jedziemy? – zapytał się mnie kierowca. Nazwa Victoria Terminus była łatwiejsza mi do wymówienia niż Chhatrapati Shivaji Terminus (CST), choć może nie była poprawna politycznie od czasu, kiedy w roku 1996 władze miasta opanowały szalą nacjonalizacji nazw.

Dworzec miał wygląd imponujący i jest prawdziwą perełką sztuki tzw. wiktoriańskiego gotyku pomieszanego jeszcze z indo-saraceńskimi elementami. Tu również, jak na Marina Drive, na ulicy wzdłuż dworca kolejowego władze nie pozwalały na rozwinięcie drobnego biznesu czy bezpłatnej noclegowni. Większość budynku stanowią same biura. Nie każdy pociąg dalekobieżny tam wjeżdża. Dworzec stanowi stację końcową dla linii centralnej i portowej bombajskiej kolei podmiejskiej. Ze stacji postanowiłem się nieco przejść po dzielnicy Kala Ghot, gdzie znajduje się m.in. katedra św. Tomasza przy Horniman Circle. To najstarszy anglikański kościół należący do tzw. Kościoła Północnych Indii. Został konsekrowany w 1718 roku, aby w sto lat później zostać ogłoszonym kościołem katedralnym. Wewnątrz można na podstawie bardzo licznych nagrobków wystawionych przez zatroskane rodziny czy towarzyszy broni zanalizować aspekty epidemiologiczne mieszkańców Bombaju w XIX wieku. Można się dowiedzieć, z jakiego powodu opuścili ziemski padół, w którym roku życia i czy była to śmierć na polu chwały (np. w wojnach w Afganistanie) czy z powodu licznych chorób.

Wczesnym popołudniem wybrałem się na Wzgórze Malabarskie. Taksówkarz nie miał zbyt wielu problemów, aby dojechać na Laburnum Road 19, gdzie znajduje się

Mani Bhavan. To dom, w którym z przerwami zatrzymywał się Mahatma Gandhi w latach 1917–1934. Kiedy Gandhi tu przebywał, gościł tutaj znanych przywódców Kongresu. Stąd też wzywał do akcji obywatelskiego nieposłuszeństwa wobec niesprawiedliwego prawa (tzw. *satyagraha*) jak tzw. Czarnej Ustawy Rowlatta z 1919 roku.

Na drugim piętrze, gdzie znajdował się kiedyś pokój Gandhiego, został on odtworzony z całą pieczołowitością wraz z kołowrotkiem (*charkha*), na którym ze sporą namiętnością dzień w dzień prządał on bawełnianą nić. Innym niemal obowiązkiem zwiedzającego jest zaglądnięcie do sąsiednich pokoi, na tym samym piętrze. Wystawiono tam 28 makiet wyobrażających najważniejsze momenty życia Gandhiego.

Wzgórze Malabarskie, gdzie położone jest to muzeum, jest najbardziej ekskluzywną dzielnicą Bombaju. Tam ceny apartamentów za 1 m² potrafią sięgnąć 2500 USD. Nie dotyczy to jednak terenów przy brzegu oceanu czy okolicy Malabar Hill. Takie są Indie. Tuż nad brzegiem morza i zbiornika Banganga Tank, dokąd zawiózł mnie taksówkarz, królowały byle jakie sklecone budki czy malutkie domki. Trudno było uwierzyć, że tylko nieco wyżej w apartamentach z widokiem na zatokę, mieszkają ludzie, pływający się w bogactwie.

Zupełnie inny charakter mają Wiszące Ogrody położone na zachodnich zboczach Malabar Hills. O tej porze kilka osób przechadzało się wzdłuż przeróżnych zwierzęcych figur wyciętych z krzewów. Na wielu ławkach wywieszono metalowe tabliczki z nazwiskiem osoby, która je ufundowała. Absolutnym rekordzistą w sponsorowaniu co najmniej połowy ławek w tym zakątku okazał się być konsul honorowy Madagaskaru w Bombaju, C.H. Kapadia. W poszukiwaniu widoków na plażę Chowpatty warto przejść przez drogę do mniejszego, ale równie uroczego zielonego zakątka, jakim jest Kamla Nehru Park dedykowany przede wszystkim dzieciom. Największa gromadka dzieciaków ustawia się zazwyczaj tuż obok Boot House, czyli bajkowego domku w kształcie buta.

Miejscem kluczowym dla Bombaju, gdzie naprawdę dużo się dzieje, jest szeroka plaża Girgaum Chowpatty Beach. Odbywa się tu corocznie pławienie w morzu wielkiego posągu Ganeszy w początku września czy palenie kukły złego Rawany na zakończenie święta Dussehra. Tym razem było spokojniej. Oczywiście zaledwie garstka próbowała swoich sił w morzu, zanurzając się w ubraniu nieraz aż po kolana. Reszta całymi rodzinami oblegała kocyki na plaży, pilnując swoją niesforną latorośl, dla której woda jeszcze nie budziła żadnych obaw.

Dzień 11. Najważniejszy dzień Diwali

To był już trzeci i ten najważniejszy dzień Diwali. To święto rodzinne i to co najważniejsze rozgrywa się przede wszystkim w zaciszu czterech ścian. Ja zaś spodziewałem się, iż będę miał okazję zobaczyć zaledwie część tych świąt. Dla wielu zapytanych Hindusów te święta są równoznaczne z miłością, rodziną i obrzędami. To święto światła i światła na cześć bogini Lakszmi, która jest boginią tych idei, jakich życzylibyśmy sobie i wszystkim nam bliskim, czyli piękna, dobrobytu i szczęścia. Przypada na okres nowiu hinduskiego miesiąca *karttika* (15. dnia tego miesiąca), czyli na przełomie października i listopada. To są też święta dla uczczenia Ramy, który po latach wygnania powrócił wraz ze swą żoną Sitą do swego królestwa. Światła Diwali pozwalają im odnaleźć drogę do domu.

Diwali to jednocześnie koniec pory monsunowej i początek tzw. zimy. Wielu traktuje to jako początek nowego roku. Przekładając to na nasze wyobrażenia, atmosfera może przypominać nastrój Bożego Narodzenia, Nowego Roku i dożynek.

Diwali trwa przez pięć dni, z których każdy ma swoją nazwę. Ale bez fajerwerków, ogni sztucznych i wybuchów nie może istnieć żadne Diwali. Sprawia to, iż w tych dniach zanieczyszczenie powietrza przekracza jakiegokolwiek dopuszczalne granice. Pocięszające dla mnie było to, że dzielnica Collaba była jeszcze najmniej zanieczyszczonym miejscem w Bombaju. Policja z kolei wydała zakaz puszczenia fajerwerków od dziesiątej wieczorem, choć nie miałoby być wtedy jeszcze ciszy nocnej, jako że do północy można jeszcze na pełny gaz puszczać głośniki z muzyką.

Myślałem, aby się wybrać z wizytą tego poranka do Muzeum Księcia Alberta. Ale brama była zamknięta, bo w święto Diwali pracownicy mieli wolne.

Na tę ostatnią noc przeniosłem się na północ do niewątpliwie bardzo prestiżowego hotelu, jakim był Taj Ends położony w dzielnicy Bandra. Taksówkarz tym razem zaoferował mi się, że włączy taksometr, zamiast umawiać się na określoną sumę. Przejechaliśmy przez już mi znane miejsca, jak Marina i Malabar, aby następnie skorzystać z mostu łączącego dzielnicę Worli z Bandra. Na cyplu już z mostu widać było wysoką sylwetkę mojego hotelu.

Przywitany zostałem z całymi honorami, na szyi zawieszono mi sznur pomarańczowych kwiatów, na czole pojawiła się kropka i zaproszono mnie na wieczorne obchody święta Diwali. Trudno było mi wyjść z klimatyzowanego pomieszczenia. Gdy wreszcie to zrobiłem, tuż przy wyjściu z hotelu natychmiast zostałem zauważony przez tłum kierowców ryksz. Ale byłem bardziej zainteresowany kierowcami taksówek, którzy rozłożyli swe siły w drugiej linii ataku. Wybrałem jednego z taksówkarzy, uzgodniłem cenę dojazdu na plażę Juhu i w drogę. Popołudniową porą na tej plaży ludzi było mnóstwo w ten świąteczny dzień. Mogło się wydawać, że ma tu miejsce jakaś spora demonstracja, tak zbity tłum opanował plażę. Przedzierając się pomiędzy licznymi stoiskami z kukurydzą, chrupkami, wiatraczkami doszedłem nad sam brzeg. Morze w tym miejscu nie ma wysokiej klasy czystości. Pomimo to znalazło się sporo amatorów kąpeli, choć najczęściej w pełnym ubraniu.

Czas szybko mijał, ale trzeba mi się było spieszyć na hotelowe diwali. Było tam trochę sztucznych ogni czy darmowy poczęstunek. Można było też zabawić się w artystę. Diwali bowiem słynie z układania Rangoli, czyli kolorowych nietrwałych układanek. Na hotelowym dziedzińcu dla ułatwienia wyrysowano kredą zarys figur w kształcie kwiatów, a dziewczyny z hotelu przynosiły chętnym koszyczki płatków kwiatów. Reszta należała do inwencji twórców, którzy się zgłosili do ich tworzenia. Byłem wśród nich i ja.

Po tak twórczym wieczorze postanowiłem opuścić bezpieczne hotelowe pielesze i ruszyć w dzielnicę Bandra, skąd słychać było od czasu do czasu jakieś wybuchy i błyski petard wystrzeliwanych w niebo. Najwięcej się działo nad samym morzem, gdzie czasem i bębunki mogły popękać, gdy tuż obok ktoś rzucił jakąś petardą.

Dzień 12. Wyjazd z Indii

Dzielnica Bandra nosi też nazwę „królowej przedmieść”. Położenie blisko morza przyciągnęło wiele prominentnych osób związanych z filmem, polityką czy krykietem. Przez ponad dwieście lat ta okolica pozostawała (od 1534 do 1775 roku) we władani

niu Portugalczyków, a później przeszła w ręce angielskie. W drugiej połowie XVI wieku pojawili się tutaj jezuici. Przyswajając sobie miejscową kulturę i język, potrafili zainteresować wielu mieszkańców wiarą chrześcijańską, co widać aż do dnia dzisiejszego. Jezuici byli również założycielami szeregu szkół wyższych znanych z wysokiego poziomu nauczania. Na terenie 4 kilometrów kwadratowych znajduje się tu sześć parafii katolickich, z których najbardziej znana jest parafia otaczająca kościół Góry Maryi z 1640 roku. Wiele ulic nosi nazwę świętych patronów, np. św. Jana Chrzyciela, św. Weroniki, św. Piotra czy Góry Karmel. To rzecz rzadka jak na Bombaj; na rozstaju dróg dostrzec można było posąg św. Sebastiana przeszytego strzałami.

Tuż obok hotelu zachęcał do spaceru Castella de Aguada (Bandra Fort), zbudowany przez Portugalczyków w tym samym roku co kościół Góry Maryi. Stąd można było podziwiać położony na południowym cyplu Bandra most Worli Bandra Sea Link.

Kolejny raz wsiadłem do taksówki i pojechałem tym razem na południe. Miasto w samo południe było zupełnie zakorkowane, a kierowca chętnie się mylił i pojechał w niewłaściwym kierunku. Nic strasznego dla niego samego, bo akurat licznik bił na moją niekorzyść. Wreszcie udało mi się opuścić taksówkę przy stacji kolejowej Mahalaxmi na tzw. linii zachodniej bombajskiej kolei podmiejskiej (Western Railway). Tuż przy torach setki kamiennych wanien tworzą podobno największą na świecie pralnię na świeżym powietrzu. Przysyłane są tutaj ubrania z okolicznych szpitali i hoteli. Najlepszy widok na Mahalaxmi Dhobi Ghat przedstawiał się z wiaduktu kolejowego. O tej porze dnia za ledwie kilku mężczyzn zajmowało się tłuczeniem brudnej bielizny o brzegi tych wanien.

I tak oto kończył się mój pobyt w Indiach w okresie Diwali. Wyjazd na lotnisko zamówiłem w hotelu przez sieć Ola Cabs; w Bombaju funkcjonuje również znajomy mi Uber. Przede mną był ośmiogodzinny lot z Bombaju do Frankfurtu i powrót do polskich, jesiennych kolorów.

Borneo, Brunei i coś na dodatek



Borneo nas kusilo już od dawna ze względu na krajobrazy i parki narodowe. Chcieliśmy również odwiedzić jedno z najbogatszych państw na świecie i porównać, czym różni się od sąsiedniej Malezji i czy ludzie tam żyjący są jednymi z najszcześniejszych na świecie.

Na miejscu okazało się, iż Kuching to jedno z najbardziej przyjaznych i ciekawych miast w Malezji, a Brunei to nie tylko centra handlowe, ale również tradycyjne domy na wodzie i jedno z najlepszych satay, jakie dotychczas jedliśmy.

Po zwiedzaniu Sarawak wróciliśmy do kontynentalnej Malezji, aby przejechać się szybkimi pociągami i odpocząć w Tajlandii na wyspie Koh Samui. Podróż zakończyliśmy w Singapurze, aby zobaczyć, co się zmieniło od naszego ostatniego pobytu, a głównym celem był hotel „Marina Bay Sands”.

Termin: 10–27 lutego 2017 r.

Wiza: Malezja, Brunei, Tajlandia, Singapur – ruch bezwizowy (przy przylocie do Sarawak albo Sabah jest odrębna kontrola paszportowa)

Czas: Malezja, Brunei, Singapur – +7 godz. w stosunku do Polski, Tajlandia – +6 godz. w stosunku do Polski

Pieniądze (kurs na dzień 10.02.2017 roku):

Malezja 1 USD = 4,43 ringittów (MYR) lub 1 EUR = 4,73 MYR

Brunei 1 USD = 1,40 dolarów Brunei (BND) lub 1 EUR = 1,49 BND

Tajlandia 1 USD = 34,96 baht (THB) lub 1 EUR = 37,34 THB

Singapur 1 USD = 1,41 dolarów singapurskich (SGD) lub 1 EUR = 1,51 SGD

Komunikacja

W Malezji i na Borneo najlepiej przemieszczać się autobusami (komfortowe, dużo konkurencyjnych firm, np. „Asia Star” czy „Bus Asia”) oraz można korzystać z wewnętrznych przelotów liniami „Air Asia”, np. z Kuching do Miri. Do Brunei z Miri jeździ tylko jedna firma – „PHLS Express” do Bandar Seri Begawan (BSB) 2 razy dziennie (rano

i po południu). W Malezji kontynentalnej warto przemieszczać się pociągami ETS (porównywalne do japońskich shinkansenów), np. pociąg nr 9512 z Kuala Lumpur do Padang Besar na granicy z Tajlandią. W Tajlandii również można korzystać z pociągów, ale są mniej nowoczesne niż w Malezji i jest o wiele mniej połączeń (wówczas pozostają autobusy i szybsze minibusy).

W Malezji w miastach najlepiej przemieszczać się taksówkami, z wyjątkiem Kuala Lumpur (wygodne metro). W Brunei i w Singapurze taksówki są raczej drogie.

Koszty

Największy koszt to opłata przelotu do Azji – nam udało się kupić bilety w ramach promocji „Swiss Airlines” na trasie Warszawa–Zurich–Singapur–Zurich–Warszawa.

W Malezji i w Tajlandii koszty wyżywienia w restauracjach i noclegów niższe niż w Polsce. Aby zaoszczędzić na czasie, warto korzystać z przelotów tanimi liniami, np. „Air Asia”. Ceny na tajskich wyspach są o wiele wyższe niż w pozostałej części Tajlandii i dotyczy to kosztów przejazdów, noclegów i wyżywienia.

RELACJA Z PODRÓŻY

10 lutego. Wylot liniami „Swiss Airlines” z Warszawy do Zurychu o godz. 19.45.

Na lotnisku w Zurychu przejazd kolejką na terminal E. O godz. 22.45 – lot „Swiss Airlines” do Singapuru (11 godz. 30 min), na gorąco kolacja i rano śniadanie.

11 lutego. Lotnisko Changi w Singapurze nowoczesne – z ogrodem z tropikalną roślinnością pośrodku. Z lotniska przejazd metrem MRT do stacji Bugis i następnie przesiadka do stacji Rochor – bilet 2,40 SGD/os. (dzieci też).

W hostelu „Inncrowd” zostawiamy bagaże w przechowalni – 1 torba na 16 dni za 30 SGD (2 SGD za 1 dzień za pierwsze 14 dni i za następne dni 1 SGD).

Idziemy piechotą na terminal Queen Street i stamtąd autobus „Causeway Link” do Johor Bahru – 3,30 SGD/dorosły i 1,50 SGD/dziecko. Kontrola na granicy zabiera trochę czasu – po stronie singapurskiej trzeba wyjść z autobusu z bagażami. Autobus przyjeżdża do Johor Bahru Sentral (CIQ), gdzie jest malezyjska kontrola. Budynek dworca połączony z centrum handlowym – dużo do przejścia i po schodach, co z bagażem nie jest zbyt sympatyczne.

Przejazd taksówką za 10 MYR do hotelu w Johor Bahru. Nocleg w hotelu „Tkl” (Jalan Harimau Akar) – 90 MYR za pokój z łazienką (takie sobie warunki, zawilgocony pokój i mały).

Jemy kolację w barze obok hotelu – 3 x fried rice chicken, 2 x tofu i chleb w sosie orzechowym, ryż – 43 MYR. Osobno w sklepie kupujemy 2 x piwo „Tiger”, 2 soki z mango i 2 duże wody (1 woda 2 MYR) – 20 MYR.

12 lutego. Śniadanie w barze – 4 kawy, 2 x tosty z masłem i dżemem, 3 x pierożki ryżowe z krewetkami – 22 MYR.

Przejazd taksówką za 49 MYR na lotnisko Senai w Johor Bahru (w tym opłaty za autostradę), 30 min. 11.45 – lot „Air Asia” do Kuching (bilety od 600 MYR z bagażami) – 1 godz. 20 min. Na Borneo w stanie Sarawak w tym okresie jest pora deszczowa (jest pochmurno, ale deszcze zwykle padają wieczorem lub w nocy).

Przejazd taksówką z lotniska do hotelu za 26 MYR, 20 min.

Nocleg w hotelu „City Inn” – 119 MYR za pokój z łazienką – dobre warunki (czysto) – przy zameldowaniu trzeba zostawić depozyt 50 MYR.

W kawiarni – 2 kawy z mlekiem skondensowanym, 2 soki pomarańczowe – 14 MYR.

Zwiedzamy Kuching – promenada nad rzeką (Waterfront) zadbana i dobre miejsce na spacer. Przeplewamy łódką za 1 MYR/os. (dzieci też) na drugą stronę rzeki i idziemy do Ogrodu Orchidei (wejście za darmo) – miejsce ciekawe z różnymi odmianami storczyków. Wracamy z powrotem na drugą stronę rzeki i zwiedzamy chińską świątynię Hong San Sii oraz Jalan India (klimatyczna ulica ze sklepami). Na bazarze (open-air market) jemy obiad – 4 x ryż, 2 x kalmary w cieście, kurczak w sosie cytrynowym, kurczak w sosie słodko-kwaśnym, 4 x sajgonki) za 64 MYR + dodatkowo napoje za 19 MYR (3 puszki piwa „Tiger”, 2 soki pomarańczowe). Spacerujemy po Chinatown – wąskie uliczki ze sklepikami i z wywieszonymi lampionami. W barze „Drunken Monkey” – 2 piwa „Guinness” (1 x 13 MYR), tonik – 34 MYR.

Wracamy do hotelu w strugach tropikalnego deszczu.

13 lutego. Jemy śniadanie w kawiarni w europejskim stylu – 4 x omlet z tostami (1 x 12 MYR), 2 kawy – 58 MYR.

Idziemy do Muzeum Etnologicznego (wejście za darmo) – na piętrze odtworzone domy plemienia Iban (longhousy), a na dole można podziwiać wypchane zwierzęta Borneo – muzeum w starym stylu.

Z dworca Saujana jedziemy autobusem K6 do Semenggoh – 45 min, 3 MYR/os. (dzieci też).

Wejście do Rezerwatu Orangutanów – 10 MYR/dorosły i 5 MYR/dziecko – od wejścia idzie się pod górę drogą asfaltową i na końcu drogi znajduje się miejsce, gdzie podchodzą orangutany po jedzenie (nam udało się zobaczyć 3 orangutany i to z bliska). Później idziemy w głąb lasu do miejsca, gdzie obserwujemy matkę z małym wykonujących różne akrobacje na linach.

Wracamy autobusem K6 do dworca autobusowego Kuching Sentral – 3 MYR/dorosły i 1,50 MYR/dziecko, gdzie kupujemy bilety na autobus do Batu Niah Junction na następny dzień.

W kawiarni na dworcu – 3 kawy z mlekiem, 3 ciastka ze słodką fasolą, ciastko z czekoladą, 2 x pojemnik z różnymi, obranymi owocami – 23 MYR. Wracamy autobusem na dworzec Saujana w Kuching – 2 MYR/dorosły, 1 MYR/dziecko.

Jemy obiad w centrum handlowym (naprzeciwko Sarawak Plaza) – 6 x porcja ryżu z kurczakiem i 2 satayami (1 x 5,50 MYR) – 33 MYR.

W pubie – 2 małe piwa „Tiger” za 26 MYR.

W supermarkecie – 1 duża woda za 1 MYR, napój w puszcze za 1,40 MYR.

14 lutego. Jemy śniadanie w chińskim barze – 12 pierożków z mięsem, 4 „pampuchy” z mięsem, 2 ciastka, 3 kawy – 35 MYR.

Przejazd autobusem do Bako (przystanek naprzeciwko naszego hotelu „City Inn”) – 3,50 MYR/dorosły, 1,50 MYR/dziecko.

W siedzibie Parku Narodowego Bako kupujemy bilety na łódkę do Parku – 20 MYR/dorosły i 10 MYR/dziecko w 1 stronę + wejście do Parku 20 MYR/dorosły i 7 MYR/dziecko. Rejs łódką trwa około 20 minut, najpierw się płynie rzeką, a następnie wy-

plywa się na morze (duże fale, morze wzburzone) i wychodzi się z łódki w morzu blisko plaży (płytką wodą). Na półwyspie jest szereg tras dobrze oznaczonych – wybraliśmy spacer mostkami po bagiennych terenach i spacer przez dżunglę na plażę, gdzie można zobaczyć małpy nosacze (udaje nam się wypatrzyć z daleka kilka sztuk). Istnieje możliwość przenocowania w domkach (trzeba wcześniej rezerwować) oraz jest samoobsługowa restauracja (ceny raczej wyższe, np. puszka „Pepsi” za 4 MYR). O godz. 15 wracamy łódką z powrotem do Bako Bazar (ceny identyczne jak powyżej) – ostatni rejs jest o godz. 16, o tej godzinie są bardzo wysokie fale i morze jest mega wzburzone.

Z portu wracamy minibusem do centrum Kuching – 5 MYR/dorosły (dzieci za darmo). W centrum Kuching jemy obiad w lokalnej restauracji – 2 x smażony ryż z kurczakiem, 3 x smażony ryż z kurczakiem i ananase, 4 lody w wafelku, woda z imbirem – 36 MYR.

Spacerujemy wieczorem po Waterfront – fajne miejsce o każdej porze dnia (wieczorem ustawiają stragany z jedzeniem).

Idziemy do hotelu i odbieramy bagaże. Przejazd taksówką na dworzec autobusowy Sentral za 33 MYR.

O 21 jedziemy autobusem „Asia Star” (VIP – 3 miejsca w rzędzie, wygodnie) do Batu Niah Junction – 80 MYR/dorosły i 60 MYR/dziecko (13 godz.), po drodze zatrzymuje się 2 razy.

15 lutego.

W Batu Niah Junction w hotelu prosimy o przechowanie bagaży na kilka godzin (za darmo).

W barze hinduskim jemy śniadanie – 4 x omlety, chapati, 3 kawy z mlekiem – 35 MYR. Jedziemy taksówką do Parku Niah – 30 MYR, 30 min.

Wejście do Parku Niah – 20 MYR/dorosły i 7 MYR/dziecko – na samym początku przepływa się łódką na drugą stronę rzeki (1 MYR/os., dzieci też). Zwiedzamy Muzeum – odtworzone malowidła z jaskiń i kopia czaszki człowieka, która ma 40 tys. lat (w Muzeum można wypożyczyć latarki – bardzo przydatne w jaskiniach – 5 MYR/szt.). Następnie idziemy ok. 3 km w jedną stronę drewnianymi pomostami przez tropikalny las do jaskiń – najpierw jest Trader’s Cave, później wchodzi się do Dużej Jaskini i dalej schodami w dół do tzw. Painted Cave z malowidłami na ścianach – ogólnie mało ludzi i miejsce bardzo klimatyczne i ciekawe. Wracamy z powrotem pomostami i przepływamy łódką na drugą stronę rzeki. Jedziemy taksówką do Batu Niah Junction za 30 MYR. Odbieramy bagaże i jedziemy autobusem „Bus Asia” do Miri – 10 MYR/os. (dzieci też). Z dworca Pujat jedziemy za 20 MYR do hotelu w centrum Miri. Nocleg w hotelu „Walkin” (Jalan Merbau) – 140 MYR za pokój z łazienką, bardzo dobre warunki, czysto (kaucja 10 MYR).

Kolację jemy w restauracji „Khan’s Islamic Restaurant” – bardzo dobre hinduskie jedzenie – 2 x butter chicken, masala chicken, tandoori chicken, woda, chapati, 2 mango lassi – 71 MYR.

16 lutego. Przejazd taksówką na dworzec autobusowy Pujat za 20 MYR. Na dworcu kupujemy kawę za 2 MYR + kiść małych bananów za 2 MYR. O godz. 8.15 – autobus „PHLS Express” do Bandar Seri Begawan (BSB) – stolicy Brunei – 50 MYR/dorosły

i 35 MYR/dziecko, 4 godz. – na granicy po stronie Brunei kontrola bagaży – od granicy autostrada do BSB. W Brunei bardziej nowocześnie niż w Malezji, ale kraj bardziej islamski (nie ma alkoholu, obowiązkowa przerwa koło południa na modlitwę w meczecie i wszystko wówczas jest pozamykane).

Z przystanku w centrum BSB na piechotę idziemy do hotelu. Nocleg w hotelu „Jubilee” – 168 PLN za pokój (rezerwowany z Polski) + 20 BND za dodatkowy materac – pokój bardzo duży z częścią wypoczynkową.

Idziemy do centrum BSB – uporządkowane, czysto i w barze – 2 kawy, 2 duże kanapki z jajkiem i kurczakiem – 12,40 BND. Zwiedzamy Muzeum Regaliów (wejście za darmo) – nowoczesne, wystawy dotyczące życia obecnego Sultana, historii Brunei oraz wystawione są prezenty, otrzymane przez Sultana ze wszystkich państw świata (można znaleźć również coś z Polski). Na parterze znajdują się lektyki koronacyjne oraz pozostałe używane przez Sultana w czasie różnych uroczystości. Idziemy do meczetu Omar Ali Saifuddien (nie można wejść do środka) ze złotą kopułą i z odtworzoną w kamieniu łodzią królewską w lagunie obok meczetu.

W centrum handlowym (największą atrakcją dla Brunejczyków są zakupy w centrach handlowych) w sklepie kupujemy 2 duże butelki wody (0,70 BND za szt. – w innych miejscach kosztuje 1 BND), sok z mango za 0,90 BND, ciasto kolorowe za 1,50 BND, papaja w kawałkach za 1,20 BND, czekolada z orzechami za 2,50 BND – razem 7,50 BND.

Przeprawiamy motorówką tzw. water taxi (1 BND/os., dzieci też) do Kampong Ayer – miasta na wodzie. Chodzi się po drewnianych pomostach pomiędzy drewnianymi domami – to jest największa atrakcja Brunei. Obecnie władze niszczą część starych domów i w ich miejsce stawiają murowane domy bez klimatu. Jest to dobre miejsce, aby poobserwować mieszkańców – cały transport odbywa się wodą (ludzie z zakupami, dzieci ze szkoły). Wracamy łódką do BSB i spacerujemy promenadą nad rzeką. Szukamy bazarów (night market) z jedzeniem, ale większość została zlikwidowana, aby wybudować nowoczesne domy czy centra handlowe. Znajdujemy targ Tamu Selera – 2 herbaty, 2 x smażony ryż z kurczakiem i 40 satay z sosem orzechowym (wyśmienite – zestaw 4 satay 1 BND) – razem 16 BND. Są oddzielne stoiska z różnymi potrawami, deserami czy napojami.

Wracamy na piechotę do hotelu i w kawiarni w hotelu – dzbanek zielonej herbaty + woda z cytryną i miodem – 3,50 BND.

17 lutego. Śniadanie w kawiarni w hotelu – zestaw z jajecznicą, parówką i tostami i do wyboru kawą/herbatą za 3,80 BND.

Z dworca autobusowego jedziemy autobusem nr 39 w okolice Muzeum Technologii Malajskiej – bilet 1 BND/dorosły i 0,50 BND/dziecko. Z głównej drogi należy podejść kawałek w kierunku Muzeum. Zwiedzamy Muzeum Technologii Malajskiej (wejście za darmo) – odtworzone kopie domów na wodzie oraz inne tradycyjne domy, wystawy odtwarzające różne rodzaje rzemiosł wykonywanych przez mieszkańców Brunei. Idziemy do pobliskiego Muzeum Morskiego (wejście za darmo) – wystawa rzeczy znalezionych na wraku chińskiego statku oraz różne rodzaje łodzi. Wracamy na piechotę do głównej drogi, ale w piątek koło 12 na 2 godz., czyli na czas modlitwy w meczecie,

przestaje funkcjonować transport publiczny (sklepy są zamykane). Łapiemy autostop (za darmo) i wracamy do centrum BSB.

Spacerujemy po wymarłym mieście – wszyscy odświętnie ubrani udają się w kierunku meczetów. Odbieramy bagaże z hotelu i o 13.30 jedziemy autobusem PHLS do Miri – 20 BND/dorosły i 15 BND/dziecko (3 godz. 30 min).

Z dworca autobusowego w Miri jedziemy taksówką na lotnisko – 30 MYR, 30 min.

Na lotnisku w restauracji jemy obiad – 2 x ryż smażony z kurczakiem, słodkie bułki, 2 kawy – 70 MYR. O godz. 19.05 – lot „Air Asia” do Kuala Lumpur – 442 MYR (356 MYR bilety + 86 MYR za 2 bagaże).

Z lotniska KLIA2 jedziemy „Aerobusem” do dworca KL Sentral – 12 MYR/dorosły i 6 MYR/dziecko (50 min). Na piechotę idziemy do hotelu.

Nocleg w hotelu „Metro” – 175 MYR za pokój z 2 dużymi łózkami. W sklepie kupujemy puszkę piwa „Tiger” za 6 MYR oraz małą butelkę wina za 17 MYR oraz dużą wodę za 1,80 MYR.

W restauracji jemy kolację – 2 x smażony ryż z kurczakiem, pattaya ryż (z omletem), roti canai z sosami, czapati, woda – 29,40 MYR.

18 lutego. Śniadanie jemy w hotelu na dachu (widok na KL) – zestaw za 6 MYR/os. (jajecznica, tosty, słodkie bułki).

Pieszko idziemy na dworzec kolejowy (połączony z centrum handlowym) i o 9.44 pociąg ETS (porównywalny do japońskich shinkansenów) nr 9512 do Padang Besar na granicy z Tajlandią – 86 MYR/dorosły i 51 MYR/dziecko, 5 godz. – przedział otwarty z telewizorem i komunikatami elektronicznymi – w barze można kupić coś do jedzenia i do picia (kawa za 2,70 MYR). Na stacji kolejowej jest kontrola graniczna – malezyjska i tajska.

O 15.40 pociąg do Hat Yai – 70 THB/os. (dzieci też) lub 10 MYR/os. – 50 min. Po stronie Tajlandii przejazd pociągiem do Hat Yai.

Obiad w barze przy dworcu kolejowym – 2 x pad thai, 2 x smażony ryż z kurczakiem, 2 piwa „Chang”, 2 kawy, 2 soki pomarańczowe – 410 THB.

O godz. 16.23 – ekspres do Surat Thani – 436 THB/dorosły i 373 THB/dziecko – (4 godz. 30 min) w cenie napoje i jedzenie (na gorąco i przekąska).

Przejazd taksówką do Surat Thani za 200 THB, 20 min. Nocleg w hotelu „Papangkorn” – 550 THB za pokój (bardzo mały).

Wieczorem idziemy do baru – 2 duże piwa „Chang” za 160 THB.

19 lutego. Śniadanie w barze – 4 x omlety z warzywami, kawałki kurczaka, 2 kawy, 2 herbaty – 380 THB.

W agencji kupujemy bilety na prom „Raja Ferry” na Koh Samui – razem 240 THB/os. (dzieci też) – 100 THB za minibus do Donsak i 140 THB za prom.

O godz. 12.30 wjeżdżamy minibusem do Donsak i następnie o godz. 14.00 prom na Koh Samui (1 godz. 30 min).

Z przystani taksówką do Chaweng za 600 THB, 40 min.

Nocleg w „Oasis Hakuna Matata” z basenem w ogrodzie – bungalow z 2 sypialniami i z częścią wypoczynkową z kuchnią – 2700 THB za nocleg bez śniadania.

Obiad w restauracji – 4 x pad thai z kurczakiem, 2 x spring rolls, papaya salad, duże piwo „Chang”, sok z mango, sok pomarańczowy, mango sticky rice – 960 THB.

W sklepie 7/11 – duża woda za 13 THB, mała butelka wina za 290 THB i puszka piwa „Chang” za 50 THB.

20 lutego. Śniadanie w restauracji – 2 x sadzone jajka, 2 x jajecznica, tosty, musli z jogurtem, sałatka owocowa – 540 THB.

Idziemy na plażę w Chaweng – leżaki za 150 THB/szt. – plaża szeroka (owoce na plaży, np. ananas/mango za 60 THB).

Obiad jemy w restauracji w centrum Chaweng – 3 x pad thai z kurczakiem (1 x 50 BTH), 2 x spring rolls, mango salad, mango sticky rice, kieliszek wina czerwonego, piwo „Chang”, woda, smażone lody w cieście – 800 THB.

Wracamy plażą w kierunku hotelu i w barze „Yours Place” – 2 x koktajle alkoholowe, woda – 260 THB. W barze wieczorem pokazy tańca z ogniem.

21 lutego. Śniadanie w restauracji – 2 x sadzone jajka, 2 x jajecznica, tosty, sałatka owocowa – 540 THB. Jedziemy tuk-tukiem do Lamai Beach za 400 THB. W sklepie 7/11 kupujemy wodę dużą, sok pomarańczowy, banany, ciastka – 160 THB.

Na plaży mniej ludzi niż w Chaweng – leżaki za 50 THB/szt. Można przejść się plażą do skał, a w szczególności do najśłynniejszych skał Hin Ta i Hin Yai.

Obiad w restauracji – zupa tom kha z kurczakiem, 2 pad thai z kurczakiem, smażony ryż z kurczakiem, curry z kurczakiem, tonik, piwo „Chang”, piwo „Tiger”, woda – 725 THB.

Wracamy tuk-tukiem do Chaweng za 400 THB.

22 lutego. Śniadanie w restauracji – 2 x omlet, 2 x jajecznica, 2 kawy, owoce, tosty – 480 THB.

Wypoczywamy na plaży w Chaweng – korzystamy z masażu (masaż tajski 1 godz. za 250 THB).

Wieczorem idziemy na Chaweng Night Market – osobne stoiska z jedzeniem i pić – 2 x pad thai z kurczakiem, curry penang, ryż smażony z kurczakiem za 380 THB; 2 x sajgonki z mięsem za 100 THB; napoje (piwo duże „Chang”, soda, tonik) za 160 THB; mango sticky rice za 100 THB, 2 x naleśnik z czekoladą oraz z czekoladą i kokosem za 130 THB.

Wieczorem wracamy plażą do hotelu i w barze przy plaży – 2 kieliszki wina czerwonego + woda za 320 THB.

23 lutego. Śniadanie w restauracji – 2 x sadzone jajka, 2 x jajecznica, 2 kawy, owoce, musli z jogurtem – 520 THB.

W sklepie 7/11 zakupy – słodkie bułki z fasolą, woda, banany, 4 jogurty, sok pomarańczowy – 220 THB.

Wypoczywamy na plaży i z okazji tłustego czwartku objadamy się pączkami z kokosem (40 THB za sztukę).

Wieczorem idziemy do centrum Chaweng i w restauracji „Crab” jemy obiad – fish cakes (placki rybne), sajgonki, 2 x pad thai z kurczakiem, ryż smażony z kurczakiem, massaman curry (słodkie), karafka wina (za 350 THB), tonik, soda – 870 THB. Na deser kupujemy na ulicy naleśniki z czekoladą i kokosem – 40 THB/sztukę.

Wieczorem w barze na plaży – 2 kieliszki wina za 300 THB.

24 lutego. Śniadanie jemy w hotelu – 150 THB/zestaw od osoby – jajka z bekonem i szynką, tosty z dżemem, kawa/herbata.

Jedziemy taksówką do portu za 400 THB. O 10.00 prom „Raja Ferry” do Donsak za 130 THB/os. (dzieci też), i następnie przejazd autobusem do Surat Thani za 100 THB/os. (dzieci też).

Z dworca autobusowego w Surat Thani o 13.30 minibus do Hat Yai (5 godz.) 240 THB/os. (płacimy dodatkowo 240 THB za zajęcie jednego miejsca na bagaż).

W barze przy dworcu w Hat Yai – 4 x ryż smażony z kurczakiem – 200 THB. Przejazd taksówką za 1000 THB na granicę w Bukit Kayu Hitam, ok. 45 min. Granica na autostradzie – najpierw tajska, a 1 km dalej malezyjska.

Przejazd z granicy taksówką do Alor Setar za 80 MYR. Nocleg w Alor Setar w hotelu „Rainbow” – 116,60 MYR – dobre warunki, czysto, ale daleko od centrum.

W barze obok hotelu jemy kolację – ryż smażony z kurczakiem (5 MYR), 2 x rosół z makaronem, woda, piwo „Tiger” (13 MYR), piwo „Anchor”, napój z chryzantemy – 46 MYR.

25 lutego. Przejazd taksówką za 30 MYR na dworzec kolejowy. O godz. 7.26 pociąg ETS Gold nr 9021 do Kuala Lumpur (5 godz.), 70 MYR/dorosły, 39 MYR/dziecko (bilety kupowane w Polsce przez Internet na stronie kolei malezyjskiej). W wagonie restauracyjnym – 3 x sajgonki z warzywami, kanapka z mięsem, 2 kawy – 29,40 MYR.

Po przyjeździe do Kuala Lumpur na dworcu Sentral KL w restauracji – 2 x roti canai (placek z sosami), dosa z sosami, 3 kawy z mlekiem – 23 MYR.

Przejazd metrem (LRT) do Masjid Jamek i dalej do Plaza Rakyat (2,10 MYR/os., dzieci też). Na dawnym dworcu autobusowym Pudu (obecnie nieczynny) w przechowalni zostawiamy bagaże – 2 sztuki na cały dzień za 10 MYR. Na piechotę idziemy do KL Eco Forest Park (wejście za darmo) – tzw. canopy walkway – w koronach drzew poprowadzone są wiszące mosty z widokiem na Kuala Lumpur i park z tropikalną roślinnością.

Kawa w „Starbuck’s” – 9 MYR za sztukę. Idziemy do Masjid Jamek (oglądamy tylko z zewnątrz, zamknięty). Jedziemy metrem (LRT) do KLCC – 2 MYR/os. (dzieci też). Spacerujemy po Parku KLCC z widokiem na Petronas Towers.

Jedziemy metrem (LRT) do Pasar Seni – 2 MYR/os. Zwiedzamy w środku świątynię hinduską Sri Mahamariamman Temple (za darmo, trzeba przed wejściem zostawić buty i oddać do przechowalni za 0,20 MYR za 1 parę). Następnie idziemy do Chinatown i spacerujemy po handlowej ulicy Petaling Street Market. Jemy obiad w miejscu ze stoiskami z różną kuchnią – piwo „Tiger” i duża woda za 18 MYR, smażony ryż z kurczakiem oraz kurczak w sosie słodko-kwaśnym i sajgonki za 29 MYR, curry z kurczakiem i kurczak z orzechami oraz czapati za 25 MYR.

Idziemy piechotą na dawny dworzec Pudu, odbieramy bagaże i jedziemy metrem (LRT) za 3 MYR/os. do Bandar Tasik Selatan na dworzec autobusowy TBS (Terminal Bersepadu Selatan).

O godz. 20.45 autobus do Johor Bahru – 36 MYR/os. (dzieci też), wygodny (3 siedzenia w rzędzie).

26 lutego. Przyjeżdżamy do Johor Bahru na dworzec Larkin i jedziemy taksówką za 40 MYR do centrum miasta. Nocleg w hotelu „Citrus” – 170 MYR za pokój i osobno 40 MYR od osoby za śniadanie.

Śpimy parę godzin i idziemy na śniadanie (omlety, makaron z mięsem, ryż, musli, napoje).

Na piechotę idziemy do CIQ Complex (Customs, Immigration and Quarantine), gdzie znajduje się malezyjska kontrola graniczna – najpierw przechodzi się przez wielkie centrum handlowe ze sklepami i restauracjami, głównie dla mieszkańców Singapuru. Jedziemy autobusem „Causeway Link” na dworzec Queen Street w Singapurze – 3,40 MYR/os. (dziecko 1,70 MYR) – na przejściu granicznym z Singapurem wysiada się z autobusu z bagażami i po przejściu kontroli wsiada się do tego samego autobusu. Z dworca idziemy do hostelu „Inncrowd” – zostawiamy 2 duże plecaki za 6 SGD.

Na piechotę idziemy do Sultan Mosque (zwiedzanie za darmo) ze złotą kopułą i aleją palmową. Wokół meczetu uliczki ze sklepami, restauracjami. Jedziemy metrem ze stacji Bugis do Bayfront za 1,40 SGD/os. (dzieci też). Oglądamy hotel „Marina Bay Sands” – wjeżdżamy windą na 57 piętro do Skybar – z tarasu widok na cały Singapur i obok położony jest basen na dachu. W barze zamawiamy tonik i 2 soki z mango za 33 SGD (wizyta w barze wychodzi o wiele taniej niż zakup biletów na taras widokowy).

Zjeżdżamy na dół i idziemy do ogrodów „Gardens by the Bay” – nowoczesny ogród z wieżami widokowymi (skybridge) i z 2 szklarniami (można zwiedzać w środku, my nie zwiedzamy) – wokół tropikalna roślinność.

Na piechotę idziemy przez nowoczesny most, tzw. Helix Bridge i promenadą nad Zatoką z nowoczesnymi budynkami (budynek w kształcie owoców durianu) do pomnika Merliona i do Boat Quay (nad kanałem restauracje i bary). W „Starbuck’s” 2 espresso z mlekiem za 8 SGD.

Jedziemy metrem za 1,40 SGD/os. (dzieci też) z Clarke Quay do Little India (North East Line). Spacer po dzielnicy Little India i obiad w indyjskiej restauracji – 2 x fried chicken, 3 x masala dosa z sosami, chicken curry, chicken masala, 3 x mango lassi – 36 SGD.

Odbieramy bagaże z hostelu „Inncrowd” i jedziemy metrem ze stacji Rochor do stacji Bugis i dalej do Changi Airport z przesiadką na Tanah Merah – 2,40 SGD/os. O godz. 23.30 wylot „Swiss Airlines” do Zurychu (13 godz.), 2 gorące posiłki (kolacja i śniadanie).

27 lutego. Przylot do Zurychu i o 7.10 wylot „Swiss Airlines” do Warszawy.

Jacek Strejch

Indonezja



Termin: 13 marca – 10 kwietnia 2014 r.

Całkowity koszt: ok. 7500 PLN

Waluta: 1 EUR=4,3 MR (ringgit)
1 USD=3,12 MR
1 USD=1000 rupii
1 USD=1,2 dolara singapurskiego

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1–2. Bilet z Warszawy do Kuala Lumpur i powrotny z Singapuru do Warszawy kosztował 2281 zł liniami qatarskimi z międzylądowaniem w Doha. Wylatuję 13 marca o 10.30. Po wylądowaniu rano w Kuala Lumpur metrem KLIA nr 6 (linia fioletowa) za 35 MR, jadę do stacji Sentral i stąd KTM nr 2 – linia czerwona za 2 MR do jaskiń Batu (stacja końcowa). Do jaskiń wchodzi się po stromych schodach, zaczynających się obok kilkunastometrowego złotego posągu (uwaga na buszujące małpy, porwą wszystko, co nieopatrznie postawi się na ziemi). Wstęp do jasnej jaskini bezpłatny, płatny do ciemnej – odpuszczam ją, bo drogo 35 MR. Następnie jadę do wodospadów Kanching, tworzących serię kaskad spadających do oczek wodnych, w których można popływać. Z jaskiń Batu metrem linii 2 jadę do stacji Putra, gdzie przesiadam się na linię niebieską nr 2 i wysiadam na stacji Rawang. Stąd jest jeszcze 5 km do parku, gdzie są wodospady; można dojechać taksówką za 20 MR. Wracam do miasta, część drogi stopem, a resztę miejskim autobusem do dzielnicy Chinatown, gdzie jest dużo niedrogich hoteli. Jest tu dworzec autobusowy, gdzie kupuję bilet na autobus do Tanah Rata w Cameron Highlands na jutro na 9.30.

Dzień 3. Autobus jedzie około 4 godzin. Po drodze 15-minutowa przerwa przed barem, gdzie można zjeść posiłek. Autobus wspina się serpentynami przez góry porośnięte dżunglą. Wraz ze wzrostem wysokości zmienia się roślinność. Pojawiają się niezwykle malownicze paprocie drzewiaste, a jeszcze wyżej całe zbocza pokryte planta-

cjami zielonych krzewów herbaty. Po dojechaniu do miasteczka i wyjściu z autobusu od razu pojawiają się naganiacze, którzy zawożą mnie do hotelu Dew Drop Inn (adres 7A Jalan Jasar 39). Zostawiam rzeczy i ruszam w poszukiwaniu taksówki, którą za 90 MR jadę na szczyt góry Brinchang o wysokości 2031 m n.p.m. z wieżą widokową, najwyższego szczytu masywu Cameron Highlands. Droga biegnie przez miasteczko Brinchang z licznymi przydrożnymi straganami – akurat jest weekend i ludzie przyjechali na cotygodniowy targ. Dalej droga prowadzi przez plantacje herbaty. Z wieży widokowej na szczycie panorama na całą okolicę i pokrywające zbocza plantacje herbaty. W drodze powrotnej wstępuję na plantacje truskawek (uprawy hydroponiczne). Wracam do Tanah Rata i kupuję bilet na jutro do Penang. Miasteczko malowniczo położone, wokół liczne zagajniki paproci drzewiastych.

Dzień 4. Wyruszam o 9.00 rano do Penang, brakuje mi jednego dnia, aby odwiedzić tradycyjną wioskę rdzennych mieszkańców Orang Asli. Po 4 godzinach jazdy jestem na wyspie Penang. Zatrzymuję się w dzielnicy Chinatown w hotelu The small Inn (adres 19 Kimberley Street 10100 Palau Penang tel. 04-2626919) za 68 MR dwójka i 58 jedynka.

Na wyspie są dwa ciekawe miejsca. Wzgórze Penang o wysokości 821 m n.p.m., na które wjeżdżam kolejką szynową za 35 MR i największa w Malezji świątynia buddyjska Kek Lok Si. Aby trafić do wejścia, trzeba przejść obok straganów z pamiątkami. Nad świątynią góruje siedmiopiętrowa wieża o wysokości 30 m. W agencji turystycznej kupuję bilet do Medan na Sumatrze za 280 MR i powrotny na prom na wyspę Langkawi.

Dzień 5. Prom wypływa o 8.00 i 8.30, a wraca o 17.00 i płynie ok. 3,5 godziny. Największą atrakcją na wyspie Langkawi jest wjazd kolejką linową na jej najwyższy szczyt za 25 MR. Znajduje się on w zachodniej części wyspy. Widok z góry powalający. Turkusowe morze w dole, liczne wysepki. Kolejka gondolowa jest dwuodcinkowa. Pierwszy odcinek ostro pnie się do góry na wapienną iglicę, drugi łagodniejszy biegnie nad lasem deszczowym na główny szczyt, gdzie znajdują się dwa okrągłe tarasy widokowe połączone chodnikiem. Poniżej znajduje się chodnik widokowy Sky walk. Drugą atrakcją są piękne plaże z białym piaskiem okolone palmami kokosowymi nad turkusową wodą Morza Andamańskiego (najładniejsza Pantai Tengah Beach). Na Langkawi nie ma publicznego transportu, trzeba zorganizować sobie transport. Ja wynająłem auto z kierowcą za 120 MR. Wieczorem jestem z powrotem w Penang, 5 godzin na Langkawi wystarczyło w zupełności. Dłuższy pobyt dla lubiących plażowanie, ale woda miała ok. 30 stopni – zupa!!

Dzień 6. Następnego dnia wylatuję do Medan na Sumatrze. Po wylądowaniu jadę do Medan za 180 000 rupii. Niepotrzebnie, trzeba było od razu jechać do Parapat nad jeziorem Toba. Nocuję w tanim hotelu (Sultan Homestay Jl.511 Raja nr 66 Medan) za 80 000 rupii.

Dzień 7. Rano za 90 000 zamawiam transport do Parapat, gdzie docieram po 5 godzinach jazdy. Zatrzymuję się w hotelu w pobliżu przystani łodzi płynących na wyspę Samosir, cena pokoju 100 000 rupii. Zostawiam bagaż i płynę łodzią na wyspę za 10 000 rupii. Wyspa słynie z tradycyjnych domów Bataków, mających dwurogi dach przypominający rogi bawołu. Kręcę się trochę po wyspie, kąpię w jeziorze i ostatnim promem

o 17.30 wracam do Parapat. Rozmawiam z miejscowymi, czy w pobliżu nie rośnie największy kwiat świata – *Amorhopallus titanum*. Jeden z tubylców twierdzi, że kiedyś widział go w okolicy i namawia mnie na wycieczkę motocyklem wzdłuż brzegu jeziora do siebie tylko znanego extra punktu widokowego – podobno kiedyś widział tam ten kwiat. Udaje mi się dzięki powyższemu kwiatowi zbić cenę, bo jakos nie wierzę, że gość mówi prawdę. Staje na tym, że dostanie 220 000 jak nie będzie kwiatu, a 400 000 jak będzie.

Dzień 8. Rano ruszamy w drogę. Jedziemy wzdłuż brzegu jeziora na północ. Po około godzinie jazdy docieramy do tego punktu widokowego i okazuje się, że przewodnik miał rację. Widok na taflę jeziora piękny, brzeg okolony licznymi kwitnącymi na czerwono drzewami, a niedaleko brzegu jeziora ładna, wulkaniczna wysepka. Kwiatu oczywiście nie ma, ale dzięki temu mam ten piękny widok za dużo niższą cenę. Poza tym pokazuje mi Jack tree i owoc kakaowca oraz krzewy kawy i drzewa pełne awokado i durianów. Jednak warto było tu przyjechać. Po powrocie do Parapat kupuję bilet na autobus do Bukittingi za 250 000 rupii na godzinę 17.00 i bilet lotniczy z Padang do Jakarty na 20.20 za 2 dni za 790 000 rupii.

Dzień 9. Po 16 godzinach jazdy krętymi drogami docieram do Bukittingi o poranku. Przejeżdżający na skuterze student podwozi mnie gratis do centrum miasta z tanimi hotelami. Zatrzymuję się w hotelu Kartini, pokój 200 000 rupii ze śniadaniem (Jal. Teuku Umar 6 Bukittingi). Zostawiam rzeczy i jadę do oddalonego o 16 km rezerwatu raflezji – dojazd busem za 7000 rupii. Mam nadzieję znaleźć i raflezję, i dziwidło olbrzymie (*Amorfofallus titanum*). Po 30 min marszu przez dżunglę z przewodnikiem za 50 000 rupii znajdujemy kwiat raflezji o śr. 72 cm i krzew dziwidla, ale niestety bez kwiatu. Połowiczny sukces. Zaskoczony jestem tym, że tak niepozorny kilkunastocentymetrowy krzew może zakwitnąć tak ogromnym kwiatem. Niestety, zdarza się to bardzo rzadko, ostatnio podobno 6 miesięcy temu. Wracam do miasta i kolejnym busem za 10 000 rupii jadę do wąwozu Harrau. Po dojechaniu na miejsce okazuje się, że do wąwozu mam jeszcze 5 km. Pomoc oferuje mi chłopak na motorze i za 50 000 obwozi mnie po całym wąwozie – jego dnem biegnie droga. Ściany wąwozu są wysokie na kilkaset metrów, szerokość wynosi od kilkuset metrów do kilometra. Na dnie pola ryżowe i palmy kokosowe, ze ścian spadają wodospady. Jestem zaskoczony życzliwością Indonezyjczyków, przewodnik chce mi wszystko pokazać bez pośpiechu, żebym mógł spokojnie zrobić zdjęcie. Po zwiedzeniu wąwozu przewodnik odwozi mnie na przystanek autobusu, na który zdążam w ostatniej chwili przed ulową. Późnym wieczorem docieram do hotelu Kartini.

Dzień 10. Rano w agencji turystycznej wykupuję transport na lotnisko w Padang na godz 14.00 za 45 000 rupii. Mam wolne dopołudnie, więc idę obejrzeć kanion Siatok, na którego krawędzi leży Bukittingi. Wstęp do parku znajdującego się na brzegu kanionu kosztuje 10 000 rupii. W parku licznie chodzą małpy. Znajduje się tu wejście do zbudowanych przez Japończyków w czasie II wojny światowej sieci tuneli, ciągnących się kilometrami wzdłuż kanionu. Znajduje się tu także wieża widokowa z ładnym widokiem na kanion i płynącą jego dnem rzekę. Wracając, przechodzę jeszcze przez rynek z wieżą ratusza i to już ostatni punkt zwiedzania. Teraz czas jechać na lotnisko do Padang. Po ponad 2 godzinach jazdy docieram na lotnisko. Po drodze mijam ładny

wodospad. Wylatujemy w ulewie i po niecałych 2 godzinach lądujemy w Jakarcie. Jest prawie 23.00, więc nie opłaca mi się jechać do centrum. Między terminalami jeżdżą bezpłatne autobusy. Nie dajcie naciągnąć się taksówkarzom, którzy będą wam wmawiać, że w nocy nie jeżdżą. Jest to nieprawda, jeżdżą co 30 minut. Na terminalu znajduję biuro Air Asia, ale otworzą je dopiero o 3.20. Próbuję 4 godziny oczekiwania przespacerować na ławkach przed lotniskiem, bo na lotnisko bez biletu na lot wejść nie mogę. Po 3.15 czekam przed drzwiami biura Air Asii. Otwierają je punktualnie i bez problemów kupuję bilet na lot o 5.10 za 409 000 rupii.

Dzień 11. Wylatujemy punktualnie w ulewie. Samolot przebija się przez chmurę burzową, co chwilę widać rozbłysk od wyładowań, widzę nawet dwukrotnie linię pioruna przeskakującą między fragmentami chmury tuż koło samolotu. Dziwne, że nie ma turbulencji. Burze tropikalne nie są tak gwałtowne jak w strefie klimatu umiarkowanego, ponieważ nie mieszają się dwie masy powietrza różnego pochodzenia. Po wylądowaniu z chmury widać wyraźnie, jak w rozbłyskach ukazują się zarysy chmury mimo ciemności. Na horyzoncie w kierunku lotu widać blask nadchodzącego dnia. Po chwili wschodzi słońce i jesteśmy pod błękitnym niebem. Za oknami widok na stożki wulkanów i zieloną szachownicę pól ryżowych pomiędzy nimi. Od czasu do czasu widać kręte meandry rzek.

Po niecałej godzinie lotu ląduję w słonecznej Yogyakarcie (czytaj džogdży). Autobusem nr 1A linii Katerangan (linia żółta) za 3000 rupii jadę do dzielnicy Malioboro z licznymi tanimi hotelami. Nie należy zwracać uwagi na taksówkarzy i po wyjściu z lotniska iść ok. 200 m w prawo, potem w lewo, przejść przez tory i po kolejnych 200 m skręcić znów w lewo. Za chwilę jestem na przystanku, znajdującym się po lewej stronie drogi. W dzielnicy Malioboro bez problemu znajduję pokój za 100 000 rupii z wiatrakiem, bez klimatyzacji, z łazienką na zewnątrz. Zatrzymuję się tu na 2 noce.

Moja kolejna wskazówka, aby nie zapisywać się na wycieczki do świątyń w agencji turystycznej. Autobus 1A powyższych linii Katerangan za 3000 rupii po niecałej godzinie dowiezie nas do hinduistycznych świątyń Prambanan zbudowanych w IX wieku – należy dojechać do przystanku końcowego. Wstęp do świątyń drogi – 270 tys. rupii dla obcokrajowców. Przy kasie zakładają nam na biodra spódniczkę, żeby było wiadomo, że zapłaciliśmy za wstęp, a nie przeskoczyliśmy przez płot. Przy wyjściu trzeba ją zwrócić. Nie należy brać przewodnika. Młode dziewczyny praktykantki uczące się na przewodnika za darmo udzielą nam cennych informacji i jeszcze można sobie zrobić z nimi pamiątkowe zdjęcia. Trzeba być tu jak najwcześniej rano (czynne od godziny 6.00), potem robi się gorąco i są tłumy ludzi. Na jedną ze świątyń spadł głaz podczas wybuchu wulkanu Kelut w lutym 2014 roku, ale uszkodził ją nieznacznie. Mimo to jest zamknięta i trwają prace konserwacyjne.

Dzień 12. Następnego dnia jadę do świątyni buddyjskiej Borobudur. Z dzielnicy Malioboro autobusem 3A (linia fioletowa) do przystanku PKU (Ahmed Dahlan) i dalej autobusem 2B (linia niebieska) do terminalu Jombor. Cena za bilet jest zawsze ta sama 3000 rupii, niezależnie od tego, ile razy się przesiadamy. Z terminalu Jombor do Borobudur jedzie bus za 20 000 rupii. Wstęp do ruin świątyni 20 USD – lepiej płacić w dolarach, w rupiach niekorzystny przelicznik i wychodzi drożej.

Z Yogyakarty należy wyjechać o 6 rano pierwszym autobusem, to w świątyni będziemy przed 8 rano. Borobudur jest zdecydowanie ładniejsza, otoczona zielonym ogrodem z licznymi palmami kokosowymi, z wulkanami na horyzoncie w tle.

Po schodach wchodzi się pod szczytową stupę, będącą główną świątynią kompleksu, skąd rozpościera się cudowny widok. Jest 7 poziomów, po których można obejść świątynię dookoła i podziwiać widoki w różnych kierunkach. Została zbudowana w latach 782–812 n.e. przez Samaratunga. Po wyjściu z ruin dopadnie nas horda handlarzy, by nam coś wepchnąć. Ja kupiłem dmuchawkę ze strzałami za 100 000 rupii po targowaniu. W okolicy Yogyakarty są warte obejrzenia te 2 świątynie, poza tym nie ma nic ciekawego. Dostanie się stąd na płaskowyż Dieng jest kłopotliwe, trzeba jechać do Wonosobo, a to z Borobudur jeszcze 2 autobusy, a z Yogyakarty aż 5. Z tego co się zorientowałem, jest tam tylko kolorowe zielone jeziorko, trochę mniejszych świątyń i tereny z aktywnością wulkaniczną (fumarole). Jeśli ktoś był na terenach wulkanicznych gdzie indziej, można to sobie odpuścić. Jedzenie tańsze i to dużo na ulicznych straganach niż w restauracjach. Jeśli chodzi o zakupy, lepiej robić je w sklepach niż u ulicznych handlarzy, wyjdzie taniej.

Dzień 13. Z Yogyakarty jadę pociągiem do Probolinggo, bazy wypadowej do krateru Bromo. Bilet kosztuje 80 000 rupii i pociąg odjeżdża o 7.45 z dworca Lempuyangan, a do Probolinggo przyjeżdża o 16.00. Po wyjściu z pociągu należy wsiąść do stojącego naprzeciw dworca busa, który za 5000 rupii zawiezie nas do Centrum Informacji Turystycznej, a w rzeczywistości agencji turystycznej, gdzie wykupimy transport do wioski pod wulkanem Bromo w obie strony za 150 000 rupii (taniej się nie da). Nie należy natomiast kupować transportu do punktu widokowego Pelenjakon na wys. 2706 m n.p.m. za kolejne 150 000 rupii, dojdziemy tam na nogach w 1,5 godziny, trzeba tylko wyjść o 3.30, żeby zdążyć na wschód słońca, który jest o 5.30.

Dzień 14. Bus jedzie ok. 1,5 godziny, po drodze pobierają opłatę za wstęp do parku narodowego Bromo-Semeru-Tengger w wysokości 75 000 rupii. Najlepiej nocować w Cafe Lava hostel (tel. 0335 541020) za 150 000 rupii, pokój bez śniadania. Z hostelu idziemy 50 m w dół i skręcamy ostro w lewo. Po dalszych 100 m na rozwidleniu skręcamy w prawo i przechodzimy koło napisu Pelenjakon i kierujemy się na górę z widocznymi antenami przekaźnikowymi. Początkowo idziemy drogą, która przy budynku przechodzi w schody, prowadzące do punktu widokowego. Możemy podejść jeszcze kilka metrów w górę ścieżką do wypłaszczenia, tworzącego niewielką platformę widokową. Świt i słońce jak to w okolicy okołorównikowej pojawia się nagle. Oświetla krater Bromo i wulkan Semeru. Widok piękny, oświetlony wschodzącym słońcem na czerwono Bromo dymi z krateru, a wulkan Semeru wybucha, wyrzucając słup dymu i popiołu średnio co godzinę. Zbocza wulkanów poorane jakby potężnymi pazurami wznoszą się z rozległej płaskiej kaldery, która przed wschodem słońca przykryta była ścielącą się cienką warstwą mgły, rozpieńczającą się w pierwszych promieniach słońca. Za plecami zielone zbocza góry King Kong, tej z wieżami przekaźnikowymi.

Po nacieszeniu się widokiem idę dalej ścieżką na szczyt tej góry około 3 km z czego ostatnie 1,5 km po asfalcie, do którego dochodzi nasza ścieżka. Na szczycie jestem 6.30, podobny punkt widokowy tylko nieco wyżej o jakieś 300 m. Po 7.00 schodzę na

dół, teraz czas na krater Bromo. Z wioski chłopak zwozi mnie motorkiem na dno kaldery i pod krater Bromo. Chciał 50 000 rupii, utargowałem na 30 000. Jeszcze tylko 15 min podejścia (można wjechać na koniku za 100 000 rupii) i przejście schodów z 123 stopniami i jestem na brzegu krateru i mogę zajrzeć wulkanowi Bromo w trzewia. Mototaxi czeka na dole. O 9.15 jestem już w hotelu. Nie wykupiłem transportu w dół. Jest niby autobus publiczny do Probolinggo za 35 000 rupii, ale pusty, a ja jestem sam. Jest 10.30, a trzeba czekać do 12.00, jak nie będzie nikogo, to może nie pojechać wcale albo za opłatą 150 000 rupii – tak to już jest w Indonezji. Trafia się gość z motorem. Tu każdy na widok białego krzyczy „transport”, choćby miał tylko rower. Chce 100 000 rupii dają 50 000 i się zgadza. Po drodze staje mi w punktach widokowych i przy wodospadzie, którego nie zobaczyłbym z drogi, pewnie będzie chciał 20 000 więcej, bo marudzi, że nie ma papierosów – dużo Indonezyjczyków pali, nawet młodzież. I nie myślę się, więc daję mu te 20 000 więcej, jak dowozi mnie do miasta. Zamiast pod autobusem jak zwykle wysadza mnie pod agencją turystyczną (na pewno dostaje za to jakieś pieniądze). Tu chcą 200 000 rupii za transport do miejscowości Sempol – bazy startowej do krateru Ijen. Trzeba brać bez wahania tę opcję, bo za autobus publiczny do Boudonoso wart 20 000 biorą 45 000 rupii, a stamtąd do Sempol jest tylko 1 autobus o 14.00 i nie mam szans na niego zdążyć. Daję sobie radę, znajduję gościa, który za 130 000 rupii zawozi mnie motorem pod wskazany w Sempol hotel Arabica Gethouse, odległy o jakieś 16 km od Bondonoso. Zaoszczędziłem więc tylko 25 000 rupii i to po targowaniu. Hotel malowniczo położony z widokiem na dymiący na horyzoncie wulkan Ijen. Nocleg ze śniadaniem kosztuje 150 000 rupii.

Dzień 15. Z recepcjonistą ustalam, że o 4 rano zawiezie mnie motorem pod szlak do krateru Ijen za 90 000 rupii. Po godzinie jazdy docieramy do początku szlaku długości 3 km do brzegu krateru Ijen. Wstęp kosztuje 45 000 rupii. Wyruszam jeszcze w ciemnościach, szlak pnie się cały czas do góry, po drodze mijają mnie tubylcy, idący z koszami po siarkę do krateru. Tuż po wschodzie słońca jestem na brzegu krateru, z którego rozpościera się cudowny widok na turkusowe jezioro kwasu siarkowego, w którym odbijają się kolorowe ściany krateru. Część widoku przysłonięta przez dym wydobywający się z dna krateru, z miejsca, gdzie wydobywana jest siarka. Tubylcy niczym mrówki pną się z ładunkiem siarki ok. 400 m w górę z dna do brzegu krateru. Siarka jest załadowana do 2 koszy umieszczonych na końcach bambusowego kija opartego na ramieniu niosącego ładunek. Ma on wagę od 70 do 90 kg. Robotnicy wykonują 2 kursy dziennie. Za 10 kg siarki mają płacone 7000 rupii (około 2 PLN) – czyli maksymalnie 18 zł od kursu. Schodzę na dno krateru, aby doświadczyć, w jakich warunkach pracują ci ludzie. Opary SO_2 gryzą w oczy i nos, wychodzenie do góry w tych warunkach jest bardzo uciążliwe, nawet bez żadnego obciążenia, a co dopiero z 90 kg na grzbiecie. Poza tym robotnicy idą w klapkach albo gumowcach. Po godzinie ósmej nad kraterem zaczynają gromadzić się chmury i czas wracać na dół. Po 9.30 jestem z powrotem w hotelu.

Po śniadaniu dowiaduję się o autobus do Bondonoso – pierwszy jedzie o 13.00. Idę na przystanek ok. 1 km od hotelu, gdzie jestem około godziny 12. Po 15 min przejeżdża ciężarówka, której kierowca proponuje podwiezienie mnie do Bondonoso. Nie za-

stanawiam się ani sekundy. Miły kierowca wysadza mnie na przystanku autobusowym przy drodze z Bondonoso do Situbondo. Po chwili przyjeżdża bus publiczny i jadę do Situbondo, gdzie po 30 min oczekiwania odjeżdża autobus do Ketapang, portu promów na wyspę Bali, cena biletu 7500 rupii. Z dworca busem za 5000 rupii dojeżdżam do terminalu promów na Bali. Jeszcze dobrze nie wysiadłem z busa, a już czeka kierowca autobusu jadącego z Jakarty do Denpasar na Bali i zabiera mnie razem z plecakiem na pokład autobusu – płacę 100 000 rupii za bilet i nie przejmuję się już przeprawą promową, bo mam to wliczone w cenę biletu.

Do Denpasar dojeżdżamy po 22 i nie ma już chętnych na przejazd do Kuty, gdzie jeżdżą busy z terminalu Ubud. Pozostaje mi jechać za 100 000 rupii do taniego hotelu w Denpasar, za który płacę 100 000 rupii.

Dzień 16. Rano bemo za 30 000 rupii bez problemu dostaję się do centrum Kuty. Najwięcej tanich hoteli jest w okolicy skrzyżowania ulic Jl. Legan i Jl. Pantai Kuta. Zatrzymuję się w hotelu Adus Beach Inn (e-mail adusbeach@yahoo.com) przy Lebak Bena Street. Cena za pokój 1-osobowy/2-osobowy ze śniadaniem 200 000/250 000 rupii. Położony 10 min od plaży Kuta, pokoje dookoła tropikalnego ogrodu z basenem. W agencji turystycznej obok hotelu kupuję bilet lotniczy do Maumare na wyspie Flores za 1 750 000 rupii na 30 marca (za 2 dni), ponieważ 31 marca na Bali jest święto ciszy i nie pracują żadne urzędy – Bali zamiera na 1 dzień. Potem za 60 000 rupii wynajmuję motor i jadę do świątyni Ulu Wat na południowym klifie półwyspu Bukit, gdzie codziennie o 18 odbywa się taniec kecak. Wstęp na teren świątyni 25 000 rupii, opłata za taniec kecak 100 000 rupii. Świątynia Ulu Wat znajduje się na ponad 100 m klifie, można przejść ścieżką wzdłuż klifu i podziwiać wieżyczkę świątyni z prawej i lewej strony. Taniec kecak trwa ponad godzinę, kiedy się kończy, jest już całkiem ciemno. Duże wrażenie robią śliczne balijskie tancerki wymalowane jak laleczki. Na koniec można zrobić sobie z nimi zdjęcie. Wracam na swoim motorku do Kuty i postanawiam zatrzymać go na jutrzejszy dzień i pojechać do tarasów ryżowych i kaldery Batur. Trzeba wiedzieć, że na Bali na wypożyczenie motoru lub auta niezbędne jest międzynarodowe prawo jazdy, sprawdza to skrupulatnie policja.

Dzień 17. Wyjeżdżam o 7.30 kierując się najpierw na Sanur, a potem na Ubud. Ruch na drodze duży. Tarasy ryżowe leżą 10 km na północ za Ubud. Robią wrażenie, są cudownie zielone i poprzetykane palmami kokosowymi. Wulkan i jezioro Batur najlepiej widać z brzegu kaldery, choć można zjechać stromymi serpentynami na jej dno. Po drodze mijam liczne świątynie balijskie z charakterystycznymi wieżyczkami krytymi czymś podobnym do naszej strzechy. Do Kuty wracam po godzinie 15 i idę na plażę, która jest osłą łączką dla uprawiających surfing, zawsze są tu co najmniej 2-metrowe fale. Po ślicznym zachodzie słońca idę na masaż balijski całego ciała, 1 godzina kosztuje 50 000 rupii (niecałe 5 dolarów USD).

Dzień 18. Następnego dnia o 13.50 (1 lot dziennie) lecę do Maumare. Taxi na lotnisko kosztuje ok. 50 000 rupii (taxi jest najtańszą opcją). Lot super widokowy. Widok na wysepki zatoki Komodo i otaczające je rafy jest z góry niesamowity. Po niecałych 2 godzinach lotu ląduję w Maumare na wschodzie wyspy Flores. Taxi za 50 000 rupii jadę na dworzec, skąd o 17.30 odjeżdża bus do Moni, wioski będącej bazą wypadową

na wulkan Keli Mutu. Cena biletu 125 000 rupii nie podlega negocjacji. Jedzie się około 3 godzin. Kierowca busa wysadza mnie w Moni przed hotelem Bintang Lodge – pokój ze śniadaniem 200 000 rupii (e-mail cafe.bintang@ymail.com). Tak przy okazji Bintang to indonezyjskie piwo (drogie 0,5 l kosztuje ok. 30 000 rupii – bo to kraj muzułmański). Od razu umawiam się z miłym chłopakiem o imieniu Billy, siostrzeńcem właściciela na kurs bemo o 4 rano do szlaku na wulkan Keli Mutu – koszt 150 000 rupii.

Dzień 19. O 4.00 jestem gotowy, razem ze mną jedzie para Francuzów. Po niecałej godzinie jazdy docieramy do parkingu, z którego pozostaje przejść łatwym szlakiem jakieś 25 minut do punktu widokowego. Jeszcze tylko opłata za wstęp 20 000 rupii i jeszcze w ciemnościach ruszam na szlak. Kiedy dochodzę do punktu widokowego, zaczyna świtać. Wschód słońca piękny, niebo czyste. Słoneczko oświetla krater z 2 jeziorami, leżące nieco wyżej koloru oliwkowozielonego i drugie koloru czarnego. Z drugiej strony jest trzecie jezioro koloru niebieskiego. Spędzam około godziny na wierzchołku i wracam do auta. Po powrocie jemy śniadanie i dogaduję się z dwójką Francuzów, że też chcą się dostać do Lubuhan bajo (czytaj lambubadzo) na zachodnim krańcu wyspy Flores nad zatoką Komodo jak i ja. Drogą lądową to kilkanaście godzin jazdy z trzema przesiadkami, więc decydujemy się na lot z Endeh odległego o 2 godziny jazdy bemo z Moni. Według właściciela hotelu mamy lot o 15. Wyjeżdżamy około 9.30. Jako że jest nas trójka, cena przejazdu jest niższa – 250 000 za kurs – czyli na osobę wychodzi 84 000 rupii. Na lotnisku jesteśmy 11.25 i okazuje się, że mamy samolot linii Trans Nusa za kilka minut. Decydujemy się natychmiast, kupujemy bilet za 651 000 rupii, dostajemy w ciągu 5 min karty pokładowe i po dalszych 5 minutach siedzimy w samolocie. Lot trwa 50 minut, podczas lądowania piękne widoki na wysepki i rafy zatoki Komodo. Z lotniska taksówką jedziemy za 50 000 rupii (na osobę 17 000) do portu. Wycieczki na wyspę Rinca zaczynają się o 8 rano, więc jestem zmuszony tu nocować. Tuż obok jest hotel Gardena z bungalowami za 177 000 za noc ze śniadaniem typu szwedzki stół.

Przy lotach wewnętrznych płaci się 30 000 rupii, a 10 000 przy locie z Endeh do Labuhan bajo, opłaty wylotowej. W agencji turystycznej kupuję całodzienną wycieczkę na wyspę Rinca za 350 000 rupii. Mam szczęście, bo płynie jeszcze 2 Amerykanów z Kalifornii i płacę tylko 1/3 ceny. Poza tym kupuję za 330 000 rupii bilet do Mataram na wyspie Lombok. Jest to cena za prom na Sumbawę do Sape+bus z Sape do Bimy + autokar z Bimy do Mataram + prom z Sumbawy na Lombok (cała podróż trwa jakieś 22 godziny). Popołudnie spędzam na kąpeli na plaży odległej 1 km od portu i wycieczce na górzysty półwysep wrzynający się w morze za miastem. Zauważyłem go już z samolotu przy lądowaniu. Zainteresowały mnie porośnięte zieloną trawą i zagajnikami palm kopalaste wzgórza wznoszące się na wysokość 300–400 m n.p.m. Na pierwsze ze wzgórz znajduję ścieżkę. Przede mną widoczny pokryty wzgórzami półwysep. Jakis 1 km dalej widzę najwyższe wzgórze, które zasłania mi widok, ale nie mam czasu już tam iść. Podziwiam przez chwilę widok na zatokę. Widok z góry na liczne wysepki zatoki imponujący, wierzchołki wzgórz łyse, a na zboczach liczne rzadko rosnące palmy – typowy obraz sawanny. Robi się już ciemno, przyszedłem tu pieszo jakieś 3–4 km z miasta, więc pora wracać. Schodzę do drogi i na moje szczęście zabiera mnie dwójka chłopaków na trzeciego na motor i podwożą mnie pod sam hotel (Indonezyjczycy są uczynni).

Dzień 20. Rano o 8.00 wypływamy łodzią na wyspę Rinca. Płyniemy wśród licznych wysepek, widok na zielone wzgórza porośnięte przez pojedyncze palmy jest cudowny. Zieleń ma odcień naszej majowej wczesnej trawki – чудо. Po dopłynięciu do Rinki idziemy z przewodnikiem na trasę po sawannie w poszukiwaniu smoków. Znajdujemy kilka około 2-metrowych osobników. Przewodnik pozwala nam zbliżyć się do nich na odległość 6 metrów, bliżej nie można, bo są naprawdę szybkie, a poza tym w ich ślinie obecne są bardzo zjadliwe bakterie. Zwierzę ugryzione przez warana ginie z powodu zakażenia po upływie tygodnia. Rzeczywiście z bliska przypominają baśniowe smoki. Poza Rinką występują jeszcze na sąsiedniej wyspie Komodo. Wychodzimy jeszcze na punkt widokowy na wyspy i okalające ich turkusowe wody. W drodze powrotnej zatrzymujemy się na wysepce z cudowną plażą i rafą koralową. Snoorkujemy jakąś godzinę, potem wchodzę na szczyt wysepki, górujący jakieś 50 m nad morzem. Ścieżka krótka, ale bardzo stroma, za to widok z góry rewelacyjny na biały klin plaży wrzynający się w turkusowe wody oblewające wyspę, kontrastujące z błękitem w miejscu, gdzie kończy się rafa koralowa. Do miasta przyплиwamy przed 16, więc mam jeszcze 3 godziny dnia i wypożyczonym na 3 godziny motorem za 40 000 rupii jadę na wczorajszy półwysep. Idę na najwyższe wzgórze przez wysoką trawę zakończoną harpunowatym kolcem. Wbija się on w koszulkę i nie wychodzi, więc po takim marszu wyglądam jak jeżozwierz. Za to widok z góry niesamowity, już na cały półwysep pokryty dziesiątkami kopulastych, łysych na czubkach wzgórz, których stoki w dolnej części porastają pojedyncze palmy. Wędrówka daje mi się w kość, bo jest strasznie gorąco, pot leje się ciurkiem. Po zejściu do motoru jadę na plażę, którą wypatrzyłem z góry i po kąpieli już w zapadających ciemnościach wracam do hotelu.

Dzień 21. Rano o 9.00 wypływam promem do Sape na Sumbawie. W porcie na podstawie kwitu z biura podróży dostaję bilet na autobus linii Langsung Indah, który o 19.00 wyjeżdża z dworca w Bimie do Mataram na Lomboku. Prom płynie prawie 6 godzin. Po dopłynięciu do Sape czeka bus, który dowozi nas do dworca autobusowego w Bimie. Tam mam 2 godziny czasu do odjazdu autokaru, w sam raz, aby pójść na tani, smaczny obiadek w dworcowym barze. Wreszcie widzę dworzec autobusowy, jaki mi jest znany z Europy.

Dzień 22. Rano o 7.00 jestem już w Mataram. Po wyjściu z autobusu od razu werbują mnie na 3-dniowy trekking na wulkan Rinjani o wysokości 3726 m n.p.m. Za cenę 2 500 000 rupii oferują dowóz do punktu startowego w miejscowości Senaru i transport do portu na wyspę Gili Air po skończonym trekkingu z Sembalun i wszystkie koszty związane z trekkingiem (noclegi, wyżywienie, przewodnik). Po dojechaniu do Senaru i zakwaterowaniu w hotelu organizatora trekkingu ruszam zobaczyć wodospady. Wstęp kosztuje 10 000 rupii. Szlak prowadzi po schodach w dół, którym idzie się jakieś 10 minut. Pierwszy wodospad Singang Gila jest dwu kaskadowy wysokości około 100 m, woda w rzece kryształowo czysta i ciepła jakieś 20 st. C, cudowna do orzeźwiającej kąpieli. Siedzę w wodzie ponad godzinę, rozkoszując się chłodem wody i widokiem pochylających się nad strumieniem paproci drzewiastych, po których skaczą małpy. Potem idę do drugiego wodospadu Tiu Kelep, o którym nieopatrnie wspomniał przewodnik przy kasie, proponując swoje usługi wska-

zania drogi do najładniejszego wodospadu wyspy Lombok. Przed schodami odchodzi w lewo nieoznakowana ścieżka. Domyślam się, że prowadzi ona do tego drugiego wodospadu. Prowadzi dalej przez mostek z akweduktem do nawadniania pól ryżowych i dalej do strumienia, którym należy iść 200 m po skończeniu się ścieżki. Potem na lewym brzegu strumienia jest kontynuacja ścieżki, wyprowadzająca po 300 m na szeroką wstęgę kilkudziesięciometrowego wodospadu. Wracając, jeszcze raz zaliczam ochładzającą kąpiel przed wędrówką schodami w górę do wioski. Wracam do hotelu. Z werandy mojego domku mam widok na pola ryżowe w dole. Chłonę widok z fotela, zając rambutany.

Dzień 23. Rano o 8.00 wyruszamy na szlak. Idę w 7-osobowej grupie. W pierwszym dniu wędrówki początkowo przez dżunglę, a potem coś w rodzaju sawanny, po pięciogodzinnej wędrówce osiąga się Pelawangan I na brzegu krateru, na wysokości 2600 m n.p.m., gdzie rozbija się obóz i nocuje w namiotach. Tragarze przygotowują Nasi goreng – tradycyjną potrawę z makaronu, marchewki, zielonego groszku, z jajkiem sadzonym, chrupkami ziemniaczanymi z dodatkiem słodkiego sosu sojowego i oczywiście wszechobecnej papryczki chili. My w tym czasie podziwiamy rozległą zieloną taflę jeziora, wypełniającą kalderę i stożek wulkaniczny, z którego macki zastygłej lawy spływają do wody. Po chwili zza chmur wyłania się właściwy wierzchołek Rinjani. Mamy również doskonały widok na północne wybrzeże Lomboku i łańcuszek trzech wysepek Gili.

Dzień 24. Następnego dnia rano schodzimy 2 godziny na dno kaldery, popływać w jeziorze leżącym na wysokości 2000 m n.p.m. Woda ciepła ok. 20–21 st. C. Potem idziemy do pobliskich gorących źródeł, które znajdują się u podstawy kilkunastometrowego wodospadu. Ich temperatura wynosi około 40 st. C. Po lanczu ruszamy ponownie w górę na drugą stronę kaldery, gdzie dochodzimy po 3 godzinach marszu stromym szlakiem. Miejsce to nazywa się Pelawangan II i leży na wysokości 2900 m n.p.m. Tu zatrzymujemy się na drugi nocleg.

Dzień 25. O godz. 2.30 wyruszamy w kierunku szczytu po obsuwającym się zboczu. Na szczycie jestem około 6 rano. Widok na kolorowe skały i kalderę z jeziorem niesamowity. Jeszcze tylko 6 godzin marszu w dół i kończymy trekking w wiosce Sembalun. Stąd auto zabiera nas po bagaże do Senaru i dalej do przystani łodzi na wyspy Gili. Na Gili Air najbliższą z 3 wysp płynie się 15 minut za 50 000 rupii.

Znajduję tani bungalow za 150 000 rupii z hamakiem na werandzie.

Dzień 26. Rano o godz. 6.00 podziwiam wschód słońca wyłaniającego się obok szczytu Rinjani na horyzoncie i oświetlającego pomarańczową smugą wody morza. Pływam na rafie na wschodnim brzegu wyspy do godziny 8.15. Widzę ośmiornicę, langustę i liczne kolorowe ryby i koralowce. Po śniadaniu idę brzegiem wyspy. Widoki ładne, liczne zagajniki palm kokosowych, białe plaże i cudownie turkusowa laguna sięgająca 300–400 m od brzegu do krawędzi rafy. Po drodze w poprzek ścieżki widzę 3-metrowej średnicy pajęczynę z dwoma ogromnymi pajakami o średnicy co najmniej 5 cm.

Pływam jeszcze w kilku miejscach, ale najładniejsza była pierwsza rafa na wschodnim wybrzeżu. Dookoła wyspy jest droga, po której jeżdżą bryczki zaprzęgnięte do pojedynczego konia – takie wyspiarskie taksówki. Wykupuję transport na Bali (wodo-

lot+bus na Bali do Kuty) – ceny od 250 000 – 350 000 rupii). Ostatni wodolot płynie o 15.00. Najpierw płynie na Lombok wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża. Po drodze mijamy zatoczki z ładnymi plażami otoczone przez palmy kokosowe. Potem płyniemy na Bali. W porcie czeka na nas bus, który rozwozi pasażerów do wybranych hoteli, mnie do znanego mi już z wcześniejszego pobytu hotelu Adus Beach Inn. Cała podróż zabiera prawie 5 godzin.

Dzień 27. Rano idę jeszcze ostatni raz wykąpać się na plaży Kuta i pobawić na wysokich falach. Potem jeszcze godzinny masaż stóp za 50 000 rupii i jadę na lotnisko. O 14.50 mam lot do Singapuru. Archipelag indonezyjskich wysepek przed Singapurem z góry wygląda niesamowicie. Wysepki z piaszczystymi plażami otoczone przez rafy koralowe. Singapur wita mnie deszczem. Jadę metrem zieloną linią do stacji Durtam Park (trzeba przesiąść się na drugim przystanku Tanak Merah) i jeszcze jeden przystanek linią fioletową do Chinatown, gdzie znajduję nocleg za 30 dolarów singapurskich. Bilet na metro z lotniska do Chinatown kosztuje 2,5 singapurskiego dolara (do nabycia w automacie).

Dzień 28. Mam cały dzień na zwiedzanie Singapuru. Zaczynam od najbliższej chińskiej świątyni Thian Hock Keng – najstarszej i najważniejszej świątyni fukien w Singapurze. Drugą ciekawą budowlą jest Sti Mariamman, najstarsze hinduistyczne sanktuarium w kraju. Co roku pod koniec października odbywają się tu obchody święta Thimithi, podczas którego wierni chodzą po rozżarzonych węglach.

Kolejnym moim celem jest góra Faber o wysokości 116 m i wyspa Sentosa; należy dojechać metrem do końcowej stacji Harbour Front linią fioletową (2 przystanki z Chinatown). Po wyjściu z metra kierujemy się na widoczny naprzeciwko wysoki budynek połączony z górą Faber i wyspą Sentosa linią kolejki linowej. Aby się dostać do gondoli, należy wjechać windą na 15 piętro, kasy są na parterze, bilet kosztuje 26 singapurskich dolarów. Najpierw jadę na górę Faber, a potem na wyspę Sentosa. Można w przeciwnym kierunku, zależy to od tego, czy wjedziemy na górę windą po lewej czy prawej stronie budynku. Z góry Faber ładny widok na wyspę Sentosa i linię kolejki gondolowej oraz na wieżowce miasta z drugiej strony. Na szczycie można pospacerować po parku wśród kwitnących drzew. Potem jadę na wyspę Sentosa, kapitalny widok na cieśninę i park wodny na Sentosie z basenami o różnych kolorach dna. Na Sentosę można też dostać się pociągiem Sentosa Express jadącym po grobli.

Na wyspie odwiedzam kilkunastometrowy pomnik Lwa, jako że jestem w mieście Lwa (Singha to lew), wjeżdżam obracającą się dookoła osi platformą widokową na wysokości na kilkadziesiąt metrów górujący nad wyspą słup – Tiger Sky Tower za 15 singapurskich dolarów. Widok z góry bardzo ładny na liczne małe wysepki i wszystkie atrakcje wyspy Sentosa. Następnie odwiedzam najbardziej na południe wysunięty punkt kontynentalnej Azji, na wysepce połączonej wiszącym mostem z Sentosą, gdzie znajdują się dwie otoczone palmami wieże widokowe i piękne piaszczyste plaże. O dziwo, woda całkiem czysta zachęca do kąpieli, tym bardziej że na plaży jest prysznic.

Następnie jadę linią fioletową metra do dzielnicy Little India, do sanktuarium Sakaya Muni Buddha Gaya, zwanego świątynią Tysiąca światła, gdzie znajduje się kilkunastometrowy złotego koloru posąg siedzącego Buddy. Należy wysiąść na przystanku Farrer

Park. I to już ostatni punkt wyprawy, robię zakupy w markecie, zostawiam ostatnie 2,5 dolara singapurskiego na metro na lotnisko.

O 20.20 mam lot do Warszawy z przesiadką w Doha. Na lotnisku Chopina jestem 10 kwietnia o 6.25 po prawie 14 godzinach lotu.

Podsumowanie

Indonezja jest krajem w miarę tanim. Średnia miesięczna pensja wynosi tu 150 EUR. Jedzenie tanie, zwłaszcza na ulicznych straganach. Jest bezpiecznie, ludzie są życzliwi i uśmiechnięci, nie spotkałem się z żadnym przejawem agresji. Należy tylko unikać dworca autobusowego w Medan na Sumatrze ze względu na kieszonkowców. Turyści chętnie pozują do zdjęć, czasem nawet sami proponują, że chcą sobie zrobić z nami fotkę – biały widocznie stanowi dla nich atrakcję.

Z Wysp Świętego Tomasza i Książęcej do Angoli



Dwa lata temu byliśmy świadkami obchodów karnawału w Republice Zielonego Przylądka. Kontynuując więc luzofońską tradycję hucznych zabaw przed Środą Popielcową i przemieszczając się jednocześnie na południe, trafiliśmy do małego, rzadko odwiedzanego kraju, jakim jest Demokratyczna Republika Wysp Świętego Tomasza i Książęcej. Po tygodniu ulegliśmy jednak pokusie odwiedzenia kolejnej byłej portugalskiej kolonii – Angoli, dokąd zabrał nas samolot narodowych linii tego kraju. To w końcu tutaj mieszkał w Luandzie przez kilka miesięcy Ryszard Kapuściński, a w Bengueli urodził się jeden z bardziej znanych pisarzy angolańskich – Pepetela.

Termin: 21 lutego – 10 marca 2017

Uczestnicy: 2 osoby (Kolega Artur i ja)

Trasa: Sao Tome – Santo Antonio – Roca Abade – Roca Belo Monte – Praia Grande – Wyspa Bom Bom – Roca Sundy – Sao Tome – Sao Joao dos Angolares – Trinidad – Bom Sucesso – Lagoa Amelia – Roca Monte Café – Sao Tome – Luanda – Pungo Andongo – Kalandula – Luanda – Benguela – Lubango – Tundavala – Serra da Leba – Namibe – Tombua – Namibe – Lobito – Luanda

Przelot: Polecieliśmy portugalskimi liniami TAP do Sao Tome e Principe (tak po portugalsku mówi się na Wyspy Świętego Tomasza i Książęcej), gdyż z Europy to jedyny przewoźnik, oferujący loty do tego kraju (z postojem w Akrze). Na Wyspę Książęcą wykupiliśmy bilety w narodowych liniach STP Airways i to kosztowało nas około 150 EUR za bilet powrotny. Pomiedzy Wyspą Świętego Tomasza a Luandą w Angoli lata trzy razy w tygodniu samolot angolańskich linii TAAG. Bilet na to połączenie to wydatek 300 USD. Z Angoli do Europy wróciliśmy także liniami TAP bezpośrednio do Lizbony. Bilety do Sao Tome i powrotny z Angoli do Polski kupiliśmy za mile z sojuszu Miles and More. Zapłaciliśmy tylko opłaty lotniskowe w wysokości około 1500 PLN. Bilet kupowany standardowo na stronie przewoźnika kosztowałby dużo więcej.

Waluta: Walutą używaną na Wyspach Świętego Tomasza i Książęcej jest dobra. Kurs dobra jest ustalony na „sztywno” w stosunku do euro i wynosi 25 000 dobra za 1 euro.

Kurs dolara ulega już fluktuacjom i w trakcie naszego pobytu płacono za niego 22 000 – 23 000 dobra, czyli paradoksalnie korzystniej było wymieniać tę walutę.

W Angoli środkiem płatniczym jest kwanza. Istnieją dwa kursy wymiany walut – oficjalny bankowy i ten mniej oficjalny, uliczny, czyli czarnorynkowy. Gdy byliśmy w Angoli (marzec 2017), sytuacja była o tyle skomplikowana, że w bankach skupowano dolary po około 160 kwanza za dolara, ale już ich nie sprzedawano. W kraju brakowało dolarów i euro, więc władze wstrzymały właściwie sprzedaż tej waluty. Na czarnym rynku dolary skupowano po kursie 400-450 kwanza i trochę drożej sprzedawano – nawet po 500 kwanza. Przez te zawirowania kraj ten z bardzo drogiego dla przybysza z Europy stał się zupełnie niedrogi.

Wizy: Obywatele państw UE, w tym Polski, są zwolnieni z obowiązku wizowego przy wjeździe na Wyspy przy pobycie nieprzekraczającym 15 dni. Chcąc wjechać turystycznie do Angoli, musimy mieć wizę. O ile kilka miesięcy czy lat temu uzyskanie takiej wizy nastroczało wiele trudności, o tyle dzisiaj to właściwie formalność trwająca najdłużej kilka dni. W Warszawie jest Ambasada Angoli, która wydaje takie wizy i wymaga do ich uzyskania kilku dokumentów, takich jak: potwierdzenie rezerwacji hotelu (niekoniecznie opłaconej), biletów lotniczych, żółtej książeczki, wystarczających środków na pobyt i zdjęcia. Najlepiej przed aplikowaniem sprawdzić dokładne wymagania, gdyż zmieniają się one dość często. W styczniu 2017 roku koszt takiej wizy wynosił 140 USD.

Bezpieczeństwo: W dużym skrócie można by stwierdzić, że Wyspy Świętego Tomasza i Książęca to bardzo bezpieczny kraj. Nie oznacza to jednak, że możemy wszystko zostawiać bez opieki. Sami padliśmy ofiarą małych dzieci-łodzięszków, które okradły nasze namioty, zabierając jedzenie i kosmetyki, podczas naszej nieobecności na Plantacji Abade. Generalnie nawet wieczorne czy nocne spacerowanie po stolicy – Sao Tome – odbywało się bezproblemowo.

Nieco inaczej wygląda sytuacja w dużo większej Angoli. Wojna skończyła się tutaj już kilkanaście lat temu i właściwie śladów jej próżno szukać przynajmniej w miastach na wybrzeżu atlantyckim. Większość terytorium Angoli jest dzisiaj bezpieczna i nawet owiana złą sławą Luanda nie jest wcale taka przerażająca. Jeżeli miałbym porównać poziom bezpieczeństwa dzisiejszej Angoli z tym z Republiki Południowej Afryki, to ten pierwszy kraj wypada dużo, dużo lepiej. Wiarygodnym źródłem informacji na temat sytuacji w poszczególnych prowincjach jest strona brytyjskiego Foreign Office <https://www.gov.uk/foreign-travel-advice>, z której wynika (i potwierdzają to sami Angolaniecy), że jedynymi prowincjami, w których trzeba zachować dużą ostrożność jest Cabinda i Lunda Norte.

Transport: Na Wyspie Książęcej sytuacja transportowa jest o tyle skomplikowana, że nie kursują tutaj żadne taksówki i trzeba mieć własny transport albo wynająć go. Najlepiej zrobić to w jednej z Plantacji, w której zatrzymaliśmy się. Auto z napędem na cztery koła (polecam na te drogi) i kierowcą to wydatek około 70 euro dziennie. Można wtedy bezproblemowo dotrzeć do najciekawszych miejsc na wyspie.

Na Wyspie Świętego Tomasza sytuacja jest łatwiejsza, gdyż między stolicą a innymi miastami czy wioskami kursują minibusy, za które płacimy niewielkie kwoty (1-3 euro). Chcąc jednak zatrzymywać się po drodze i np. robić zdjęcia, musimy wynająć auto (lub

taksówkę). Koszt takiej taksówkarskiej usługi to 40 – 50 euro dziennie. Kierowca zawiezie nas dokąd chcemy i poczeka, ile chcemy.

W Angoli transport publiczny jest słabo rozwinięty. Na dłuższych trasach (np. Luanda – Malanje czy Luanda – Benguela) kursują duże autobusy, ale gdy dojedziemy do danego dworca, musimy radzić sobie sami. W takim sensie, że liczba taksówek jest bardzo ograniczona i przedostanie się gdzieś w obrębie miasta z bagażami nastrocza trochę problemów. Nie wspominając już o tym, że nie zobaczymy nic ciekawego po drodze, gdyż autobusy rejsowe nie zatrzymują przy żadnych atrakcjach typu Wodospady Kalandula czy Pungo Andongo. Wtedy potrzebny jest własny transport i na to rozwiązanie zdecydowaliśmy się. Nie jest to jednak w Angoli tanie. Koszt wynajęcia najmniejszego z możliwych aut w jednej z trzech operujących na lotnisku wypożyczalni (np. Europcar) to około 16 000 kwanza za dzień plus dodatkowe ubezpieczenie na wyjazd poza stolicę. Jeżeli dokonamy tej transakcji poprzez system bankowy (np. karta kredytowa), to koszt takiego wynajmu będzie oscylował wokół 100 euro dziennie. Można te koszty zminimalizować, płacąc za auto, jeżeli to możliwe, gotówką wymienioną wcześniej na czarnym rynku. Własne auto daje jednak dużą swobodę i możliwość zobaczenia wszystkich atrakcji po drodze.

W dużych miastach, takich jak Luanda czy Lubango, funkcjonuje miejski transport prywatny w postaci minibusów, zwanych tutaj candogeiros, gdzie za niewielkie kwoty możemy przedostać się z jednej dzielnicy do drugiej. Poziom bezpieczeństwa przejazdu w tym przypadku pozostawia jednak wiele do życzenia. Kierowcy jeżdżą za szybko i często dochodzi do wypadków.

Zdrowie: Polecam stronę who.int. Największym zmartwieniem podróżujących do Angoli i na Wyspy Świętego Tomasza i Książęcą, oprócz chorób, przeciw którym szczepionki są dostępne, będzie zapewne malaria. Zagrożenie malarią istnieje cały rok. Jako profilaktykę do wyboru mamy lariam, malarone albo doxycylinę. Osobiście zawsze zabieram moskitierę lub namiot, który rozbijam (bez tropiku) nawet w hotelowych pokojach. Dobrze chroni przed natrętnymi moskitami.

Jeżeli chodzi o warunki sanitarne, w jakich przygotowywane jest jedzenie, to bardziej przypominają one RPA niż Afrykę Zachodnią. Jest dość czysto i przez cały pobyt nie mieliśmy żadnych dolegliwości żołądkowych.

Przewodniki i literatura: *Sao Tome e Principe*, Bradt 2014; *The Birds of Sao Tome e Principe*, Aves and Fotos Editora 2009; *Angola*, Bradt 2013. Literatura dostępna na mojej stronie www.kolumb.w.pl w zakładce Biblioteka.

RELACJA Z PODRÓŻY

21 lutego. W pogodny poranek, punktualnie o 9.35 startujemy niewielkim airbussem ze stołecznego lotniska w Lizbonie. Kierunek – była portugalska kolonia zlokalizowana na równiku w zachodniej części afrykańskiego kontynentu, niedaleko wybrzeży Gabonu. Samolot lecący do wyspy Świętego Tomasza jest wypełniony prawie po brzegi, nie dając wielkich perspektyw na wygodny ponad pięciogodzinny odcinek trasy do Akry. Zobaczymy, jak będzie dalej, może akurat dzisiaj niewiele osób planuje odwiedzić te zagubione na Atlantyku wysepki i wysiądzie zgodnie w stolicy Gha-

ny, zwalniając nam tym samym więcej siedzeń do odpoczynku. Lecimy nad marokańskim pasmem Atlasu, gdzie ośnieżone szczyty górują nad brązowymi wadi (dolinami) porośniętymi zielonymi palmami i malowniczymi ksarami, a dalej kierujemy się nad ogromną Saharę, aby przelecieć nad skrawkiem coraz spokojniejszej Algierii i opanowanym przez ekstremistów Timbaktu w Mali. Gdzieś w dole majaczy wąska strzaka rzeki Niger, Sahel otaczający stolicę Burkiny Faso, a w końcu zielone, wilgotne lasy Ghany. W Akrze, gdzie Atlantyk rozbija się o jasnobrązowe, miejscami klifowe krańce dawnego Złotego Wybrzeża, mamy wylądować w godzinach popołudniowych. Sądząc po dość skromnych, jak na transkontynentalną trasę, gabarytach naszego samolotu, airbusa A320, postój wymuszony będzie koniecznością tankowania i ekonomicznym rachunkiem wymiany części pasażerów. Dalej ruszamy w kierunku równika, gdzie niewielkie lotnisko oddalone od stolicy Sao Tome o zaledwie kilka kilometrów ma nas przyjąć jakieś niecałe dwie godziny później. Po niedługich, jak na Afrykę, formalnościach opuszczamy mały terminal stołecznego lotniska i zderzamy się z jakże przyjemną falą tropikalnego gorąca. Słońce zachodzi nad Sao Tome po godzinie 17.00 i niecałe trzy kwadranse później robi się ciemno, a my żółtą taksówką, czekającą przed lotniskiem, udajemy się do czystego i schludnego pensjonatu położonego w pobliżu Parku Popular. Mały hotelik u Pani Delfiny kosztuje nas 20 euro za osobę w klimatyzowanym pokoju z czystą pościelą i moskitierami. Nawet ciepła woda i Internet czekają na nas. W pobliskim Parku Popular jemy świeżą rybę z pieczonymi bananami i ryżem za równowartość sześciu euro.

22 lutego. Poznany dzień wcześniej kierowca taksówki zjawił się przed naszym pensjonatem punktualnie trzydzieści minut po siódmej wraz ze swoim rozklekotanym pojazdem. Wymieniając po drodze na Placu Niepodległości europejską walutę na lokalne środki płatnicze zwane tutaj „dobra” po kursie 25 000 za jeden euro, docieramy przed ósmą na lotnisko. Zgodnie z planem odlecieliśmy o godzinie 9.00 w kierunku Wyspy Książęcej, gdzie wylądowaliśmy na małym lotnisku otoczonym przez tropikalny las niecałe czterdzieści minut później. Przed małym terminalem nie czekały na przyjezdnych żadne taksówki. Jeden z kierowców pick-upa okazał się być zatrudniony na plantacji Abade, dokąd z chęcią nas zawiózł. Te 10 kilometrów po rozmytej przez deszczę drodze niepokrytej asfaltem zajęło nam prawie 40 minut. W Roca Abade rozbiliśmy namioty w cenie 10 euro za osobę za noc. Kolacja składająca się z ryby wraz ryżem i frytkami to wydatek około 15 euro. Chcąc w miarę sprawnie poruszać się po wyspie, trzeba wynająć auto, najlepiej z kierowcą, a to kosztuje 70 euro za dzień. Obiad w jednej z lepszych restauracji w Santo Antonio kosztuje 250 000 dobra, czyli 10 euro. Małe piwo to koszt 1 euro. Wieczorem zaplanowaliśmy przejazd na plażę Praia Grande, aby zobaczyć morskie żółwie. Roca Abade jest położona nieco wyżej ponad poziomem morza, co staje się niemalże błogosławieństwem, gdy lekki wietrzyk dociera tutaj znad Atlantyku. Gdy około ósmej wieczorem, w pełnych ciemnościach, dotarliśmy na długą plażę, zwaną tutaj Praia Grande, tysiące dużych, kilkunastocentymetrowych krabów pędziło po plaży. Drogę oświetlaliśmy czerwoną lampką, gdyż białe światło zabronione jest tutaj, aby nie niepokoić żółwi. Niestety tej nocy żadna samica nie wyszła na brzeg. Spróbujemy za dwa dni.

23 lutego. Rankiem za cenę 5 euro zjedliśmy smaczne śniadanie, składające się z soku, herbaty, kawy, bagietki, marmolady i dwóch sadzonych jajek. Wyruszyliśmy po ósmej do Santo Antonio, a następnie do plantacji Belo Monte. Zazwyczaj od turystów pobierana jest opłata 15 euro za zwiedzanie plantacji i wycieczkę na przepiękną plażę Praia Banana. Nasz kierowca miał kolegę pracującego na stróżówce plantacyjnej, więc nieoficjalna opłata spadła do 5 euro za osobę. Plaża Praia Banana widziana z tarasu widokowego faktycznie zapiera dech w piersiach i nadaje się do reklamy Bacardi. Następnie udaliśmy się na wyspę Bom Bom, gdzie zlokalizowany jest chyba najbardziej luksusowy hotel na wyspie. Spędziliśmy tam dobre kilka godzin, kąpiąc się na przemian to w ciepłym oceanie, to w basenie. Po dość drogim obiedzie (w cenie 16 euro) wyruszyliśmy na godzinną wędrowkę wokół wyspy. Oznaczony szlak wiedzie przez równikowy las, gdzie potężne drzewa kapokowe tarasują czasami drogę i zaciniają okolicę. Kilka punktów widokowych i znaleźliśmy się z powrotem w hotelu. Wieczorna trasa powrotna z postojem w sklepie spożywczym zajęła nam godzinę. Kupiliśmy serki topione (16 sztuk) za 180 000 dobra, 10 bułek (1 sztuka – 2000 dobra) i kilka portugalskich piw 0,33 litra za 20 000 dobra za butelkę.

24 lutego. Rankiem mieliśmy zamiar wyruszyć do plantacji Sundy, przyglądając się życiu i pracy całej Roca, gdyż tak nazywają tutaj te małe plantacyjne miasteczka-wioski. Wieczorem może uda się w końcu znaleźć żółwie na Praia Grande, a po drodze wykąpać się na Praia Banana. Dzień okazał się pełen atrakcji. Rankiem w Santo Antonio przyglądaliśmy się parodom karnawałowym szkolnych dzieci, które maszerowały dzielnie w palącym słońcu, podśpiewując skoczne piosenki. Następnie ruszyliśmy do plantacji Sundy, największej działającej na wyspie Principe. Opuszczony szpital, zaniedbane domy dawniejszych niewolników, kościół, nadal działająca suszarnia, będący właśnie w remoncie hotel dla turystów i dom wizytacyjny dla prezydenta na wypadek odwiedzin w Roca Sundy. Wycieczka jeepem z naszym kierowcą kosztowała nas 45 euro. Zapłaciliśmy dodatkowo po 5 euro za możliwość zobaczenia wypuszczania małych żółwi zielonych do oceanu na Praia Grande. Wracając, zatrzymaliśmy się przy Plantacji Belo Monte, aby ponurkować na Praia Banana. W Santo Antonio zjedliśmy obiad za 100 000 dobra za smaczną rybę z ryżem i pieczonymi bananami. Około 16.00 wróciliśmy na starą plantację Abade, aby odkryć, że ktoś przeszukiwał nasze namioty i ukradł kilka naszych toreb – głównie kosmetyki i jedzenie. Kiedy przyjechała policja, okazało się, że złodziejami były małe dzieci mieszkające po sąsiedzku z plantacją Abade. Policja nie był zbyt skora do wystawienia raportu. Uzyskaliśmy go dopiero następnego dnia na Wyspie Świętego Tomasza.

25 lutego. Rankiem Vado, nasz kierowca z Wyspy Księżęcej odwiózł nas na małe lotnisko położone kilka kilometrów na północ od Santo Antonio. Czterdziestominutowy lot na Sao Tome to czysta przyjemność, kiedy ogląda się z góry turkusową wodę i żółte plaże graniczące z zieloną dżunglą, wysepkę Bom Bom, Praia Grande czy plantację Belo Monte. Lądując na Sao Tome widzimy stolicę z góry, mijając wcześniej miasteczko Trindade. Po wylądowaniu udaliśmy się do znanego nam już pensjonaciku Dony Delfiny, gdzie za 20 euro na osobę czekał już na nas miły pokoik. Następnie udaliśmy się na obiad do Parku Popular (ryba z frytkami kosztuje 150 000 dobra). Na 16.00

byliśmy umówieni z Piotrkim z Wrocławia, więc ruszyliśmy w kierunku Praca da Independencia, wymieniając po drodze kilkadziesiąt euro w „ulicznym kantorze” po kursie 25 000 za 1 euro.

26 lutego. Po wczesnym śniadaniu wyruszyliśmy w trójkę wynajętym autem do Sao Joao dos Angolares, zatrzymując po drodze przy Praia Micondo, Roca Agua Ize, Boca do Inferno, gdzie tym razem morze było zbyt spokojne, aby podziwiać fontanny piany wydobywające się spośród skał. Praia das Sete Ondas także przyciągnęła naszą uwagę na kilka chwil. Przy jednej z bajecznych plaż w Sao Joao Dos Angolares zjedliśmy wystawny obiad, składający się z przystawek, głównego dania i deseru w cenie 10 euro za osobę. Wizyta w Roca Sao Joao okazała się niewypałem, kiedy porywczy właściciel rzucił się na nas po tym, jak nieświadomie odwiedziliśmy bez jego zgody znajdujący się na terenie plantacji stary szpital, który dzisiaj służy za jego dom. Z niesmakiem opuściliśmy obiekt, udając się w przyjemniejsze miejsce. Za całodzienną wycieczkę nasz kierowca zażyczył sobie 60 euro. Wieczorem odbywały się pierwsze karnawałowe parady w wykonaniu dzieci w wieku szkolnym. Niestety organizatorzy nie za bardzo zadbali o oświetlenie i niewiele po zmroku było widać.

27 lutego. Dzisiejsza wycieczka miała kosztować nas 50 euro za naszą trójkę. Wyruszyliśmy po szóstej rano, zabierając Piotrką z hotelu i skierowaliśmy się na zachód wyspy do miasteczka Trinidad, gdzie obecny prezydent ma swoją rezydencję. Następnie dotarliśmy do Bom Sucesso, skąd za 20 euro wynajęliśmy przewodnika, który wyruszył z nami w blisko półtoragodzinną wędrowkę do starej kaldery wulkanu, znajdującej się na wysokości blisko 1500 metrów powyżej poziomu oceanu. Ptaków, których spodziewaliśmy się zobaczyć dość dużo, było tym razem jak na lekarstwo i musieliśmy się zadowolić kilkoma mało kolorowymi gatunkami. Wracając, zatrzymaliśmy się przy przyjemnym wodospadzie Świętego Mikołaja. W porze obiadowej dotarliśmy do Roca Monte Cafe, gdzie wyśmienity obiad z deserem, składającym się z czerwonych i żółtych bananów oraz sernika z prawdziwą czekoladą, kosztował 12,50 euro. Po posiłku starszy wiekiem przewodnik pochodzący z Angoli oprowadził nas po zniszczonej i nie działającej już dziś plantacji, gdzie suszarnie, magazyny i szpital przywodził na myśl wspaniałe czasy plantacji sprzed stu lat. Około 16.00 wróciliśmy do stolicy, aby dowiedzieć się, że dzisiejsze parady karnawałowe odbyły się rankiem podczas naszej nieobecności w mieście. No cóż, może jutro się uda. Kolacja – za 100 000 dobra: wyśmienity omlet z frytkami w restauracji w Parku Popular.

28 lutego. Ostatni dzień karnawału. W mieście jest informacja turystyczna, znajdująca się na nabrzeżu. Wieczorem, po 19.00 odlatuje nasz samolot linii TAAG do angolskiej Luandy. Taksówka na lotnisko to wydatek 10 euro. Nagranie płyty CD z muzyką to koszt 25 000 dobra, w punkcie w pobliżu głównego targu. Rankiem w biurze informacji turystycznej dowiadujemy się, że parada karnawałowa odbędzie się około 14.00 – 15.00 godziny. Poranny czas wykorzystujemy na zwiedzenie muzeum znajdującego się w portugalskim forcie. Ciekawe ekspozycje, Rei Amador, płatny wstęp, zakaz robienia zdjęć. Obiad w Parku Popular za 100 000 dobra omlet i 40 000 dobra zupa warzywna. Parada rozpoczyna się po 15.00, wcześniej wszyscy w parku przygotowują się, niektórzy tańczą capoeirę. O 17.00 jedziemy na lotnisko i odlatujemy do Luandy. Po 22.00

ze stołecznego lotniska odbiera nas Murita i Chris. Około północy dojeżdżamy do ich domu i po wymienionej kolacji kładziemy się spać w domu przypominającym raczej pałac niż zwykłą chatkę angolańską.

1 marca. Mama Murity jest pisarką, a ojciec generałem w wojsku. Z kierowcą wyruszamy rankiem na zwiedzanie Luandy. Najpierw jedziemy do wypożyczalni, aby następnie naszym małym Chevroletem Spark rozpocząć podbój stolicy. Obiad zjadamy w jednej z lepszych restauracji na Ilha do Cabo za niecałe 6 USD. Czarnorynkowy kurs to 400 kwanza za dolara, a bankowy prawie dwa razy mniej. Odwiedziliśmy także Muzeum Militarne, gdzie sala z azulejos, przedstawiającymi różne sceny z historii i przyrody Angoli, robi duże wrażenie. Za wstęp do muzeum trzeba zapłacić 100 kwanza. Ropa kosztuje 135 kwanza za litr. Wieczorem docieramy szutrową drogą, którą Murita nazywa Paris-Dakar, do domu.

2 marca. Wczesnym rankiem, około szóstej wyruszamy na wschód kraju, zabierając po drodze siostrę zakonną. Zmierzamy z naszym kierowcą Edsonem do Kalanduli, miasteczka położonego zaraz przy trzecich pod względem wielkości wodospadach w Afryce. Po drodze zatrzymujemy się przy ogromnych skalnych monolitach zwanych Pungo Andongo. Podjeżdżamy najbliżej jak się da i wspinamy się ostatnie kilkaset metrów na ogromną skałę, z której roztacza się niesamowity widok. Spędzamy tutaj dobre pół godziny i wyruszamy dalej na wschód. Jeszcze przed zachodem słońca docieramy do majestatycznych wodospadów. Widok jest niesamowity. Można podejść do miejsca, gdzie woda spada z ostatniego progu skalnego. Najlepiej jednak oglądać wodospady z tarasu widokowego. Turystów nie ma żadnych. Po zachodzie słońca wjeżdżamy do kompleksu, który prowadzą siostry zakonne z Hiszpanii i Portugalii. To tutaj dorastała mama Murity. Przyjęcie mamy iście królewskie – ponad trzydziestka dziewcząt śpiewa dla nas powitalną piosenkę. Później, po smacznej kolacji z siostrą przełożoną, dziewczynki, które otrzymały od nas drobne upominki, śpiewają dla nas w podziękę jeszcze raz. Miła rozmowa z angolańską siostrą Eleną wyjaśnia mi wiele na temat funkcjonowania całego sierocińca.

3 marca. Jak zwykle rankiem, zaraz po wschodzie słońca i smacznym śniadaniu, wyruszamy w drogę powrotną. Wszystko idzie jak z płatka, bez problemu do momentu, kiedy policja zatrzymuje nas i wlepia nam mandat dlatego, że jedziemy z kołami nie zamontowanymi oryginalnie w salonie. Musimy jechać blisko godzinę do najbliższego posterunku policji, aby zapłacić mandat i wrócić się do tego samego miejsca, odbierając zatrzymane przez policjanta dokumenty. Około 15.00 jesteśmy w domu Marii w dzielnicy Benfica. Pyszny obiad, ryba, warzywa i ananasy dodają nam sił. Zaraz przed zmrokiem około 19.00 wyruszamy do Parku Narodowego Kissama. Wjazd jest zaraz przy głównej drodze, około godzinę jazdy na południe od Luandy. Trzeba zapłacić 2500 kwanza za wstęp, 4000 kwanza za poranne safari i 6000 kwanza za nocleg pod własnym namiotem.

4 marca. Rankiem, zaraz po wschodzie słońca, ruszamy w głąb parku starą ciężarówką, pamiętającą pewnie jeszcze czasy wojny. Murita, dziadek, mama i czwór-

ka dzieci wraz z nami siedzą pod daszkiem chroniącym od słońca, kiedy opuszczamy kemping. Słoń, antylopy, żyrafy i zebry. Trochę ptaków – szpaki, kilka drapieżnych i coś podobnego do przepiórek. Najciekawszym zwierzęciem był jednak widziany wczoraj wieczorem jeżozwierz. Park jest porośnięty bujną roślinnością, między innymi górującymi nad wszystkim kaktusami. O 10.00 wyruszamy do Bengueli. Najpierw godzinę szutrowymi traktami wyjeżdżamy z terenu parku, a następnie około 500 kilometrów pokonujemy po asfaltowych drogach, jadąc przez Porto Amboim, Sumbe i Lobito. Droga nie byłaby taka zła, gdyby nie ogromne dziury, pojawiające się niespodziewanie raz po jednej stronie drogi, raz po drugiej. Dziury te zwane tutaj „crateros grandes” są częstą przyczyną urwania zawieszania, przebitych opon i innych poważniejszych wypadków. Trzy razy wpadliśmy do takich asfaltowych wyrw, ale na szczęście nasze małe auto wyszło z tego prawie bez szwanku, gubiąc tylko prawy kołpak. Obiad zjedliśmy w Sumbe, w supermarkecie Shoprite. Tutaj w barze Hungry Lion zestaw dwóch kawałków kurczaka z frytkami i bułką kosztował 890 kwanza. Dotarliśmy do Bengueli około 20.00, kiedy to siostra Murity z mężem odebrała nas i pokierowała do swojego domu na nocleg. Kolacja, którą zostaliśmy poczęstowani, była istic królewska – ośmiornice, ryż z grzybami, guacamole i świeża sałata z cebulą. No i angolskie piwo Cuca.

5 marca. Paliwo kosztuje 135 kwanza za litr. Rankiem, po dobrze przespanej nocy, ruszamy sprawdzić, jak wygląda nadmorska Benguela. Ulice, które obsadzone są z obu stron pięknymi palmami, prowadzą do Praia Morena, ciągnącej się kilometrami pięknej plaży, gdzie czysty Atlantyk wlewa się na żółty piasek i... i niestety sterty śmieci. To jedyna wada krajobrazu. Niektóre domy i budynki publiczne są pięknie utrzymane i pomalowane na pastelowe kolory, nadając miastu lekki, nadmorski charakter. Benguela jest atrakcyjna. Obiad zjedliśmy w ładnej restauracji Outback, gdzie duża pizza kosztowała 2500 kwanza, piwo 350, a coca-cola 300 kwanza.

6 marca. Wstajemy około 5 rano, a o godzinie szóstej jesteśmy już spakowani w aucie na ulicach Bengueli. Jesteśmy bardzo wdzięczni Fatinii i Sixto, którzy ugościli nas przez dwie noce u siebie. Droga na południe w kierunku Lubango początkowo wydaje się dużo lepsza niż ta wiodąca na północ, ale to tylko pozory. Kiedy wpadamy w jedną z wielkich dziur i o mało co nie urywamy zawieszania, nasza czujność wraca do normy. Około 12.00 dojeżdżamy na resztkach paliwa do Lubango, skąd kierujemy się na urwisko Tunda Vala. Widoki i wrażenia nie do opisania. Nikogo oprócz nas nie spotkaliśmy. Po półtorej godziny wracamy do Lubango i kierujemy się na punkt widokowy, z którego rozpościera się panorama przełęcz Serra da Leba. Wjazd kosztuje 150 kwanza, które pobiera policja na głównej drodze. Zaraz po 16.00 wjeżdżamy do Namibe, gdzie zatrzymujemy się na obiad w restauracji Mana przy głównej ulicy. Tam, godzinę później, odbiera nas Papa Chico, kierowca z Flamingo Lodge. Auto zostawiamy na parkingu za restauracją i w godzinę dojeżdżamy przed samym zmrokiem do Lodge Flamingo, gdzie rozbijamy namioty. Piękna plaża, a w tle brązowe, nagie, surowe góry z piaskowca. Oprócz jednej pary z RPA i nas nie ma tutaj nikogo.

7 marca. Ceny za nocleg we Flamingo Lodge obejmują trzy posiłki dziennie i dowolną ilość napojów, w tym piwo. Poranna, całodniowa wycieczka na wydmy i do formacji skalnych, rozpoczynająca się o 9.00 to koszt 55 000 kwanza za naszą dwójkę. Nocleg w namiocie z jedzeniem to wydatek rzędu 4000 kwanza, a transport z Namibe i z powrotem kosztuje 14 000 kwanza za jeepa (max 4 osoby). Wycieczka warta jest swojej ceny, gdyż docieramy na wydmy, które wpadają bezpośrednio do Atlantyku, a miejscami na brzegu widzimy foki i karapaksy żółwi zabitych przez szakale. Formacje skalne przy łuku zwanym tutaj Arco są niesamowite. Brązowe skały zbudowane z piaszczowca żelazistego, żółte, czerwone i szare ostańce tworzą nieprawdopodobny krajobraz, a przejazd korytem rzeki, która płynęła tędy przed tysiącami lat, długo zostanie w naszej pamięci. Po południu wracamy do Flamingo Lodge i korzystamy z promieni słonecznych, kąpiąc się w nieco chłodnym tutaj Atlantyku. To warte polecenia miejsce, gdzie jedynymi turystami są przybysze z Namibii lub RPA, którzy zainteresowani są wyłącznie łowieniem dużych ryb.

8 marca. Rankiem około szóstej, kiedy słońce leniwie wychyla się zza horyzontu, jemy smaczne śniadanie i Papa Chico, kierowca z Flamingo Lodge, odwozi nas do Namibe. Nie jest to jednak zwykła przejażdżka znaną nam już wcześniej trasą, ale niesamowity rajd terenową toyotą po plaży. Przez ponad 60 kilometrów pędzimy zaraz przy falach z prędkością prawie 100km/godz. Kierowca sprawnie unika najeżdżania na fale, a co kilka kilometrów musi na jakiś czas oddalić się od linii wody, gdy skały uniemożliwiają przejazd. Po godzinie siedzimy już w naszym małym bolidzie i zmagamy się z angolańskimi drogami. Odcinek do Lubango jest naprawdę niezły ze śladową liczbą wielkich dziur. Dalej niestety nie jest już tak wygodnie. Do Lobito dojeżdżamy zaraz przed zmrokiem, gdzie trafiamy chyba do najlepszego hotelu w mieście – Hotelu Terminus. Za cenę 23 900 kwanza otrzymujemy piękny, klimatyzowany pokój z widokiem na zatokę i wliczonym w cenę śniadaniem bufetowym. Wyśmienita ryba z ziemniakami i surowkami kosztuje 2650 kwanza, a duży homar to wydatek 5500 kwanza. Piwo Cuca kosztuje 400 kwanza. Hotel ma basen i czystą plażę z parasolami.

9 marca. Niestety za długo nie możemy korzystać z luksusów hotelu Terminus. Zaraz po zjedzeniu śniadania, jeszcze przed siódmą ruszamy w trasę do stolicy. Zatrzymujemy się w restauracji przy stacji benzynowej na krótki obiad. Za 1500 kwanza można zjeść smacznego omleta lub otrzymać dużą zupę warzywną. Coca-cola kosztuje 300 kwanza. Na przedmieściach Luandy zatrzymujemy się przy Muzeum Niewolnictwa, gdzie rozłożył się duży targ wypełniony sprzedawcami pamiątek. Poszukiwałem masek Tchokwe. Targ jest zaskakująco interesujący. Sprzedawców jest mnóstwo, a masek jeszcze więcej. Niestety, początkowe ceny 25 000 – 30 000 kwanza za małą maskę to za dużo na moją kieszeń. Jednak po długich targach okazuje się, że za tę kwotę można otrzymać 3-4 średniej wielkości maski. Warto było zatrzymać się tutaj. Przed samym zmrokiem docieramy do Ilha de Luanda, gdzie hoteli jest niewiele, a te, które są otwarte, są drogie. Zatrzymujemy się w hotelu Marinha, który pamięta lepsze czasy, ale kasyno podobno jeszcze działa. Basen niestety już nie. Pokój dwuosobowy kosztuje 26 000 kwanza, ale standardem znacznie odbiega od wczorajszego hotelu Terminus na półwyspie Restinga w Lobito. W cenę jest wliczone bufetowe śniada-

nie. Wieczorem jemy kurczaka z frytkami za 3000 kwanza. Piwo Nocal (330 ml) kosztuje 400 kwanza.

10 marca. Po śniadaniu korzystamy z bliskości oceanu i wędrujemy w klapkach na pobliską plażę. Woda jest orzeźwiająca. Po dwóch godzinach wracamy do hotelu, aby opuścić pokój przed południem. W trakcie obiadu w hotelowej restauracji odwiedza nas mąż Tanii, Edson, kierowca Murity i sama Murita. Co za niespodzianka! Ruszamy na lotnisko i około 16.00 docieramy do biura Europcar, aby oddać samochód. Do przewidzenia były drobne komplikacje i tak też się stało. Trzeba było zapłacić zaległe ubezpieczenie obowiązkowe dla aut wyjeżdżających poza stolicę (mają gps w samochodach) oraz opłatę 5000 kwanza za zgubiony kołpak, który odpadł gdzieś na nierównościach. Wieczorem Murita z Chrisem przyjeżdża na lotnisko. Miłe pożegnanie!

Granitowe wyspy Seszeli



Od bajecznie pięknych plaż ciężko tutaj uciec, ale nie po to zawitaliśmy na rajski archipelag wysp seszelskich, aby jedynie wygrzewać się na białym piasku. Granitowe wyspy i koralowe atole tętnią życiem. Oprócz mieszanki ludności z trzech kontynentów – Afryki, Azji i Europy – znajdziemy tutaj bogatą faunę i ciekawe endemity wśród roślin. Będziemy oglądać dziesiątki gatunków ptaków, olbrzymie żółwie lądowe z Aldabry i nigdzie indziej niespotykane palmy coco de mer. Historia Seszeli także jest ciekawa, rodem z opowieści kryminalno-przygodowych. Zamachy stanu przeprowadzane przez białych najemników, rozrywkowi prezydenci, wymieniający się na fotelach, to tylko część biegu wydarzeń ostatnich kilkudziesięciu lat okresu niepodległości. Zapraszamy na Seszele!

Termin: 27 czerwca – 13 lipca 2017

Uczestnicy: 2 osoby dorosłe i dwójka dzieci (6 i 8 lat)

Trasa: Mahe – Praslin – Couriesse – St Pierre – Cousin – La Digue – Mahe

Przelot: Polecieliśmy liniami Qatar Airways z Budapesztu na Seszele z przesiadką w katarskiej Dausze. Bilet powrotny dla osoby dorosłej kosztował 2580 zł. Kupiliśmy go ponad pół roku wcześniej na stronie linii lotniczych. Dodatkowo dokupiliśmy przelot wewnętrzny liniami Air Seychelles z wyspy Mahe na wyspę Praslin za niecałe 200 zł za osobę dorosłą w jedną stronę. Na stołecznym lotnisku lądują jeszcze, oprócz Qatar Airways i Air Seychelles, rejsowe samoloty linii Emirates, Etihad, Ethiopian, Kenya Airways, Air Austral, SriLankan, Turkish Airlines i linie Condor z Niemiec.

Waluta: Walutą używaną w Republice Seszeli jest rupia seszelska. W bankach i kantorach w lipcu 2017 płacono za 1 euro od 14,50 do 15,25 rupii seszelskich, a jeden dolar amerykański wart był około 13 rupii. Z reguły nie pobiera się prowizji za wymianę. W obiegu są stare, ale też i nowe banknoty, których jest coraz więcej. W użyciu są także monety o nominale 1,5 i 10 rupii. Widziałem także centy, będące częścią jednej rupii, ale mają raczej wartość kolekcjonerską.

Wizy: Obywatele Polski są zwolnieni z obowiązku wizowego przy wjeździe na Seszele przy pobycie nieprzekraczającym 90 dni. Nie ma także żadnego podatku wyjazdowego, ani opłaty wjazdowej.

Bezpieczeństwo: Seszele należą do bardzo bezpiecznych krajów, ale nie oznacza to, że możemy zupełnie zapomnieć o podstawowych zasadach unikania kradzieży i kłopotów. Trzeba uważać na drobnych złodziejasków na plażach, a także (jak niektóre relacje podają) na napady przy wędrownkach na szlakach Parku Narodowego Morne Sechellois na wyspie Mahe. My doświadczyliśmy jeszcze innego zagrożenia – zwykłego oszustwa finansowego. Trzeba mieć to na uwadze, kupując wycieczki na okoliczne wyspy w pobliżu Praslin. Sprzedawcy-rastamani pracują na plaży Anse Volbert i faktycznie oferują dużo tańsze wyprawy łodziami na Couriesse, Cosin, Aride czy inne wysepki. Przy rodzinie czteroosobowej oszczędności mogą iść w setki euro w porównaniu do zakupu takiej samej imprezy przez jednego z organizatorów hotelowych. Niesie to jednak za sobą pewne ryzyko – niektórzy rastamani-biznesmeni pobierają wcześniej pieniądze (np. drobną zaliczkę) i albo znikają, albo oferują inną wycieczkę z okrojonym programem. Trzeba na to uważać. Nasza przygoda, z pomocą lokalnej policji, skończyła się dobrze, ale inni turyści stracili dość spore sumy.

Transport: Ceny za przejazdy autobusami po wyspie Mahe i Praslin to chyba jedyne pozycje w budżecie wyjazdowym, które można określić jako tanie. Faktycznie na tych dwóch wyspach (i w okrojonej wersji na La Digue) funkcjonuje coś w rodzaju sieci autobusów miejskich i międzymiastowych. Cena za przejazd to 5 rupii seszelskich. Za tę kwotę możemy np. przemierzyć całą, dużą wyspę stołeczną. Niebieskie autobusy o różnych numerach niemalże okrążają te dwie wyspy. Zazwyczaj nie czeka się dłużej niż 30 minut na przystanku. Jeżeli chodzi o transport między wyspami, to na trasie Mahe-Praslin, Praslin – La Digue i La Digue – Mahe kursują szybkie, ale drogie promy. Na pozostałe wyspy można dolecieć samolotem narodowych linii Air Seychelles albo wynajętym helikopterem – z Praslin na La Digue na przykład.

Zdrowie: Polecam stronę who.int. Seszele mają jedną dużą zaletę zdrowotną – nie ma tutaj malarii. Nie oznacza to jednak, że pozbawione są zupełnie chorób dotykających tropiki. Panuje tutaj jednak dengue, a plakaty, ostrzegające mieszkańców przed roznoszącymi ją komarami, rzucają się w oczy. Nie jest to jednak jakiś poważny problem, a raczej sprawa marginalna. Warto uważać na morskie stworzenia, takie jak jeżowce, sporadycznie przyplływające w okolice plaży płaszczki i piekielnie palące słońce. Na wyspach praktycznie nie występują jadowite węże i inne gady.

Przewodniki i literatura: Seychelles, Bradt 2016; Mauritius, Reunion and Seychelles – Lonely Planet 2010; P. Falkowska, Seszele, Wydawnictwo Poligraf; M. Penny, Birds of the Seychelles. Literatura dotycząca Seselei jest także dostępna na mojej stronie www.kolumb.pl w zakładce Biblioteka

RELACJA Z PODRÓŻY

27 czerwca. Kilkanaście minut po godzinie dziewiątej rano mały Airbus katarskich narodowych linii lotniczych dotknął pasa startowego na lotnisku największej wyspy Seselei – Mahe. Po dość sprawnych formalnościach wjazdowych znaleźliśmy się przed małym terminalem, gdzie wąska, przylegająca do niego droga zapelniona była przez

pędzące małe autka i sporadyczne niebieskie autobusy hinduskiej marki Tata. Wskoczyliśmy do jednego z nich i pomknęliśmy na południe wyspy do przystanku przy Craft Village, gdzie miał znajdować się nasz mały bungalow do wynajęcia. Pomknęliśmy – to dobre słowo, gdyż seszelscy kierowcy autobusów uznają tylko taki sposób jazdy za stosowny – mknęcie. Albo pędzenie. Każdy przystanek oddalony jest o kilkaset metrów, może kilometr od następnego, ale nie przeszkadza to im, aby przyspieszać do maksimum na tym krótkim odcinku tylko po to, aby po kilkunastu sekundach hamować z wielką energią. Bilet za taką przyjemność kosztuje 5 rupii seszelskich.

Gdy dotarliśmy do Aux Cap La Nature Self Catering Apartments, okazało się, że jest to duży, dwupiętrowy domek, gdzie właścicielka, mająca z pewnością korzenie hinduskie, przydzieliła nam niższe piętro tej pięknej willi. Domek był pomalowany na zielono, co współgrało z otaczającą go przyrodą – soczystą zielenią, bananowcami, drzewami chlebowymi, różnymi gatunkami palm i drzew tropikalnych. Właścicielka zażądała od naszej czwórki 55 euro za dobę. To podobno niewiele jak na warunki cenowe panujące na wyspach Seszeli.

Po zostawieniu naszych bagaży wyruszyliśmy na południe wyspy do Anse Royale, ślicznej plaży, gdzie lazurowa woda oblewała biały piasek, który uformował tutaj półkole długości kilkuset metrów, odgródzone od drogi bujną zielenią drzew takamaka, palm kokosowych i sporadycznych drzew kazuarynowych. Po kąpeli ruszyliśmy znów pędzącymi autobusami na północ, tym razem do stolicy tego wyspiarskiego państwa. W Wiktorii, bo tak nazywa się stolica Seszeli, znaleźliśmy przyzwoitą jadłodajnię i kantor. Kurs wymiany wyniósł dokładnie 15,15 rupii za jedno euro. Zjedliśmy frytki z hamburgerem za 45 rupii i wypiliśmy sok ze świeżych pomarańczy w cenie 40 rupii. Wieczorem dotarliśmy do naszego klimatyzowanego domku.

28 czerwca. Ciężko wstawało się z wygodnych łóżek po wczorajszej nieprzespanej nocy w samolocie lecącym z Kataru. Dotarliśmy więc dopiero około południa do Wiktorii, gdzie zjedliśmy całkiem smaczny obiad – krewetki z ryżem, soczewicą i świeżym chili za 40 rupii. Syci ruszyliśmy na zachód wyspy, gdzie szalony kierowca autobusu, wspinając się na wzgórze górujące nad stolicą, dowiózł nas po piętnastu minutach. Wiodki po drodze były oszałamiające – piękne wyspy Morskiego Parku Narodowego Ste Anne wyłaniały się z błękitnych wód otaczających Wiktorię. Znaleźliśmy się na plaży Beau Vallon, pięknym kawałku białego piasku w kształcie księżyca, gdzie z drzew takamaka podrywały się śnieżnobiałe atolówki, a kazuaryny huśtały się na wietrze niczym miotły. Woda zachęcała do kąpieli, więc długo nie zwlekając skorzystaliśmy z uroków Oceanu Indyjskiego. Około 16.00 wróciliśmy do Wiktorii i po przesiadce na głównym dworcu wyruszyliśmy na południe wyspy do Aux Cap, gdzie zlokalizowany jest nasz wynajęty dom. Hania, która miała 6 lat, zwolniona była z opłaty za przejazd.

29 czerwca. Około dziewiętej rano zjawiliśmy się już w Wiktorii obok pomnika Twa Zwazo, którego miejscowi określają jako Three Birds, symbolizującego pochodzenie ludności Seszeli z trzech kontynentów – Europy, Afryki i Azji. Tego dnia, a był to czwartek, przypadła 41. Rocznicą Niepodległości Seszeli. Wszelkie obchody zaplanowano na stadionie L'Unity w okolicach godziny 17.00. Nie marnując czasu, rankiem odwiedziliśmy Ogrody Botaniczne, gdzie oprócz egzotycznych gatunków roślin, takich jak cho-

ciążyby lodoicja seszelska, czyli palma coco de mer, udało się nam zobaczyć ogromne żółwie lądowe pochodzące z atolu Aldabra. Gady za opłatą 50 rupii seszelskich można było karmić zielonymi liśćmi i przyglądać się im z bliska. Bilet wstępu do Ogródów Botanicznych kosztował 100 rupii na osobę dorosłą. Dzieci zwolnione były z opłaty. Na obiad dotarliśmy do przydworcowej restauracji Butcher's Grill, gdzie bardzo smaczne krewetki z makaronem serwowano za 45 rupii, a sok ze świeżych pomarańczy kosztował 40. Po drodze na Stadion L'Unity zatrzymaliśmy się przy jedynym w stolicy meczecie. Zastałem tam tylko trzech modlących się muzułmanów. Niewielki, kremowo-żółty meczet wyglądał imponująco na tle granitowych gór, porośniętych bujną roślinnością. Huczne obchody rocznicy uzyskania niepodległości rozpoczęły się o 18.00. Przed stadionem odbywał się koncert muzyki na żywo, a z wielu straganów rozstawionych wzdłuż murów sprzedawcy oferowali cały asortyment chińskich, plastikowych zabawek oraz jedzenia – od grillowanych kiełbasek poprzez frytki do smacznej ryby. Na głównej płycie stadionu odbywały się parady wojska seszelskiego i zaprzyjaźnionych krajów, które złożyły kurtuazyjną wizytę. Jeszcze przed zmrokiem organizatorzy przygotowali nie lada niespodziankę – nad stadionem przeleciało pięć helikopterów ciągnąc za sobą flagę Seszeli, a potem kilka pasażerskich małych samolotów zatoczyło pętlę na niskim pułapie. Na końcu, przed przemówieniem prezydenta i i kilku ważnych oficjeli, jeden z samolotów, lecących dużo wyżej niż poprzednie, wyrzucił czterech spadochroniarzy, którzy przez kilkanaście minut opadali wolno, lądując na środku płyty boiska. Ostatni ze skoczków miał przypiętego do siebie jednego z lokalnych dygnitarzy. Całość spektaklu robiła niesamowite wrażenie. Do domu dotarliśmy już po zmroku.

30 czerwca. Gdy około godziny dziewiątej rano dotarliśmy na przystanek publicznych autobusów przy Craft Village, słońce mocno już ogrzewało drogę. Wyruszyliśmy tym razem na południe wyspy Mahe, aby przez Baie Lazare dotrzeć do Anse Louis, gdzie zlokalizowany jest chyba najbardziej luksusowy hotel na całej wyspie – Maya Luxury Hotel. Przylegająca do niego plaża jest bajecznie piękna. Tego dnia fale były dość spore, a lekko wzburzone morze odstraszało nas początkowo od kąpieli. Okazało się jednak potem, że wejście do wody jest dość łagodne i dzieci bez problemu mogą skakać wśród fal. Noc w hotelu Maya kosztuje 2500 euro za willę dwuosobową z prywatnym basenem i jeszcze kilkoma udogodnieniami. Nie zdecydowaliśmy się na przeprowadzkę. Około 16.00 wyruszyliśmy autobusem do Wiktorii drogą Chemin la Misere. Zjedliśmy obiad i zrobiliśmy małe zakupy w sklepie: litrowe mleko w kartonie kosztowało 20 rupii, chilijskie wino czerwone 0,75 litra – 97 rupii, a czekoladowe ciastka – 25 rupii. Do domu dotarliśmy na kilka minut przed zmrokiem, który na Seszelach zapada dość szybko – zaraz po 18.00.

1 lipca. Nasz dwupiętrowy bungalow usytuowany jest w części wyspy Mahe zwanej Aux Cap, jakieś dwieście metrów na górę od głównej drogi, biegnącej przy samej plaży. Idąc rankiem na przystanek, musimy pokonać te kilkaset metrów, schodząc stromo w dół, niemalże prosto do błękitnego oceanu. Autobus szybko przyjechał, więc około dziewiątej rano byliśmy już w stolicy na głównym dworcu autobusowym, skąd na targ (Victoria Market) jest już bardzo blisko. W soboty targowisko jest najbardziej ruchliwe, co dało się już odczuć, idąc bocznymi uliczkami prowadzącymi do hali targo-

wej. Dziesiątki sprzedawców wystawiających swoje przeróżne towary od plastikowych wyrobów wykonanych w Chinach przez lokalne pamiętki z drewna aż po to, na co najbardziej czekaliśmy – tropikalne owoce. Tych było jednak najwięcej w samym sercu targu. Zielone, żółte i czerwone banany, których mogliśmy próbować do woli, jackfruity, mango, zielone i żółte papaje, olbrzymie kokosy, z których można było sączyć słodkawą mleko i dziesiątki różnych warzyw. Była oczywiście równie ciekawa część targu, na której rybacy wystawiali swój połów – przeróżne ryby wszelakich gatunków i rozmiarów, od znanych tuńczyków i kapitanów, przez płaszczyki, aż do mało znanych gatunków o kolorze zupełnie czerwonym. To kłębowisko ludzi i towarów kontrastowało z pozostałą częścią stolicy, która zazwyczaj jest sennym miasteczkiem. Wychodząc, przystanęliśmy przy stoiskach z perfumami i przyprawami, gdzie laski wanilii i cynamon miło drażniły zmysł powonienia. Położona jedną przecnicę obok targowiska świątynia buddyjska (kovil) była akurat otwarta. Trochę pstrokata, ozdobiona dziesiątkami posągów hinduskich bogów i świętych postaci wyglądała tutaj, w środku kreolskiej i kolonialnej zabudowy jak mały meteoryt. Była jednak bardzo ciekawa, a przyjaźni hindusi zapraszali do środka, nie pobierając żadnej opłaty. Przed świątynią na parkingu udało się nam dobić targu z taksówkarzem, co nie jest na Seszelach łatwą sprawą, zważając na fakt niesamowicie wygórowanych cen za stosunkowo krótkie przejazdy. Planowaliśmy, aby zabrał nas drogą Chemin Sans Souci przez Park Narodowy Morne Sechellois do restauracji The Station, następnie do ruin kapucyńskiej misji i dalej przez plantacje herbaty do miejscowości Port Glaud na przeciwnym krańcu Mahe. Taka przyjemność z podwiezieniem do naszego domu w Aux Cap w drodze powrotnej kosztowała nas 1000 rupii i zabrała nam cztery godziny. To drogo, ale było warto. Nie zobaczylibyśmy tych rzeczy w inny sposób, próbując wdrapywać się po stromych zboczach w niedzielne popołudnie. Autobusy wtedy kursują zbyt rzadko. Widoki z restauracji The Station nie mają sobie równych – z okien rozpościera się panorama na sześć wysp, tworzących Park Narodowy Ste Anne oraz małą, sztuczną wyspę Eden Island. Kolejny punkt widokowy jest przy ruinach misji, skąd widać zachodnie wybrzeże Mahe z zatoką Anse Louis i hotelem Maya. W Port Glaud jest bajecznie piękna plaża, na której spędziliśmy niecałą godzinę w cieniu palm, oglądając kołyszące się jachty w małej zatoczce.

2 lipca. Ostatni dzień na największej wyspie Seszeli poświęciliśmy na odpoczynek na plaży Beau Vallon. Dotarcie tam kosztowało nas 10 rupii za osobę. Trzeba było najpierw dojechać z Craft Village do Wiktorii na główny dworzec, gdzie należy przesiąść się, płacąc za nowy bilet, na kolejny autobus jadący do Beau Vallon. W stolicy zjedliśmy także obiad w pobliżu dworca w restauracji Butcher's Grill. Wieczorem spakujemy nasze rzeczy do plecaków i przyglądać się będziemy szybującym nietoperzom owocowym zwanym inaczej latającymi lisami czy bardziej fachowo: rudawkami seszelskimi. To łagodne zwierzęta, z których przyrządza się tutaj smaczny gulasz. Na szczęście jest ich dużo i na razie nie są zagrożone wyginięciem.

3 lipca. Za cenę 300 rupii właścicielka Aux Cap Apartments zawiozła nas zaraz przed godziną szóstą rano, kiedy słońce nie wychyliło się jeszcze znad horyzontu, na mały krajowy terminal. O siódmej startował nasz niewielki samolot Twin Otter w kierunku wyspy Praslin, gdzie miał wylądować dwadzieścia minut później. Do naszego

apartamentu o dźwięcznej nazwie Belle Vacance dotarliśmy zaraz po godzinie ósmej. Cena za luksusowy domek z łazienką, kuchnią, sypialnią, jadalnią, tarasem i basenem wyniosła 65 euro za naszą czteroosobową rodzinę. Taksówki na wyspie są drogie – z Grand Anse do Anse Volbert kierowcy życzą sobie minimum 200 rupii, ale raczej cena będzie oscylowała w granicach 300-400. Komunikacja autobusowa działa podobnie jak na stołecznej wyspie Mahe – z jednego krańca wyspy na drugi kursują małe autobusy, gdzie cena biletu wynosi 5 rupii. Na plaży Anse Volbert przechadza się wielu sprzedawców przeróżnych wycieczek na pobliskie wyspy. Nas interesowała jutrzejsza przeprawa na Couriese, Cousin i St Pierre. Taka wycieczka obejmująca trzy wyspy, to wydatek od 80 do 140 euro. Nam udało się ustalić cenę 250 euro za dwie osoby dorosłe i dwójkę dzieci (6 i 8 lat) wraz z transferem z hotelu do Anse Volbert, skąd odpływają łodzie. Przed zmrokiem dotarliśmy do Belle Vacance, gdzie z chęcią wskoczyliśmy do ciepłego basenu.

4 lipca. O godz. 8.30 zjawił się kierowca, który zabrał nas na plażę Anse Volbert, gdzie niewielka łódź motorowa z małym daszkiem czekała już na nas. Wiało dość mocno i po kilku chwilach okazało się, że lądowanie na wyspie Cousin będzie dzisiaj niemożliwe. Wyruszyliśmy więc na Couriese, gdzie ogromne żółwie lądowe przechadzają się po całej wyspie, nie będąc niepokojone przez nikogo poza ciekawskimi turystami, którzy robią wszelakie możliwe ujęcia zdjęciowe z wielkimi gadami w tle. Spacer z jednej strony wyspy na drugą, gdzie mieliśmy przygotowany ciepły posiłek, zajął niecałą godzinę. Po obiedzie był jeszcze czas na relaks na pięknej plaży. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przy malowniczych wysepkach St Pierre i St Paul, gdzie jasnobrązowe granitowe skały wystające z oceanu kontrastują z błękitem wody i zielenią palm. Przy skalistym brzegu można nurkować obserwując podwody świat. Udało mi się nawet dostrzec morskiego żółwia i skrzydlicę. Przed piątą po południu dotarliśmy do naszego domu.

5 lipca. Środę poświęciliśmy na wycieczkę do najbardziej malowniczej plaży całej wyspy Praslin. Aby dotrzeć do Anse Lazio, bo tak nazywa się owy kawałek białego piasku ułożonego w kształcie półksiężyca przy lazurowej wodzie i w otoczeniu drzew takamaka, kazuaryny i kilku gatunków palm, trzeba z Grande Anse, gdzie położony jest nasz hotel, pojechać autobusem o numerze 61 do ostatniego przystanku na trasie tej linii, czyli Anse Boudin na północnym-zachodzie wyspy. Stamtąd pozostanie nam już tylko przejść jedno strome wzgórze i dotrzeć do faktycznie bajecznej plaży. Przy Anse Lazio jest tylko jedna restauracja serwująca posiłki. I to bająco drogie posiłki. Za hamburgera z frytkami trzeba zapłacić 250 rupii, a za zwykłą kanapkę z szynką i serem blisko 200. Korzystanie z plaży jest za to zupełnie, ale to zupełnie darmowe. Tego dnia były, ku uciesze naszych dzieci, dość duże fale, które stwarzały doskonałe warunki do wodnej zabawy. Wypluwając jednak kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów od linii brzegowej, można dostrzec ciekawy podwodny świat, w tym płaszczki i szereg innych morskich stworzeń.

Około 16.00 wróciliśmy autobusem do Grande Anse, płacąc zwyczajowo 5 rupii za osobę.

6 lipca. Umówiony taksówkarz nie zjawił się o godzinie 8.30 w naszym hotelu. Chcąc zdążyć do Cote d'Or, czyli plaży Anse Volbert, skąd odpływają łodzie na wyspę

Cousin, na którą dziś teoretycznie można dotrzeć, gdyż morze jest spokojniejsze, musieliśmy wynająć taksówkę. Z hotelu Indian Ocean znajdującego się zaraz obok naszego Belle Vacances recepcjonistka zadzwoniła po taksówkę i za pięć minut siedzieliśmy w wygodnym aucie pędzącym do Anse Volbert. Taksometr pokazał 350 rupii, ale zapłaciliśmy ze zniżką 300. Sprzedawca naszej wycieczki, rastaman o imieniu Jean Paul, okazał się zwykłym oszustem. Nie dość, że nie wysłał po nas umówionej taksówki, to teraz na plaży musieliśmy niemalże siłą przekonać go, aby znalazł nam łódź motorową, która zawiozłaby nas na wyspę Cousin. Znalazł. I popłynęliśmy. Ale jaka to była przeprawa! Spokojny ocean w wodach przybrzeżnych okazał się już nie tak spokojny, gdy otwarty przesmyk na południe od Praslin dał o sobie znać. Naszą małą łupinką z jednym silnikiem rzucało niczym piłeczką do tenisa stołowego. Znikaliśmy w kilkumetrowych falach na kilka sekund tylko po to, aby wynurzyć się po chwili. Na szczęście nie trwało to długo. Po 30-40 minutach dotarliśmy na nieco spokojniejsze wybrzeże wyspy Cousin. Nie mogliśmy jednak od razu dobić do brzegu, mimo że wybrzeże nie było skaliste. Przed piękną piaskową plażą piętrzyły się dość duże fale. Musieliśmy przesiąść się więc na jeszcze mniejszą łódkę, która rozpędem wpadła na biały piasek. Jeszcze z wody widać było, że to wyspa ptaków, gdy setki rybołówek cienkodziobych, atolówek i pojedyncze faetony krążyły nad lądem. Blisko dwugodzinna wędrówka po wyspie to istny raj dla miłośników ptaków. Faetony żółtodziobe z małymi gnieźdzące się pół metra od ścieżki dla zwiedzających, setki rybołówek cienkodziobych nad głowami i czarno-białe sroczki seszelskie stanowiły niesamowity widok. Po spokojniejszym powrocie na Praslin dzieci kapały się jeszcze dwie godziny w wodach przy Anse Volbert, zanim wróciliśmy do domu. Na wyspę Cousin można udać się, samemu wynajmując łódź. Trzeba wtedy zapłacić 500 rupii opłaty tytułem wstępu do rezerwatu.

7 lipca. Incydent z nieuczciwym rastamanem-sprzedawcą wycieczek zgłosiłem na komisariacie policji w Baie Ste Anne, poświęcając na to prawie trzy godziny. Po wczesnym obiedzie w restauracji take-away zlokalizowanej w centrum przy plaży Grand Anse (smaczne spaghetti – 50 rupii, ryż z soczewicą i sałatką – 50 rupii), udaliśmy się autobusem do Valle de Mai. Wstęp jest drogi – 350 rupii za osobę dorosłą. Nasze dzieci (6 i 8 lat) weszły za darmo. Park, wpisany na listę UNESCO, jest naprawdę wart odwiedzenia. Niestety liczba zwierząt, które można przez kilka godzin dostrzec, trochę rozczarowuje. Nam udało się zobaczyć hałaśliwe szczytaki grubodziobe, naśladujące czarne papugi, ślimaki i jaszczurki.

Małe piwo Eku o pojemności 0,28 litra kosztuje 25 rupii, dlatego też w drodze powrotnej kupiłem cztery sztuki. To dość niedrogo jak na Seszele.

8 lipca. O godz. 10.00 mieliśmy się stawić na posterunku policji w Baie Ste Anne, co też uczyniliśmy ochoczo, mając nadzieję na odzyskanie chociażby części naszej należności. Niestety dowiedzieliśmy się, że niejaki Jean Paul (nasz oszust) jest w areszcie, ale pieniędzy nie ma. Zjedliśmy więc smaczny obiad w restauracji, zwanej tutaj potocznie Take-away za 40–50 rupii za hamburgera i pojechalismy autobusem nr 61 do ostatniego przystanku, czyli Anse Budin. Stamtąd jeszcze trzeba nam było przejść pieszo wzgórze i znaleźliśmy się na plaży Anse Lazio. Wieczorem wracaliśmy drogą południową linią 62. Jest to chyba najsłabiej zamieszkaną obszar wyspy Praslin, gdzie

można jeszcze zobaczyć jak Seszelczycy żyją spokojnie, nie mając ciągłego kontaktu z hałaśliwymi turystami.

9 lipca. Mały prom-katamaran australijskiej produkcji o dźwięcznej nazwie Cat Rose, o godzinie 10.00 odpływał na wyspę La Digue. Cena to 14 euro za osobę w jedną stronę. Dzieci do 12 roku życia płacą połowę mniej. Jadąc do portu taksówką za 300 rupii, gdyż w niedzielę autobusy kursują rzadko i nie zabierają pasażerów z dużymi bagażami, zatrzymałem się na posterunku policji, mając jeszcze ostatnią nadzieję na pozytywne rozwiązanie sprawy rastamana-oszusta. Ku mojemu zupełnemu zaskoczeniu, dość sporych rozmiarów miła policjantka poinformowała mnie, że odzyskała 1000 rupii. Nie za bardzo chciałem w to wierzyć, ale nie miałem wiele do stracenia, gdy poprosili mnie, abym zaczekał 15 minut, po których mieli mi wręczyć pieniądze i odwieźć wprost na prom. Tak też się stało. Gdy Ania z dziećmi przyglądała się wpływającemu katamaranowi do portu ja, w obstawie dwóch policjantów, wjechałem na nabrzeże. „You are the best policemen in the world” – rzekłem do dwóch funkcjonariuszy na służbie, co wywołało szeroki uśmiech zadowolenia na ich twarzach.

Przeprawa promowa trwała tylko 15 minut, gdyż La Digue jest położona jedynie kilka kilometrów od Praslin. Z przystani musieliśmy wędrować z ciężkimi plecakami blisko 20 minut do wynajętego wcześniej przez internet Sitronelle Guesthouse. Mały domek z łazienką i tarasem na dwa krzesła i stoliczek to wydatek 70 euro za dobę. Mili właściciele, widząc, że jesteśmy z dwójką małych dzieci, wstawili nam do pokoju trzy łóżka – jedno duże i dwa małe. Zostawiwszy bagaże, wróciliśmy do portu, gdzie wynajęliśmy cztery rowery na cztery dni. Wyjściowa cena to 100 rupii za rower za jeden dzień. Wyposażeni w jednoślady ruszyliśmy do restauracji Take-away na obiad – 50 rupii za spaghetti albo smaczną rybę z ryżem, ewentualnie kurczaka z frytkami. Następnie przez plantację L'Union, gdzie trzeba było zapłacić 100 rupii wstępu za osobę dorosłą, dotarliśmy do plaży Source d'Argent. W trakcie popołudniowego przypływu nie wyglądała jednak tak malowniczo jak na pocztówkach czy w prospektach, ale nie można jej było odmówić urody. Ogromne, granitowe skały, o które rozbijały się fale, kontrastowały z zielenią drzew takamaka i palm oraz błękitem wody.

10 lipca. Poniedziałek poświęciliśmy na dotarcie na wschodni kraniec wyspy. Raniem, po śniadaniu – mleko litrowe w sklepie to koszt 15 rupii, a płatki kukurydżiane w dużym opakowaniu 335 gram 35 rupii – wstąpiliśmy na kawę do restauracji Fish Trap przy samym nabrzeżu portowym, aby skorzystać z darmowego Internetu. Kawa kosztuje tutaj, bagatela, 55-85 rupii. Tutaj, na La Digue, wszystko jest drogie. Bardzo drogie. Droga z portu wiedzie najpierw na północ, mijając malowniczy cmentarz, a następnie dochodzi do luksusowego hotelu Patatran prawie na północnym krańcu wyspy. Dalej wąska, wybetonowana nawierzchnia poprowadzi nas na południe aż do zatoki Anse Fourmis, gdzie zwyczajnie kamienie zatarasują dalszy przejazd drogą. Po drodze będziemy mijali kilka straganów z owocami i dwie, może trzy restauracje. Po za tym nic, tylko szumiący ocean i piękne, białe plaże.

11 lipca. Ten dzień zaplanowaliśmy na wycieczkę na południową plażę Grand Anse. Droga wiedzie pagórkami wewnątrz wyspy i jest cała wybetonowana. Z przystani promowej nie jest dalej niż pięć kilometrów. Gdy dotarliśmy po niecałej godzinie

pedałowania z naszą małą, sześćioletnią podróżniczką, rozpostarł się przed nami bardzo malowniczy widok. Wielka Zatoka czy Grand Anse, jak mawiają miejscowi, ma co najmniej kilkaset metrów szerokości i po obu stronach otaczają ją ogromne granitowe skały koloru brązowego, kontrastującego z błękitem niespokojnego morza. Na tej plaży trzeba uważać z kąpielą – zdarzały się utonięcia za sprawą silnych prądów i fal rozbijających się o piaszczystą plażę. Po krótkiej kąpeli wróciliśmy do La Passe, gdzie zjedliśmy smaczny obiad w barze o nazwie Zerof Take-away. Kurczak z frytkami kosztował 50 rupii, a spaghetti 55 rupii. Po obiedzie zajrzelśmy jeszcze raz do małego Rezerwatu Muchodławki Iśniącej (Veuve Reserve) i mieliśmy szczęście. Obok informacji zlokalizowanej zaraz przy wejściu przyleciała i usiadła na gałęzi brązowo-czarno-biała samiczka muchodławki. Zdążyłem zrobić zdjęcie.

12 lipca. Ostatni dzień na wyspie La Digue spędziliśmy częściowo w hotelu La Domaine de L'Orange, bodajże najlepszym hotelu na wyspie, korzystając tam z potrzebnego nam łącza internetowego. Tutaj przy zakupie kawy czy innego napoju można bezpłatnie skorzystać z Wi-Fi. Obiad zjedliśmy w Gala Takeaway, gdzie ceny ostrego kurczaka z ryżem albo kulek rybnych z sałatą i ryżem wahały się od 50 do 60 rupii. Smaczne ciasto kawowe czy kokosowe to wydatek 10 rupii. Kilkaset metrów za cmentarzem rozpoczyna się ładna plaża, gdzie rafa koralowa odsłania się częściowo w trakcie odpływu. Tam spędziliśmy ostatnie godziny na La Digue. Na kolację zjedliśmy dużą papają za 40 rupii i 6 bułeczek za 10 rupii.

13 lipca. Rankiem o godzinie 7.30 odchodził nasz prom na wyspę Praslin, skąd mieliśmy złapać następny o 9.00 na stołeczną Mahe. Wszystko przebiegło bez niespodzianek, no może poza tym, że promem trochę bujało na falach i nie każdy pasażer czuł się dobrze. Wsiadając z promu, postanowiliśmy wykorzystać efektywnie ostatnie pięć godzin na Mahe. Po długich negocjacjach znaleźliśmy taksówkarza, który zgodził się za 60 euro spędzić z nami ten czas. Najpierw zawiózł nas do czynnej do południa fabryki herbaty, gdzie widzieliśmy kobiety, zbierające liście herbaciane na plantacji i cały proces produkcyjny wraz z maszynami do tego używanymi. W małym sklepiku można nabyć tutaj cały asortyment herbat – od taniej seszelskiej herbaty waniliowej po dużo droższe mieszanki ładnie pakowane w torebki. Następnie zjechaliśmy do Victorii na obiad do Butcher's Grill. Na koniec przejechaliśmy na południe wyspy do fabryki rumu Takamaka, gdzie można było kupić butelkę białego rumu o pojemności 0,75 litra w cenie 270 rupii, a małą (0,375 litra) za 140 rupii. Jak się okazało, to nie są dobre ceny, gdyż na lotnisku, na które dotarliśmy zaraz po godzinie 15.00, taki sam rum w strefie bezcłowej kosztuje już tylko 210-220 rupii za 0,75 litra. Fabryka jest jednak warta odwiedzenia. Oprócz wizyty w samej destylarni (wycieczki z przewodnikiem odbywają się dwa razy dziennie o 11.30 i 13.30) można tutaj także usiąść i zjeść smaczny posiłek, popijając go rumem lub kawą w pięknej restauracji zlokalizowanej w drewnianej, kolonialnej willi. Po godzinie 18.00 odlatywał nasz samolot do stolicy Kataru – Dohy. Wyspa Mahe widziana przez iluminator samolotu prezentuje się naprawdę fantastycznie.

Jacek Strejch

Madagaskar



Termin podróży: 30 marca – 23 kwietnia 2017 r.

Uczestnicy: dwie osoby

Przelot: Warszawa–Paryż–Antananarivo (Tana)–Paryż–Warszawa

Koszt przelotu: 3994 PLN w obie strony

Waluta: ariara=3325 za 1 EUR

Malgasze – tubylcza ludność Madagaskaru. Naród ten liczy ok. 20 mln osób. Posługują się dialektami języka malgaskiego, wyznają w większości chrześcijaństwo. Na etnogenezę Malgaszów złożyły się przede wszystkim austronezyjskie ludy z Azji Południowo-Wschodniej (prawdopodobnie pochodzące z Borneo. Okolice stolicy Tany i płaskowyż centralny zamieszkują ludzie z plemienia Huva wywodzącego się z Indonezji

RELACJA Z PODRÓŻY

30 marca. Wylatujemy rano 6:30 z lotniska Chopina w Warszawie. Szybka przeładka w Paryżu i wieczorem jesteśmy w Tanie. Nie możemy wziąć zarezerwowanego auta, bo biuro jest już zamknięte, więc bierzemy taxi i jedziemy do hotelu Relais Normand, który zarezerwowaliśmy w internecie za 15 euro, pokój 2-osobowy ze śniadaniem (50 000 w lokalnej walucie-ariary), gdzie zatrzymujemy się na nocleg. Niedaleko hotelu zauważyłem biuro Budgeta, więc pójdziemy tam rano.

31 marca. Rano po super śniadanku udajemy się po odbiór auta Reno Logan na cały pobyt od 31 marca do 22 kwietnia za 1058 euro. Czeka już na nas uśmiechnięta Pani i, co jest dla nas zaskoczeniem, kierowca Mami, którego wynajęliśmy wraz z autem na cały pobyt i jest wliczony w cenę. Wypełniamy stosowne formularze, ustalamy z kierowcą dokąd dziś zajedziemy i za chwilę ruszamy w drogę. Mami zajeżdża jeszcze do swojego domu po parę rzeczy i za chwilę ruszamy z Tany do Andsirabe odległego o 170 km, gdzie nocujemy w hotelu Andsirabe Hotel-Restaurant przy Lot 1118 E 325 Mahazoarivo Andsirabe 110 tel. 020 4493268, e-mail:andsirabehotel@gmail.com.

Cena za pokój 2-osobowy 50 000, śniadanie 8000 od osoby. Jadąc, mijamy po drodze pola ryżowe i liczne stoiska z cudownie pomarańczowymi poukładanymi w piramidki owocami khaki. Cena za jeden soczysty, rozpływający się w ustach owoc to, przeliczając na naszą walutę, 24 grosze za 1 sztukę. Madagaskar jest znaczącym producentem ryżu. Kolację jemy w knajpce Zandina, gdzie podają smaczną rybkę za 7500 ariary.

1 kwietnia. Wyruszamy wcześniej rano o 6.30 i jedziemy do Morondawy na wybrzeżu Kanału Mozambickiego jedyną asfaltową drogą przez Mandrivazo. Mamy do pokonania 487 km. W miarę jak jedziemy na wschód, znikają pola ryżowe i wjeżdżamy w trawiaste góry porośnięte całymi łąkami pomarańczowych kwiatów. Gdzieś tam mijamy skupiska pojedynczych palm podróżnika – endemitu Madagaskaru, palmy w kształcie wachlarza z postrzępionymi liśćmi. Jeszcze dalej na wschód pojawiają się palmy sawannowe z pióropuszem i góry stają się z żółtawych zielone. Przed Morondawą zaczynają pojawiać się coraz liczniejsze baobaby i palmy kokosowe. Mami staje na wysokości zadania i pędzi, żeby zdążyć na zachód słońca nad aleją baobabów. Kilka kilometrów przed Morondawą należy zjechać w piaszczystą drogę w kierunku na Behopaka w prawo i jechać kilka kilometrów na północ. Zdążamy w ostatniej chwili. Szpaler majestatycznych, ogromnych baobabów wzdłuż piaszczystej drogi na tle czerwonego nieba robi wrażenie. Po zapadnięciu zmroku jedziemy na wybrzeże, gdzie nocujemy w bungalowie przy plaży za 60 000 ariary za noc, śniadanie 9500 ariary.

2 kwietnia. Jeszcze raz jedziemy obejrzeć aleję baobabów w świetle dnia i poczuć klimat tego miejsca. Wracamy na smaczne krewetki w sosie czosnkowym do miasta i wieczorem jeszcze raz na zachód słońca do alei baobabów. Wieczorem organizujemy sobie 3-dniowy wyjazd do Tsingy Bamaraha za 450 000 od osoby.

3 kwietnia. Zaraz po wschodzie słońca podjeżdża terenówka i ruszamy w drogę. Przejeżdżamy przez znaną nam już dobrze – byliśmy tu 3 razy w ciągu doby – aleję baobabów i jedziemy na północ do odległego o ok. 200 km Bekopaka – miasteczka, wrót do parku Tsingy de Bamaraha nad rzeką Manambolo.

Tsingy de Bemahara obejmuje krasowe formy wapienne w postaci ostrych szczytów, lasów kamiennych igieł i widowiskowego kanionu rzeki Manambolo.

Jedziemy tam cały dzień po błotnistej drodze. W połowie trasy jest miasteczko Tsiribihina nad rzeką o tej samej nazwie. Rzekę przekraczamy promem za dodatkową opłatą 20 000 od auta. Kilka kilometrów przed celem zakupujemy się w lepkim błocie. Dobrze, że ni stąd, ni zowąd pojawiają się miejscowi ludzie i wypychają auto z błota. Oczywiście chcą za to jakąś kasę. Śmiejemy się, że przynoszą tu wodę w butelkach i wylewają, żeby zarabiać na zakopanych w błocie autach. Kierowca chce nas obarczyć kosztami, ale nie dajemy mu się wyrolować dzięki charyzmie Ani, która mówi twardo nie. Straciliśmy prawie godzinę na walkę z błotem, ale w końcu jedziemy dalej. Drogi są mocno błotniste, bo z końcem marca skończyła się pora deszczowa i drogi nie zdążyły obeschnąć. Kilka kilometrów przed celem trafiamy na największą przeszkodę. Woda głęboka prawie na pół metra, zalana cała droga na odcinku ponad 300 m. Kierowca chodzi po wodzie i kombinuje, gdzie najpłycej i którądy przejechać. Ale znowu źle przemysłał i znów stoimy zakopani w błocie na środku ogromnej kałuży. I znowu autochtoni w liczbie kilkunastu po długich pertraktacjach z kierowcą, ile wyniesie ta

usługa, zaprzęgają się do liny i biegnąc, wyciągają nas z błota, ciągnąc auto przez półmetrową wodę przez prawie 200 m – taka lokalna wyciągarka. Już po zmroku dojeżdżamy do rzeki Manambolo i czekamy na prom, który po kilkunastu minutach przypląwa i przewozi nas na drugi brzeg za 7500 ariary od auta. Zajeżdżamy do Grand Hotelu, gdzie zostaniemy przez 2 noce – cena 70 000 ariary za pokój 2-osobowy za dobę.

4 kwietnia. Rano jedziemy do biura parku Tsingy de Bamaraha i po zapłaceniu 55 000 od osoby za wstęp do parku i przydzieleniu przewodnika za 135 000 ariary ruszamy na szlak. Rejon ten zamieszkuje lud Vazimba. Wchodzimy w wąskie kaniony między iglicami skalnymi z wapienia, przez które ledwie się przeciskamy. Mijamy endemiczne rośliny o butelkowatych kolczastych pniach zwieńczonych koroną zielonych liści i kwitnącymi białymi kwiatami. W ciemnych zakamarkach rozpięły swe sieci ogromne pająki. Przechodzimy po drabinkach i kładkach na najwyższy punkt skał, skąd jest widok na wapienne iglice. Ich powierzchnia jest chropowata, szorstka, o ostrych krawędziach. Po wyjściu z labiryntu skał idziemy brzegiem kilkunastometrowych pomarańczowych klifów wzdłuż czekoladowej rzeki Manambolo. Jest mnóstwo komarów, a obiecanych lemurów nigdzie nie widać. Kupujemy patent przewodnika odganiania komarów – okładanie się urwaną z krzewu zieloną gałązką po nogach w trakcie marszu. Upał jest nieziemski, więc popołudnie spędzamy wśród palm w hotelowym ogrodzie.

5 kwietnia. Jedziemy z powrotem do Morondawy. Przed nami cały dzień jazdy. Nasz kierowca nauczony doświadczeniem sprzed 2 dni zjawia się z kierowcą drugiej terenówki i jedziemy w 2 auta. I słusznie, bo auto przed nami znowu się zakopuje w błocie i wyciąga go nasza terenówka liną. I tak we dwójkę, pomagając sobie wzajemnie, wydostajemy się na suchą drogę i już bez przeszkód jeszcze za dnia wracamy do tego samego bungalowu co przed wyjazdem na nocleg, tym razem trochę taniej za 50 000 ariary.

6 kwietnia. Jedziemy tą samą drogą, którą tu przyjechaliśmy, bo to jedyna droga łącząca stolicę z zachodnim wybrzeżem. Jadąc, zauważamy idącego asfaltem dość dużego kameleona. Nocujemy w Mandravizo w hotelu z basenem – bungalow za 80 000 ariary, na obiad smaczna rybka za 14 000 ariary.

7 kwietnia. Dzisiaj dzień w drodze: jedziemy do Ambalavao odległego o 520 km miasteczka u stóp pasma Andringitra, w których leży nasz cel – najwyższy szczyt pasma Boby Peak o wys. 2658 metrów. Na wieczór dojeżdżamy do Finarantsoa, niecałe 100 km od Ambalavao, gdzie nocujemy w hotelu za 61 000 ariary, pokój 2-osobowy.

8 kwietnia. Jedziemy rano do Ambalavao odległego o niecałe 100 km. Przed dojazdem do miasta wjeżdżamy na przełęcz, z której roztacza się ładny widok na leżące w dole miasto. Jest to teren zamieszkany przez lud Bara Haronga, pochodzący z terenów dzisiejszego Mozambiku. Jedziemy do hotelu, w którym czeka na nas przewodnik, organizujący trekkingi na szczyt Boby Peak (lokalna nazwa Pic d'Imarivolanitra). Nazwa szczytu wywodzi się od imienia psa, którego szczekanie we mgle pozwoliło odnaleźć zagubionemu odkrywcy drogę. Negocjujemy cenę i ustalamy na 260 000 ariary od osoby za dwudniowy trekking. Po godzinie przyjeżdża auto terenowe z przewodnikiem i ru-

szamy w drogę. Z opon naszej terenówki sterczą druty, ale nasz przewodnik nie zwraca na to uwagi i mówi, że okej auto good. Jedziemy jakieś 40 km piaszczysto-gliniastą drogą. Ciekawy jest sposób przekraczania rzek przez mosty. W mostach brakuje desek leżących w poprzek i są dziury. A nasze auto wiezie na dachu brakujące deski, którymi zapełnia się dziury w moście i zbiera je z powrotem, jak auto przejedzie przez most. Wolimy przechodzić przez mosty pieszo, patrząc z daleka jak auto przejeżdża przez wąskie mosty bez barierek, kołysząc się na boki. Po jakichś 3 godz. dojeżdżamy do wioski, za którą kończy się droga. Jeszcze tylko 45 min marszu i dochodzimy do biwaku, gdzie spędzimy noc w namiocie. Tragarze przygotowują kolację i po posiłku nocleg pod rozgwieżdżonym niebem Afryki.

9 kwietnia. Rano o 6 wyruszamy w drogę. Początkowo podchodzimy przez las stromo do góry, mijając po drodze duży wodospad, spadający ze skał po drugiej stronie doliny, a potem po 2 godzinach marszu wychodzimy na trawiasty płaskowyż u stóp strzelających w niebo pionowych skał. Idziemy dobrych kilka kilometrów, zanim zaczyna się strome podejście między skałami wąskim szlakiem. Idziemy ścieżką, mijając rosnące licznie żółte kwiaty przypominające nasze rumianki i krzewy z kwiatami pomarańczowego koloru o kształcie wiszących w dół kielichów tulipanów. Po 2 godzinach wspinaczki około południa osiągamy wierzchołek, z którego roztacza się piękny widok na góry Andringitra – liczne kopuły granitowe. Chłoniemy piękny krajobraz i pozostaje nam jeszcze powrót w dół. Po drodze spotykamy zielonego kameleona. Do hotelu docieramy około godziny 22. Pokój 2-os. za 50 000 ariary.

10 kwietnia. Rano ruszamy w dalszą drogę. Naszym celem jest park narodowy Isalo. Po wyjechaniu z gór Andringitra krajobraz się zmienia. Jedziemy przez trawiaste, bezleśne góry. Za miasteczkiem Ihosy, leżącym w kotlinie, zaczyna się zielona sawanna porośnięta kępami palm (*Bismarckia nobilis*). Wczesnym popołudniem dojeżdżamy do Ranohira – miejsce wody – rano po malgasku znaczy woda. Zatrzymujemy się w hotelu z basenem za 37 500 ariary od osoby. Jedziemy do biura parku, żeby ustalić program zwiedzania. Do kanionów jest już za późno, więc jedziemy na zachód słońca do okna skalnego. Miejsce niesamowite, rosną liczne palmy wśród skał o niesamowitych kształtach i jeszcze to światło popołudniowego słońca. Widzimy mnóstwo sieci z ogromnymi pajakami wielkości dłoni i kontemplujemy zachód słońca przez skalne okno o śr. 2x3 m.

11 kwietnia. Jedziemy do kanionów Isalo wyłobionych w skałach z jurajskiego piaskowca. Isalo to park narodowy usytuowany w regionie Ihorombe, w południowo-zachodniej części Madagaskaru, gdzie utworzony został w 1962 roku. Położony jest na wysokości 820–1240 m n.p.m., a jego powierzchnia wynosi 815,4 km².

Na terenie parku znajdują się liczne kaniony i doliny, a wszystko za sprawą jego lokalizacji na płaskowyżu z jurajskiego piaskowca.

W drodze do kanionów wjeżdżamy na punkt widokowy, z którego widać skalny brązowopomarańczowy klif z włotami 2 kanionów (o nazwie małp i szczurów) oraz zieloną sawannę z bardzo licznymi palmami *Bismarckia nobilis*.

Wchodzimy do kanionów i idziemy w ich górę ponad kilometr. Ceglaste pionowe ściany wznoszą się na wysokość kilkuset metrów, a dnem płynie strumień z krystalicznie czystą i ciepłą wodą.

Na dnie rosną liczne palmy i pandanusy. Kanion szeroki na kilkanaście metrów, prosto z wody strumienia wyrastają wysokie na kilkaset metrów urwiska. Woda ciepłutka, kąpiemy się w niej z prawdziwą przyjemnością. Zwiedzamy po kolei oba kaniony. Wracając, spotykamy skupisko dużych kwiatów o biało-żółtych płatkach i brązowym środku, przypominające kształtem rozwiniętą różę. Wracamy do hotelu i zaliczamy stek z Zebu – lokalnego długorogiego bydła za 18 000 ariary. Trochę twarde, ale w smaku dobre. Park Isalo jest zamieszkały przez lud Bara, który na tutejszych klifach ma swoje grobowce. Po obiedzie jedziemy do zachodniej części parku i idziemy szlakiem do skały w kształcie buta. To tu Kopciuszek zgubił swojego pantofelka. Po drodze widzimy wylegające się pod kamieniami skorpiony, które ochoczo pokazuje nam nasz przewodnik, oraz najmniejszy baobab słoniowy wysoki na kilkanaście centymetrów.

12 kwietnia. Dziś rano idziemy szlakiem Namaza do oczek wodnych z wodospadami oraz w poszukiwaniu lemurów. Najlepiej i najłatwiej spotkać je około 10 rano. Przewodnik po drodze wyciąga z trawy węże i nam je pokazuje. Podobno na Madagaskarze nie ma jadowitych. Spotykamy też najmniejszego kameleona Brookesja długości 2 cm. W jednym z krystalicznie czystych oczek wodnych pod wodospadem zażywamy kąpeli. Przed nami idzie wycieczka szkolna i dzieci hałasują. Martwimy się, że wypłoszą nam lemury, których jeszcze nie widzieliśmy. I staje się cud, po przejściu hałaśliwej bandy dzieciaków nagle pojawiają się lemury o wyglądzie króla Juliana, w biało-szare paski i białe sifaka. Mamy je w odległości kilku metrów, jeden nawet trzyma ogon kilka centymetrów od nas. Jesteśmy szczęśliwi, wreszcie mamy lemury. Po sesji fotograficznej wracamy do auta i ruszamy w dalszą drogę do Touler. Własnym autem można wjechać tylko na zachód słońca do okna skalnego. Do pozostałych miejsc trzeba wynajmować dodatkowe auto za dopłatą 80 000 ariary. Wstęp do parku Isalo 100 000 ariary za 2 dni od osoby (wliczony przewodnik). Tuż przed wybrzeżem zaczynają się palmy daktylowe, a potem kokosowe i wjeżdżamy do Touler. Jedziemy jeszcze kilkanaście kilometrów na północ do Ifaty, gdzie znajdujemy na plaży bungalow za 70 000 ariary. W morzu temperatura około 30 stopni C i cudowny zachód słońca do wód Kanału Mozambickiego.

13 kwietnia. Dziś idziemy do lasu kolczastego Ifaty, który okazuje się być niecały kilometr od naszego bungalowu na plaży. Wstęp kosztuje 20 000 ariary+przewodnik 10 000. Idziemy szlakiem około 2 km wśród baobabów i Didieraceae endemitu malgaskiego – rozchodzących się wachlarzowato kilkumetrowych pałek, pokrytych małymi, zielonymi listkami i długimi kolcami. Butelkowate baobaby są niesamowite. Najwyższy ma powbijane kołki, po których można wdrapać się na szczyt, czego nie omieszkam zrobić. Ze szczytu korony drzewa widok na cały las i Ocean Indyjski na horyzoncie.

14 kwietnia. Rano jedziemy na północ od Ifaty do następnej wioski. Trafiamy tam na piękny gaj kokosowy z setkami palm i piaszczyste wydmy z białego piasku wysokie na kilkanaście metrów. Jest tam piękna plaża i na rafie pływają rybackie łodzie z wielokolorowymi dziurawymi żaglami, pewnie zszywanymi z różnych szmat. Wracając, widzimy maszerujący tłum ludzi z siekierami i strzelbami. Zatrzymujemy się i pytamy, co się dzieje. Wyjaśniają, że idą na proces o zabójstwo, który toczy się w wiosce. Dołącza-

my do tłumu i siadamy razem z nimi w kręgu na trawie. Ludzie tłumaczą, że zbierają się tu od ponad 2 miesięcy codziennie i dopóki rodzina zabójcy nie zapłaci każdemu z zebranych ustalonej przez prowadzącego proces kwoty, dotąd nie zapadnie wyrok. Zabójca nie idzie do więzienia, tylko przejmuje obowiązki zabitego i musi utrzymać jego całą rodzinę. W pewnym momencie prowadzący proces odpowiednik wójta pokazuje na nas i mówi "vazaha". Chodzi mu, że my, czyli obcy, to znaczy vazaha, nie możemy brać udziału w procesie. Ale życzliwi ludzie za nami się wstawiają, że możemy zostać, bo to dla nas atrakcja. Nasz kierowca Mami wygłasza mowę i przewodniczący zostaje udobruchany i pozwala nam zostać. Po południu wybieram się jeszcze na wędrowną po leżącym poza rezerwatem lesie Ifaty i wieczorem kąpiel o zachodzie słońca w Oceanie Indyjskim. A potem relaks na werandzie domku pod szumiącymi palamami kokosowymi.

15 kwietnia. Rano jedziemy do portu w Tulear (Toliara), skąd raz dziennie rano o 8.30 płynie łódź do Antanao i wraca o świcie następnego dnia. Kosztuje 100 000 ariary w obie strony od osoby. Ciekawy jest proces zaokrętowania na łódź. Podjeżdża bryczka zaprzężona w dwa zebu i wiezie nas i 3 inne osoby po wodzie głębokiej na 50–70 cm do stojącej jakieś 200 m od brzegu łodzi. Oczywiście woźnica chce dodatkową opłatę, ale udaje się od niej wykręcić. Łódź płynie jakieś 1,5 godz. i lądujemy na ślicznej białej piaszczystej plaży w Antanao. Znajdujemy hotel, a jest ich tu mnóstwo, i z właścicielką załatwiamy auto na wyjazd do parku Tsimmanamtsempotsa nad jeziorem Mitano. Auto kosztuje 300 000 ariary. Zjawia się po jakiejś godzinie i wyruszamy w drogę piaszczystą trasą wiodącą przez las sukulentów. Mijamy wioskę Beheloka i po 2 godzinach docieramy do wioski Efoetse, gdzie znajduje się główne wejście do parku. Opłata za wstęp i przewodnika wynosi 60 000 ariary od 2 osób. Najpierw jedziemy do lasu z baobabami, gdzie rośnie najstarszy, podobno mający kilka tysięcy lat baobab. Wchodzę na jego wierzchołek, ma jakieś 8 m wysokości. Wejście łatwe, bo pień jest guzowaty i łatwo po tych naturalnych chwytach wyjść na szczyt drzewa. Widok z góry na liczne baobaby.

Potem idziemy do groty, na dnie której jest jezioro z krystalicznie czystą wodą. Zamierzam umyć w nim ręce i w tym momencie widzę leżącego w wodzie węża boa, którego łeb wystaje tylko ponad wodę. Wyciągam go gałęzią ma prawie 2 m długości. Idziemy w kierunku drugiej groty i w lesie obok natrafiamy na całe stado lemurów, które siedzą spokojnie kilka metrów od nas zajęte swoimi sprawami i pozują do zdjęć.

Następnym punktem programu jest jezioro Mitano, głębokie maksymalnie na 2 m, szerokie na 1–2 km i długie na kilkanaście kilometrów, nasycone siarczanami. Na dnie i brzegach znajduje się gliniaste białawego koloru błoto, które, wysychając, pęka, tworząc charakterystyczne plastry miodu. Jezioro jest miejscem żerowania flamingów – kilkanaście ptaków brodzi w płytkiej wodzie. Ania próbuje podejść do brzegu jeziora i w momencie zapada się prawie po kolana – trzeba uważać. Na koniec wychodzimy na górującą na jeziorze ponad 100 m klif, porośnięty przez liczne baobaby z punktem widokowym na mlecznobłękitne wody jeziora Mitano.

Zaczynamy wracać, bo dzień chyli się pomału ku końcowi, a na nas czeka zamówiony na kolację homar. Nasze auto jest nowiutkie, nie pasuje do standardów afrykań-

skich. Opony nowki prosto od wulkanizatora. I nagle na prostej i gładkiej drodze łapiemy flaczka. Kierowca nie może odkręcić śruby mocującej koło zapasowe, które znajduje się pod spodem auta. Po godzinnej walce ze śrubą poddaje się, bo zapada noc i postanawia jechać kilkanaście kilometrów na flaczku. Nawet idzie to nienajgorzej, tylko że po dojechaniu do bram parku z opony zostaje niewielkie zadaszanie nad felgą. W sumie, po co opony, jak nienajgorzej jedzie na samej feldze. A to ironia losu, że najlepsza opona na najlepszej z dotychczasowych dróg i masz ci – flaczek. Niezbadane są ścieżki Pana. Około 22 docieramy do hotelu, ale homar czeka. Jest przepyszny i za jedyne 18 000 ariary. Jeszcze kąpiel w ciepłym oceanie w świetle księżyca, który akurat jest w pełni i spanko.

16 kwietnia. Rano skoro świt zabiera nas łódź prosto z plaży przed hotelem i płyniemy do portu w Toluer, gdzie po 2 godz. odbiera nas czekający z autem Mami i jedziemy z powrotem do Ambalavao. Dojeżdżamy wieczorem po całodniowej jeździe.

Nocujemy w tym samym ośrodku co po trekkingu na Bobby peak w bungalowie za 25 000 ariary od osoby.

17 kwietnia. Rano jedziemy do prywatnego rezerwatu Anya z lemurami, gdzie wstęp z wliczonym przewodnikiem kosztuje 40 000 ariary od osoby. Znów podziwiamy lemury i spotykamy dużego kameleona. Przewodnik karmi go świerszczami i obserwujemy, z jaką prędkością kameleon wystrzela język, żeby pochwycić złożonego w ofierze owada. Na stawie obecnym w parku kwitną śliczne fioletowe kwiaty lilii wodnej, pokrywające cały staw.

Następnie jedziemy do Firanantsoa i zwiedzamy stare miasto. Mami wiezie nas na szczyt wzgórza, z którego roztacza się cudowny widok na całe miasto.

Nocujemy w tym samym hotelu co poprzednio za 61 000 ariary w pokoju 2-osobowym z moskitierą.

18 kwietnia. Rano odwiedzamy zakład, w którym produkuje się wyroby, między innymi łyżeczki, z rogu Zebu. Do polerowania i nadawania koloru oraz blasku używa się lokalnej ziemi i wyciętych kółek ze starych džinsów. Odwiedzamy też sklepy z lokalnymi winami, bo region Firanantsoa słynie z uprawy winorośli.

Jedziemy do parku narodowego Ranomafana, co po malgasku znaczy gorąca woda.

Zjeżdżamy z centralnego płaskowyżu, gdzie głównym widokiem są pola ryżowe. Zjeżdżamy w dół, staje się coraz cieplej i zaczyna się dżungla z palmami podróżnika, bananowcami i paprociami drzewiastymi. Po drodze mijamy malownicze wodospady.

Na nocleg dojeżdżamy do miasteczka Ranomafana, gdzie nocujemy w domku za 58 000 ariary.

19 kwietnia. Naturalny sok z maracuj, mango i avocado kosztuje 4000 ariary, kawa 3000 ariary, śniadanie 10 000 ariary. Jedziemy do parku, wstęp ponad 100 000 ariary. Idziemy przez piękną dżunglę z licznymi bambusami i palmami i szukamy lemurów. Spotykamy dużą kolonię sifaków, skaczących po drzewach. Przedzieramy się po paryjach poza ścieżkami, żeby podejść lemurów jak najbliżej. Jest 2 przewodników. Jeden idzie przodem i tropi zwierzęta, a drugi prowadzi nas, jak tamten pierwszy coś wypatry. Po zakończeniu penetracji parku wracamy na nocleg.

20 kwietnia. Rano ruszamy w dalszą drogę. Na nocleg dojeżdżamy do Andsirabe, gdzie nocujemy w tym samym hotelu co poprzednio za 50 000 ariary.

21 kwietnia. Po śniadanku za 10 000 ariary jedziemy do parku Andasibe-Mantadia na wschód od Antananarywy.

Słynie on z lemurów sifaka, które śpiewają. Na miejsce dojeżdżamy wieczorem i nocujemy w bungalowie za 70 000 ariary.

22 kwietnia. Znowu ruszamy w dżunglę, komary tną niemiłosiernie po łydkach. Udaje nam się podejść blisko grupę sifak, które są na wyciągnięcie ręki. I słyszymy ich śpiew.

Po południu wracamy do Tany. Wjeżdżając w góry, widzimy cudowną tęczę, która jest w dolinie poniżej nas. Nocleg w Tanie, ostatni na malgaskiej ziemi.

23 kwietnia. Rano jedziemy na królewskie wzgórze Ambohimanga. Jest to kompleks pałacowy 23 km na północ od stolicy, gdzie znajdują się ruiny pałacu królowej Ranowalony. Ocalały ruiny, gdyż uległ on zniszczeniu podczas pożaru. Orowadzający nas przewodnik jest pierwszym Malgaszem, który słyszał o Beniowskim i wie, kto to był – szok. W pałacowym ogrodzie na krzewie widzimy dużego kameleona.

Po południu jedziemy jeszcze 30 km na zachód od miasta do rezerwatu lemurów, żeby pożegnać się z królem Julianem. Ostatni zachód słońca i to już koniec naszej przygody z Madagaskarem.

W nocy wylatujemy do Paryża.

Kurs ariary: za 1 euro otrzymamy 3325 ariary.

Śniadanie, na które składa się kawa, omlet, owoce, bagietka, masło i dżem za 8000–10 000 ariary; ryba z frytkami 10 000–12 000 ariary; stek z Zebu 18 000 ariary; 0,5 l piwo 1% zielone trzy konie na etykietce, a powinny być Zebu albo lemury 1800 z butelką (na miejscu 1200 ariary) – piłem to, bo lepsze i tańsze od wody.

Paliwo 3800 ariary za litr.

Tanie banany w cieście 1 za 200 ariary.

Noclegi od 15 000–35 000 ariary za osobę.

Madagaskar, Mauritius i Reunion 2017



Ponad rok planowaliśmy rowerową wyprawę na Madagaskar. W końcu nadszedł październik 2017 i trzeba było spakować przygotowane do trasy jednoślady i spróbować szczęścia na szykującej się do pory deszczowej czwartej największej wyspie świata. Wracając do kraju, zatrzymaliśmy się na kilka dni na Mauritiusie i francuskim Reunionie.

Termin: 28 października – 20 listopada 2017

Uczestnicy: 4 osoby (Maciek, Adam, Szymek i ja)

Trasa: Antananarivo – Ambositra – Park Narodowy Ranomafana – Mananjary – Nosy Varika – Mahanoro – Vatomandry – Jezioro Rasoabe – Jezioro Ampitabe – Park Narodowy Andasibe – Park Narodowy Mantadia – Antananarivo – Port Louis (Mauritius) – Le Morne/La Gaulette (Mauritius) – Piton de la Fournaise (Reunion) – Antananarivo.

Przełot: Polecieliśmy liniami Ethiopian z Wiednia do Antananarivo. Bilet kosztował 2900 zł. Do stolicy Madagaskaru latają jeszcze Air France, Air Madagascar, Kenya Airways, Corsair i Turkish Airlines. Z Madagaskaru na Mauritius przez Reunion wykupiliśmy bilet na linie Air Austral. To była najtańsza opcja w tym czasie – około 1500 zł za bilet powrotny. Na tej trasie kursują jeszcze samoloty Air Mauritius, ale ceny były dużo wyższe.

Waluta: Walutą używaną na Madagaskarze są ariary. Wcześniej funkcjonowały franki malgaskie i można jeszcze spotkać, szczególnie na wsiach, ludzi podających ceny właśnie we frankach, pomimo faktu, że fizycznie pieniędzy nie da się zobaczyć. Na lotnisku (gdzie kurs jest całkiem przyzwoity) za 1 euro płacono 3555 ariary.

Na Mauritiusie używa się rupii maurytyjskiej. W bankach w Port Louis płacono prawie 40 rupii za 1 euro.

Na Reunionie sprawa jest dość prosta – walutą obowiązującą jest euro.

Wizy: Przy wjeździe na Madagaskar należy zakupić wizę na lotnisku. Cena uzależniona jest od długości planowanego pobytu. Chcąc zwiedzać wyspę do 30 dni, zapłacimy 25 euro. Nie potrzeba zdjęć ani żadnych dokumentów poza paszportem i spora-

dycznie sprawdzaną żółtą książeczką. Mauritius nie posiada obowiązku wizowego, ale trzeba podać dokładny adres i telefon miejsca, w którym się zatrzymamy. Jeżeli chodzi o wyspę Reunion to obywatele UE wjeżdżają jak do Francji, czyli bez żadnej wizy.

Bezpieczeństwo: Wiarygodnym źródłem informacji na temat sytuacji w poszczególnych regionach Madagaskaru jest strona brytyjskiego Foreign Office <https://www.gov.uk/foreign-travel-advice>, z której wynika, że poza jedną plażą w okolicach Toliary właściwie cały kraj jest bezpieczny. Nie oznacza to, że możemy w ogóle zapomnieć o kradzieżach, które się jednak zdarzają. Szczególnie trzeba mieć się na baczności w stolicy, ale kiedy wyjedziemy już na prowincję, to sytuacja uspokaja się. Podczas naszego 3-tygodniowego pobytu nie mieliśmy żadnych sytuacji świadczących o braku bezpieczeństwa. Poza jednym przypadkiem – po wylądowaniu na Mauritiusie okazało się, że jednemu z nas skradziono kilka rzeczy z plecaka. Nie dowiemy się pewnie nigdy, czy stało się to na stołecznym lotnisku w Tanie, na Reunionie, czy już na samym Mauritiusie.

Transport: Po Madagaskarze można poruszać się na wiele sposobów. Najwygodniejsze jest połączenie samolotu i wynajętego auta z kierowcą. Jest to jednak najdroższa opcja. Nie ma tutaj tanich linii lotniczych, gdyż lata tylko Air Madagascar, a auto z kierowcą to wydatek 60–100 euro dziennie plus paliwo. Można podróżować także lokalnym transportem, czyli przeładowanymi minibusami międzymiastowymi. Taki wariant jest dość tani, ale z bezpieczeństwem nie ma wiele wspólnego. Po kanałach Pangalanes pozostaje opcja łodzi. Dla porównania odcinek Nosy Varika – Mahanoro (około 70 km) pokonaliśmy łodzią w 14 godzin i zapłaciliśmy 30 000 ariary za osobę. Jest jeszcze jeden sposób przemieszczania się po wyspie – rower. Niestety, nie polecam go początkującym cyklistom. Madagaskar jest dość wymagający pod tym względem.

Zdrowie: Często korzystam ze strony who.int. Poza standardowymi zagrożeniami, jakie występują w Afryce, trzeba jeszcze zwrócić uwagę na dżumę, która będąc tutaj chorobą endemiczną, daje o sobie znać każdego roku. W trakcie naszego pobytu panowała właśnie epidemia dżumy z dość dużą liczbą zgonów i groźną postacią płucną. Mauritius i Reunion, poza sporadycznymi przypadkami dengue, są niemal wolne od chorób dokuczających w kontynentalnej części Afryki.

Przewodniki i literatura: *Madagascar*, Bradt 2014; *Madagascar Wildlife*, Bradt 2014; Ian Sinclair, Olivier Langrand, *Birds of the Indian Ocean Islands*, 2013; *Mauritius, Reunion and Seychelles*, Lonely Planet 2010. Literatura dostępna jest na mojej stronie www.kolumb.pl w zakładce Biblioteka

RELACJA Z PODRÓŻY

29 października. Trzydzieści minut po godzinie trzynastej dreamliner linii Ethiopian dotknął pasa startowego międzynarodowego lotniska Ivato w stolicy Madagaskaru. Formalności wjazdowe zajęły nieco ponad godzinę i obejmowały sprawdzenie oświadczenia zdrowotnego i wykupienie wizy, której cena uzależniona była od długości pobytu na wyspie. Wiza na pobyt do 30 dni kosztowała 25 euro. Tutaj także, w jednym z kantorów wymieniliśmy pieniądze – za 600 euro otrzymaliśmy 2 133 000 ariary. Z lotniska odebrał nas miły i pogodny kierowca o imieniu Donnee, który przyjechał autem na tyle dużym, że nasze zapakowane cztery rowery bez problemu zmieściły się do

środku. Odwioził nas do hotelu Mirandav oddalonego od terminala o niecałe dwa kilometry, gdzie pokój dwuosobowy kosztował 42 000 ariary. Na kolację trafiliśmy do restauracji znajdującej się zaraz obok naszego hotelu. Duża, smaczna pizza wegetariańska kosztowała 16 000 ariary.

30 października. Śniadanie w hotelu Mirandav kosztowało 10 000 ariary i składało się ze świeżej chrupiącej bagietki, masła, dżemu, małego omleta i herbaty lub kawy. Po załatwieniu wszystkich formalności związanych z zostawieniem naszych dość dużych rowerowych toreb w hotelu, za co zapłaciliśmy 15 000 za 20 dni od jednej torby, wyruszyliśmy jeszcze przed godziną ósmą w blisko 260-kilometrową trasę do miasta Ambositra. Krajobrazy mijane po drodze były niesamowicie malownicze – zielone pola ryżowe otaczające trzykondygnacyjne brązowe domki zbudowane z wypalanych na miejscu cegieł, wysokie wzgórza nad dolinami rzadko zamieszkanymi przez Malgasy i kolorowe miasteczka rozlokowane po obu stronach drogi krajowej numer 7. Po niecałych ośmiu godzinach jazdy, wliczając w to krótką przerwę na postój w restauracji Vatolahy w Antsirabe, dotarliśmy do miejsca docelowego – ruchliwego miasta Ambositra. To tutaj, po pełnych handlarzy wszelkiej maści, wąskich ulicach pędzą kierowcy riksów zwanych lokalnie pousse-pousse. Wymijają się oni z mieszkańcami jeżdżącymi na motorach, rowerach, w autach czy nawet ciężarówkach. Do tego całego tyglu i wrzawy dołączają się jeszcze piesi, którzy przystają co chwila, dokonując zakupów potrzebnych im akurat artykułów. Ambositra jest przyjemnym miastem pełnym energii. Za kolację składającą się z dużej warzywnej zupy kremu, risotta z serem i oliwkami oraz podawanym na gorąco bananem w zalewie alkoholowej zapłaciliśmy 23 000 ariary.

31 października. Pokój dla dwóch osób w Grand Hotel Ambositra, gdzie zatrzymaliśmy się, kosztował 50 000 ariary, a śniadanie 15 000. Zaraz po godzinie siódmej rano wyruszyliśmy w blisko 160-kilometrową podróż do Parku Narodowego Ranomafana. Zatrzymaliśmy się w hotelu Tianala u Pana Dadafara, płacąc 30 000 ariary za pokój dwuosobowy. Miasteczko Ranomafana położone jest wśród porośniętych lasem wzgórz, a główna droga krajowa, przechodząca przez centrum, przyciąga właścicieli małych sklepików, którzy lokują swoje kramy przy trasie. Około godziny 14.00 wraz z przewodnikiem dotarliśmy do bram parku narodowego, gdzie opłaciliśmy wstęp w kwocie 55 000 ariary za osobę. Blisko dwugodzinna wędrowka po lesie obfitowała w spotkania ze złotymi lemurami bambusowymi, kilkoma gatunkami ptaków i lemurami brązowymi. Wieczorem, kiedy planowaliśmy obserwację lemurów nocnych, rozpadło się i musieliśmy zmienić plany.

1 listopada. Rankiem, po zjedzeniu śniadania u miłego Pana Dadafara (10 000 za osobę) wyjechaliśmy do bram parku, aby przez blisko cztery godziny wędrować i wypatrywać ptaków. Przyjemność ta kosztowała 200 000 za wynajęcie przewodnika dla całej grupy oraz 55 000 od osoby za ponowny wstęp do parku. Udało się zobaczyć dwa gatunki vang, ziemnokraski, zimorodka madagaskarskiego, koralczyka niebieskawego, wikłaczę i kilka innych gatunków ptaków. Przed południem siedzieliśmy już w restauracji Grenat, gdzie spaghetti kosztowało 10 000, zupa pomidorowa 6000, a piwo 0,65 litra 5000 ariary. O godz. 14.00 przewodnik zabrał nas do Arboretum, gdzie zobaczyliśmy kameleony Parsona, papuzice duże i mnóstwo roślin takich jak: heban, ana-

nas, baobab. Wstęp do Arboretum kosztował 10 000. O godzinie 17.30 zaplanowaliśmy nocne oglądanie lemurów. Przyjemność ta kosztowała mnie 40 000 ariary, gdyż pojechałem sam z przewodnikiem. Przy 3-4 osobach cena wynosi 20 000 od jednego uczestnika. Udało mi się zobaczyć mikruska (małego lemura ważącego 45 gramy), dwa gatunki żab i cztery gatunki innych kameleonów.

2 listopada. Wstaliśmy rankiem, przed godziną piątą tylko po to, aby zobaczyć niebo całe zasnuwane deszczowymi chmurami. Padało raz mniej, raz więcej, ale do godziny siódmej nie było żadnej przerwy w opadach. Zdecydowaliśmy się na wynajęcie mikrobusa, który zabrał nasze rowery, i wyruszyliśmy w stronę Mananjary. Kierowcy zapłaciliśmy 260 000 ariary. Po pięćdziesięciu kilometrach jazdy raz w dół, raz w górę niebo przejaśniało się na tyle, że postanowiliśmy zmienić plany, zatrzymać się, ściągnąć z dachu rowery i ruszyć w dalszą drogę na naszych jednośladach. Spodziewaliśmy się łagodnego zjazdu do oceanu, ale jakaż była niespodzianka, gdy po 40 kilometrach droga pięła się co chwilę w górę po to, aby po kilometrze, dwóch obniżyć się nieznacznie. Trasa prawie do samego miasta Mananjary była więc bardzo wymagająca i doskwierało nam narastające zmęczenie. Widoki na górski masyw wynagradzały nasze trudy, a przejeżdżanie przez wioski pełne przyjaznych, ale bardzo zaskoczonych Malgasy nastrajały nas pozytywnie do dalszej jazdy. W końcu, kiedy wjechaliśmy do nadmorskiego Mananjary, licznik rowerowy wskazał 90 kilometrów. Zatrzymaliśmy się w przyjemnym hoteliku Sorafa położonym blisko plaży. W restauracji serwowano smaczne śniadania w cenie 10 000 – 12 000 ariary, a za pokój dwuosobowy żądano 40 000. Za kolację, zamawiając spaghetti, zapłaciliśmy 10 000.

3 listopada. Dzisiejszy dzień poświęciliśmy na odzyskanie sił po wczorajszej rowerowej przeprawie. Po śniadaniu, składającym się z omleta, bagietki, dżemu i masła, przespacerowaliśmy się główną arterią miasta, wzdłuż której rozlokowały się dziesiątki sklepików, oferujących niemalże wszystko, czego mieszkańcy Mananjary potrzebują. Następnie udaliśmy się na plażę. Wzburzony Ocean Indyjski początkowo nie zachęcał do kąpieli, ale ciepła woda i miły, żółty piasek skusiły nas do krótkiego zanurzenia się. Słońce niemiłosiernie paliło, więc wróciliśmy do naszej hotelowej restauracji, zamawiając grillowaną rybę z frytkami za 12 000 ariary.

4 listopada. Po śniadaniu zaplanowanym na szóstą rano postanowiliśmy wyruszyć w ponadstukilometrową trasę do Nosy Varika. Kiedy siedzieliśmy już wygodnie w siodełkach, słońce rozpoczynało swoją codzienną pracę nad naszymi głowami, ale na horyzoncie majaczyły ciemniejsze chmury, zwiastujące deszcz lub co najmniej mżawkę. Pierwsze dwadzieścia kilometrów po znanej nam już trasie minęło całkiem przyjemnie i już po godzinie zameldowaliśmy się na skrzyżowaniu, gdzie asfaltowa nawierzchnia ustępowała najpierw ubitej ciemnej glinie pomieszczonej z kamieniami, a następnie samej brązowej mazi pełnej dużych kałuż. Po dziesięciu kilometrach byliśmy wyczerpani. Kilkaset metrów jazdy w błocie, a następnie kilkaset metrów pchania roweru pod górkę... Później następowało prowadzenie obciążonego bicykla przez błotniste koleiny, których inaczej nie dało się pokonać. Zaliczyłem jedną wywrotkę do wypełnionej brązową wodą ogromnej kałuży. Kiedy na liczniku wybiło 50 kilometrów, musieliśmy zrobić przerwę. Było około godziny 13.00 i nic nie zanosilo się na poprawę warunków

drogowych. Ruch był niewielki, a napotkani przechodnie podawali sprzeczne relacje co do dalszej trasy do Nosy Varika. Przejechaliśmy jeszcze około 10 kilometrów w zła-panym na stopa aucie terenowym i postanowiliśmy zatrzymać się na nocleg w jednej z mijanych wiosek. Miła gospodyni wraz ze swoim towarzyszem Erikiem zaproponowała nam gościnę u siebie w domu, częstując ryżem i omletem. Noc minęła szybko.

5 listopada. Zaraz po godzinie piątej rano zjedliśmy przygotowaną przez gospodynię zupkę chińską i przed szóstą byliśmy już na siodełkach. Dojechaliśmy 15 kilometrów po bardzo wyboistej drodze do dość dużej rzeki i tam ustaliliśmy z właścicielem dwóch piróg, że kilku wiosłarzy zabierze nas ponad 20 kilometrów na wschód do kanału Pangalanes do wioski Ambohitsara, skąd będziemy mogli złapać publiczną łódź do Nosy Varika. Podróż pirogą, za którą zapłaciliśmy 80 000 ariary, trwała ponad cztery godziny, ale w Amohitsarze okazało się, że spóźniliśmy nieznacznie i ostatni transport zbiorowy odpłynął niecałą godzinę wcześniej. Nie pozostało nam nic innego, jak tylko poszukać właściciela jakiejś motorowej łodzi i z nim wyruszyć na północ. Pokonanie tego niewielkiego dystansu – nie więcej niż 30 kilometrów – zajęło nam dobre cztery godziny i kosztowało 300 000 ariary. Przed samym zmrokiem dotarliśmy do hotelu Madame Caroline w Nosy Varika, gdzie pokój dwuosobowy kosztował 45 000.

6 listopada. Godzina piąta rano stała się naszą zwyczajową porą do wstawania, jedzenia śniadania i wyruszania w trasę. Tym razem mieliśmy szczęście. W ten dzień odpływała zbiorowa łódź do Mahanoro. O szóstej siedzieliśmy już na drewnianych ławkach, a nasze rowery umieszczone na dachu łodzi kołysały się wraz z całym dobytkiem na spokojnych wodach kanałów Pangalanes. Podróż zajęła dosłownie cały dzień i jeszcze kawałek nocy. Przed 20.00 dobiliśmy do brzegu w Mahanoro. Właściciel łodzi zażądał od nas po 15 000 ariary za przewóz. Tropicana Bungalows to mały hotelik zlokalizowany przy samej plaży. Jest tutaj kilka domków dla gości i mała wiata na jedzenie posiłków. Domek dwuosobowy wyceniany jest na 60 000 ariary, ale nam udało się obniżyć tę cenę o 10 tysięcy. Kolacja składająca się z bardzo smacznej ryby to wydatek 10 000.

7 listopada. Dzisiejszy dzień przeznaczony został na relaks. Tradycyjny omlet z bagietką, dżemem i masłem podany został na śniadanie. Wzburzony Ocean Indyjski okazał się nie taki straszny i można było się w nim zanurzyć. Jednak nie głębiej niż po pas, gdyż mocne prądy groziły kłopotami. Na obiad zaserwowano nam ogromną rybę przygotowaną na grillu wraz z dużym talerzem frytek. Następnego dnia zamierzaliśmy wyruszyć do Vatomandry rowerami. Wieczorem hojny właściciel hotelu zabrał nas do restauracji swojej mamy, gdzie ponownie otrzymaliśmy grillowaną rybę – tym razem cztery duże okazy, którymi musieliśmy podzielić się z rodziną, gdyż okazały się dla nas zbyt spore. Porcja takiej ryby to wydatek 15 000.

8 listopada. Około godziny siódmej rano wyruszyliśmy w blisko 90-kilometrową podróż do Vatomandry. Pierwsze dwadzieścia kilometrów okazało się być przyjemną poranną przejażdżką, gdyż droga prowadząca przez wioski wiodła po zupełnie płaskim terenie. Zaczęliśmy już narzekać na nudę, kiedy teren niespodziewanie zamienił się w pagórkowate wznesienia, które w prażącym słońcu okazały się trudną przeszkodą. Zatrzymywaliśmy się co godzinę na uzupełnienie płynów i dostarczenie or-

ganizmowi kilku kalorii. Na niecałą godzinę przed przyjazdem do Vatomandry nadeszły ciemne chmury i rozpadało się. Wzmógł się mocny czołowy wiatr, który utrudniał jazdę. Do miasta wjechaliśmy w strugach deszczu. Zatrzymaliśmy się w miłym hoteliku Espace Zazah Robert położonym zaraz przy jeziorze, gdzie apartament dla czterech osób kosztował 80 000 ariary. Za obfite śniadanie musieliśmy zapłacić 5000 ariary. Mały hotelik posiadał restaurację i basen. Niestety, czystość wody nie zachęcała do kąpieli.

9 listopada. O godz. 6.45 siedzieliśmy już na rowerowych siodełkach (ja i Adam) i zmierzaliśmy po względnie płaskim terenie na północ Madagaskaru w kierunku miasteczka Antsampanana, gdzie droga RN spotyka się z drogą wiodącą do Brickaville. Dystans 53 kilometrów pokonaliśmy w cztery godziny. Dalej ruszyliśmy już we czwórkę minibusem, wypełnionym po brzegi do Brickaville (4000 ariary za osobę), skąd planowaliśmy dostać się około 30 kilometrów na północ do skrzyżowania. Z tego miejsca droga na wschód miała nas zaprowadzić nad Jezioro Ampitabe. „Miała” to dobre słowo. Kierowca, który wysadził nas na krzyżówce, jak i kilku mieszkańców wioski potwierdziło, że to dobra droga, która doprowadzi nas do hotelu Palmarium nad jeziorem. Trakt był bardzo błotnisty i prowadził ostro pod górę. W trzydziestostopniowym upale prowadzenie pięćdziesięciokilowych rowerów obciążonych sakwami nie należało do przyjemności. Pokonaliśmy trzy kilometry i byliśmy wykończeni. Po analizie GPS okazało się, że to zła droga i nie dojedziemy nią nad jezioro. Musieliśmy zorganizować transport powrotny z trzykilometrowego wzgórza traktorem, gdyż żaden inny pojazd nie pokonałby tej błotnistej, poprzecinanej koleinami trasy. My sami nie mieliśmy już sił sprowadzać ciężkich bicykli w dół do głównej drogi. Wszystkie te operacje zajęły nam blisko cztery godziny. Kiedy dotarliśmy już po zmroku z powrotem do Brickaville, kierowca busa zobowiązał się za kwotę 100 000 ariary zabrać nas jeszcze raz do rozwidlenia dróg, gdzie błotnisty trakt wiódł do Jeziora Rasoaba. Tutaj czekała już na nas ciężarówka pełna ludzi, która zabrała nas do hotelu Orania zlokalizowanego przy samej plaży. Noc w pokoju dwuosobowym kosztowała 60 000 ariary. Smaczna ryba z frytkami kosztowała 18 000.

10 listopada. Za 300 000 ariary można popłynąć na całodniową wycieczkę do Rezerwatu Palmarium nad Jeziorem Ampitabe. Podróż łodzią z silnikiem trwała prawie dwie godziny. Wstęp do rezerwatu, w którym można zobaczyć kilka gatunków lemurów (wari czarno-biały, indris krótkoogonowy) i ciekawych roślin (dżbaneczniki) kosztował 20 000. Spacerowaliśmy blisko dwie godziny po lesie, oglądając i karmiąc lemury. Następnie zjedliśmy smaczny obiad, składający się z zupy pomidorowej i pizzy (razem 35 000). W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się przy największym przesmyku, gdzie kanał Pangalanes styka się prawie z oceanem. Kąpaliśmy się w ciepłych wodach Oceanu Indyjskiego przez blisko pół godziny.

11 listopada. Sobotę spędziliśmy na odpoczynku. Planowaliśmy wykąpać się w jeziorze, ale ze względu na bilharcję panującą na terenie prawie całego nizinnego Madagaskaru zrezygnowaliśmy z tego pomysłu. Spacerując wzdłuż plaży, usłyszałem muzykę dochodzącą z wioski. Wszedłem na wzgórze i dotarłem do małego kościoła, gdzie trwała akurat msza. Był to dość długi ceremoniał – jak mi oświadczył pomocnik zarzą-

dzający kościołem – prawie sześciogodzinny. Po wysłuchaniu śpiewów i modlitw wróciłem do hotelu Orania.

12 listopada. Około szóstej zjedliśmy śniadanie za 15 000 ariary, a następnie za 140 000 kierowca zawiózł nas najpierw gliniastą drogą przez 7 kilometrów, a potem następne 11 już asfaltową nawierzchnią do Brickaville. Tam złapaliśmy minibusa jadącego do stolicy. Cena biletu wynosiła 17 000 bez względu na fakt, że chcieliśmy wysiąść dużo wcześniej, bo już w miasteczku Andasibe. Podróż zajęła około 3 godzin, a trasa wiodła w większości po krętej drodze pełnej ciężarówek, kursujących z portu w Tamatave do Antananarivo. Około godziny 13.00 siedzieliśmy już, jedząc obiad w hotelu Feon`ny Ala. Ryba przygotowana po malgasku kosztowała 15 000, a naleśnik z miodem to wydatek 3500.

Wieczorem zaplanowaliśmy udać się na nocne oglądanie zwierząt z przewodnikiem, które kosztuje 20 000 ariary od osoby.

13 listopada. Rankiem, zaraz po godzinie piątej, kiedy słońce już wzeszło, wyruszyliśmy z Maćkiem na pięciogodzinną wędrowkę do Parku Narodowego Andasibe. Wstęp to 40 000 ariary od osoby. Przewodnik zażyczył sobie 120 000 za całą grupę. W tej cenie mogliśmy jeszcze skorzystać z popołudniowego spaceru, trwającego następne 2-3 godziny. Rankiem zobaczyliśmy dużo ptaków, dwa węże boa, kameleony i kilka gatunków żab. W hotelu zjedliśmy obiad – kurczak z curry i frytki – 15 000. Wieczorne piwo Gold kosztowało 5000.

14 listopada. Ten dzień postanowiliśmy przeznaczyć na zwiedzenie Parku Narodowego Mantadia. Wczesne śniadanie o szóstej rano kosztowało nas 12 000 ariary. Wstęp do parku narodowego to wydatek 45 000 ariary na osobę. Przewodnik za ośmiogodzinną wyprawę zażądał 120 tysięcy. Dodatkowo trzeba było wynająć auto, gdyż hotel Feon`ny Ala jest oddalony o blisko 20 kilometrów od parku Mantadia. Niestety, tym razem widzieliśmy dużo mniej zwierząt; kilka indrisów krótkoogonowych, jedną sifakę diademową, kilka żab, karolczyka niebieskawego i koralodzioba długopalcowego. Około godziny piętnastej byliśmy z powrotem w hotelu.

15 listopada. Nasz kierowca Donnee czekał już na nas zaraz po śniadaniu. O godz. 6.30 byliśmy na drodze prowadzącej do stolicy. Dystans niespełna 150 kilometrów pokonywaliśmy w prawie sześć godzin. Droga była bardzo kręta i zatłoczona. Dziesiątki ciężarówek kursujących na trasie Tamatave – Tana skutecznie blokowały ruch, męcząc się na podjazdach. Do hotelu Mirandav dotarliśmy w porze obiadowej. Zjedliśmy smaczną pizzę za 14 000 ariary i ruszyliśmy na lotnisko. O godzinie 18.15 startował samolot linii Air Austral na Mauritius z przesiadką na Reunionie. Lądowanie odbyło się zgodnie z planem zaraz po godzinie 22.00. Następne dwie i pół godziny zajęło nam dotarcie do apartamentów Aldabra w wiosce La Gaulette na południowo-zachodnim krańcu wyspy. Taksówkarz zażądał 2200 rupii maurytyjskich. Apartament kosztował 50 euro za dobę dla czterech osób. Z dużego tarasu mieliśmy śliczny widok na ocean i górę Le Mourné.

16 listopada. Zaraz po godzinie ósmej udaliśmy się do pobliskiego sklepu, gdzie za bagietkę, ser, jogurt i wodę zapłaciłem 180 rupii. Za 1 euro płacili w bankach oko-

to 40 rupii. Chcąc dotrzeć do Port Louis środkami transportu publicznego, trzeba udać się na pobliski przystanek i złapać autobus jadący na północ. Niektóre jeżdżą bezpośrednio, a czasami trzeba przesiadać się w Gorges Noire albo Bambous. Tak czy inaczej podróż zajmie około półtorej godziny. Kiedy przyjechałem na główny dworzec autobusowy, w stolicy jeszcze nie padało. Zdążyłem zobaczyć Caudan Front pełen sklepów i restauracji oraz Place d'Armes wraz z pomnikami bohaterów zasłużonych dla Mauritiusa. Kiedy rozpadało się, zająłem do meczetu Jumah. Piękny biały budynek trochę nie pasuje architektonicznie do reszty zabudowy. Spokojna atmosfera wnętrza i powoli schodzący się na modlitwę muzułmanie zatrzymali mnie tutaj prawie godzinę. Gdy trochę przestało padać, ruszyłem do Aapravasi Ghat – miejsca wpisanego na listę światowego dziedzictwa UNESCO, gdzie przez dziesiątki lat (do 1920 roku) przyływały transporty kontraktowych robotników, głównie z Indii, aby rozpocząć kolejny etap swojego życia na plantacjach wyspy Mauritius. Obiad w McDonalddie składający się z bigmaca, frytek i hamburgera kosztował około 200 rupii. Potem ruszyliśmy na miejski targ, gdzie dziesiątki sprzedawców handlowało warzywami, owocami, mięsem i rybami. Przed zmrokiem wróciliśmy do La Gaulette. Bilet na miejski autobus kosztuje około 34 rupie (w zależności od długości trasy) i kupuje się go w autobusie.

17 listopada. Mieszkając w apartamencie z widokiem na ocean, ciężko się zebrać do wyjścia, ale ten jeden z ostatnich dni postanowiliśmy poświęcić na odpoczynek. Dotarliśmy do pięknej plaży z czystym żółtym piaskiem, gdzie błękitna woda łączyła się na horyzoncie z niebem. Palmy kokosowe, chylące się w stronę wody, rzucały delikatny cień, dający schronienie przed palącym słońcem. Dwie godziny odpoczynku na plaży pozwoliły na zebranie sił przed wyruszeniem na trekking na górę Le Morne. Przed samym wejściem zjedliśmy obiad w jednym z barów przy plaży. Kanapka z kurczakiem na ciepło i frytkami oraz napojem kosztowała 205 rupii, a ryż z rybą w sosie curry z napojem – 145. Wędrówka nie zapowiadała się dobrze, gdyż nad górą zebrały się ciemne chmury. Gdy dotarliśmy do bramy rozpoczynającej oficjalne wejście, deszcz już dość mocno lał. Błotnista ścieżka pozwoliła nam jeszcze na jakieś pół kilometra spaceru i musieliśmy się poddać i zawrócić. Cali przemoczeni wynajęliśmy taksówkę, która za 400 rupii zabrała nas do naszej dzielnicy La Gaulette.

18 listopada. Chcąc zdążyć na nasz lot o 8.30 na wyspę Reunion liniami Air Austral, musieliśmy wyruszyć z apartamentu o godzinie piątej rano. Taksówkarz zażądał 1600 rupii za przejazd na lotnisko. Zaraz po szóstej zameldowaliśmy się na lotnisku. Lot opóźnił się o niecałe pół godziny i przed 10.00 staliśmy przed terminalem międzynarodowego lotniska Rolanda Garrosa na Reunionie, negocjując cenę przejazdu z taksówkarzami. Chcieliśmy udać się na Pas de Bellecombe, aby zobaczyć wulkan Piton de la Fournaise. Nad górami wisiały grube, puchowe chmury, więc pewności, że go ujrzemy, nie mieliśmy. Płacąc słono (200 euro) za kurs powrotny, który miał zająć pięć godzin, wyruszyliśmy w drogę. Jak się jednak okazało, warto było zaryzykować. Gdy dotarliśmy na płaskowyż Plaine des Sables, chmury odsłoniły marsjański widok – ogromną równinę pokrytą brązowym pyłem. Dalej, kiedy auto zatrzymało się przy punkcie widokowym Pas de Bellecombe, słońce oświetlało krater i przed naszymi oczami pojawił się stożek wulkanu Piton de la Fournaise. Wracając, zatrzymaliśmy się w przydroż-

nym barze na obiad. Bardzo smaczne panini (zapiekana bagietka z różnymi dodatkami) kosztowało 3,5–4 euro. Zaraz po godz. 15.00 stawiliśmy się na lotnisku, aby odlecieć do stolicy Madagaskaru. Przed zmrokiem dotarliśmy do hotelu Mirandav, gdzie dwójka kosztowała 41 000 ariary.

19 listopada. Zaraz po śniadaniu (10 000 ariary) zabraliśmy się za pakowanie rowerów i całego ekwipunku. Po godzinie ósmej byłem już gotowy na negocjacje z taksówkarzem. Chciałem ostatnie dwie godziny na Madagaskarze poświęcić na zobaczenie wolno biegających sifak w prywatnym rezerwacie Domaine du Lac, znajdującym się po przeciwległej stronie jeziora, przylegającego do pasa startowego lotniska Ivato. Zdążyliśmy, pomimo faktu, że droga dojazdowa jest w opłakanym stanie, a stróż obiektu gdzieś na chwilę zniknął. Zrobiłem swoje wymarzone fotografie i dotarliśmy na czas pod terminal, aby o godz. 14.30 odlecieć rejsowym samolotem Ethiopian do Wiednia przez Addis Abebę.

Katarzyna Anoszczenko (Zuza)
Rafał Robak (Mundi)

Oregon Roadtrip



Termin: 24 maja – 11 czerwca 2017 r.

Trasa: Chicago–Portland, Hwy 26, Dodge Park, Mount Hood National Forest, Timberline Lodge, Hwy 35, Parkdale, Panorama Point Park, Columbia River Gorge (Wahclella Falls, Bonneville Dam & Fish Hatchery, McCord Creek Falls, Upper Horsetail Falls, Ponytail Falls, Middle Oneonta Falls, Bridal Veil Falls, Shepperd's Dell Falls, Latourell Falls, Upper Latourell Falls, Crown Point Vista Point, Portland Women's Forum State Scenic Viewpoint), Portland, Hwy 30, Twilight Creek Eagle Sanctuary, Astoria, Fort Stevens State Park (museum, Jetty Observation Tower, Wildlife Viewing Bunker, Peter Iredale Wreck), Delaura Beach, Seaside, Ecola State Park (Crescent Beach Trail), Canon Beach (Haystack Rock), Tolovana Beach Wayside, Silver Point Interpretive overlook, Acadia Beach State Recreation Site, Hug Point State Recreation Site, Oswald West State Park (Short Sand Beach, Blumenthal Falls), Tillamook Cheese Factory, Blue Heron Cheese Factory, Munson Creek Falls State Natural Site, Neskowin Beach (Ghost Forest), Lincoln City, Otter Crest Loop, Devil's Punchbowl State Natural Area, Newport (Pier 39, Hatfield Marine Science Center), Seal Rock State Recreation Area, Driftwood Beach State Recreation Site, Smelt Sands State Recreation Area, Cape Perpetua (Devils Churn trail, Giant Spruce trail, Cape Perpetua Visitor Center, Cooks Chasm), Strawberry Hill wayside, Ocean Beach, Muriel Ponsler wayside, Carl G Washburne Memorial State Park, Heceta Head Lighthouse & Keeper's House, Oregon Dunes National Recreation Area (Baker Beach, Darlingtonia State Natural Site, Haceta Beach Park, North Jetty Recreation Area, Florence, South Jetty Road, Sitcoos Beach Day Use Area, Oregon Dunes Overlook), Dean Creek Elk Viewing Area, Reedmont, Umpqua River Lighthouse, Umpqua Beach, Charleston, Shore Acres State Park, Cape Arago State Park, Sunset Bay State Park, Bastendorff Beach County Park, Seven Devils Road, Seven Devils State Recreation Site, Bandon, Bandon Beach Loop (Table Rock, Coquille Point, Face Rock Scenic Viewpoint, Haystack Rock, Devils Kitchen Oregon State Park Vista Point), Myrtle Point, Sandy Creek Covered Bridge, Roseburg, Winchester Fish Ladder, Glide, Colliding Rivers, Umpqua River view points (Cable Crossing, Baker, Smith Springs), Susan Creek Falls Trail, Susan

Creek Campground, Fall Creek Falls Trail, Toketee Trail / pipeline, Umpqua Hot Springs, Watson Falls trail, Whitehorse Falls, Lemolo lake, Diamond lake Loukout Point, Newberry Volcanic National Monument (Paulina Falls Trail, Big Obsidian Flow trail, East Lake, Lava River Cave trail, Benham Falls trail), Bend, Sisters, Indian Ford Campground, Suttle lake, Mount Washington Viewpoint, Hoodoo Ski Bowl, Big lake, Sahalie Falls, Kosah Falls, Blue Pool (Tamolitch Pool), Bigelow (Deer Creek) Hot Springs, Fish Lake Interpretive Site, Cascadia State Park (Soda Lower Falls), Short Covered Bridge, Sweet Home Ranger Station, Shellburg Falls, Silver Falls State Park (South Falls, Winter Falls, North Falls), Mt. Angel, St. Benedict Abbey, Bagby Hot Springs, Portland (Murals, Pearl District, Washington Park – Rose garden), Columbia River Gorge (Multnomah Falls, Sandy River Delta Park), Portland – Chicago.

Długość trasy: RV – 1528 mil (2459 km) plus osobówkami około 150 mil (w rejonie Portland).

Koszt biletu lotniczego: Spirit Airlines 806 USD/4 osoby (Przy zakupie biletów wykupiliśmy program „9 USD fare club”, który dał nam zniżkową cenę zarówno na bilety, jak i na bagaże). Program kosztuje 60 USD/rok. Zniżką objęte jest do 8 osób, które podróżują z nami. Cenę tego programu uwzględniłam w całościowym koszcie biletu. Bez wykupienia tego programu zapłacilibyśmy więcej, więc jego koszt całkowicie zwrócił się od razu przy zakupie.

Koszt wynajmu RV: 2185 USD na 16 dni (2685–500 USD – „gift certificate” za wygrany konkurs „Cruise America Photo Contest”). W okresie naszej podróży stawki wynajmu były już znacznie wyższe niż poza sezonem. Dzienna opłata to 110 USD. Do tego doliczana jest liczba mil, jakie przejeździemy, pomnożona przez 0,35 USD i do całości dodany jest podatek (state tax). Dla porównania za wynajęcie RV w listopadzie płaciłbym 45 USD za dzień.

Koszt benzyny RV: 364 USD (średnia cena benzyny 2,50 USD/galon, czyli w przybliżeniu 4 litry). Średnie spalanie 9,6 mili/galon.

Koszt wynajmu osobówek: 25.05.2017 – 35 USD/za dzień – Kia Forte (Dollar Car Rental); 10.06.2017 – 46 USD/za dzień – Hyundai Santa Fe (Avis Car Rental). Wypożyczalnie samochodów osobowych mieszczą się na lotnisku. Po powrocie do domu okazało się, że firma AVIS policzyła nas znacznie więcej niż było to uzgodnione (aż 102 USD!). Po licznych telefonach i wyjaśnianiu całej sytuacji sprawa zakończyła się pomyślnie dla nas. Uratował nas rachunek za benzynę, który musieliśmy zeskanować i do nich wysłać jako potwierdzenie zakupu benzyny w tym samym dniu, w którym mieliśmy wypożyczone auto. Pomimo zapewnień pracownika Avis przy oddawaniu tegoż auta, że wszystko jest OK i nie będzie dodatkowych opłat, zostaliśmy przez nich oszukani, dlatego nie polecamy nikomu korzystania z tejże wypożyczalni.

Przewodniki: *Washington, Oregon & Pacific Northwest* (Lonely Planet) Sandra Bao, *Oregon Road and Recreation Atlas, Hiking Oregon* (A Falcon Guide) – Lizann Dunegan, *Hiking waterfalls in Oregon* (A Falcon Guide) – Adam Sawyer, *Hiking Hot Springs in the Pacific Northwest* (A Falcon Guide) – Evie Litton, www.allrtails.com, www.waterfalls-northwest.com, www.outdoorproject.com.

Northwest Forest Pass – (30 USD, ważny przez cały rok od daty zakupu) upoważnia do przebywania na terenie lasów państwowych oraz niektórych miejsc należących do National Park Service np. Newberry National Volcanic Monument.

Parki stanowe: Jednorazowy wstęp do parku stanowego to 5 USD/auto. Bilet jest ważny na zwiedzanie wszystkich parków przez cały dzień. Roczny abonament kosztuje 30 USD. Tylko niektóre parki stanowe wymagają opłaty. Większość jest bezpłatna. Jeśli chcemy zatrzymać się na kempingu w parku, który pobiera opłatę za wjazd – kwota 5 USD nie jest naliczana i płacimy tylko za nocleg.

Noclegi: Nocowaliśmy zazwyczaj bezpłatnie na terenie National Forest. Cena kempingów w NF to 15–22 USD.

Koszt wyjazdu: 4467 USD

Pływy morskie: (czyli przypyły i odpływy) regularnie powtarzające się podnoszenie i opadanie poziomu wody w oceanie. Przeciętny czas między kolejnymi przypyłami wynosi 12,5 godziny. Wielokrotnie znajdowaliśmy się w nieodpowiednim czasie pływów w danym miejscu, by móc podziwiać piękno w całej okazałości takich miejsc, jak Devils Punchbowl czy Seal Rock.

Kilka słów o Oregonie: Oregon to miejsce zdecydowanie niedocenione przez podróżników i turystów, ale wynika to najprawdopodobniej z braku wiedzy na jego temat. Większość odwiedzających USA kieruje się zawsze do Kalifornii, Utah czy Nevada, napawając się niezaprzeczalnym pięknem tych miejsc... w towarzystwie milionów innych deptających im po piętach. Oregon urzekł nas już 9 lat temu i zgodnie uznaliśmy, że zajmuje 1. miejsce, jeżeli chodzi o piękno, dzikość i ogólnie panującą tu atmosferę wśród wszystkich stanów USA. Można tu zobaczyć zdecydowanie najpiękniejsze wybrzeże oceaniczne w całych Stanach, wysokie ponad 100-metrowe wodospady (najwyższy 190 metrów!!!), pozostające w dzikości gorące źródła, powulkaniczne ośnieżone szczyty górskie, olbrzymie wydmy, mnóstwo szlaków górskich i dolinnych i zwariowany pod każdym względem Portland, którego przewodnim hasłem jest „Keep Portland weird”. Do istotnych zalet należy też dodać brak „sales tax”, czyli podatku od sprzedaży dodawanego do naszych zakupów w każdym sklepie w innych stanach (nie płacimy również podatku w restauracjach i w sklepach monopolowych). Smakoszki piwa informują, że na terenie Oregonu znajduje się 260 mikrobrowarów, a marihuana jest powszechnie dostępna w uprawnionych do jej sprzedaży sklepikach w każdym mieście (od 2014 roku). Poza tym ulokowane tu ponad 750 winiarni oferuje 70 różnych gatunków wina. Wszyscy ludzie, jakich tu spotkaliśmy, byli bardzo przyjaźni i mili, a kilkanaście dni, jakie tu spędziliśmy, utwierdziły nas w przekonaniu, że jest to istny przyrodniczy raj na ziemi. Więc nie bez przyczyny Oregon od 3 lat szczyti się największym procentem migracji ludności z innych stanów.

Ciekawostki:

1. W Oregonie nie możemy sami zatankować benzyny. Na każdej stacji jest obsługujący dystrybutor pracownik, który jako jedyny może „dotknąć” pompy paliwowej i wlać benzynę do naszego baku. Uaktualniając tę informację – od dnia 1 stycznia 2018 roku Oregonianie zamieszkujący gminy (counties) z liczbą ludności mniejszą

niż 40 000 mogą już samodzielnie zatankować poza godzinami „urzędowania” pracowników stacji.

2. Tutaj już w 1971 roku wprowadzono prawo zakazujące sprzedawania napojów w niezwrrotnych butelkach i puszkach. Wszystkie szklane i plastikowe butelki oraz puszki możemy odsprzedać w każdym sklepie spożywczym i monopolowym.
3. Oregon posiada największą liczbę „ghost towns” w całych Stanach.
4. Znajduje się tu 5900 zarejestrowanych kempingów (na terenie 230 parków stanowych i 13 lasów państwowych).
5. Prawie połowa stanu jest terenem zalesionym (30 milionów akrów).
6. Prawo oregońskie zabrania łowienia ryb, używając jako przynęty kukurydzy z puszeki.
7. To co jeszcze zwróciło naszą uwagę, to wysoka kara za śmiecenie... dochodząca do 6250 USD!!! Jak się można spodziewać, dzięki temu Oregon jest naprawdę czysty i bardzo rzadko widać jakiekolwiek śmieci przy drodze.

Pogoda: Wiosna to przede wszystkim perfekcyjna pora ze względu na obfitość wody w wodospadach. Nie ma też w tym czasie turystów, co znacznie ułatwia podróżowanie. Niestety niedogodnością jest nie zawsze perfekcyjna pogoda (średnia temperatura np. na wybrzeżu 18°C w dzień i 10°C w nocy, oraz duże zachmurzenie), a także śnieg w wyższych partiach gór, co niestety uniemożliwiło otwarcie wszystkich dróg dojazdowych do miejsc, które zamierzaliśmy odwiedzić. Wyjątkowo w tym roku spadło 3 razy więcej śniegu niż zazwyczaj i jego roztopianie również spowodowało opóźnienie rozpoczęcia sezonu turystycznego. W czasie naszej poprzedniej wycieczki po Oregonie wybraliśmy termin jesienny (październik), który jest tu tak naprawdę (jak powiadają „lokalsi”) latem. Tutejsi ludzie za sezon letni uznają czas od sierpnia do października. Wtedy to można spodziewać się wzmożonego ruchu turystycznego, ale i pięknej słonecznej pogody oraz wielu „atrakcji smakowych” w postaci licznych festiwali połączonych z degustacją lokalnych jabłek, win czy cydru.

Kilka słów o RV (czyli kamperze): Podczas tej wycieczki skorzystaliśmy z wypożyczalni Cruise America RV Rental (8400 SE 82nd Ave, Portland). Mieliśmy do wykorzystania 500 USD kartę upominkową za wygrany konkurs fotograficzny, co znacznie obniżyło nasz koszt wynajmu tegoż pojazdu. W okresie naszej podróży stawki wynajmu były już znacznie wyższe niż poza sezonem. Dzienna opłata to 110 USD. Do tego doliczana jest liczba mil, jakie przejedziemy, pomnożona przez 0,35 USD i podatek (state tax 17%).

RV – czyli Recreational Vehicle – to pojazd i dom w jednym. Jest to najbardziej wygodna opcja wakacyjna, szczególnie, jeśli podróżujemy z małymi dziećmi i chcemy jak najwięcej zobaczyć, nie marnując czasu na codzienne poszukiwanie moteli, hoteli czy restauracji. Pożyczany przez nas RV należy do najmniejszych tego typu pojazdów w Stanach i ma długość „zaledwie” 19 stóp (6 metrów). W wyposażeniu znajdują się: 2 łóżka (mieszczące 4 osoby, w tym jedno rozkładane w wersji stół plus kanapy), lodówka, plus mała zamrażarka, kuchenka na 2 palniki, mikrofalą, ogrzewanie/ochładzanie, zlew, kibel, prysznic oraz szafki i szuflady na ubrania i jedzenie. Na wyposażeniu jest też generator, którego zużycie opłacane jest dodatkowo – za każdą godzinę 3 USD (lub wykupiony w pakiecie na każdy dzień za 5 USD × liczba dni). My z generatorem nie korzystaliśmy. Właściwie to generator umożliwia pracę mikrofalówki, klimaty-

zatora dachowego i gniazdek elektrycznych, gdy pojazd nie jest podłączony do prądu np. na kempingu. Jeśli ktoś nie chce wchodzić w koszty generatora, to trzeba np. w Walmarcie zakupić „power inverter”, by móc naładować (poprzez gniazdko zapalniczkowe) baterie laptopa, telefonu itp. W RV znajdują się 2 akumulatory, przy czym drugi odpowiedzialny jest za „kabinę mieszkalną”. Ogrzewanie, lodówka i kuchenka zasilane są propanem. Benzyna i propan były nabite do końca i należało zadbać, by oddając kampera, również uzupełnić ich poziom do takiej samej wartości. Samochód przed oddaniem należy sprzątnąć – tzn. zamieść podłogę miotłą (która powinna być na wyposażeniu), oraz opróżnić zbiorniki z brudną wodą.

Opcją dodatkową jest wypożyczenie naczyń i garnków za 100 USD, co wydaje się całkowicie nielogiczne, bo zakup garnka i patelni w Walmarcie to zaledwie koszt rzędu 20 USD. Można też wykupić zestaw do spania za 55 USD/na osobę, ale nam wystarczy 2 śpiwory z Walmartu po 30 USD sztuka. Przy odbiorze kampera firma pobiera również depozyt na czas korzystania z auta i wynosi on w przypadku Cruise America 500 USD (np. firma Apollo Rental kasuje aż 1500 USD, trzeba zapłacić kartą kredytową). Depozyt jest zwrotny, gdy podczas końcowej inspekcji wszystko z autem jest OK. Oddając RV, trzeba też pamiętać, że należy to zrobić w godzinach 9.00–11.00, bo w przypadku spóźnienia firma policzy nas po 25 USD za każdą godzinę. Koszt wynajmu RV bardzo różni się w zależności od terminu i lokalizacji. Poza sezonem ceny są nawet czterokrotnie niższe niż w sezonie. Cena bazowa za dzień w listopadzie wynosiła 45 USD (w lecie ceny dochodzą do 250 USD/dzień). Dodatkowo doliczana jest opłata 35 USD za każde 100 mil przejechane. Limit dzienny – opłacany z góry to właśnie te 100 mil. Czyli na 16 dni naszej wycieczki mieliśmy wykupione 1600 mil na łączną kwotę 560 USD. Jako że nie zużyliśmy wszystkich wykupionych mil, firma oddała nam pieniądze przy zwrocie auta.

RELACJA Z PODRÓŻY

25–26 maja. Lot Chicago–Portland pomimo późnej pory odbył się bez żadnych zakłóceń i tuż przed północą czasu lokalnego (Pacific Time Zone) wylądowaliśmy na lotnisku w Portland. Lotnisko to jest wyposażone w szereg ruchomych chodników (i schodów), co znacznie przyspieszyło nasze poruszanie się w kierunku odbioru bagażu. Bez żadnych problemów znajdujemy wypożyczalnię samochodów, wybierając Dollar Car Rental, skąd odbieramy Kia Forte, w którym spędzamy resztę nocy, parkując gdzieś niedaleko parku Essex w dzielnicy Southeast. Rano zaczynamy od wizyty w Walmarcie i Dollar Store (wszystko tu kosztuje 1 USD) i zakupie części niezbędnego ekwipunku na naszą wycieczkę. Odbiór RV mamy umówiony na 10.00, więc musimy jakoś zorganizować 3 godziny. Z reguły wypożyczenie RV jest możliwe dopiero po godzinie 13.00, ale właściciel (Steve) Portlandzkiej lokalizacji Cruise America zgodził się, żebyśmy odebrali auto od razu po otwarciu biura. Po załatwieniu wszelkich formalności wskakujemy już pełni energii do wypasionego kampera, po drodze robiąc jeszcze zakupy w Costco (potrzebna karta członkowska) i Walmarcie. Drogą 26 wyjeżdżamy z miasta w kierunku południowo-wschodnim. Pierwszy postój urządzamy sobie nad rzeką Sandy River (Dodge Park) i moczymy porządnie nogi, dając im przyjemny odpoczynek po trudach podróży. Jedziemy jakimiś małymi polnymi drogami (Mount Hood Scenic Byway), unikając autostradowego ruchu na 26. Nie mamy już wiele

czasu na zwiedzanie, więc po prostu wjeżdżamy stromą drogą do Timberline Logde położonego na wysokości 5960 stóp (1817 m). Zima tutaj jeszcze nie odpuściła i wszędzie dookoła jest biało ...i strasznie zimno (średni opad śniegu w tym miejscu to około 6,5 metra rocznie).

Idziemy po śniegu na spacer, ale ciągłe ślizganie i upadki na zalodzonym śniegu zmuszają nas do szybkiego powrotu. Zaglądamy do zabytkowego hotelu (znajdującego się na liście National Historic Landmark), którego wnętrze naprawdę robi duże wrażenie. W roku 1980 kręcono tu sceny do kultowego filmu Stanleya Kubricka „The Shining” z Jackiem Nicholsonem w roli głównej. W holu znajdują się gabloty ze starymi zdjęciami i eksponatami. Na środku kominek, z którego bucha gorący ogień. Wszystkie drzwi i poręcze ręcznie zdobione w drewnie (i wielkie klamki w kutym żelazie) budzą nasz zachwyt. Schodami udajemy się na 2 piętro, skąd rozpościera się niesamowity widok na ośnieżony wulkan Mount Hood (3430 m n.p.m.). Wjeżdżając tutaj, mieliśmy plan, żeby zatrzymać się na kempingu Alpine (figurującym na naszej mapie topograficznej), ale niestety takowego nie było (lub co jest bardziej prawdopodobne znaki informujące o nim zostały zdjęte na sezon zimowy). Parkujemy więc w miejscu „overnight parking” (ledwo znajdujemy miejsce, wszyscy już przygotowują się do spędzenia tu nocy, rozkładając np. namioty na dachach samochodu). Noc okazuje się bardzo zimna i wietrzna, telepie naszym RV-kiem okrutnie.

26 maja. Wczesnym rankiem budzą nas narciarze i snowbordziści, wydobywający się tłumnie ze wszystkich kierunków. Pomimo że jest już koniec maja, sezon zimowy jeszcze się tu nie zakończył. Zjadamy śniadanie i zjeżdżamy z powrotem do 26. Ośnieżony Mount Hood w porannym słońcu prezentuje się obłędnie pięknie. Cała góra połyskuje w śniegu na tle niebieskiego nieba. Obserwujemy też ledwo widocznych wspinaczy górskich, atakujących górę od strony południowej. Koniec maja i czerwiec to najkorzystniejszy okres do wspinaczki na Mount Hood (3429 m n.p.m). Rocznie wchodzi na niego około 10 tysięcy wspinaczy. Zjeżdżamy Timberline Road do 26. i zaraz skręcamy na 35., otaczając Mt. Hood od wschodniej strony. Odbijamy na chwilę w kierunku miasteczka Parkdale, położonego w malowniczej dolinie otoczonej sadami owocowymi.

Kilka mil na północ od miasteczka wjeżdżamy do skąpanego w kwitnących na pomarańczowo makach (*maczek kalifornijski*) Parku Panorama Point, skąd mamy doskonały widok na Mt. Hood i Mt. Adams w całej okazałości. Wiosna jako pora do zwiedzania Oregonu ma jeszcze jedną ważną zaletę – wszystko tu kwitnie, nadając niepowtarzalny klimat nawet zwyczajnym miejscom. Kiedy w końcu dojeżdżamy do 80-milowego kanionu, należącego do Columbia River Gorge National Scenic Area (National Historic Landmark), rozpoczyna się najciekawsza część dzisiejszego dnia. Jedziemy pierwszym w USA „scenic highway”, mijając Bridge of the Gods i przecinając słynny Pacific Crest Trail (długodystansowy szlak biegnący przez Kalifornię, Oregon i Washington – długość 2650 mil), docieramy do miasteczka Bonneville. Skręcamy w Bonneville Way, która prowadzi nas na mały parking, skąd wyruszamy na nasz pierwszy szlak prowadzący do wodospadu Wahclella (długość 2 mile w obie strony, parking płatny 5 USD lub bezpłatnie dla posiadaczy Northwest National Forest Pass).

Szeroką drogą biegnącą wzdłuż Tanner Creek dochodzimy do mostku zawieszonego wzdłuż wodospadu (woda spływa centralnie pod ten mostek i jest dosłownie na wyciągnięcie ręki). Po przejściu 3/4 mili znajdujemy rozgałęzienie szlaku – pętlę, dającą możliwość podziwiania wodospadu z góry i dołu. Kierujemy się w prawo do miejsca u podnóża wodospadu. Przechodzimy most, następnie pod grotą, z której intensywnie kapie na nas woda, wydobywająca się ze znajdujących nad nami skał. Potem znowu mostek nad Tanner Creek i wooOOW!!! – widok i huk Wahclella Falls (wysokość 107 metrów) powala nas z nóg. W dzisiejszy upalny dzień jest nie lada przyjemnością przebywanie w obecności pryskającej na nas lodowatej wody. Wracając przez grotę, zauważamy tuż pod naszymi nogami sunącego węża – *garter snake* (zawane go też *garden snake*) całkiem sporych rozmiarów. Węże te są na szczęście całkowicie nieszkodliwe dla człowieka, więc razem z innymi gapiami, nie bojąc się ataku tegoż węża, robimy mu kilka fot i idziemy dalej.

Wracamy tą samą drogą do samochodu i przejeżdżamy Bonneville Way w kierunku północnym do Bonneville Fish Hatchery (czynne każdego dnia od 7.00–20.00, wstęp bezpłatny). Miejsce to jest przede wszystkim dużą atrakcją dla dzieci, które z wielkim przejęciem oglądają stawy pełne pstrągów, łososi i jesiotrów... Dodatkowego uroku temu miejscu dodają kwitnące na różowo i czerwono setki rododendronów. Niewątpliwie najwięcej uwagi i czasu poświęcamy na oglądanie blisko półtonowych 70-letnich jesiotrów (o długości dochodzącej do 3 metrów), które mamy dosłownie na wyciągnięcie ręki, schodząc do pomieszczenia z oknem widokowym umieszczonym wzdłuż zbiornika z wodą (Sturgeon Viewing Center). Oglądamy też film edukacyjny w Visitor Center, który dokładnie opisuje, czym zajmują się takie „wylęgarnie ryb”. W sztucznych warunkach przygotowuje się rozmnażanie ryb, hoduje się je, a następnie wypuszczane są do naturalnych zbiorników wodnych (gdzie możemy je złowić wędką).

Po tej ekscytującej lekcji biologii jedziemy na kolejny szlak do Elowah Falls (5 USD/ auto lub Northwest National Forest Pass), ale niestety, okazuje się, że zamknięto go z powodu licznych uszkodzeń podczas wiosennych roztopów. Jako że byliśmy już spakowani i przygotowani do wędrowki z Basią (umiejscowioną na plecach taty w specjalnym plecaku), postanowiliśmy skorzystać ze spaceru do Upper McCord Creek Falls (długość 2,2 mili w obie strony; szlak wychodzi z tego samego miejsca co Elowah Trail). Szlak ten okazał się nieco trudny dla naszego 6-letniego Jasia (strome podejście), ale w jakimś stopniu zrekomensował nam „straty” poniesione przez zamkniętą ścieżkę do Elowah. Zaczął się od delikatnej wspinaczki i piął się sukcesywnie w górę *switchbackami*. „Krytyczna” była przeprawa po błotnistej ścieżce przy częściowo pourywanej barierce, za którą bezpośrednio znajdowała się 200-metrowa przepaść. Z tego miejsca mieliśmy szansę zobaczyć górną część wodospadu Elowah. Wodospad McCord Creek, do którego docieramy, to dwa niemal identyczne równoległe strumienie spadające z wysokości 20 metrów. Może nie jest to najpiękniejszy wodospad w okolicy, ale szlak jest przyjemny i słabo uczęszczany. Jako że dzień ma się już ku końcowi, jedziemy w kierunku parku stanowego Ainsworth, ale jak to było do przewidzenia miejsc kempingowych brak. Zostaje nam więc znalezienie jakiegoś przyjemnego miejsca bez zakazu parkowania w nocy. Nie ma tu wielu miejscówek do wyboru, parkujemy więc w zatoczce, a w za-

sadzie w miejscu piknikowym za parkiem stanowym. Sen zakłóca nam „delikatne” trąbienie pociągów, które jeżdżą wzdłuż rzeki Columbii... przez całą noc.

27 maja. Poranek zaczynamy od przyrządzenia mrożonych pierogów zakupionych w Costco (made in Canada). Niestety, ku rozpaczy naszych dzieci, smak, jaki przypominają, nie kojarzy im się na pewno z polskimi pierogami. Po śniadaniu podjeżdżamy dosłownie niecałą milę do parkingu (pomimo porannych godzin parking jest pełny!!!), skąd wychodzi szlak na wodospady Upper Horsetail, Ponytail i Middle Oneonta Falls. Wodospad dolny widoczny jest z parkingu i dla osób nie lubiących pieszych wędrówek, to idealne miejsce to jego podziwiania. My ruszamy ścieżką (długość 2,6 mili) i po kilku minutach marszu (około pół mili) dochodzimy do miejsca, gdzie szlak biegnie przez grotę, a centralnie nad nami „spada” wodospad Ponytail. Jakiś śmiałek decyduje się na szybki prysznic, wskazując pod ten wodospad... co zajmuje mu około 20 sekund, bo dłużej w tak lodowatej wodzie nie da się na pewno wytrzymać.

Do tego miejsca szlak jest dość uczęszczany i większość turystów zawraca z powrotem do parkingu. My idziemy dalej, wznosząc się stopniowo w górę po serpentynach. Na samej górze roztacza się przed nami piękny widok na rzekę Columbia. Nie ma tu żadnych barierek zabezpieczających i trzeba bardzo uważać, bo podziwiając panoramę stoi się nad kilometrową przepaścią. Dochodzimy do mostku i kolejnego wodospadu Middle Oneonta Falls (wysokość 7 metrów), który nie należy może do najbardziej spektakularnych wodospadów w Oregonie, ale powiedzmy, że jest przyjemnym przystankiem na szlaku. Wędrówkę kończymy na parkingu (Oneonta Falls Trailhead Parking), oddalonym 0,5 mili od miejsca, gdzie zaparkowaliśmy nasze auto. Mundeck na ochotnika idzie więc wzdłuż historycznej drogi nr 30 (pokonując zabytkowy Oneonta Tunnel) i w ciągu 20 minut jest już z powrotem z kamperem. Kolejny szlak – Oneonta Gorge Trail, którym chcieliśmy przejść, był, niestety, zamknięty z powodu zbyt wysokiego poziomu wody. Zapewne latem czy jesienią są większe szanse na jego „pokonanie”. Ciekawe jest to, że dojsie do wodospadu odbywa się po rzece... czasami zanurzając się prawie do pasa. Jedziemy więc dalej na zachód w celu „zdobycia” największego oregońskiego wodospadu Multnomah (wysokość 190 metrów). Niestety, znalezienie miejsca parkingowego graniczy tu z cudem. Trafiliśmy tu akurat w niedzielę, w godzinach południowych, a do tego niedzielę świąteczną (Memorial Weekend). W związku z tym jedynym rozsądnym posunięciem jest szybka ewakuacja z tego miejsca. Multnomah to najczęściej odwiedzany wodospad w Columbia River Gorge. Jak się okazuje, nie jest to wcale takie proste; drogę zatarasowały 2 autobusy wycieczkowe, które nie powinny tu być ze względu na swoje gabaryty. Przez godzinę jeden z autobusów, szurając o betonowy most, próbował wydostać się z pułapki. Wkurzenie innych kierowców sięgało zenitu. Mundeck – Przepisman zaczął kierować ruchem i pomagał kierowcom wycofać auta na bardzo wąskim moście, by książę BusDriver mógł odtarasować drogę i w końcu dać możliwość przejechania wszystkim sfrustrowanym kierowcom. Wymęczenia psychicznie pojechaliśmy szybko jak najdalej od tego miejsca.

Zatrzymujemy się dopiero przy wyjściu na szlak Eagle's Nest, bo znajdujemy wolne miejsce parkingowe i drałujemy pieszo wzdłuż drogi do następnego wyjścia na szlak Bridal Veil Falls (wysokość 37 m, długość szlaku 0,6 mili). Jak się potem okazuje, było to

zupełnie bez sensu, bo kolejny parking miał wiele wolnych miejsc. Sam szlak jest wyasfaltowany i „wyschodkowany”, przez co, niestety, przyciąga rzesze leniwszych turystów. Spacer umilają nam dzikie kolorowe kwiaty rozsiane po obu stronach ścieżki. Po obejrzeniu obleganego ze wszystkich stron wodospadu, dzieci zajęły się taplaniem w strumieniu i budowaniem tam, a Mundek poszedł odebrać samochód, żebyśmy nie musieli wszyscy wracać z powrotem wzdłuż drogi. Po 45 minutach spotykamy się wszyscy na parkingu i jedziemy dalej na zachód. Mijamy wodospad Shepperd’s Dell (wysokość 67 m) tuż przy drodze (parking przy moście na 2 auta), ale zatrzymujemy się dopiero na małym parkingu po prawej stronie, skąd wychodzimy na kolejny wodospad (znajdujący się tuż przy drodze po lewej stronie). Wodospad ten (nienazwany) najprawdopodobniej aktywny jest tylko na wiosnę, bo ilość wody w nim jest znikoma.

Kolejny postój to Latourell Falls (wysokość 76 metrów, długość szlaku 2,4 mile w obie strony) i tu na szczęście znajdujemy wolne miejsce na parkingu. Schodzimy razem z tłumem do dolnej części wodospadu (wyasfaltowana ścieżka). Woda pryska na kilkadziesiąt metrów, co wcale nie odstrasza śmiazków, podchodzących do niego bardzo blisko. Olbrzymi wiatr, wytworzony przez siłę spadającej wody odpycha ich od wodospadu. Latourell jest przepiękny – wąska smuga wody na tle wulkanicznych skał porośniętych seledynowym i zielonym mchem. Nic dziwnego, że przychodzą tu tłumy. Chcąc trochę od tego tłumu się odizolować, wędrujemy stromo w górę (zmiana elevacji 122 metry) i szczerze mówiąc, wykańcza nas to trochę przede wszystkim z powodu wysokiej temperatury. Na początku szlaku jest taras widokowy, dający super widok na wodospad, potem ławeczka, z której mamy piękny widok na środkową jego część. Wspinamy się dalej i dochodzimy do wodospadu Upper Latourell Falls (wysokość 37 metrów). Jak się można spodziewać, tłumów już tu nie ma, i możemy w „ciszy” wodospadu i naszych dzieci kontemplować piękno otaczającej nas przyrody. Przechodzimy przez mostek (z urwanym jednym szczeblem) i wspinamy się znowu w górę w towarzystwie „przebiegających” nam drogę gigantycznych ślimaków, a w zasadzie pomrów (*slugs*). Dochodzimy do punktu widokowego na Columbia River Gorge i dalej już bardzo stromo w dół do końca szlaku. Serpentynową drogą dojeżdżamy do Crown Point Vista Point (znajdujący się na liście National Register of Historic Places), umiejscowionego na stromym klifie nad Columbia River. Muzeum zamykają nam tuż przed nosem (czynne 9.00–18.00), więc podziwiamy przez chwilę panoramę w świetle popołudniowego słońca i jedziemy do Portland Women’s Forum State Scenic Viewpoint – kolejnego punktu widokowego. Zaglądamy jeszcze na chwilę do Dabney State Recreation Area, ale miejsce to wydaje nam się raczej nieprzyjazne, może ze względu na jakieś podejrzenie wyglądające towarzystwo. Dobijamy do Walmartu w celu uzupełnienia zapasów i ponieważ zrobiło się już całkiem późno, postanawiamy zanoć w parkingu w otoczeniu kwitnących na różowo rododendronów.

28 maja. Pierwszą część dnia spędzamy w zasadzie na podróży 30., przejeżdżając przez Portland i dalej wzdłuż rzeki Columbii, która na tym obszarze pełni funkcję raczej portowe (tankowce i kontenerowce) niż rekreacyjne. Na pierwszy postój zjeżdżamy do Twilight Creek Eagle Sanctuary (Milepost 87, wejście bezpłatne), gdzie z platformy obserwacyjnej próbujemy bezskutecznie wypatrzyć zamieszkujące ten teren orły. Na-

stępnie wjeżdżamy do Astorii, pierwszego amerykańskiego miasta założonego na wybrzeżu Pacyfiku, które w swojej ofercie turystycznej ma sporo do zaproponowania. My jednak „przyciągnięci tłumem” ustawiamy się w 30-metrowej kolejce w celu zakupu czegoś na ząb. Jak się potem okazuje, trafiamy na kulinarną perełkę okolicy, serwującą przepyszne ryby z frytkami. Pierwszy raz w Stanach jemy domowe frytki, będące smacznymi ziemniakami, a nie gotową uformowaną papką z worka. Smażalnia Bowpicker (17th St & Duane Ave) ulokowana jest w starej łodzi (ustawionej na parkingu) i co roku zdobywa nagrody za najlepsze danie „fish & chips”.

Objeżdżamy misteczko kamperem, mijamy Columbia River Maritime Museum, obłożony przez tłumy Sunday Market (12th street), most Astoria Megler Bridge i udajemy się 101. w kierunku zachodnim do Fort Stevens State Park (1675 Peter Iredale Rd, Hammond, 5 USD/auto). Park pełnił funkcje militarne, broniąc dostępu do ujścia rzeki Columbia w latach 1863–1947. Pełno tu bunkrów, po których możemy się swobodnie poruszać i przemierzać ich korytarze. Jest małe muzeum z bardzo ciekawymi eksponatami i zdjęciami oraz makietą fortu. Dzieciaki z tatą wybierają się na przejażdżkę wojskową ciężarówką (jak się później okaże, nieprzyjemną w skutkach...) – koszt 6 USD/osoba dorosła, dzieci za darmo, czas trwania 45 minut. Cały park i w ogóle całe wybrzeże oregońskie dosłownie tonie w kwitnących na różowo, czerwono i biało rododendronach, dodających niesamowitego uroku nawet zwykłym parkingom. W muzeum ranger (Scotty) opowiada nam z wielkim zaangażowaniem o japońskiej łodzi podwodnej I-25 (na tamte czasy był to statek na miarę science fiction), która podpływała do wybrzeża amerykańskiego, wynurzała się, kopuła się otwierała i rozkładała się samolocik zwiadowczy..., który startował jak z procy, miał zasięg do 70 mil. W tym czasie załoga łodzi była, niestety, bezbronna; musiała cierpliwie czekać na powrót lotnika-zwiadowcy. Samolocik po wykonaniu misji następnie lądował na wodzie i wtedy dźwig umieszczone na łodzi go podnosił, a żołnierze szybko go składali i łódź ponownie zanurzała się i odpływała. Po wycieczce „bojową” ciężarówką jedziemy drogą Jetty Road do części północnej parku i tam obserwujemy orły bieliki (*Bald Eagles*) i orły przednie (*Golden Eagles*), siedzące spokojnie na skałach. Ostatnim punktem programu dnia dzisiejszego jest piknik na plaży z widokiem na brytyjski wrak statku „Peter Iredale” z 1906 roku, który zatonął tu podczas sztormu. Obecnie została tylko jego przednia część wbita mocno w przybrzeżny piasek. Wycieczka po parku zajmuje nam cały dzień i, jako że zbliża się już wieczór, postanawiamy zanoć na parkowym kempingu – co niestety staje się niemożliwie, bo mimo że park oferuje 530 miejsc (30 USD/noc), wszystkie są już zajęte – ciągle trwa tzw. „Memorial Weekend”. Jedziemy więc na Delaura Beach (na południe) i tu kolejna niemiła niespodzianka – droga zamknięta, a w zasadzie zalana – wielkie bajoro niewiadomej głębokości raczej nie zachęca do przejazdu. Podjeżdżamy jeszcze kawałek na południe, ale trafiamy na kolejną przeszkodę – zakaz wjazdu – teren należący do straży przybrzeżnej (Camp Relea Oregon National Guard). Wracamy więc na Delaura Beach Road i parkujemy przy jej końcu na polance, tu urządzając nocleg.

29 maja. Zaczynamy dzień w miasteczku Seaside, opisywanym w przewodniku jako kiczowate, ale nam jakoś szczególnie to nie przeszkadza. Typowy nadocenic-

ny kurorcik z małymi sklepikami i restauracjami. Niestety, posępnego widoku nadaje utrzymująca się od 2 dni ponura aura..., która – jak się okazuje – jest typowa dla tego okresu na wybrzeżu oregońskim. Zatrzymujemy się przy małym oceanarium (Seaside Aquarium 200 N. Prom, czynne 9.00–17.00, wstęp 8 USD), ale jest niestety jeszcze zamknięte. Parkujemy więc za miasteczkiem przy plaży pełnej spacerowiczów z biegającymi po niej psami. I tu właśnie Mundek odkrywa przerażającą rzecz – brak portfela w kieszeni spodni! Zaczynają się więc nerwowe poszukiwania, analiza punkt po punkcie dzisiejszego i wczorajszego dnia, miejsca, sytuacje, możliwości kradzieży czy zgubienia. Jedziemy na najbliższy posterunek policji, by zgłosić zaginięcie, obdzwaniamy wszystkie inne komisariaty w okolicy, sprawdzamy, czy było od wczoraj jakieś podejrzanе użycie kart kredytowych i zaczynamy nerwową podróż z powrotem, zaglądając do każdego punktu, przez który przejeżdżaliśmy. Przeczesujemy każdy punkt i kiedy w końcu podjeżdżamy do ostatniego możliwego punktu, czyli do Steavens Fort State Park, okazuje się, że ktoś wczoraj znalazł portfel!!! Niewiarygodne!!! W środku 500 USD gotówki, karty kredytowe i dokumenty – wszystko jest!!! Radość nasza sięga zenitu. Próbowaliśmy się wielokrotnie dodzwonić do parku, ale okazało się, że właśnie dzisiaj telefon im się zepsuł. Pełni szczęścia jedziemy znowu do Seaside na wielkie lody!!! I po tej bombie kalorycznej naładowani energią od razu 101. do Ecola State Park (5 USD/auto).

Parkujemy na Ecola Point Day Use Area, skąd wychodzi szlak Crescent Beach (długość 3,2 mili w obie strony) – stromo opadający w dół, błotnisty i „uślany” wystającymi z tego błota konarami, prowadzi nas do przepięknej odizolowanej od tłumów plaży, na której poza nami jest jeszcze tylko kilku surferów. Piękna piaszczysta plaża z otaczającymi ją stromymi klifami i porozrzucane wszędzie „dryftwood”, z którego gdzieś zbudowane są prymitywne konstrukcje przypominające wigwamy czy szałas, to idealne miejsce na relaks na łonie przyrody. Wdrapując się z powrotem po szlaku, odkrywamy skrót prowadzący do głównej drogi, a ponieważ śliskie błoto stanowi znaczną przeszkodę w poruszaniu się, ja zabieram dzieciaki tym skrótem, a Mundek drałuje po samochód oryginalną jego wersją. Następnie podjeżdżamy do Canon Beach – znanego przede wszystkim z pocztówkowego widoku monolitu skalnego – Haystack Rock (wysokość 235 stóp/72 metry), wokół którego, niestety, tłoczą się całe obozowiska turystów, odbierając mu jego urok. Miasteczko pełne hoteli i kurortów z limitowanymi miejscami parkingowymi dla RV (*RV parking only in designated areas*). Wyskakuję więc co chwila z auta, by zrobić jakieś zdjęcia, a Mundek w tym czasie krąży autem dookoła. Pogoda całkiem się już zepsuła – zachmurzenie nieba 100% i do tego jeszcze zaczął kropić deszcz. Znajdujemy w końcu miejsce do zaparkowania w Tolovana Beach Wayside, gdzie pomimo deszczu dajemy dzieciom szansę na nieograniczone szaleństwo na placu zabaw. Po tej „mokrej” zabawie zajeżdżamy na krótkie postoję do Silver Point Interpretive overlook i Acadia Beach State Recreation Site. I na dłuższy czas zatrzymujemy się w Hug Point State Recreation Site (wejście bezpłatne). Miejsce to opalone przez rosyjskich turystów, przybyłych wielkim wycieczkowym autokarem. Na małej plaży tuż przy jaskini rosyjscy turyści umiejscowili 2 olbrzymie *stainless steel* grille i uczują wcinając hamburgery. Mundek rozpala ognisko i razem z Basią zo-

stają na plaży, a ja z Jasiem, który w międzyczasie się rozchorował, wracam do auta. Na nocleg musimy niestety oddalić się nieco od tego klimatycznego miejsca, bo park jest czynny tylko do godziny 22.00.

30 maja. Dzień rozpoczynamy od wizyty w Hug Point State Recreation Park, zając tam z miejscówki noclegowej (oddalonej o milę na północ zatoczki przy głównej drodze). Jak tylko parkujemy, podjeżdża do nas ranger, sugerując pisemne „ostrzeżenie-upomnienie” (*warning*) za rzekome spanie w tym miejscu. Po krótkiej wymianie zdań sprawa zostaje wyjaśniona, a „warning” wręczony jest kierowcy stojącego obok nas RV-ka, który przyznał się do zarzucanego mu czynu. Główną atrakcją tego miejsca jest sezonowy (wiosna) wodospad wpadający bezpośrednio do oceanu. Mamy szczęście, bo akurat jest odpływ i możemy do niego podejść (w czasie przyprływu dojście jest niemożliwe). Długość tego szlaku to zaledwie 0,5 mili w obie strony i cała trasa wiedzie po plaży (na N od parkingu). Kolejny dzień towarzyszy nam pełne zachmurzenie i delikatny deszcz, ale, szczerze mówiąc, ma to swoje zalety, chociażby takie, że na szlaki wybiera się znikoma liczba ludzi i możemy w samotności cieszyć się niesamowitą przyrodą Oregonu.

Kolejny punkt, na który próbujemy się dostać, to wodospad Blumenthal Falls (14 metrów wysokości, długość szlaku 2 mile w obie strony) w parku stanowym Oswald West (wjazd bezpłatny) i, jak się okazuje, zajęło nam to trochę czasu, bo mamy problem ze znalezieniem wyjścia na ten szlak. Najlepiej od wioski Arch Cape przejechać dokładnie 4,25 mili i zaparkować na olbrzymim parkingu po wschodniej stronie drogi. Szlak rozpoczyna się przejściem pod mostem, na którym biegnie droga 101. Potem szeroka szutrowa ścieżka prowadząca wzdłuż potoku prowadzi nas na uroczą dziką plażę Short Sand Beach (jest WC). Plaża jest ogromna i otoczona klifami. Wraz z nami docierają tu surferzy i dosłownie kilku innych hikerów, więc znowu możemy cieszyć się tym spektakularnym miejscem prawie w samotności. Dochodzimy do północnej części plaży i wodospadu, którego nazwa pochodzi od nazwiska zastrzelonego na służbie rangera parkowego, który zginął tutaj w 1999 roku. Ten sezonowy wodospad spada bezpośrednio na plażę, w otoczeniu jaskrawozielonych omszonych kamieni, dodających dodatkowego uroku temu miejscu. Wracając z kolejnej wspaniałej miejscówki, robimy sobie półmilowy objazd poprzez Sitka Spruce Trail i Necarney Creek Trail, prowadzący nas do zwodzonego mostu (*suspension bridge*). Wracamy na parking szlakiem Old Growth Forest Trail.

Jadąc dalej na południe, przejeżdżamy przez otoczone soczystymi pastwiskami miasteczka i zatrzymujemy się dopiero w największej „fabryce” sera w Oregonie – Tillamook Cheese Factory (4175 US-101 Tillamo, ok, czynna od 8.00 do 18.00). Visitor Center jest niestety w przebudowie (dla zwiedzających udostępnione jest jedynie tymczasowe muzeum, bez możliwości oglądania taśm produkcyjnych), ale i tak wygląda to okazale. Dzięki wystawom dzieciaki dowiadują się, jak przebiega mechaniczny proces dojenia krów i w ogóle cały proces produkcji sera i innych produktów wytwarzanych z mleka. Dziennie mleczarnia wytwarza prawie 80 ton sera (z 4,5 litra mleka powstaje ponad 1 kg sera), a także lody, masło, śmietanę i jogurty. Mleko pochodzi z ponad 100 okolicznych farm. Krowy są tam dojne 2 razy na dobę (o 2.00 i 13.00) i każdy

proces dojenia trwa po 4 godziny. Do godziny od dojenia mleko jest już w mleczarni dowiezione cysternami. Najbardziej znanym produktem jest Tillamook Cheddar – nagradzany wieloma medalami na wystawach sera, a zdecydowanie najważniejszą z nich jest nagroda „World’s Best Medium Cheddar Cheese” zdobyta w 2010 roku. Wszystkie sery produkowane tutaj są do spróbowania, co też oczywiście robimy i po degustacji kupujemy najlepszy z nich – złotego medalistę – medium cheddar (6 USD/funt czyli pół kg). Przenosimy się następnie do kolejnej mleczarni – Blue Heron Cheese Factory (2001 Blue Heron Rd, Tillamook, czynne 8.00–20.00, wjazd bezpłatny). To miejsce zdecydowanie bardziej przypada do gustu naszym dzieciom. Otaczające Visitor Center zagrody pełne są zwierząt: kóz, baranów, lam, pawi, indyków i kur. Znajduje się tu też „muzeum” starych pojazdów – jest piętrowy angielski autobus, lokomotywa z wagonikami i mnóstwo zardzewiałych koparek i spychaczy. W środku budynku częstujemy się niezliczoną ilością dżemów, dipów, sosów, musztard i sera typu *Brie* serwowanych na krakersach i paluszkach.

Po 2 godzinach jedziemy już do ostatniej atrakcji dnia dzisiejszego – Munson Creek Falls State Natural Site (wjazd bezpłatny, dojazd – W Pleasant Valley – zjazd ze 101 na E). Szlak do wodospadu (wysokość 97 metrów) jest króciutki – 0,6 mili w obie strony – jednak nie udaje nam się dojść do końca, bo szlak zamknięto z powodu zawalonych drzew. Pomimo że nie widać jego podstawy, robi duże wrażenie. Zawracamy więc w stronę parkingu, ale miejsce to urzeka nas tak bardzo, że postanawiamy tu zostać na noc. Rozpalamy ognisko (a raczej grillowisko) i pieczemy kiełbaski w otoczeniu szemrzącego potoku i gęsto rosnących omszonych drzew.

31 maja. Wstajemy o świcie i jedziemy przez pastwiska pełne szczęśliwych krów (101. na południe) w celu znalezienia przyjemnego miejsca na śniadanie. Zatrzymujemy się dopiero na wybrzeżu za Camp Winema na parkingu, gdzie po dobudzeniu dzieci i napełnieniu im brzuchów owsianką ruszamy dalej do Neskowin Beach State Recreation Site (wjazd bezpłatny). Parkujemy na wielkim parkingu przy 101. i uzbrojeni w zabawki plażowe idziemy na krótki relaks nad oceanem. Miejsce to znane jest z tzw. „Neskowin Ghost Forest”, czyli pozostałościach po lesie świerkowym (świerk sitkajski) sterczących na plaży i mających ponad 2000 lat. Kikuty drzew widoczne są tylko podczas odpływu i żeby do nich dotrzeć, trzeba kierować się na południe od Proposal Rock, przekraczając płytki, ale paraliżująco lodowaty strumień. Plaża jest szeroka, czysta i ładna, ale pomimo słońca, które w końcu wyszło zza chmur, silny wiatr nie pozwala nam na dłuższy pobyt. Zbieramy się więc po godzinie i wyruszamy w kierunku kolejnych atrakcji, jakie oferuje Lincoln City. Miasto to słynie przede wszystkim z wydmuchiwane ręcznie szkła i festiwalu latawcowych. My zaglądamy do studia Jennifer Sears (4821 SW Hwy 101, czynne od 10.00 do 18.00), w którym oglądamy pokaz wyrabiania szklanego serca. Można tu sobie „wydmuchać” w zasadzie dowolną rzecz – serca, kule, dzbanki czy miski. Ceny za taką lekcję zaczynają się od 75 USD. Swoją gotowy produkt można odebrać dopiero dnia następnego, ponieważ szkło stygnie powoli i potrzebuje kilkunastu godzin, by stać się produktem gotowym. Obok studia znajduje się sklep z przepięknymi, kolorowymi, szklanymi arcydziełami. Najpiękniejsza jest chyba biżuteria, a najciekawszą rzeczą – szklana ozdoba na włącznik do światła. W miasteczku or-

organizowane są tzw. „Finders Keepers” – około 3 tysięcy różnego rodzaju szklanych cacek rozrzuconych jest po plaży (w odległości 7 mil) i każdy, kto je znajdzie, może je zatrzymać. Przez Lincoln City przepływa „D” River – najkrótsza rzeka na świecie (rekord Guinness’a), mierząca zaledwie 134 metry. Według przewodnika znajdują się tu najbardziej dostępne cenowo hotele, ciągnące się w nieskończoność wzdłuż wybrzeża i rzeczywiście, sądząc po ich liczbie jest w czym przebierać, a konkurencja, jak wiadomo, wymusza niższe ceny.

Opuszczamy miasteczko, jadąc w kierunku południowym, i w zasadzie dopiero za Depoe Bay (nazwanym „światowym centrum obserwowania wielorybów”) zjeżdżamy w jednokierunkową drogę Otter Crest Loop, biegnącą wzdłuż rezydencji usytuowanych na klifie tuż nad oceanem. Droga prowadzi do punktu obserwacyjnego i malutkiego sklepu z upominkami (Lookout Observatory & gift shop). Następnie jedziemy do Devil’s Punchbowl State Natural Area (wjazd bezpłatny), gdzie niestety niski stan wody (odpływ) uniemożliwia nam podziwianie tej zawalonej jaskini w pełni okazałości. Podczas przyprływu niesiona ku brzegowi woda wdziera się do tego miejsca i „wysztzeluwi” do góry, robiąc wielkie widowisko.

Kolejna atrakcja na naszej trasie to Newport i ryczące w porcie lwy morskie (*sea lions*). Podobnie jak w San Francisco (Pier 39) lwy morskie zaadaptowały sobie dok portowy dla własnego użytku. Leżą tu i ryczą, co chwilę dosłownie wygryzając innych samców z jego miejscówki. Żeby tu trafić, należy kierować się na Oregon Undersea Garden lub po prostu na Pier nr 39. Przy głównej ulicy SW Bay Boulevard stoi olbrzymi kawałek japońskiego doku (Misawa Dock) pochodzący z tsunami w 2011 roku. Dok ten pokonał odległość 5500 mil, dryfując przez prawie 15 miesięcy, by w końcu dotrzeć do wybrzeża oregońskiego w okolicy Newport. Na tym kawale betonu umiejscowione są tablice informacyjne dotyczące skutków tsunami w Japonii i ogólnie opisujące trzęsienia ziemi. Pogoda totalnie się załamuje i zaczyna lać deszcz, więc uciekamy do auta i mknijemy przez most do Hatfield Marine Science Center (2030 SE Marine Science Dr, Newport, wejście bezpłatne, czynne 10.00–17.00). Miejsce to okazuje się idealne do zapoznania z tematem oceanicznej flory i fauny. Jest bardzo dużo wystaw interaktywnych dla dzieci m.in. urządzenie do tworzenia fal tsunami czy piaskownica, w której uderzająca fala niszczy zbudowane przez dzieci budowle z piasku. Niezliczona liczba akwariów, w których pływają ciekawe okazy ryb. Dzieci tłumnie gromadzą się przy błazenkach nazwanych Dory i Nemo (*clownfish*), mnie z kolei zaintrygowały chimera amerykańska (*ratfish*), zębaczk pasiasty (*wolffish*), skrzykwy (*sea cucumber*), starfish, ukwiały (*sea anemones*) i olbrzymich rozmiarów ośmiornica (*octopus*). Jest tu wiele ciekawych wystaw i informacji, ale niestety nie mamy możliwości przejrzania wszystkiego, bo muzeum zamyka o 17.00 i musimy się ewakuować. Przejeżdżamy jeszcze raz na północną stronę zatoki Yaquina Bay, by zajrzeć do latarni morskiej, ale – jak się okazuje – latarnia czynna była tylko do godziny 16.00. Robimy z tego miejsca fotkę spektakularnego mostu Yaquina Bay Bridge i wyruszamy znowu w kierunku południowym do przepięknego Seal Rock State Recreation Area (wjazd bezpłatny). Jesteśmy tu w czasie przyprływu, co nie jest najlepszą porą do eksplorowania tej zatoki pełnej baseników pływowych. Na szczęście przestało już padać, więc możemy wybrać się na spacer po plaży. Rozpalamy

też ognisko ze znalezionej „dryft wood” i cieszymy się samotnością, patrząc na siedzące na skałach kormorany i sępa podgryzającego martwą mewę. Po zmierzchu wracamy do auta i ponieważ nie ma tu zakazu przebywania w nocy, idziemy smacznie spać.

1 czerwca. Dzień zaczynamy od krótkiego spaceru w gęstej mgłę. Niestety, widoczność jest bardzo kiepska, co psuje nam delectowanie się tym wspaniałym miejscem. Wyruszamy z parkingu przy Seal Rock na kolejną plażę – Driftwood Beach State Recreation Site, gdzie urządzamy sobie śniadanie. Ponieważ pogoda jest nieciekawa, jedziemy już bez zatrzymywania się bezpośrednio do Cape Perpetua, gdzie zaczynamy zwiedzanie od krótkiego (półmilowego) szlaku prowadzącego do Devils Churn (parking 5 USD lub Northwest Forest Pass) – i tu niestety znowu trafiamy na nieodpowiedni stan wody związany z odpływem. Zbyt mała ilość wody wlewająca się do wulkanicznej zatoki nie daje efektu „wystrzału”, ale mimo to i tak widok jest zachwycający. Czarne skały bardzo wąskiej zatoki lśnią w deszczu jak bramy piekieł. Robimy pętelkę wzdłuż wybrzeża, docierając do kolejnego zejścia do innej zatoki. Po drodze mijamy tysiące pięknych dzwoneczków (podobnych do konwalii), na których lśnią krople deszczu (*Salal* – *Gaultheria Shallon*). Jak się dowiedzieliśmy, zamieniają się na jesień w pyszne jagody o unikalnym smaku i zdrowotnych właściwościach.

Podjeżdżamy kilkadziesiąt metrów na południe do skrzyżowania z dwoma odchodzącymi na wschód drogami Cape Perpetua Lookout i Cape Perpetua Campground. Wjeżdżamy na początek w tę pierwszą, która prowadzi nas do punktu widokowego na samym szczycie góry. Widoczność jest słaba, więc ledwo dostrzegamy ocean. Spacerujemy sobie pośród omszonych drzew i docieramy do kamiennego „sheltera”, skąd z pewnością podczas bezchmurnej pogody można dostrzec migrujące wieloryby. Zjeżdżamy w dół i od razu po dotarciu do 101. skręcamy w tę drugą drogę (czyli Cape Perpetua Campground Road) i jedziemy aż do samego jej końca, gdzie parkujemy i wychodzimy na szlak Giant Spruce trail (0,5 mili), prowadzący do jednego z największych (56 metrów wysokości, ponad 12 metrów objętości) świerków w Oregonie (*Sitka Spruce*), liczącego sobie ponad 600 lat. Szlak jest bardzo przyjemny i łatwy, a prowadzi nas wzdłuż potoku (*Cape Creek*). Cała okolica porośnięta jest gęstą soczystozieloną roślinnością, od paproci w podszyciu po omszone świerki. Po krótkim spacerku podjeżdżamy do Visitor Center – skąd pożyczonymi od rangersa lornetkami próbujemy wypatrzyć wieloryby i delfiny; niestety, utrzymująca się ciągle gęsta mgła uniemożliwia nam zobaczenie czegokolwiek. Znakomicie są tu opisane lokalna flora i fauna, jest kilka wystaw poświęconych lokalnej indiańskiej ludności, która zamieszkiwała te tereny przed podbojem Europejczyków. Po wchłonięciu tych wszystkich ciekawych informacji udajemy się do naszego kempingowozu na obiad – tym razem, ku ucieście dzieci, serwujemy sobie pierogi (made in Canada), które po odsmażeniu na patelni nie są jednak takie złe. Z pełnymi brzuchami podjeżdżamy do kolejnej atrakcji – Cook Chasm – którą to można podziwiać z mostu. I znowu z powodu odpływu nie mamy pełnego widoku. Woda oceaniczna „delikatnie” wlewa się w wąziutką zatokę otoczoną czarnymi wulkanicznymi skałami (podobne miejsce do Devils Churn). Podczas przypływu sytuacja wygląda zupełnie inaczej – ogromne masy wody wlewają się z olbrzymią siłą, wytryskując ku górze na wysokość kilkudziesięciu metrów.

Jedziemy dalej na południe i zatrzymujemy się w Strawberry Hill Wayside. Miejsce to idealnie nadaje się do poszukiwania morskiego życia w małych basenikach pomiędzy skałami. Z parkingu schodzimy do samego wybrzeża i tam zaczynamy eksplorowanie. Udaje nam się znaleźć mnóstwo małych skalnych wnęk z przyczepionymi do nich muszlami (*California Mussels & Bay Mussels*) i seledynowozielonymi ukwiałami (*Sea Anemones*). Kilkadziesiąt metrów od nas wylegają się lwy morskie, które ledwo dostrzegamy, bo idealnie zlewają się z szarawym kolorem skał. Następnym bardzo wąskim zjazdem docieramy do Ocean Beach (parking należący do Siuslaw National Forest), który byłby idealnym miejscem na nocleg, jeśli byłibyśmy tu kilka godzin później. Dwie mile dalej na południe znajduje się wyludniona plaża – Muriel Ponsler Wayside, gdzie postanawiamy dać dzieciakom trochę czasu na zabawę w piasku. Mała rzeczka wpływa tu do oceanu, a cała plaża usłana jest porozrzucanymi kawałkami drewna „draft wood”. Super klimat na odpoczynek.

Na kolejnym zjeździe ze 101. (Carl G Washburne Memorial State Park) przy kempingu znajdujemy bezpłatny „dump station”, gdzie nabieramy wody do RV-ka i jedziemy dalej do najczęściej fotografowanej w Oregonie latarni morskiej – Heceta Head Lighthouse (opłata 5 USD/auto). Żeby się do niej dostać, musimy przespacerować się półmilową szeroką ścieżką wiodącą stromo w górę. Najpierw docieramy do Keeper’s House (czynny 11.00–15.00 w sezonie letnim, zamknięte w środy), obecnie służącego głównie jako miejsce do organizowania przyjęć weselnych i B&B, ale również jako miejsce historyczne gwarantuje solidną dawkę informacji w Interpretive Center ulokowanym na parterze. My docieramy tu późnym popołudniem, więc zarówno latarnię, jak i Keeper’s House możemy pooglądać sobie jedynie z zewnątrz. Po dotarciu do latarni mamy wspaniały widok na zabytkowy most Cape Creek Bridge i wystające z oceanu skały, na których przesiadują charakterystyczne dla całego wybrzeża Oregonu ptaki: nurzyki zwyczajne (*common murre*), kormorany rogate (*Double-crested Cormorant*) i mewy zachodnie (*western gull*). Sama latarnia jest bardzo spektakularna i nic dziwnego, że przyciąga tłumy turystów. Świeci najmocniejszym światłem na całym wybrzeżu Oregonu, widocznym na odległość prawie 21 mil morskich (40 km). Po sfotografowaniu jej ze wszystkich stron zbiegamy w dół i ruszamy dalej przez Cape Creek Bridge, zatrzymując się jeszcze w punkcie widokowym przy drodze, dającym wspaniały widok na latarnię. Mijamy Sea Lion Cave – a w zasadzie budynek (cenne 9.00–19.00, bilet 14 USD, dzieci – 8 USD), gdzie kupuje się bilety na zjazd windą do jaskini morskiej pełnej lwów morskich (największa morska jaskinia w Ameryce Północnej). Zaraz za tym miejscem oczom naszym ukazują się niekończące się wydmy nadoceaniczne – Oregon Dunes National Recreation Area (potrzebny Northwest Forest Pass lub jednorazowa opłata za parking 5 USD). Zjeżdżamy stromo w dół i skręcamy w Baker Beach Road w poszukiwaniu noclegu. Ku naszej wielkiej radości na końcu drogi znajduje się (należący do Siuslaw National Forest potrzebny Northwest Forest Pass) bardzo kameralny kemping (tylko 5 miejsc, 13 USD/pole). Miejsce to jest popularne szczególnie wśród jeźdźców konnych, co można z łatwością zauważyć patrząc pod nogi – potykają się o wszechobecne końskie miny. Rozpalamy wielkie ognisko i cieszymy się urokiem tego miejsca, smażąc na kijach a’la kiełbaski i pijąc lokalne piwko.

2 czerwca. Po wspaniałym noclegu zbieramy się bardzo wcześnie i zaczynamy zwiedzanie od Darlingtonia State Natural Site (5400 Mercer Lake Rd, Florence, wjazd bezpłatny). Jest to mały botaniczny park chroniący roślinę darlingtonia kalifornijską (*Darlingtonia californica*), zwaną potocznie „cobra lily”. Jest to owadożerna roślina, której oczywiście głównym przysmakiem są insekty, a kształt jej rzeczywiście przypomina „tańczącą” kobrę. Nie ma tu zbyt wiele do oglądania, więc wyruszamy dalej w poszukiwaniu jakiegoś przyjemnego miejsca na śniadanie. Zajeżdżamy do Haceta Beach Park, ale wciśnięty pomiędzy pensjonaty parking (płatny 4 USD) z widokiem na WC raczej nie przypada nam do gustu, więc jedziemy dalej do North Jetty Recreation Area. Cóż, to miejsce również nie należy do najwspanialszych: ujście rzeki Siuslaw, a na środku parkingu w wieżyczce strażniczej policjant z lornetką, ale jesteśmy już tak głodni, że zatrzymujemy się tuż obok pana władzy i wsuwamy tuż pod jego nosem krewetki z makaronem razem z podwójnym deserem. Ruszamy dalej, zjeżdżając do „zabytkowej” części miasteczka Florence (Old Town), gdzie z okien samochodu oglądamy odrestaurowane stare budynki i przechadzających się ukwieconymi uliczkami seniorów. Stoi tu znak informujący, że od włoskiej Florencji dzieli nas odległość 5800 mil (9334 km).

Po przejechaniu florenckiego mostu skręcamy w kierunku oceanu na South Jetty Road, dającej dostęp do nadoceanicznych wydmy i plaż. Nie decydujemy się jednak na dłuższy pobyt w tym miejscu i zjeżdżamy kilka mil na południe do Sitcoos Beach Day Use Area. Miejsce okazuje się perfekcyjne – łatwy dostęp z parkingu (trochę pod górkę) i piękna szeroka piaszczysta plaża usłana muszlami i gdzieś tam martwymi krabami. Dzieciaki robią sobie zawody w tarzaniu w piasku i skokach ze stromych wydmy. Słońce trochę wychodzi zza chmur i jest naprawdę przyjemnie, siedząc w końcu na nagrzanym piasku w krótkich rękawkach. Kolejny przystanek robimy w Oregon Dunes Overlook, gdzie z platformy widokowej możemy oglądać rozległe wydmy, połyskujące w słońcu na tle turkusowego oceanu. Można sobie zrobić spacer do małego wewnętrznej jeziora porośniętego dookoła jaskrawożółtymi kwiatami, ale nam się trochę nie chce brnąć tak daleko po piachu.

Podganiamy trochę, bo nasza przygotowana trasa wykazuje znaczne „opóźnienie” w realizacji. Mijamy miasteczko Gardiner, w okolicach którego znajdują się opuszczone historyczne drukarnie, których działalność odcisnęła znaczne piętno na pobliskich lasach. Zjeżdżamy ze 101. na 38. na wschód do miejsca zwanego Dean Creek Elk Viewing Area (wstęp bezpłatny), gdzie ku naszemu zdziwieniu (z powodu godzin południowych) na łące dostrzegamy olbrzymie stado jeleni. Miejsce to posiada wmontowane (bezpłatne) lunety do podglądania zwierząt oraz tablice informacyjne z ciekawostkami o wstępujących tu „Roosevelt Elks”. Wracając do 101. (już w Reedsport) mijamy pracownię drewnianych rzeźb, która reklamuje swoje produkty poprzez wystawienie wielkiej zniekształconej sylwetki obecnego prezydenta z koślawym napisem jego nazwiska ustawionym w pionie. Robi to, szczerze mówiąc, nieprzyjemne wrażenie. Zaglądamy jeszcze do Oregon Dunes NRA Center (855 Highway Ave), gdzie dostajemy darmowe mapki i ulotki, a nasze dzieci pełną reklamówkę kolorowanek i naklejek. W Reedmont 12 czerwca odbywać się będą zawody w rzeźbieniu piłą (Oregon

Divisional Chainsaw Sculpting Championships), ściągające do miasteczka tysiące turystów i fascynatów drewnianych posągów.

Wyjeżdżamy z miasteczka w kierunku południowym, kierując się na Umpqua River Lighthouse – niewielkiej (19 m wysokości) latarni morskiej. Naprzeciwko latarni znajduje się platforma obserwacyjna, ale pomimo szczerych chęci, niestety, nie udaje nam się wypatrzeć ani jednego wieloryba. W okolicy latarni znajduje się mnóstwo komercyjnych prywatnych RV-parków, które zdecydowanie odbierają urok temu miejscu, a przeznaczone są przede wszystkim dla posiadaczy quadów i czterokołowych pojazdów OHV (Off Highway Vehicles). Oregon Dunes National Recreation Area oferuje posiadaczom wszelakich terenowych urządzeń jeżdżących liczne atrakcje w postaci wytyczonych tras po nierzadko niebezpiecznie stromych wydmach. Jedziemy na południe wzdłuż wybrzeża na Umpqua Beach – i tu mamy nie lada widowisko – kosmiczne pojazdy rodem z Mad Maxa mkną po wydmach z zawrotną prędkością. Na parkingu porozstawiane całe obozowiska fanów OHV, gdzie z bliska możemy podglądać ich wehikuły skrzętnie przygotowywane do piaskowych rajdów. Po pełnym emocji widowisku zaglądamy na chwilę na uroczą plażę i – niestety (jeszcze o tym nie wiemy) – jest to nasza ostatnia miejscówka na oregońskich wydmach. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że najciekawsza część jest zamknięta z powodu licznych podtopień. Droga prowadząca do Horsfall Beach (skręt przed Glasgow) jest totalnie zalana i rangerzy zamknęli ją na czas nieokreślony. Dojeżdżamy tylko do kempingu Horsfall, ale niewiele możemy tu zobaczyć. Przed kempingiem odchodzi jeszcze droga Transpacific Road, ale znajduje się ona już poza parkiem i sądząc po liczbie jeżdżących tu wielkich ciężarówek na pewno nie prowadzi do miejsca turystycznego.

Jedziemy więc dalej na południe 101. po spektakularnym moście, prowadzącym nas do North Bend. Równolegle do mostu drogowego widzimy obrotowy most kolejowy (*swing bridge*) o bardzo ciekawej budowie – jedno z przęseł jest obracane w celu umożliwienia przepłynięcia statków. W Charleston odbijamy na drogę Cape Arago Hwy prowadzącą między innymi do Shore Acres State Park (5 USD/auto, park czynny od 8.00 do zmroku), gdzie zatrzymujemy się na dłużej. Tutaj można podziwiać piękne ogrody różane, dziesiątki przekwitniętych już nieco rododendronów i azalii, lilie wodne pokrywające całą powierzchnię parkowego stawu (*Japanese lily pond*) i niesamowity widok wybrzeża pacyficznego. Jeżeli ktoś wybiera się tutaj pod koniec roku, to też nie zabraknie dla niego atrakcji – cały park jest wtedy udekorowany świątecznymi światełkami, lampkami i niesamowitymi dekoracjami (*Shore Acres Holiday Lights*). Dużo turystów przyjeżdża też zimą oglądać idealnie widoczne z tego miejsca migrujące wieloryby i olbrzymie sztormowe fale, rozbryzgujące się o pobliskie skały wybrzeża. Po krótkim „aromatycznym” spacerze po ogrodzie jedziemy na sam koniec drogi do Cape Arago State Park (wstęp bezpłatny). Na Vista Point obserwujemy lwy morskie (*Sea Lions*), wylegujące się na kilku wysepkach. Tu idziemy tylko na 2 krótkie szlaki (końcowa część szlaku Sunset Bay to Cape Arago Trail), prowadzące na punkty widokowe. Jeden szlak prowadzący na plażę jest całkowicie zamknięty ze względu na okres ochronny dla lwów morskich, które niedawno przyszły na świat (*pupping season*). Pomimo naszych szczerych chęci nie udaje nam się też dostać do latarni morskiej Cape Arago Lighthouse, do której dostępu broni zamknięta wielka brama.

Jadąc dalej na północ w kierunku Charleston, zatrzymujemy się na chwilę w przeducudownej zatoczce należącej do Sunset Bay State Park (wjazd bezpłatny), gdzie dzieci mogą trochę poobcować z piaskiem. Ale one zamiast budować zamki z piasku wpadają w szal, skacząc do wody i po 15 minutach musimy się ewakuować, ponieważ są całkowicie przemoczone, a temperatura powietrza raczej nie należy do plażowych. Zaczynamy powoli rozglądać się za miejscówką na nocleg i trafiamy zupełnie przypadkowo na miejsce petardę – Bastendorff Beach County Park (wjazd bezpłatny, nie ma zakazu „no overnight parking”). Miejsce to wypełnione jest lokalsami, którzy porozstawiali tu namioty i samochody, i zaczynają przygotowywać się do wieczornego imprezowania. Na plaży płoną już ogniska, a słońce powoli zachodzi, dając niesamowity festiwal kolorów. Niesamowite miejsce i niesamowity widok. Po wchłonięciu całego piękna zachodzącego słońca i my rozpalamy ognisko na plaży, piekąc kiełbaski i resztki suchego chleba. To był nasz ostatni wieczór na wybrzeżu i kończymy go tuż przed północą. Jak się okazuje, imprezowicze bawią się do rana, puszcżają amerykańskie disco polo na cały regulator, co uniemożliwia nam jakikolwiek sen.

3 czerwca. Po „wesolej” nocy wstajemy kompletnie niewyspani, ale humor od razu poprawia nam piękna pogoda. Ruszamy wąską, słabo uczęszczaną drogą Seven Devils Road przez gęste lasy (miejscami wytrzebione), skracając sobie znacznie trasę, a przy okazji unikając głównej drogi prowadzącej przez nieciekawe Coos Bay. Na naszej trasie znajduje się South Sough National Estuarian Research Reserve and Interpretive Center, ale niestety czynne dopiero od 10.00, więc jedziemy dalej, bo nie mamy ochoty czekać ponad godzinę na jego otwarcie. Drogą Beaver Hill, a następnie Whisky Run docieramy do Seven Devils State Recreation Site (wjazd bezpłatny, nie ma znaku „no overnight parking”). Miejsce bardzo przyjemne i co najważniejsze „bezludne”, pewnie ze względu na utrudniony dostęp. Spacerujemy po plaży, zbierając „draft wood” na kolejne ognisko. Po krótkiej przechadzce jedziemy bezpośrednio do Bandon. Miasteczko urzeka nas bardzo. Pomimo pochmurnej pogody – kolorów dodają tu porozwieszane na barierkach portowej promenady przepiękne prace plastyczne lokalnych uczniów. Są to przede wszystkim komunikaty o ochronie przyrody, wymierzone bezpośrednio przeciwko produkcji żywności GMO. Na promenadzie wystawione są też drewniane rzeźby zwierząt morskich, wybudowano schron przeciwdeszczowy w postaci przepięknie urządzonego oszklonego ze wszystkich stron „salonu” (ręcznie zdobione drewniane ławy, stoły i fotele). Miejsce naprawdę zachęca do spaceru. Jako że jest to ostatni dzień, jaki spędzamy na wybrzeżu, postanawiamy skorzystać z lokalnej oferty „fish and chips”. Wybieramy lokal z najdłuższą kolejką (Bandon Fish Market 249 First St. SE), co okazuje się trafną decyzją.

Po tłusciutkim posiłku przechodzimy na drugą stronę ulicy do Cranberry Sweets and More (280 1st St SE), by przysłodzić się trochę lokalnymi smakołykami (darmowa degustacja około 20 przeróżnych gatunków słodczy). Z pełnymi brzuchami ruszamy na obwodnicę Beech Loop, która kolejno prowadzi nas do największych okolicznych atrakcji wybrzeża. Zaczynamy od Table Rock (Conquille Beach) (parking na końcu 8th street SW) – schodzimy na plażę stromymi schodami, podziwiając panoramę wybrzeża z licznymi ostańcami, wyłaniającymi się z oceanu. Fale uderzają w nie z wielkim hu-

kiem, rozbryzgując wodę na dziesiątki metrów we wszystkich kierunkach i dając przy tym niesamowite widowisko. Chociaż znajdujemy się na plaży w Bandon w ogóle nie odczuwamy bliskości miasta. Pomimo (w końcu!) pięknej, słonecznej pogody, plaże są puste i tylko kilka osób decyduje się dziś na spacer. Następnie podjeżdżamy kawałek na południe ulicą Portland Avenue do parkingu na zachodnim końcu 11th street SW. Tu też robimy sobie krótką wycieczkę na plażę, schodząc stromymi schodkami. Na przepięknej plaży tuż przy Conquille Point grupa wolontariuszy broni dostępu do wylegających się na skałach młodych lwów morskich. Można przez lunetę podejrzzieć je z bliska, ale pod żadnym pozorem nie można podchodzić do nich, bo „świeżo upieczone” matki lwice mogą zaatakować.

Kolejny nasz punkt to Face Rock Scenic Viewpoint – skała rzeczywiście przypomina ludzką twarz z profilu. I na zakończenie odwiedzamy jeszcze Devils Kitchen Oregon State Park Vista Point z widokiem na Haystack Rock. Tu na plaży zegnamy się z przecudownym wybrzeżem Pacyfiku, siedząc na nagrzanym słońcem piasku i mocno dotleniając się powietrzem oceanicznej bryzy. Opuszczamy Bandon w kierunku wschodnim, kierując się na Myrtle Point (Myrtle Point – Lampa Mountains Road). Mijamy ukwiecone na żółto pola, pasące się krowy i konie, a to wszystko w otoczeniu pagórków i lasów. Mijamy Sandy Creek Covered Bridge opanowany przez grupę motocyklistów i po około 2 godzinach drogą nr 42 docieramy do Roseburga. Tu skręcamy na północ i malowniczą 99. docieramy do Winchester Fish Ladder (wejście bezpłatne). Po zejściu do poziomu rzeki oglądamy łosose i pstrągi (przez specjalne widokowe okna), które poprzez specjalne drabinki (przepławki) płyną pod prąd do źródeł rzeki North Umpqua. Przepławki te lokowane są przy zaporach wodnych i mają za zadanie umożliwić rybom w okresie tarła wędrówkę wzdłuż rzeki.

Po tym niecodziennym widoku wyjeżdżamy 138. w kierunku Glides. Zatrzymujemy się na chwilę przy Colliding Rivers na parkingu obok North Umpqua Ranger Station. Tu rzeki North Umpqua i Little River wpadają na siebie dosłownie z naprzeciwka, a wody ich zderzają się z wielką siłą, płynąc dalej na północny wschód jako potężna North Umpqua River. Nocleg znajdujemy przy wyjściu na szlak Swiftwater Trail niedaleko skrzyżowania z 78. Parking jest ulokowany tuż po przejechaniu mostu nad Umpqua River na stronie południowej. Noc uprzyjemnia nam myszka, która próbuje dostać się do naszych zapasów i co chwila skrobie pazurami po „pancernych” foliowych opakowaniach.... w końcu daje sobie spokój i oddala się zapewne niepokieszona z pustym brzuchem.

4 czerwca. Rano budzimy się dosłownie osaczeni dookoła samochodami wędkarzy, którzy od bardzo wczesnych godzin oblegają obydwie brzegi rzeki, która osiąga w tym miejscu głębokość ponad 15 metrów i bogata jest w łosose i pstrągi. Jedziemy malowniczą trasą wzdłuż Umpqua River, zatrzymując się co chwila w punktach widokowych (Cable Crossing, Baker, Smith Springs). Pierwszym szlakiem na „dzień dobry” jest Susan Creek Falls trail (długość 1,6 mili, wysokość wodospadu 21 metrów), który jest w miarę prosty, choć zbyt bardzo meandrujący, co znacznie wydłuża wędrówkę. Co kilka kroków napotykamy na tablice informacyjne dotyczące okolicznej roślinności. Należy przede wszystkim uważać na liście trującego dębu (*Poison Oak*), który rośnie tu

dosyć gęsto, a którego dotknięcie może spowodować liczne poparzenia. Sam wodospad okazuje się bardzo spektakularny i udaje nam się spędzić tu godzinkę w zupełnej samotności, kontemplując jego piękno. Wracając do auta, mijamy już tłumy turystów zmierzających do wodospadu. Jedną milę na wschód od wyjścia na szlak znajduje się kemping Susan Creek Campground (20 USD/noc, dostępne prysznice), na którym to zaopatrujemy się w wodę do naszego RV, a pomaga nam w tym bardzo miły host, który oferuje tę usługę za darmo. Na wielu kempingach trzeba zapłacić 5 USD za napełnienie zbiornika.

Jadąc dalej na wschód wzdłuż malowniczej Umpqua River, przekraczamy w końcu granice National Forest i zatrzymujemy się na parkingu, skąd wychodzimy na szlak prowadzący do wodospadu Fall Creek Falls (długość 1,8 mili). Ten szlak okazuje się nieco większym wyzwaniem i musimy użyć tutaj metod dopingujących (w postaci czekoladek) dla naszych małych wędrowców, by odwrócić ich uwagę od trudów wkładanych we wspinaczkę. Ścieżka wiedzie stromo wzdłuż potoku, po serpentynach i poprzez wąskie mini slot kaniony, a efekt końcowy jest piorunujący. Wodospad tworzy pionowa omszona 15-metrowa ściana, po której rozlewa się szeroki strumień wody – widok naprawdę cieszy oko. Po krótkim odpoczynku decydujemy się jeszcze na kolejne podejście do drugiej wyższej części wodospadu, która jest też bardzo spektakularna i na pewno warto jest włożyć jeszcze trochę trudu, żeby tu dotrzeć.

Powrotną drogę pokonujemy już znacznie szybciej, zbiegając dosłownie z góry. Jadąc dalej na wschód 138. i skręcając na N w drogę Toketee – Rigdon Road – 0,2 mili, następnie w lewo na parking, zatrzymujemy się przy kolejnej atrakcji – szlaku wychodzącym do jednego z najczęściej fotografowanych wodospadów w południowym Oregonie – Toketee (długość szlaku 0,8 mili, wysokość wodospadu 37 metrów). Parking znajduje się przy zabytkowym, ciągle funkcjonującym drewnianym wodociągu Toketee Pipeline (z 1946 roku, średnica wodociągu 4 metry). Poprzez liczne szczeliny woda wytryskuje z niego na zewnątrz, „oferując” liczne orzeźwiające prysznice dla strudzonych upałem wędrowców. Krótkim szlakiem dochodzimy do „trzęsącej się nieco” platformy widokowej (umiejscowionej wokół pnia drzewa), skąd rozpościera się oszałamiający widok na wodospad, z którego z wielkim hukiem spływa woda, złobiąc głębokie niecki w bazaltowych kolumnach. Szlak jest bardzo uczęszczany i prowadzi miejscami nad stromymi przepaściami, więc szczególną uwagę poświęcamy tu bezpieczeństwu naszych dzieci. Kolejną atrakcją dnia dzisiejszego są gorące źródła – Umpqua Hot Spring, gdzie docieramy, tłukąc się szutrową, okropnie „kurzącą się” drogą (uwaga – nie ma żadnych drogowskazów!). Z parkingu przy wodociągu wyjeżdżamy na północ drogą Toketee – Rigdon Road. Jedziemy 2,2 mili do skrzyżowania i skręcamy w prawo w NF3401, skąd po przejechaniu 2 mil skręcamy w lewo na parking i na szczęcie wciskamy się w ostatnie wolne miejsce (zakaz parkowania przy drodze!!!). Dostęp do gorących źródeł (wstęp bezpłatny) czynny jest od świtu do zmierzchu, z bezwzględnym zakazem przebywania tu w nocy. Przez most przechodzimy na drugą stronę rzeki i od razu skręcamy w prawo, wspinając się bardzo stromo w górę (przy moście znak informujący, że do gorących źródeł prowadzi szlak o długości 1200 stóp, czyli około 370 metrów). Umpqua Hot Spring to jed-

no z najczęściej uczęszczanych gorących źródeł w Oregonie, między innymi z powodu w miarę prostego dostępu, ale również znajdujących się tutaj udogodnień w postaci zadaszenia nad głównym zbiornikiem oraz sieci połączonych ze sobą basenów w postaci kaskad. Jak podejrzewaliśmy po liczbie aut na parkingu, źródła oblegane są przez tłumy zwolenników gorących kąpeli. Ledwo udaje nam się wcisnąć do baseniku, korzystając z uprzejmości dziewczyn, które właśnie ten basenik opuszczają. Kręci się tu też sporo nudystów, co dla niektórych może być nieco krępujące. Mamy więc VIP-miejscówkę z widokiem na płynącą wartkim nurtem w dole rzekę i góry porośnięte gęstym lasem sosnowym. Z powodu ograniczonej liczby miejsc część ludzi kieruje się w dół do rzeki, by tam zaczerpnąć zapewne zimnej już kąpeli w spływającej ze zbocza źródlanej wodzie. Po godzinnym wymoczeniu rozgrzani gorącym wodą ewakuujemy się z powrotem do auta.

Wracamy tą samą drogą do skrzyżowania ze 138. i skręcamy w lewo na wschód. Dosłownie po przejechaniu 2 mil zjeżdżamy w prawo (na drogę nr 37) na parking/picnic site, skąd wychodzimy na szlak, prowadzący do 90-metrowego Watson Falls (długość szlaku 1 mila). Mundi wchodzi jeszcze serpentynami do górnej części wodospadu, skąd wraca cały przemoczony. Spadająca z tak wielkiej wysokości woda rozbryzguje się na dziesiątki metrów, tworząc bardzo wielkie błoto na prowadzącej do niego ścieżce i dodatkowo nieprzyjemny z powodu wieczornego chłodu deszcz. Wodospad umiejscowiony jest po stronie północnej, więc najlepszym czasem do jego odwiedzania jest zdecydowanie poranek.

Podążając dalej na wschód, zjeżdżamy na położony dosłownie przy naszej drodze mały wodospad Whitehorse Falls (parking na kempingu Whitehorse Falls Campground). Niecałe 7 mil dalej na wschód skręcamy w lewo na drogę 2610 (Baskett Butte Road) prowadzącą nad Lemolo Lake, nad którym to mamy nadzieję znaleźć nocleg, na którymś ze znajdujących się tu 4 kempingów. Wjeżdżamy na pierwszy z nich – East Lemolo i z radością odkrywamy, że większość miejsc jest wolna. Parkujemy więc na pierwszym wolnym miejscu i zaczynamy przygotowywać się do kempingowania, a wtedy – ku naszej rozpaczy – atakuje nas stado rozwścieczonych komarów!!! Powietrze zagęszcza się chmurami krwiożerczych owadów i musimy, niestety, pozamykać się w aucie z powrotem. Nie zostaje nam nic innego jak szybka ewakuacja z tego miejsca. Nie mamy wiele czasu na znalezienie miejsca na nocleg, więc postanawiamy wjechać wyżej w góry, żeby uniknąć konfrontacji z komarami. Obieramy drogę 2610 w kierunku północnym i planujemy przeprawę przez góry w kierunku Oakridge. Droga, którą jedziemy, okazuje się jednak coraz bardziej wąska i stroma, pozarastana wielkimi krzakami, a do tego pojawia się jeszcze śnieg, który jeszcze nie zdążył się roztopić od zimy. Sytuacja robi się nieciekawa, bo zapada zmrok, a nie ma nawet skrawka miejsca, żeby się zatrzymać na nocleg. Jedyną logiczną opcją jest zawrócenie, bo trasa jest najprawdopodobniej nieprzejezdna w wyższych górskich partiach. Księżyc podświetla nam drogę, wjeżdżamy na tamę, by zrobić zdjęcie połyskującej w świetle księżyca Cinnamon Butte (1955 m n.p.m.) i w końcu docieramy do głównej drogi 138, kierując się na południe. Nocujemy na punkcie widokowym na wielkim parkingu (Lookout Point) po przeciwnej stronie jeziora Diamond. Noc jest okrutnie zimna.

5 czerwca. Wstajemy o świcie z zamiarem wjechania nad Crater Lake, niestety, drogę zagradza nam szlaban. Jest 5 czerwca, a dojazd od północy do jeziora jest zamknięty. Kompikuje nam to trochę plan dnia dzisiejszego. Ruszamy więc dalej malowniczą 138. na wschód i dalej na północ 97. docierając po 2 godzinach do południowej części parku Newberry Volcanic National Monument (wjazd 10 USD lub bezpłatnie dla posiadaczy Northwest National Forest Pass lub National Parks Pass). Ta część parku położona jest na wysokości około 2000 m n.p.m., w związku z tym, jak się można spodziewać, wszystko tonie w śniegu. Paulina Creek Falls (wysokość 25 metrów) to pierwszy nasz punkt w parku – bardzo spektakularne 2 nitki, które oglądamy z górnego punktu widokowego. Około 1/4 mili dalej szlak prowadzi nas do dolnej platformy widokowej, gdzie widok wodospadu wydaje się jeszcze bardziej spektakularny. Kierując się dalej na wschód, mijamy pozamykane kempingi i Visitor Center, zamknięta jest też droga prowadząca na Paulina Peak (2433 m n.p.m.). Zatrzymujemy się dopiero przy wyjściu na Big Obsidan Flow Trail (długość 1 mila). Jest to unikalny szlak, prowadzący po bazaltowej kalderze wulkanu (Newberry Crater), który wybuchł tu 1300 lat temu. Obsydian, czyli naturalne wulkaniczne szkło, powstał tu w wyniku natychmiastowego zastygnięcia magmy, a wykorzystywany był w dawnych kulturach do wyrobu narzędzi, broni (np. groty strzał), rzeźb czy ozdób. Obsydian używany jest też obecnie przez chirurgów jako skalpel, wielokrotnie ostrzejszy od najwyższej jakości skalpeli z nierdzewnej stali. Brniemy po śniegu, często gubiąc ścieżkę. Bezwzględnie trzeba też uważać na ostre krawędzie obsydianu, by nie ulec poważnemu rozcięciu skóry. Widoki z góry mamy pierwszorzędne. Ośnieżone szczyty kontrastują z czarnym obsydianem i lawą na tle turkusowego nieba z rozświetlającym śnieg słońcem.

Po tym ekscytującym spacerze jedziemy w poszukiwaniu gorących źródeł, które według przewodnika powinny znajdować się przy brzegu jeziora East Lake, ale nie udaje nam się ich niestety zlokalizować. Spacerujemy po długim pomoście, a jedynymi osobami, jakie tu spotykamy, są wędkarze rozsiani po jeziorze w małych dmuchanych pontonach. Wyjeżdżając z południowej części parku, zaglądamy jeszcze na chwilkę na resortowy kemping, który jak się dowiadujemy od „hosta”, dopiero otwierają. Nabieramy wodę do baniaka RV dzięki uprzejmości pracowników i jedziemy 97. do Lava River Cave, gdzie decydujemy się na ponad dwumilowy szlak, prowadzący wewnątrz „lava tube” (najdłuższa jaskinia lawowa w Oregonie). Każdy uczestnik takowej wycieczki musi posiadać latarkę (można za 5 USD wypożyczyć ją od rangera). Zabieramy czapki i kurtki (temperatura wewnątrz jaskini 5°C), wysłuchujemy obowiązkowego krótkiego wykładu na temat bezpieczeństwa i zasad obowiązujących w jaskini (od rangera) i ruszamy stromo w dół, powoli zatapiając się w totalnej ciemności. Jest to niesamowita frajda dla dzieci – Janek prowadzi do samego końca szlaku, przejmując rolę przewodnika. I chociaż wychodzimy z jaskini przemarznięci z soplami ciekącymi z nosów, wycieczkę uznajemy za niezwykle udaną.

Szybko przemieszczamy się do północnej części parku i wjeżdżamy bardzo stromą drogą na Lookout umiejscowioną na stożku wulkanicznym. Na górze stoi wieża obserwacyjna (przeciwpożarowa) z „aktywnym” strażnikiem na stanowisku. Roztacza się tu panorama na 360 stopni – widoki robią piorunujące wrażenie. Nie możemy tu nie-

stety zostać dłużej, bo Lava Lands Visitor Center, które chcemy odwiedzić, zamykają za 45 minut. Szkoda, że mamy tak niewiele czasu, bo wystawy są tu bardzo interesujące – geologia całego Oregonu i wulkanizm to główne tematy. Dzieci wykonują specjalne zadania w zeszytach parkowych i otrzymują odznaki „Junior Ranger”, które z dumą będą nosić przez najbliższe kilka dni. Punkt 17.00 zostajemy grzecznie wyproszeni z Visitor Center i postanawiamy jeszcze „zdobyć” ostatnią atrakcję parku – Benham Falls (długość szlaku 1,5 mil). Droga 9702 dojeżdżamy do parkingu. Przechodzimy przez mostek i ruszamy wzdłuż rzeki Deschutes starą, zamkniętą dla samochodów drogą, po której skacze niezliczona liczba „chipmunków” (*pręgowców*). Rzeka wzdłuż której idziemy, wydaje się być bardzo spokojna, co znacznie ulega zmianie na końcowym odcinku naszej trasy: wzburzone wody walą z wielką siłą o skały, kotłując się i pieniąc. Wchodzimy serpentynami na punkt widokowy. Widok aż powoduje ciarki na plecach, bo miejsce wybitnie urokliwe. Poza nami na szlaku spotykamy jedynie 3 rowerzystów, więc naprawdę odczuwa się tu bliskość przyrody.

Powoli dzień się już kończy, więc zaczynamy poszukiwania miejsca na nocleg. Przejeżdżamy przez Bend i kierujemy się 20. na miasteczko Sisters, zatrzymując się na chwilę na punkcie widokowym przy drodze. W Ranger Station (US-20 & S Pine Street) dowiadujemy się, że McKenzie Hwy jest zamknięta z powodu śniegu zalegającego na drodze i przejezdna jest jedynie dla rowerzystów (odsnieżony jest tylko jeden pas). Otwarcie trasy przewidywane jest dopiero za 2 tygodnie... Taka wielka szkoda! Droga ta jest niesamowicie spektakularna, oferując wiele ciekawych szlaków... Cóż następnym razem odwiedzimy Oregon jesienią, unikając takich niespodzianek. Nocleg organizujemy na wyludnionym kempingu – Indian Ford (12 USD/noc), położonym 5 mil na północ od Sisters. Rozpalamy wielkie ognisko i cieszymy się samotnością, lepiąc plastelinowe ludziki razem z dziećmi.

6 czerwca. Dzień zaczynamy o świcie, by podgonić trochę nasz plan wycieczki, nieco zmodyfikowany wczoraj. Zatrzymujemy się przy malowniczym Suttle Lake z widokiem na ośnieżone Mount Washington (2375 m n.p.m.) i Cache Mountain; ciesząc się tym pięknem, zajadamy śniadaniową owsiankę. Około milę od naszego punktu piknikowego (na zachód) zatrzymujemy się na Mount Washington Viewpoint, skąd roztacza się również panorama na ośnieżone szczyty górskie w otoczeniu kikutów spalonych lasów. Pożar, którego skutki widoczne są do dzisiaj, miał miejsce w 2003 roku i ponad miesiąc gasiło go 2400 strażaków. Wjeżdżamy na przełęcz Santiam Pass (1468 m n.p.m.) i zaraz za nią skręcamy w kierunku stoków narciarskich Hoodoo Ski Bowl (droga 2690) i mijając liczne zasy śnieżne, zatrzymujemy się przy zamkniętym kempingu przy jeziorze Big Lake. Miejscówka idealna na spędzenie nawet i kilku dni. Brniemy po śniegu i błocie, by dostać się do jeziora, skąd mamy idealny widok na zaostroszony szczyt Mt Washington.

Z tego miejsca jedziemy dalej 20. do skrzyżowania ze 126, gdzie skręcamy na południe. Ustaliliśmy (po modyfikacji naszego planu podróży), że spędzimy dziś dzień wędrując po szlakach na krótkim odcinku tej drogi i zawrócimy z powrotem do 20., którą pojedziemy na zachód. Pierwszy szlak to Sahalie Falls trail. Tu na parkingu spotykamy dwójkę rowerzystów z Polski, którzy w podróży są już od 9 miesięcy i przemierzali rowe-

rami ponad 11 000 km, zwiedzając m.in. Argentynę, Peru i Stany Zjednoczone. Po krótkiej konwersacji idziemy na szlak, który okazuje się bardzo prosty i przyjemny (długość około 1 mila), najpierw po 100 metrach dochodzimy do Sahalie Falls (wysokość 30 metrów) – bardzo spektakularnego wodospadu, otoczonego jaskrawozielonymi omszonymi skałami, a następnie ścieżką wzdłuż rzeki wędrujemy do 70-metrowego Koosah Falls, który oglądamy w parze z obok powstałą tęczą. W drodze powrotnej dzieciaki odkrywają liczne puste powalone konary drzew, w których urządzają sobie plac zabaw. Kolejnym, bardzo wycieńczającym szlakiem idziemy do Blue Pool (Tamolitch Pool), długość 4 mile. Szlak początkowo biegnie wzdłuż McKenzie River po płaskim terenie, a następnie wznosi się znacznie w połowie drogi, chociaż to akurat nikomu nie przeszkadza. Znacznym utrudnieniem są natomiast wystające korzenie, o które cały czas się potykamy. Dodatkowo zrobiło się tak strasznie duszno i gorąco, że mamy problem ze złapaniem oddechu. Jednak to, co widzimy na końcu szlaku, znacznie rekompensuje nasze trudy. Turkusowobłękitny basenik widoczny z klifu jest tak naprawdę miejscem, gdzie rzeka chowa się „pod ziemią” na 3,5 mili, tworząc jezioro. Podczas wczesnowiosennych roztopów do baseniku z 20-metrowej wysokości klifu wpada wodospad (Tamolitch Fall), nieaktywny niestety dzisiaj. Można zejść na sam jego brzeg i skorzystać z kąpieli, ale nie jest to bezpieczne z powodu bardzo niskiej temperatury wody (2,8°C). Wiele osób straciło tu życie z powodu szoku termicznego – szczególnie dotyczy to śmiarków skaczących do wody z pobliskich skał. Skok do wody porównywalny jest z uderzeniem o beton z prędkością 40 mil/godz., w dodatku do lodowatej wody, nie należy raczej do przyjemnych doświadczeń. Podczas naszego pobytu dwie młode dziewczyny skaczą, na szczęście bez nieprzyjemnych przygód, a nam aż ciarki przechodzą po plecach...

Wracamy tą samą drogą na parking i podjeżdżamy kawałek do miejsca, gdzie Deer Creek wpada do McKenzie River – a gdzie znajduje się małe, gorące źródło Bigelow (Deer Creek) Hot Springs (pojemność zbiornika to około 4 osoby). Jak się okazuje, woda jest znacznie wyzębiona po długiej i śnieżnej zimie i nie ma fizycznej możliwości „namaczania”, co nieco psuje nam humory. Zjadamy w końcu spóźniony obiad i zawracamy na północ 126. W drodze powrotnej zajeżdżamy jeszcze do resortu Clear Lake w celu dopompowania wody do naszego zbiornika i zatrzymujemy się tuż przed skrzyżowaniem z 20., odkrywając „ghost town”, które jeszcze nie jest oficjalnie otwarte (Fish Lake Interpretive Site). Szeroka szutrowa droga prowadzi nas do starych drewnianych budynków z bali, położonych w lesie nad malowniczym jeziorem Fish Lake. W tym miejscu ponad 100 lat temu umiejscowiona była stacja pobierająca opłaty za przejazdy samochodów. W stodole znajdujemy mnóstwo porozrzucanych starych tablic informacyjnych, czekających na odrestaurowanie. Dla miłośników skansenów będzie to nie lada perełka. Jako że słońce już zaszło, ewakuujemy się szybko w poszukiwaniu kempingu. Jadąc na zachód 20., zajeżdżamy na Lost Paire campground, który jest niestety zamknięty, decydujemy się więc na wjazd drogą prowadzącą do wyjścia na szlak Echo Basin Old Growth Grove Trail. Parkujemy 2 mile dalej w małej zatoczce w lesie i rozpalamy sobie ognisko w celu odstraszenia niebezpiecznej zwierzyny.

7 czerwca. O świcie wyjeżdżamy z leśnej drogi, kierując się bezpośrednio do Cascadia State Park (wjazd bezpłatny). Dzieciaki szaleją na łące przy parkingu, pozostając pod

czujnym okiem taty, a ja idę sobie w spokoju na szlak Soda Lower Falls (długość 1,5 mili) i w sumie cieszę się bardzo z uzyskanej samotności, bo dzieci na pewno marudziłyby, brnąc w błocie i idąc stromo w górę, a ja mam w końcu okazję posłuchać odrobiny ciszy i w pełni rozkoszować się pięknem przyrody. Wodospad jest zachwycający (wysokość 41 metrów) – wąska struga wody spływa po omszonej zielonojaskrawej skale w otoczeniu paproci i gęstego lasu daglezwowego (*Duglas Fir*). Po 2 godzinach wszyscy szczęśliwi opuszczamy park i zatrzymujemy się przy zabytkowym moście Short Covered Bridge nad rzeką South Santiam. Po przeciwnej stronie mostu znajduje się sztucznie stworzone minighost town, a w zasadzie fasady kilku budynków z kilkoma wystawionymi starościami. Ale zatrzymać się tu warto, chociażby na „szybkie zdjęcie”.

Kolejny krótki postój robimy w Sweet Home Ranger Station, gdzie obsypani zostajemy darmowymi mapami oraz gadżetami dla dzieci (kolorowanki, naklejki... były nawet sznurówki z napisem National Forest). W Sweet Home zatrzymujemy się przy Safe Wayu po szybkie spożywcze zakupy. Dalej mijamy Lebanon i 226., poprzez łąki i pastwiska docieramy do Stayton. Potem na wschód 22. do Wagner Road, gdzie skręcamy na północ. I tu przez pomyłkę trafiamy na szutrową, „poharataną” drogę (trzęsie tak, że wszystko wylatuje nam z pólka), prowadzącą totalnie naokoło do Shellburg Falls (bardzo dobrze oznakowana). Ale dzięki temu, że obieramy właśnie tę drogę, oszczędzamy znacznie na długości pieszego szlaku prowadzącego do wodospadu (zamiast 2,8 mili idziemy 1,5 mili). Jak się dowiadujemy z tablic informacyjnych na parkingu, jest to nowo powstałe State Recreation Area (nie ma jeszcze tej nazwy na mapie). Szlak prowadzi przez gęsty las, a następnie przez grotę pod wodospadem, gdzie przechodzi się do dolnego punktu widokowego. Spotykamy tu tylko koleżkę schowanego w krzakach, który uprzedza nas o zainstalowanej na dole kamery, którą zamierza nagrać oświadczenia jego przyjaciela. I rzeczywiście, w ciągu 2 minut pojawia się dziewczyna z chłopakiem, który pada na kolana, prosząc ją o rękę. Kolega po chwili wyskakuje z krzaków z okrzykiem radości, po czym cała trójka znika nam z oczu. My spędzamy tam godzinkę, bo miejsce jest bardzo urokliwe. Po powrocie ze szlaku postanawiamy przenocować na pobliskim kempingu, który jest niesamowicie klimatyczny (7 miejsc, 15 USD/noc). Pola kempingowe są ogromne, otoczone wielkimi drzewami. Rozpalamy ognisko w zupełnej samotności, smażąc kiełbaski.

8 czerwca. Od rana niestety leje deszcz, co nie przeszkadza nam oczywiście w realizacji naszego planu. Wyruszamy wyboistą, bardzo wąską drogą w kierunku największego stanowego parku w Oregonie – Silver Falls State Park (wjazd 5 USD/auto). Brniemy skrótem, nie mając pewności, że na końcu tej drogi nie napotkamy zamkniętej bramy, bo droga czynna jest tylko w sezonie letnim (jak się okazuje potem, bramę otworzono 22 maja). Droga jest tak wąska, że nasz samochód dosłownie taranuje przydrożne krzaki, oblepiając się żółtymi krzakowymi kwiatami i błotem z wielkich kałuż. Kiedy docieramy już do parku, płacimy za wjazd w automacie (na parkingu) 5 USD kartą kredytową i zasiadamy do śniadania. Pogoda cały czas nie jest ciekawa, a prognoza sprawdzana przez nas na bieżąco wcale nie daje nadziei na jej poprawę. Zakładamy więc kurtki przeciwdeszczowe i zaczynamy zwiedzanie od zabytkowe-

go Visitor Center, zbudowanego przez CCC, czyli Civilian Conservation Corp. (Cywilny Korpus Ochrony Przyrody). Było to potężne przedsięwzięcie państwowe w latach 30. XX wieku, czyli w okresie wielkiego kryzysu, mające na celu rozbudowę infrastruktury turystycznej i drogowej na terenie parków stanowych i narodowych. CCC usprawniło system przeciwpożarowy lasów, zbudowali drogi tam, gdzie ich dotąd nie było, stawiało budynki służące obsłudze parków (np. schroniska czy hotele) i zajmowało się nawet budową tam. Styl tych budowli jest bardzo charakterystyczny – wielkie kamienie i drewniane bale tworzą piękny dodatek do otaczającej je przyrody. W środku płonie cudownie ogrzewający ogień w kominku, na ścianach wiszą obrazy przedstawiające wszystkie występujące tu wodospady. Siadamy z dziećmi w pokoju z telewizorem i oglądamy informacyjny film o historii i atrakcjach parku.

Pierwszy wodospad, jaki odwiedzamy to 54-metrowy South Falls (1 mila loop), do którego schodzimy stromo w dół po błotnistej ścieżce. Woda spada z wielkim hukiem z olbrzymiej skalnej półki, pod którą prowadzi szlak (grotto). Pomimo deszczowej pogody przychodzą tu tłumy turystów, co odbiera trochę „smaczku” temu miejscu. Trzeba nadmienić, że z powodu deszczu robimy sobie tylko krótkie „wyskoki” na poszczególne wodospady, ale najlepszą formą zwiedzania parku jest po prostu „Trail of 10 falls loop” czyli 9-milowy szlak, prowadzący do 10 wodospadów. Kolejny nasz „wyskok” to wodospad Winter Falls – krótki szlak (ale bardzo stromy) prowadzi nas do 40-metrowego, bardzo urokliwego wodospadu, spływającego wąską strugą po omszonych jaskrawozielonych kamieniach. Pod wpływem niekończącego miłczenia naszych dzieci ulegamy presji i podjeżdżamy do parkowego placu zabaw (Nature Play Area – North Falls day use area). Jak się okazuje, nie jest to jakiś tam zwykły plac zabaw. Wszystkie huśtawki, tory przeszkód, ścianki wspinaczkowe i ślizgawki wykonane są z drewna, wszystko urządzone z wielkim smakiem i pomysłem. Park podzielony jest na część ptasią, niedźwiedzią i pumową. W każdej z nich są „eksponaty” związane z konkretnym zwierzęciem. Dzieci dostają tu szalę i nawet pod namową ogromnej porcji ich ulubionych słodczy nie chcą opuścić tego miejsca po 2 godzinach zabawy. Postanawiamy więc, że nie będziemy psuć im tak wspaniałej „imprezy” i ja sama udam się na pobliski wodospad North Falls (wysokość 41 metrów). Zejście tutaj jest dość strome i prowadzi po śliskich schodach, ale widok końcowy powala na kolana. Urzekają mnie takie miejsca do tego stopnia, że mogłabym tu przesiedzieć 3 dni, wpatrując się w spływającą nad grotą wodę. Uroku dodają tu jeszcze soczyste zielone paprocie i drzewa, skąpane w deszczu i nieskazitelnie czyste, natlenione powietrze pachnące iglakami. Spędzam tu niestety tylko 1,5 godziny, bo tak ustaliliśmy czas, kiedy spotkamy się wszyscy na parkingu.

Z powodu napiętego planu opuszczamy park i pędzimy 214. w kierunku miasteczka Mt. Angel, które oczarowuje nas swoim bawarskim stylem. Wszystkie budynki w miasteczku wybudowane i ozdobione na styl bawarski. Skręcamy w kierunku St. Benedict Abbey. Mieści się tu klasztor z seminarium duchownym oraz małe muzeum, do którego odwiedzenia zachęcił nas właśnie przewodnik „Lonely Planet”. Wchodzimy do muzeum w momencie jego zamknięcia, ale dostajemy pozwolenie od mnicha na pozostanie w nim, jak długo chcemy. Oglądamy więc klasztorne skarby w postaci wypcha-

nych zwierząt i zasuszonych owadów, modeli pociągów, starych aparatów fotograficznych, dzbanuszków, minerałów itp. Najbardziej „przerażającym” eksponatem jest zdecydowanie wypchany cielak, który urodził się z 8 kończynami, czy sarna o dwóch korpusach. St Benedict Abbey słynie przede wszystkim z Benedictine Brewery, gdzie starymi metodami browarniczymi wytwarzany jest szlachetny trunek zwany piwem. Każdego roku w pobliskim Mt. Angel odbywa się też festiwal Octoberfest, gdzie klasztorne piwo „Black Habit” staje się nieodzownym „mistrzem” swojego gatunku. Nie dane nam jest jednak skosztować jego smaku.

Wyjeżdżamy poprzez otaczające klasztor pola chmielowe w kierunku Molalla. Niebo okropnie zsiniało i leje deszcz. Mijamy niezliczone farmy z pasącymi się lamami i alpakami. Dużo tu też szkółek leśnych, gdzie zdecydowanie królują tuje i świerki, oraz plantacje borówki amerykańskiej. Wszystkie farmy są ekologiczne, jak na Oregon przystało!!! Docieramy 211. do Estacada, gdzie skręcamy na południowy wschód w drogę 224. Jadąc nią w otoczeniu gór i lasów, ukazuje nam się tęcza, dając cudowne zakończenie dnia. Zatrzymujemy się na chwilę przy zamkniętym już Ripplebrook Guard Station (Mount Hood National Forest), by sprawdzić warunki panujące na szlaku prowadzącym do Bagby Hot Springs. Jest to nasz punkt docelowy na dzień jutrzejszy i chcemy wyruszyć na szlak wcześniej rano, by uniknąć tłumów. Dowiadujemy się, że tuż po wyjechaniu z parkingu zaczyna się obszar, gdzie możemy nocować w dowolnym miejscu, bez konieczności poszukiwania kempingu. Lokujemy się jednak na bezpłatnym opuszczonym kempingu River Ford, bo ciężko jest nam znaleźć jakiegokolwiek inne miejsce, spełniające nasze standardy. Rozpalamy ognisko i w huku Clackamas River cieszymy się ostatnimi chwilami spędzonymi w naturze.

9 czerwca. Wstajemy o świcie i pędzimy 70. do wyjścia na szlak Bagby Hot Springs (długość 3 mile). Żeby dostać się do gorących źródeł, musimy pokonać 1,5 mili łagodnym szlakiem, biegnącym przez gęsty pachnący las, wzdłuż potoku. Wcześniej na parkingu trzeba wrzucić 5 USD od osoby (w kopercie) do specjalnej wrzutni lub zapłacić u ciecia, który aktualnie śpi w swoim RV. Wszystkie fundusze zebrane w ten sposób służą utrzymaniu „resortu” w stanie umożliwiającym korzystanie z jego wspaniałych zasobów. A „resort” to wybudowane (na miejscu spalonego prawdziwego uzdrowiska) pomieszczenia z drewnianymi baniami i wannami z podłączonymi do nich kranikami z gorącą źródłaną wodą (o temperaturze 59°C). Są nawet 4 zamknięte „pokoiki” zapewniające pełną prywatność. Jesteśmy tu jako pierwsi i wybieramy sobie największą balię, do której wlewamy dosłownie wrzącą wodę. Kran doprowadzający zimną wodę niestety jest zepsuty, więc zmuszeni jesteśmy przynosić ją z potoku. Wielkie wiadra są tu porozstawiane w każdym kącie, więc nie stanowi to żadnego problemu. Włazimy do bani i rozkoszujemy się ciepłą kąpielą w kąpiącym na nas deszczu (dach przecieka). W ciągu 2 godzin nadciągają już tu tłumy i wszystkie wanny są zajęte. Panuje tu zasada, że w przypadku kolejki maksymalny czas „namaczania” to 45 minut. My po 2 godzinach wylegiwania w balii jesteśmy już wystarczająco zrelaksowani, udostępniamy więc naszą miejscówkę kolejnym oczekującym. Miejsce to jest niesamowicie urokliwe – położone w leśnej gęstwinie, wśród szemrzącego potoku, potrafi zrelaksować każdego spragnionego kontaktu z naturą. Cza-

dowo musi tu być w zimie – wylegiwanie się w „jaccuzi” w takim otoczeniu na pewno przyciąga tłumy.

Wracamy tą samą trasą, mijając zmierzających ku źródłom spóźnialskich hikerów. Po dotarciu do kampera rozpoczyna się niezła ulewa, przypominająca oberwanie chmury. Mamy więc wielkie szczęście, że docieramy przed nią. Ze łąą w oku opuszczamy National Forest i jedziemy do Portland, gdzie jutro rano musimy oddać do wypożyczalni naszego RV. Robimy sobie tournee po muralach, których są tu setki. Jedziemy wzdłuż ulicy Hawthorne, zaznaczając co chwila na GPS-ie nowe murale z naszej listy. Zawsze myślałam, że to San Francisco króluje jako stolica murali, ale, jak widać, nikt nie da rady dorównać Portland. Przejeżdżamy Willamette River i wjeżdżamy do Pearl District – dzielnicy businessowej, wypełnionej galeriami sztuki, firmowymi sklepami turystycznymi (Patagonia, Keen, Northface, REI), kawiarniami i restauracjami. Rozpoznawczym znakiem Portland są również „foodtruks” – czyli jeżdżące bary (ponad 70 pojazdów), wśród których dostrzegamy jeden serwujący polskie pierogi i bigos. Portland to też niezaprzeczalna stolica róż – „City of Roses”. W parku Washingtona, gdzie udajemy się na koniec dnia, znajduje się światowej sławy różany ogród z 500 gatunkami tych kwiatów (International Rose Test Garden). Od 100 lat kultywowana jest tu tradycja uprawy i akurat mamy to szczęście podziwiać je w całej okazałości. Aromatu, jaki roznosi się w parku, nie zastąpią żadne nawet najwyższej klasy perfumy. To, co odróżnia to miasto od innych wielkich metropolii, to odsetek ludzi wykształconych – najwyższy w Stanach. Nic więc dziwnego, że większość barmanów czy kasjerów w supermarketach ma tytuł magistra. Po aromaterapeutycznym spacerze pośród kwitnących róż zabieramy się za pakowanie walizek i znalezienie miejsca na nocleg. Noc spędzamy w bardzo przyjemnym (jak na miasto) miejscu – na parkingu przy parku Vanport Historic Site (niedaleko Hwy 5 i rzeki Columbia).

10 czerwca. Wstajemy o świcie, zjadamy ostatnie wakacyjne śniadanie, pakujemy resztki dobytku i jedziemy szybko do wypożyczalni samochodów osobowych na lotnisko w Portland. Wypożyczamy w AVIS hyundaia Santa Fe (cena najniższa w tym dniu za wypożyczenie jakiegokolwiek auta) za 46 USD i jedziemy szybko do Cruise America oddać RV-ka. Na miejscu załatwiamy wszelkie formalności i po inspekcji otrzymujemy zwrot kaucji, i ostateczny rachunek z rozliczeniem kosztów. Pakujemy się do osobówki i jedziemy na ostatnią wycieczkę do Columbia River Gorge National Scenic Area, by odwiedzić najwyższy z wodospadów Oregonu – Multnomah Falls (190 metrów wysokości). Tym razem parkujemy na olbrzymim parkingu przy autostradzie (dostęp do niego jest niemożliwy dla podróżujących drogą nr 30). Tu, niestety, jak to było do przewidzenia, ze względu na łatwość dostępu i sławę wodospadu jesteśmy zmuszeni do dosłownego przepychania się pomiędzy turystami. Nie łąda trudność sprawia nawet rozstawienie statywu, bo tłum napiera ze wszystkich stron. Spacerujemy do mostu, który dzieli wodospad na 2 części. Widok zapiera dech w piersiach!!! Znacznie mniejsza część tego tłumy idzie też stromo w górę do platformy widokowej na szczyt wodospadu. Ponieważ nigdy wcześniej tam nie byłam, idę i ja. Pionowo wąską asfaltową ścieżką ciągnę się za mrówczym pochodem, ale po dotarciu na koniec szlaku stwierdzam, że nie warto było tego robić. Widać jedynie parking i panoramę na rzekę Columbia

oraz malutki wodospad będący początkiem Mutnomah'a. Dwóch, jak miemam – bez opieki, nastolatków staje na szczycie 190-metrowego wodospadu popisując się i robiąc selfie, a pode mną nogi się uginają. Jeden niepoprawny ruch i lecą w dół na pewną śmierć. Pstrykam kilka fot i uciekam w dół do mostu. Cała ta wycieczka zajmuje mi około 40 minut. Zaglądamy jeszcze do malutkiego Visitor Center, które oferuje kilka ciekawych ekspozycji geologicznych.

Po dobrych 2 godzinach wyjeżdżamy z parku i zatrzymujemy się jeszcze na chwilę w Sandy River Delta Park (park przy autostradzie), gdzie przepakowujemy walizki i przebieramy się już w ubrania „wyściowe”.

11 czerwca. Wracamy do Portland i korzystając jeszcze z kilku wolnych chwil jedziemy z dziećmi na pobliski plac zabaw, by mogły wytracić trochę energii przed nocnym lotem do Chicago. Wracamy bez żadnych niespodzianek, wymęczeniu, ale szczęśliwi, że udało nam się spędzić ostatnie 18 dni w jednym z najpiękniejszych miejsc Ameryki.

Paweł Burchard

Karaiby... czy chciałbym żyć w raju?



Termin: 4–26 stycznia 2018 r.

Dzień jest jeszcze długi, niby letni, przecież to początek sierpnia 2017. Powinien być upał, ciepła woda, grill, wędka, kąpiele, łódka. Jest niedziela, otwieram oczy, wstaję, szaro, czyżby jeszcze noc, przyzwyczajony do budzika może wstałem za wcześnie, coś jest nie tak?

...odsłaniam okno,
deszcz,
temperatura 15 stopni,
wiatr szarpie gałęzie mojej brzozy,
ach, lato, nasze lato.

Tak nie może być, tego już za wiele, trzeba pomyśleć o odpoczynku, urlopie, wreszcie wakacjach. Tylko gdzie? Zaczynam trzeźwo myśleć, szybka analiza i olśnienie – gdzieś, gdzie jest ciepło kiedy u nas zima. Może chociaż tak odbijemy sobie to lato?

Zaczynam poszukiwania, by odnaleźć inspirację na ten zimowy, wakacyjny nasz wyjazd i tak trafiam na informację o lotach na Antyle Francuskie, cena w styczniu po 1800 zł w obie strony na Martynikę lub Gwadelupę z Warszawy przez Paryż jest całkiem dobra, czas lotów przyzwoity, pogoda tam w styczniu rewelacyjna. Jak pomyślałem, tak zrobiłem. Wreszcie będzie wypoczynek ponad 3 tygodnie! Wylot na Martynikę 4 stycznia powrót z Gwadelupy 26 stycznia. Będzie fajnie, bo musi! I tak to się zaczęło, a jakby tego zimnego wiatru w oczy było mało, to po chwili na Karaibach pojawił się jeden z największych huraganów w historii, najpierw Irma, a na dobitkę Maria i tak wiadomości wszystkie donosiły, że pół Karaibów wywiało... Trochę strach 3 tygodnie jeżdżenia, pływania promami między wyspami na własną rękę, żona w stresie...

Czy wszystko uda się tam posprzątać?

Czy będzie przejezdnie?

Czy nie będzie jakiejś epidemii?

Czy będzie bezpiecznie?

Stwierdziliśmy, że nie ma co ryzykować całkowicie na własną rękę, żeby potem się tylko wymęczyć. Pobędziemy 3 dni na Martynice i popłyniemy statkiem wycieczkowym na dwa tygodnie w rejs – w końcu odpoczynek się należy. Na ostatnie 4 dni zostaniemy na Gwadelupie skąd mamy lot powrotny. Rejs, w cenie nie powodującej duszności, niestety, okazuje się wyłącznie z Gwadelupy, tak więc po 3 dniach na Martynice będziemy musieli przetransportować się tam, a że lokalne, zielone linie Air Antilles miały dobrą ofertę, to nazajutrz wszystkie potwierdzone loty już mamy. Wszystko zaplanowane, tym razem będzie w luksusie, nie będzie tanich promów między wyspami, transportu autobusem i kilometrowych spacerów z torbami do miejsca na nocleg. Rezerwujemy samochody.

Po wszystkich wstępnych planach, rezerwacjach i innych zakupach online pojawiają się wątpliwości, plan jest dobry, tylko czy aby na pewno? ...czy zdążymy podczas lotów zmienić lotniska w Paryżu z Orly na Charles de Gaulle'a? Cztery godziny tam i niewiele ponad trzy i pół godziny z powrotem? ...po lekturze forumowych opowieści zaczynam mieć wątpliwości.

RELACJA Z PODRÓŻY

Czas oczekiwania do wyjazdu się dłuży, zdjęcia i wiadomości pohuraganowe pokazują, że decyzja o rezygnacji z częściowej wyprawy na własną rękę wydaje się być słuszna.

Zbliża się czas wyjazdu, a tu dwa dni przed wylotem orkan w Paryżu, loty opóźnione, odwołane, znów zamieszanie w głowie. Zawsze wszystko było udane, bezproblemowe, czyżby pierwszy wyjazd pechowy? Nie, przecież to będą wakacje!

Nadszedł utęskniony 4 stycznia 2018 roku, dzień wylotu, na szczęście pogoda idealna, żadnych załamań, mgieł czy opadów, orkan jest już tylko historią, a na lotniskach ład i spokój. Na Okęciu musimy być po 5.00 rano, wylot ok. 7.00. Szybka odprawa, nadanie bagażu, miejsca nasze i jesteśmy w samolocie. Podróż do Paryża mija szybko, w końcu lecimy na Karaiby. Jednak tuż po wylądowaniu pilot oznajmia, że musimy poczekać na naszą kolejkę do rękawa, i tak mija 30 minut stania bez sensu, a zegar tyka, przesiadka tuż tuż. Jedno minęło, teraz bagaż, a to znów pięćdziesiąt minut zanim udało się go odebrać, a to policja pyta, w jakim celu jesteśmy w Paryżu, minęło. Jeszcze tylko voucher na bilet do autobusu, który gratis nas zabierze na drugie lotnisko i jesteśmy w domu, po konsultacji w punkcie informacyjnym lotniska z okienka odprawowego Air France dostajemy voucher, tak więc możemy biec do autobusu. Tam oczywiście tłum, niestety, trochę nieładnie trzeba było się wepchnąć, ale cóż: my do odlotu mamy ok. 2,5 godz., niektórzy po siedem czy osiem i już są. Udało się, usiedliśmy, jesteśmy w autobusie, ...i tu konsternacja – niecała połowa autobusu ludzi wsiadła i kierowca krzyczy, że więcej nie zabiera. Dlaczego, o co chodzi? „Takie mam polecenia”, ...i to tyle, co po angielsku powiedział. I zaczęło się wypakowywanie bagażu z luku, bo oczywiście 70 osób bagaże wrzuciło, a wsiadło 30. O jak dobrze, że się tak wepchnęliśmy. Autobus jedzie sprawnie, nawet szybko, jest duży ruch, ale korków nie ma. I tak po niecałych 50 minutach jesteśmy na Orly, mamy zapas 30 minut do zamknięcia odprawy nadawanego bagażu, spokojnie zdążyliśmy, choć i tu francuski bałagan przy wejściu do samolotu daje się we znaki. Ale co tam – to drobnostki. Blisko

8 godz. lotu mija szybko, to jakiś film, to obiad podali, to chwila snu. Wsiadamy z samolotu, klimatyzacja na lotnisku sprawnie działa, to dobrze, przecież jesteśmy w ubraniach zimowych, a tutaj 28 stopni na zewnątrz. Po piętnastu minutach są bagaże, uff, kolejna przeszkoda pokonana, doleciały. Nie wszyscy mieli to szczęście, chłopak obok czeka, czeka i nic. Zgłasza się do punktu zagubionego bagażu i dosłownie słyszy: „Panie, już 17.40, my o 18.00 zamykamy, już nic się nie da dzisiaj zrobić, kup sobie Pan co potrzeba, zwrócimy pieniądze”. Dla nas to śmieszne, dla tego chłopaka w zimowych ciuchach, praktycznie bez niczego, nie bardzo...

Martynika

Odbieramy samochód w Avisie, dla mnie wtajemniczonych uwaga, że trzeba pamiętać o karcie kredytowej (choć można podobno gotówką) i kaucji zwrotnej w wysokości 600–700 euro za wynajęcie samochodu. Nam się udało nie zapomnieć. Odebrany samochód to trochę zużyte Polo, ale jest sprawne, całe, tak więc szybko jedziemy do naszego mieszkania. Nieduży hotel Residence Camelia w Pointe du Bout znajduje się po przeciwległej stronie zatoki z widokiem na stolicę Fort-de-France. Dojazd z lotniska w La Lamentin trwa około 30 minut. Już po ciemku docieramy na miejsce, dzięki nawigacji Google Maps i darmowemu Internetowi, przecież to Unia Europejska, dojazd odbywa się bez najmniejszych problemów. Hotel pomalowany w żywe karaibskie kolory, duży parking, głośny jazgot karaibskich świerszczy, to pierwszy obraz. Pokój jest trochę zużyty, ale jest lodówka, kuchnia na balkonie, w łazience ciepła woda i prysznic, nic więcej nam tu nie potrzeba.

Zmęczeni szykujemy się spać, ale zaraz, zaraz patrzymy na zegarki, w Polsce 24.00, ale tutaj 7.00 wieczór, no cóż, trzeba będzie przywyknąć, ale nie dziś, dziś zasypiamy natychmiast o tak wczesnej godzinie. Noc minęła szybko i wstaliśmy wypoczęci o ...4.00 nad ranem, ciemno, świerszcze pięknie grają. Nic tylko korzystać przez te 3–4 dni, dopóki się nie przyzwyczaimy do zmiany czasu. Tak robiliśmy: wstawaliśmy przed świtem i około godziny 7.00, kiedy robi się widno, byliśmy gotowi wyjechać na zwiedzanie. Super! Pusto, nikogo na ulicach, żadnych korków, o których wcześniej czytałem, ciepłutko, na plażach pusto, wszystko można na spokojnie zobaczyć. Po godzinie 11.00 na ulicach robi się już tłoczno, tak samo na plażach czy w odwiedzanych turystycznych atrakcjach. Polecam przy podróżach ze znaczną zmianą czasu tak robić: planować zwiedzanie od samego rana, kiedy jest najprzyjemniej. Na pełny objazd i w miarę pełne zwiedzanie wyspy (Martynika) potrzeba trzech całych dni i samochodu, dzięki któremu docieramy w każdy zakątek na krańce Martyniki. Objeżdżamy wyspę dookoła, jedziemy do miasteczka portowego Le Marin, po drodze mijamy śliczny punkt widokowy na wyspę – skałę Rocher du Diamant, w okolicy oglądamy ładne zatoczki, wioski czy plaże. Szczególnie ładna, o tak wczesnej porze, jest Grande Anse des Salines, kiedy prawie nie ma ludzi. Bardzo polecam wybrać się na półwysep La Caravelle z parkiem narodowym i latarnią na czubku, przejechać przez urokliwą wioskę rybacką Tartane, skręcając w każdą dróżkę, gdzie jest znak kierujący na plażę, każda jest inna, to białe piasek, to czarny, to woda błękitna, to znów duże fale i surferzy. Na końcu półwyspu, gdzie kończy się droga i jest tylko parking, możemy wybrać się na pieszą wędrowkę. Znajdują się tu bardzo dobrze utrzymane ruiny plantacji trzciny i kakao

Château Dubuc, można je zwiedzić za 5 euro od osoby. Jeśli ktoś nie jest pasjonatem, to ruiny, choć ciekawe, można pominąć, mniejsze i niebędące płatnym muzeum można znaleźć idąc na ukrytą plażę anse Couleuvre. Koniecznie trzeba zapuścić się w ostępny dziewiczego lasu deszczowego na końcu półwyspu. Bardzo polecam długą pętlę, bo te dźwięki lasu, kraby, las namorzynowy, ptaki, które w locie jadły z ręki bagietkę, wielkie liszki, niesamowite jaszczurki i legwany nawet do 1,5 metra długości na pewno zostaną w pamięci. Nam niestety udało się przejść tylko krótką pętlę, która jest małą częścią tej dłuższej. Jeśli tylko macie około cztery godziny czasu, to warto zrezygnować z pobytu na plaży i przejść się, tutaj też można wskoczyć do wody.

Niedaleko półwyspu znajduje się destylarnia Saint-James, nie da się przegapić reklam, warto zajrzeć, bardzo tani rum, nawet 3,5 euro za litrową butelkę. Wystarczy dodać sok ananasowy i można delektować się zimnym ponczem na plaży czy na balkonie z widokiem na Morze Karaibskie. Rum czy poncz można także znaleźć na przydrożnych stoiskach czy straganach na bazarkach. Poncz już jest zrobiony, świeży, gotowy do wypicia. Przepyszny, słodki ulepek, różnej mocy, z różnymi owocami w środku, od melonów, mango, przez maracuje po ananasy. Niebo w gębie. Jednym z kolejnych i ważnych punktów na Martynice, które powinno się odwiedzić, jest ogród botaniczny Jardin de Balata, i nawet jeśli ktoś nie jest fanem roślinności, to naprawdę warto, wstęp trzeba opłacić w wysokości 13,5 euro za osobę, choć nie najniższy, to na pewno wart, mnóstwo roślin, drzew, kwiatów. Kolibry i inne ptaki pijące z poidelka przypominającego kwiat to widok niezapomniany.

Warto także wybrać się na koniec wyspy, na koniec drogi do wioski Grand'Riviere, kręta droga przez las deszczowy, a na końcu wulkaniczna plaża z długim, wąskim wodospadem. Z drugiej strony można dojechać do parkingu przed anse Couleuvre i dojść do niej pomiędzy ruinami dawnej plantacji, bananowcami i palmami. Bardzo ładna plaża wulkaniczna. Powrót z tej plaży też był niezapomniany, ponieważ drogę powrotną i jedyną zamknęto! Okazało się, że coś się dzieje z mostem, nikt nic po angielsku powiedzieć nie potrafił, z trudem dowiedzieliśmy się, że nie wiadomo kiedy otworzą, może za kilka godzin? A my mieliśmy tylko trzy godziny, aby wrócić już na samolot. Na szczęście po 30 minutach drogę otwarto i można było odetchnąć, ale przez chwilę było nerwowo.

Martynika jest ładna, ciepła, drogi w dobrym stanie, kierowcy jeżdżą normalnie, nie ma nerwowości. Co chwila są plantacje trzciny cukrowej, bananów czy uprawy kokosów. Nie jest prawdą, jak czytałem, że wyspa jest nudna, nie ma co tam robić i są tylko starzy Francuzi. Ktoś kto to pisał to chyba siedział tylko w Fort-de-France i nie ruszał się na krok spod lotniska. Wyspa ma koloryt, charakter, ciekawych ludzi, rum i o dziwo bardzo ładne dziewczyny. Polecam mieć pełne trzy dni na objechanie całej wyspy i wszystkich jej ukrytych zakątków. Choć jest naprawdę drogo, benzyna 1,5 euro, w sklepach spożywczych ceny 2-3 razy wyższe, najtańszy sklep to Leader Price, wybór nie jest przesadnie bogaty, a jakość ma wiele do życzenia. Czas mija szybko, 3 dni minęły i 7 stycznia mamy lot Air Antilles na Gwadelupę, gdzie zaokrętuje my się na dwutygodniowy rejs gigantycznym statkiem MSC Fantasia. Oddajemy samochód na szczęście bez żadnych przygód i problemów, tak więc wypożyczalnię Avis

mogę wysoko ocenić. Lotnisko jest niewielkie, sprawna obsługa i wsiadamy do małego turbo-śmigłowego samolotu ATR 42-300, wesoło oklejonego w zielone barwy, mieści tylko 50 osób, a i tak w 1/3 jest pusty. Lot jest bardzo wygodny, start i lądowanie zdecydowanie delikatniejsze niż przy dużych samolotach i po 35 minutach jesteśmy na miejscu.

Jesteśmy na Gwadelupie, łapiemy niby taksówkę do portu, znaczy się wystarczy stanąć w miejscu dla taksówek i ktoś co chwila podejżdza, 10 euro za osobę to cena – czy to oficjalna taksówka, czy ktoś prywatnie sobie dorabia. Piętnaście minut i jesteśmy w porcie. Za ogrodzeniem widzimy, jak olbrzymi jest to statek; ma ponad 330 metrów długości i 18 pięter wysokości. Niestety, jesteśmy za wcześnie, a możliwość wejścia na teren portu i na statek mamy dopiero po godzinie 14.00. Zbiera się dużo pasażerów przed portem i zaczynają się wykićć z ochroną, że chcą już wejść, że dlaczego nie mogą, czemu tak jest – a na bilecie wyraźnie jest że od 14.00. Niektórzy chyba lubią zaczynać wakacje od kłótni. Wreszcie jest 14.00 można przejść obok Pana ochroniarza i zaczyna się odprawa, jest podobna do tej w samolocie, sprawdzane i skanowane są bagaże podręczne, a duży bagaż odbierany od nas i trafia bezpośrednio do kabiny. Po wielu formalnościach jesteśmy w kabinie na 13 piętrze. Kabina jest spora, ok. 20 m², jest łazienka z prysznicem, podwójne wielkie łóżko, i co najważniejsze duży balkon, z którego słyszać morze i widać wszystko, co się dzieje na trasie rejsu. O samym statku co można powiedzieć? Jest naprawdę olbrzymi, luksusowy, wszystko w kamieniu, szkle, metalu, błyszczący się i świeci, ma pokazywać przepych i tak też jest. Jest wielki, ma ponad 330 metrów długości, mieści 25 wind, kilkanaście restauracji i barów, kilka basenów, boiska, pełnowymiarową salę teatralną, kasyno i wiele, wiele więcej. Ogromna ilość jedzenia, praktycznie całą dobę, które jest naprawdę dobrej jakości, a do tego obsługa na wysokim poziomie. Nic tylko wypoczywać i tak przez dwa tygodnie w tym domu na morzu zamierzamy.

Antigua & Barbuda

Z Gwadelupy wypływamy wieczorem ok. 19.00 do Saint John's na Antigue, program rejsu wygląda w ten sposób, że wypływa się wieczorem, statek płynie całą noc, czasami dłużej, a od samego rana jest w porcie na planowanej wyspie, cały dzień jest na zwiedzanie wyspy (trzeba sobie zorganizować samemu ten czas lub skorzystać z bardzo drogiej wycieczek fakultatywnych ze statku). Tak więc jesteśmy w Saint John's – stolicy Antigua & Barbuda. Zwiedzamy miasto, które jest jak wszystkie na Karaibach trochę zaniedbane, trochę brudne, domki w większości drewniane, podniszczone, mimo to miasto bardzo wesołe, ludzie uśmiechnięci, pełno ich na ulicach. Domki kolorowe: od różowego, przez czerwień, pomarańcz, żółty, na turkusowym i niebieskim kończąc. Tu na Karaibach jak na dłoni widać znaczenie powiedzenia „biednemu zawsze wiatr w oczy”, dosłownie, kiedy poskładają te domki z kart, przychodzi następny huragan. Niestety, sporo jest też wążających się zaniedbanych psów, dużo suk i wszystkie karmiące, szczenne, a niektóre chore. Nic nie można poradzić poza podrzuceniem jakiegoś smakołyka dla radości psia-ka. W miastach zabytków jest niewiele, warto poprzyglądać się ludziom, porozmawiać z nimi, na sporej większości wysp językiem urzędowym jest angielski, więc nie powinno być problemu z rozmową. Poznać choć trochę kulturę lokalną. Koniecznym punktem Antigui są plaże, biały piasek, błękitna woda. Na plażę postanowiliśmy spacerować

się przez całe miasto. Spacer był długi i o mało nie skończył się powrotem bez odwiedzenia plaży, na błotnistej drodze pojawiło się sporo psów i nie chcąc ryzykować, postanowiliśmy zawrócić. Na szczęście przechodzący chłopak zaoferował, oczywiście nie bezinteresowną, swoją pomoc i przeprowadził nas do plaży, można i tak, zamiast zaczepiać i chcieć pieniądze. Całe szczęście plaża Runaway Beach przy zatoce Dickenson jest bardzo ładna i pusta. Śliczna turkusowa woda, w oddali wysepka, półwysep ze wspaniałym domem. Było na co popatrzeć.

Saint Vincent & The Grenadines

Następnego ranka docieramy do stolicy Saint Vincent & The Grenadines do Kingstown. Jedna rzecz się rzuca od razu, miasto jest dużo mniej turystyczne niż inne miasta na naszej drodze. Mniej straganów dla turystów, mniej sklepów, mniej ludzi chcących coś wcisnąć. Niestety, jest biednie i to widać. Spacer po mieście, do ogrodu botanicznego na wzgórzu i odwiedzenie kościoła z przedziwną architekturą to żelazne punkty wizyty w tej stolicy. Plaże w większości są wulkaniczne, niewielkie, jednak urokliwe, można tu nawet odwiedzić jedno z miejsc kręcenia filmu *Piraci z Karaibów*, kiedy to kapitan Jack Sparrow dobija do pomostu na czubku masztu tonącego statku. Po filmie została lekko rozpadająca się scenografia. Jedną ciekawostką jest to, że wszędzie na Karaibach znajdują się bezpłatne toalety. Widać tutaj myślenie w tej kwestii jest lepsze, jeśli nie będzie bezpłatnej toalety: to zawsze wszystkie okoliczne krzaki, murki i zakątki będą zabrudzone, tak jak jest to u nas. Każdy kąt w miejscu turystycznym jest zasikany. Tutaj w tej kwestii jest cywilizacja.

Dominikana

Teraz czekał nas dłuższy rejs, bo półtoradniowy na Dominikanę. Niestety, postój tam trwał również niecały jeden dzień w porcie La Romana, co oczywiście jest kroplą w morzu chęci i potrzeb zobaczenia Dominikany. Bo cóż to jest jeden dzień na tak wielki i ładny kraj, jakim jest Dominikana. Doszliśmy do wniosku, że jedyne co zwiedzimy to będzie rezerwat wraz z wyspą Saona. Z portu wzięliśmy miejscową taksówkę i w 30 minut za i 15 USD od osoby byliśmy na plaży Bayahibe, skąd pływają łódki – taksówki na Saonę. Oczywiście uliczny taksówkarz znał wodnego i tak zostaliśmy szybko przekazani, a zanim się zorientowaliśmy, już płynęliśmy. Koszt wodnej taksówki to 70 USD za dwie osoby w dwie strony (ok. 30 minut w jedną stronę). Łódka nas zawozi na wyspę i potem czeka na nas, aby wrócić po 3–4 godzinach według ustaleń. Oczywiście jest to wyścig motorówek, która weźmie więcej turystów, która szybciej popłynie. Niestety tym razem pogoda nam nie dopisała, podczas płynięcia na Saonę zerwał się silny wiatr i dopadła nas wielka ulewa. Kapitan musiał prawie przystanąć i skierować się do brzegu. Przemokliśmy do suchej nitki. Wszędzie była woda. Kamizelek ratunkowych oczywiście na pokładzie żadnych. Po drodze minęliśmy naturalny basen z dosyć płytką, ciepłą i niesamowicie błękitną wodą. Sama wyspa Saona ładna, otoczona palmami, ciepłą turkusową wodą.

Czego chcieć więcej? ...mniej deszczu. Ptaki, w tym pelikany, jaszczurki, a w wodzie wielkie muszle przy samym brzegu, naprawdę można się zrelaksować. Czas minął szybko i pora była wracać, na szczęście w tę stronę już bez przygód pogodowych.

Choć dla turystów z Włoch za to pojawił się problem z zachłannym restauratorem, który od naszych współtowarzyszy w łódce chciał pobrać trzy razy opłatę za obiad. Wracając motorówką na plażę, spotkaliśmy jeszcze dryfującą inną taksówkę z zepsutym silnikiem. Zabraliśmy rozbitków i już prosto na plażę Bayahibe do naszego ulicznego taksówkarza. W pobliżu portu na bazarku można było kupić ślicznie pomalowane, wystrugane z drewna, flamingi, papugi i inne miejscowe zwierzęta. Bardzo polecam zakup tego jako prezent lub pamiątkę, nigdzie indziej nie spotkaliśmy tak ładnych i kolorowych naturalnych pamiątek.

Saint Kitts & Nevis

Po krótkiej chwili spędzonej na Dominikanie nasz statek skierował się do Basse-terre, czyli stolicy Saint Christopher (Saint Kitts) & Nevis. Jakie było moje miłe zaskoczenie, gdy po wielu nieprzychylnych opiniach przeczytanych na forach odnośnie do tego miejsca okazało się, że jest to ich całkowite przeciwieństwo: mała stolica, mnóstwo kolorowych domów całkiem dobrze utrzymanych, sympatyczni ludzie i ...koczko-dany przebiegające drogę, biegające po polu golfowym. Podobno jest ich dwa razy więcej niż wszystkich ludzi w tym państwie. Wydaje się tutaj być mniej biednie, ludzie uśmiechnięci. Jest naprawdę klimatycznie, to ktoś gra, to ktoś śpiewa i tańczy. Po obejściu całego miasta, postanowiliśmy wybrać się na jedną z plaż. Po rozmowie z miejscowymi udaliśmy się miejscową taksówką na plażę Cockleshell, która według nich była najładniejsza. Wsiadliśmy do busa z grupą 6 osób i kierowca zabrał nas na plażę, koszt dojazdu z portu to 7 USD za osobę w jedną stronę. Dojazd przez wielkie dziury i błoto. Kierowca obiecał, że za 4 godziny po nas przyjedzie i co niektórzy bardziej ufni zapłacili mu za przejazd w dwie strony ...i tyle go widzieliśmy. Wracając z innym kierowcą, dowiedzieliśmy się, że był to oficer celny na wyspie i poszedł do pracy. Nic, tylko mieć go za kolegę, kiedy przyjdzie płacić cło. Sama plaża Cockleshell średnio urodziwa, jednak brak jej urodziwości wynagradza widokami na wulkan na wyspie Nevis po drugiej stronie cieśniny pomiędzy tymi państwami. Pod wodą, gdy się zanurzymy, można zobaczyć duże langusty i dużo rozgwiazd na podwodnych łąkach. W barze za to można wypić dobre, zimne miejscowe piwo Carib.

Saint Lucia

Następnym naszym przystankiem była Saint Lucia i miasto Castries. Jak tylko dopłynęliśmy do portu, od razu udaliśmy się na spacer po okolicy, do miasta i na pobliską plażę Vigie Beach. Językiem urzędowym na Saint Luci jest angielski, a ruch drogowy jak w większości byłych kolonii lewostronny. Jest to oczywiście dawna kolonia brytyjska. Zaczęliśmy zwiedzanie od portu. Port malutki, bardzo ładny, kameralny, w zatoczce, wokół palmy i kolorowe domy. Widać, że wyspa jest bogatsza, mniej zniszczonych budynków i mniej bardzo biednych ludzi, choć i tak, jak na nasze polskie warunki, jest tam skromnie. Po zwiedzeniu okolicy udaliśmy się przez miasto na plażę Vigie Beach, plaża jak większość ładna, ulokowało się przy niej kilka kameralnych hoteli. Jak wszędzie, sporo miejscowych oferujących leżaki czy przyniesienie napoju z baru. Woda w słońcu turkusowa i ciepła. Ludzi niewiele i gdyby tylko nie cmentarz przy samej plaży i małe lotnisko, byłoby naprawdę ładnie. Co ciekawe na Karaibach bardzo wiele cmen-

tarzy powstało przy samych ślicznych plażach, blisko wody, blisko kąpielisk. Nikogo to nie odstrasza od pływania przy samym cmentarzu.

Barbados

Barbados, następny cel naszej podróży, to tu wynaleziono, oczywiście przypadkiem jak większość dobrych alkoholi, Malibu. To leżący skrawek lądu na Oceanie Atlantyckim, najbliżej w stronę Europy. Statek dobiega do portu w Bridgetown. Barbados słynie z pięknych plaż i to postanowiliśmy sprawdzić. Naszym celem zastała Pebbles Beach w zatoce Carlisle. Droga do niej przez miasto wiedzie, wzdłuż małego, starego kamealnego portu, gdzie mostkiem przechodzimy na drugą stronę kanału. Wzdłuż brzegu ulokowane ładne, stare kolonialne budynki. Jeszcze kilka chwil i docieramy na niemalże śnieżnobiałą plażę. Piasek jest niczym mąka tak drobny i bardzo, bardzo jasny. Plaża bardzo duża, długa i gdyby nie wielki moloch – hotel Radisson ustawiony w poprzek połowy plaży, blokujący przejście, wędrować by nią można długi czas. Plaża ze względu na bliskość stolicy, liczbę barów i hoteli jest dosyć oblegana, popołudniem zrobił się na niej tłum, choć i tak jak jedna piąta tego co we Władysławowie. W naprawdę błękitno-turkusowej wodzie pływają ludzie, o dziwo, konie i każdy możliwy sprzęt wodny. Pojawiają się tu także naganiacze, oferujący niedrogie wycieczki snurkowe na podziwianie wraku i możliwych do zobaczenia żółwi. Jednak jest to dosyć marna atrakcja, ponieważ łódź wiezie nas kilkaset metrów dalej ok. 50 m w głąb morza i to jest to słynne miejsce do snurkowania... My poszliśmy wzdłuż plaży, i tam, gdzie można było wejść z brzegu, spokojnie popływaliśmy wśród innych, którzy wybrali się na tę „przygodę z żółwiami”.

Trinidad i Tobago

Tuż po świcie minęliśmy Cieśninę Smoka (Bocas del Dragon), kierując się do portu w Port of Spain stolicy Trynidadu i Tobago. Wyspa Trinidad została oddzielona od Wenezueli kilkaset tysięcy lat temu i jeszcze do niedawna była praktycznie zamknięta dla turystów. Jest to państwo całkiem dynamicznie rozwijające się, i to widać. Tłumy ludzi na ulicach. Wieżowce i ciągła budowa. W Trynidadzie i Tobago obchodzony jest wielki karnawał, nie jest bardzo znany, i dobrze. Cudowne, kolorowe stroje, dzieła sztuki tworzone przez wiele miesięcy. Karnawał jest kolorowy, wesoły i głośny, zdecydowanie przewyższa ten w Rio, tylko nikt nie wypromował go w taki sposób i to jest jego zaleta, autentyczność i prawdziwa sztuka. Port of Spain nie jest bardzo ciekawym miastem, jest duże, dlatego my postanowiliśmy tym razem udać się do tutejszego Emperor Valley ZOO znajduje się ono na północnym krańcu miasta tuż za Queen's Park Savannah, olbrzymim, płaskim, trawiastym placem – parkiem. Po drodze mijamy całe miasto, kolonialne ładnie wyremontowane kamienice dawnych plantatorów. Był to bardzo przyjemny spacer w kierunku ZOO. Samo ZOO usytuowane na zboczu wzgórza, pośród egzotycznej roślinności, egzotycznych zwierząt i ptaków, wiele gatunków zwierząt, ptaków, a w środku mały bar, gdzie można się napić chłodnego Cariba i kupić drobne pamiątki.

Grenada

Nasz rejs, choć dwutygodniowy, mijał bardzo, bardzo szybko i właśnie zbliżał się ku końcowi. Przedostatni dzień spędziliśmy w Saint George's na Grenadzie. Grenada

to była brytyjska kolonia, która bardzo długi czas chroniła się przed huraganami, które ją omijały. Zachowało się tutaj bardzo wiele dobrze utrzymanych budowli kolonialnych: kościołów, budynków i fortów. Wyspa słynie także z przypraw, produkuje się tutaj niezliczone ilości gałki muszkatołowej, pieprzu czy cynamonu. Cała wyspa przesiąknięta jest ich zapachem, od pierwszego kroku czuć ich woń. To właśnie Grenada utkwiała nam w pamięci jako jedna z najciekawszych spośród reszty wysp karaibskich. Piękne budynki, mili ludzie. Zeszliśmy całą stolicę Saint George's, by dotrzeć na końcu do plaży Grand Anse. Kolejna plaża z turkusową, spokojną wodą i jasnym piaskiem, a dokoła palmy. Zadbane małe hotele butikowe, które nie szpecą okolicy. Choć długo to pewnie nie potrwa, bo Grenada się rozbudowuje, widać tutaj powstające całe kompleksy nowoczesnych hoteli. Mam tylko nadzieję, że zachowa wciąż ten sam klimat i nie stanie się zwykłym kurortem.

Gwadelupa

Grenada była naszym ostatnim przystankiem w drodze do miejsca zakończenia rejsu. Dopłynęliśmy z powrotem na Gwadelupę i tak nasz rejs zakończył się po 14 dniach i 15 nocach na statku MSC Fantasia. Ostatecznie zeszliśmy na ląd w Point-A-Pitre stolicy Gwadelupy. Gwadelupa, podobnie jak Martynika, należy do Francji i znajduje się w granicach Unii Europejskiej. Stolica Gwadelupy nie jest zbyt ciekawa, a jako, że mieliśmy już na niej przerwę całonocną, kiedy pływaliśmy statkiem, zdążyliśmy ją już zwiedzić. Jest dosyć zaniedbanym miastem i jeśli ma się niewiele czasu, to mimo wszystko szkoda go stracić na nią. Jedyne ciekawe miejsce to rynek, na którym sprzedawane są przeróżne warzywa, owoce i inne produkty. Było to także jedyne miejsce na Karaibach, gdzie byliśmy zaczepiani i nagabywani o pieniądze, bo ktoś biedny, bo ktoś głodny. Z portu dostaliśmy się taksówką za 10 euro za osobę na lotnisko, gdzie mieliśmy zarezerwowany samochód w lokalnej wypożyczalni Jumbo. Ostatecznie mogę szczerze polecić tę wypożyczalnię, obyło się bez jakichkolwiek niespodzianek czy problemów. Szybki odbiór samochodu, zupełnie nowego Citroena C1 i w drogę do naszego miejsca, gdzie mieliśmy się zatrzymać, aby te ostatnie cztery dni spędzić, wygrzewając się przed zimnym powrotem do Polski. Był to hotelik o nazwie Au Domaine Des Bougainvilliers blisko miejscowości Sainte-Rose na Basse-Terre. Dojazd zajął nam około 40 minut i po tym czasie ukazał się nam w malutkiej wsi domek właściciela z pięknie urządzonym ogrodem i kilkoma połączonymi mniejszymi domkami, jeden z nich będzie nasz. W ogrodzie palmy kokosowe, bugenville różnych kolorów, banany, mango i cały szereg innych nieznanych nam drzew i kwiatów. Wkoło nic, cisza, do morza i plaży Amandiers około 500 metrów wioską, plaża ładna, wśród drzew, jest jednak wietrzna. Rejon ten jest mniej turystyczny, bardziej naturalny. W naszym ogrodzie biegają kury z pisklakami, które szybko się u nas zadomawiają i całymi godzinami przesiadują na tarasie w oczekiwaniu na okrucy i kawałki bagietki. Trzeba przyznać, że naprawdę cisza i relaks, kolibry i świerszcze. Jedyne koguty przez pół nocy i od czwartej rano dają głośno znać, że pora wstać, bo już za 2 godziny świta. Plan na ten ostatni czas mieliśmy taki, że kolejne dwa dni zwiedzamy Basse-Terre, trzeciego dnia odpoczywamy i nic nie robimy, a ostatniego dnia w drodze na lotnisko zwiedzamy Grande-Terre, drugą część wyspy. Lot do Paryża mamy o 21.30, tak więc mieliśmy na to sporo czasu.

Po Gwadelupie jeździ się przyjemnie, ludzie jeżdżą przyzwyczajeni, jedynie co pogarsza sytuację, to całkiem spore korki.

Następnego dnia wcześniej rano zapakowaliśmy się w nasz samochód i udaliśmy się na objazd wyspy, poprzez śliczne plaże La Perle i Grande-Anse, poprzez rybackie wioski jak Deshaies, dojechaliśmy do lasu deszczowego do Cascade aux Ecrevisses, czyli miejsca skąd można króciutkim spacerem dojść do bardzo fajnego, małego wodospadu. Dalej znajdowało się Maison de la Foret. Okazało się ono ślicznym miejscem na dłuższy spacer. Zatrzymaliśmy się przy punkcie informacyjnym, skąd można wyruszyć na wędrówkę, aby zagłębić się w las deszczowy, posłuchać tych niesamowitych odgłosów, jakie w lesie można usłyszeć i zobaczyć naprawdę śliczną deszczową, egzotyczną roślinność. Spacer jest absolutnie obowiązkowym punktem pobytu na Gwadelupie i szczerze polecam. Kolejnym etapem była chęć zobaczenia plaży i posnurkowania w wodach słynnej plaży Melandure znanej z życia podwodnego i rezerwatu z małą wyspą Ilet Pigeon. Było to największe moje rozczarowanie dotychczas, nie dość, że plaża niezbyt urodziwa, to jeszcze pod wodą mętnie i absolutnie nic ciekawego nie było, a podobno zawsze tu są żółwie. I tak objechawszy jedną z dwóch części wyspy, zaglądając w większość wiosek i plaż, wróciliśmy na nasz nocleg. Następnego dnia odpoczywaliśmy, spacerowaliśmy i korzystaliśmy ze świeżego, ciepłego powietrza Karaibów. Tak nadszedł dzień wyjazdu. Całkiem wcześniej rano zapakowani i pożegnani z kurami i z naszym gospodarzem ruszyliśmy na objazd drugiej części wyspy, zmierzając nieuchronnie w stronę lotniska i powrotu do domu. Druga część wyspy, czyli Grande-Terre bardzo różni się od pierwszej Basse-Terre, w porównaniu z nią jest zdecydowanie bardziej płaska i zagospodarowana rolniczo, jest całe mnóstwo upraw trzciny cukrowej i bananów. Plaże tutaj są z bardziej białym piaskiem i spokojniejszą wodą. Przez to jest tutaj dużo więcej ludzi, hoteli, jest większy ruch i gwar. Jeśli ktoś nastawia się na plażowanie, to okolice Sainte-Anne czy Saint-Francois wraz z półwyspem będą zdecydowanie lepszym wyborem. Warto wybrać się właśnie na koniec półwyspu do Pointe des Chateaux w okolicach Saint-Francois, aby zobaczyć w oddali wyspę Desirade i okoliczne plaże. Gdyby nie egzotyka i pogoda, przejazd tym półwyspem kojarzyłby się z naszym Helem, wąski pas ziemi i woda po obu jego stronach. Tylko ta pogoda. Warto też pojechać na północny i północno-wschodni kraniec wyspy, gdzie potężne i wysokie skały wpadają do morza.

Nastał czas końca tej podróży i nadszedł czas podsumowań. Dwadzieścia dwa dni minęły bardzo szybko, nie było nawet czasu się ponudzić, żeby chociaż chwilę się nam dłużyło. Podsumowując wyjazd, zadałem sobie pytanie, czy Karaiby mnie tak bardzo urzekły jak innych, czy jest to ten raj na ziemi, czy chciałbym rzucić wszystko i „Zamieszkać na Karaibach”. Odpowiadam sobie, że chyba jednak nie, choć może jeszcze tu za mało widziałem, za krótko byłem? Może to znak, że trzeba jeszcze kiedyś tu wrócić? Bezdyskusyjnie jest piękna pogoda praktycznie cały rok, która oscyluje w granicach +30 stopni w dzień i +24 stopni w nocy. Piękne plaże, chociaż nie tak piękne, jak te znajdujące się pośród Oceanu Indyjskiego. Piękna przyroda, zwierzęta. Ciekawa kultura. Karaiby są warte odwiedzenia, warte zakosztowania tej kultury, tych smaków, poznania przyrody i pocucia tego klimatu. Na pewno zostaną we wspomnieniach, jednak będą to te turystyczne, wycieczkowe wspomnienia, a nie marzenie o tym, aby tu zostać i zamieszkać na stałe...

Nikaragua i El Salvador wiosną 2016 roku



Ceny:

El Salvador

Funkcjonuje jako waluta dolar amerykański ; nocleg: Hotel Rancho Estero y Mar, Playa El Pimental, no 158 (sugerencias@esteroymar.com) – cena netto 232 PLN (61,20 USD), zapłaciłem łącznie 72 USD (Mastercard); przejazd taksówką z lotniska – 25 USD (20–30 min); wejście do Joya de Ceren – dla obywateli Salvadora – 1 USD, cudzoziemcy – 3 USD; ceny w kawiarni – ceny są już brutto: Cafe latte – 1,99 USD, cafe espresso – 1,35 USD; ciastka – 0,50 USD

Nikaragua

Wymiana: 250 USD x 28,05 CS = 7012,50 CS (Banco de America Central) – 3.04.2016, zwykle około 28,30 CS

Noclegi: Hotel Dario – cena 75 USD + VAT (IVA) + 2% podatek miejski. Hotel Los Robles, Managua, Nicaragua, frente al Restaurante La Marseillaise, 30 m al Sur (8–9.04.2016) – łącznie z IVA (15%) + INTUR (2%) = 70,09 USD. Hotel El Convento, Contiguo Iglesia San Francisco, Leon – 1 noc – 90,25 USD.

Transport: Shuttle bus z lotniska Managua do Granady – US 40 (Servicio de Transporte Turistico "Moreno" – 40 USD; Shuttle bus z Grenady do Leon –13 USD.

Sklep: (cordobas – CS): 1,5 l Aqua Aloe – 110 CS, 0,5 l Coco-nut drink – 55 CS, 0,5 l Aloe drink mango – 55 CS, kawa 448 g – 8 USD, magnes na lodówkę – 2 USD.

Restauracja – kawiarnia: (do cen netto jest dodawane 10% jako proponowany napiwek, czyli propina oraz 15% IVA – czyli wszystkie ceny należy jeszcze przemnożyć przez 1,25 i wtedy wyjdzie suma do zapłacenia), np. netto było 10,75 USD + 1,61 USD (IVA) + 1,08 (propina) = 13,44 (383,04 kb) – dość często w restauracjach czy hotelach jest podawana cena w USD lub w kordoba.

Ceny netto: Omelet ranchero – 5,00 USD, cappuccino 1,50 USD, cafe americano – 1,20 USD, woda mineralna – 1,25 USD, Smoothie Mango – 3 USD, Chorizo el Zaguan – 150

CS, Ensalada Caprese – 119 CS, Sopa de Cebulla – 96 CS, Sopa de Tortilla – 96 CS, Tacon Alto (mięsna potrawa) – 480 CS, woda sodowa – 25 CS, Victoria – piwo – 43 CS (Restaurante El Zagan przy Iglesia Catedral), duża sałata – 150 CS.

Zwiedzanie: Torre de la Merced – Granada – wejście na wieżę – 1 USD. Łącznie za wycieczkę po jeziorze Nikaragua (rano) oraz na wulkan Mombacho (Sendero Tigrillo) – 123 USD (9.00 rano na wyspy za 40 USD, powrót około 11.30, chwila relaksu i o 12.15 zbiórka, aby wrócić około 16.30 – tutaj cena 83 USD).

Wjazd ciężarówką na wulkan Mombacho wraz z opłatą za wstęp (cudzoziemcy) – 20 USD, wejście pieszo – 5 USD, opłata za wejście na Sendero el Tigrillo – 5 USD oraz usługi przewodnika w języku angielskim – 15 USD za grupę do 5 osób. Przejazd całodniowy po Białych Wioskach Masaya i jezioro Apoyo – 100 USD. Centro Cultural Antiguo Convento San Francisco (Granada) – 20 CS. Centro de Investigacion de Leyendas y Tradiciones Nicarüenses – Museo „Coronel Joaquin de Arrechavala” (Leon) – 50 CS (cudzoziemiec), miejscowy – 20 CS, student – 15 CS.

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1. Dotrzeć do Panamy

Po 10 i pół godzinach lotu z Amsterdamu do Panamy samolot zniżał się do lądowania niedługo przed godziną 17. Ale mój zegar biologiczny był wciąż nastawiony na północ według czasu środkowoeuropejskiego. Różnica czasu pomiędzy Panamą i Warszawą w porze czasu letniego wynosi bowiem siedem godzin.

Mój samolot zatoczył kółko nad Oceanem Spokojnym; jak okiem sięgnąć rozpościerały się niezmiernie szerokie plaże z prawie niedostrzegalną granicą pomiędzy lądem a morzem. Lotnisko w Panamie, w porównaniu do lotnisk wyasfaltowanych, wtopionych w miejską strukturę, jakie widzimy w Europie, sprawiało wrażenie, jakby ktoś wykarczował kawał lasu czy sawanny, dbając tylko o to, aby pasy startowe nie zarosły wszechobecną roślinnością. A wokół były gęste zarośla i ściana lasu, które niemal czyhały, aby niebawem zająć ponownie to, co do nich do tej pory należało.

Formalności na granicy w Panamie są identyczne jak w Stanach Zjednoczonych. Do codziennego użytku weszło tutaj składanie odcisków palców, pstryknięcie fotki i dopiero wtedy mogą dalej wpuścić. Polacy wizy nie potrzebują, to przynajmniej było o jedno zmartwienie mniej. Pas transportowy wypuła moją walizkę i pozostawało mi tylko odczekać w kolejce do maszyny sprawdzającej bagaże. Pieniądzy nie trzeba wymieniać, gdyż oficjalną walutą w tym kraju jest dolar amerykański. Z kwietniowych temperatur nieprzekraczających 10 stopni w Polsce wpadłem w klimat z co najmniej 30-stopniowym wilgotnym powietrzem. Kurtkę schowałem głęboko i wyszedłem poza strefę klimy, czekając na mikrobus, kursujący z lotniska do hotelu, który rezerwowałem już kilka dni temu.

Pierwsze wrażenia z Panamy mogłem wynieść jedynie z tej przejażdżki bocznymi drogami, aby uniknąć korków na głównej drodze z lotniska do centrum miasta. Widoki typowo latynoamerykańskie. Spory rozgardiasz, byle jak sklecone domki, wałające się wszędzie śmieci. Traktuję to z przymrużeniem oka, takie jest tu życie – nieco nieuporządkowane, czasem szalone i nieprzewidywalne. Szósta po południu to też moment,

gdy uczniowie kończą zajęcia szkolne. Zaroilo się więc od uczniów oblepiających przystanki autobusowe i wąskie ulice, zwykle pozbawione chodników.

W hotelu czuć było starą, niewydolną klimatyzację, nie zamykały się również drzwi na taras. Pierwsze pół godziny zajęło mi więc przenoszenie się z pokoju do pokoju. Ale kąpiel w basenie szybko zatarła niemiłe wrażenia.

Dzień 2. El Salvador – państwo przodujące w statystykach liczby zabójstw

Następnego dnia – jeszcze kiedy na dworze panowała niepodzielnie głęboka noc – na dwie godziny przed odlotem pojawiłem się na lotnisku w Panamie. W sumie to tyle nawet potrzeba, gdyby porachować czas spędzony w tłumie ludzi w kolejce do odprawy bagażu. Kłębił się on wprawdzie przed stanowiskiem Avianca, a potem przy odprawie paszportowej i sprawdzaniu bagażu.

Wylecieliśmy jednak parę minut po czasie o wschodzie słońca. Po dwóch godzinach wylądowaliśmy w sporej wielkości porcie lotniczym, stanowiącym trzeci pod względem ruchu pasażerskiego port lotniczy dla krajów Ameryki Środkowej (ok. 2,5 mln rocznie), choć ustępuje pod tym względem lotnisku w Panamie i San Jose w Kostaryce. Tym razem przy sprawdzaniu dokumentów nikt nie chciał moich odcisków palców.

Leciałem linią Avianca, należącą do Miles and More. Cały czas byli zatroskani o zdrowie swych pasażerów. Już w deklaracji celnej padały „niewinne” pytania o gorączkę czy długotrwałą biegunkę, a przy wyjściu na lotnisko w Salvadorze witała nas asysta w białych fartuchach i nawet kamera termowizyjna sprawdzała, czy czasem nie skłamałimy. A przed odprawą paszportową zadawali jeszcze pytania: skąd przyjechaliśmy i czy mamy ważne szczepienie na żółtą febrę. Jeśli np. z Panamy, to nie pomagały tłumaczenia, że tylko jeden wieczór, ale każą się wpisać na jakąś listę. Na szczęście puścili mnie wolno dalej. A z drugiej strony nie przeczytałem najnowszych zaleceń WHO (2014), że szczepienie przeciw żółtej febrze jest ważne przez całe życie. Dobrze, że swojej żółtej książeczki nie wyrzuciłem, ale na przyszłość będę ją ze sobą brał, jak i też zalecenia WHO dla nieprzekonanych urzędników na granicy. Skończyło się na strachu. Dobrze, że przynajmniej podobno malarii nie ma w tym Salvadorze.

Lotnisko w Salvadorze jest dość duże, ale na salę przylotów zabrakło im chyba funduszy, bo komitet powitalny z karteczkami stał już na zewnątrz w pełnym słońcu, choć była dopiero ósma rano. Było i moje nazwisko. Już wcześniej, kiedy rezerwowałem przez Internet hotel gdzieś nad brzegiem morza, prosiłem o kierowcę, który mógłby mnie w tym dniu obwieźć po Salvadorze, a w szczególności do stolicy. I tak się stało. Już na mnie czekał.

„Guillermo?” zapytałem się. Tak, welcome Piiiotr, bo tak śpiewnie wymawiał moje nazwisko. Był bardzo komunikatywny. Po kilku minutach zmieniłem zupełnie swoje plany. Zamiast jechać do hotelu położonego nad brzegiem morza, ruszyłem z nim do stolicy. Guillermo miał już bowiem umówioną klientkę, której miał pokazać nieco Salvadoru. Mnie nie trzeba było namawiać, chociaż trasa była już wcześniej zaplanowana na poznanie cywilizacji Majów w Salvadorze. Nazwy, które rzucił mi Guillermo, prawie nic mi nie mówiły. Ale moja znajomość tego kraju ograniczała się do stolicy i bliskich okolic.

W trakcie jazdy tzw. autostradą, łączącą międzynarodowe lotnisko z San Salvador, Guillermo powiedział mi o sobie prawie wszystko. Mówił bardzo dobrze po an-

gielsku, co znacznie ułatwiało naszą komunikację. Guillermo miał siedem siostr i dwójkę braci. Przyszedł taki moment, kiedy podjął decyzję o wyjeździe z kraju wraz ze swoją żoną i córkami do Kanady. Tam wytrzymał 10 lat, pracując przy logistyce transportu. Liczył wtedy, czy wszystkie kontenery docierają na czas i właściwe miejsce. Przez jakiś czas pracował w tej branży na własny rachunek, ale nie było to na jego nerwy. Wrócił do Salwadoru i obecnie ze swoją znajomością języka zajmuje się turystami.

Z hotelu Hilton odebraliśmy Andreę, która od tych kilku dni prawie nie wysunęła nosa z hotelu, poza codzienną jazdą do pracy na lotnisko. Przyjechała tu zawodowo na kilka tygodni i do tej pory nigdy jeszcze nie widziała piramidy Majów. Mieliśmy spełnić te jej marzenia. Pojechaliliśmy wprawdzie czteropasmową drogą Panamericana, a potem skręciliśmy w bok, aby po około trzech kwadransach dotrzeć do miejsca, które można zatytułować Pompejami Ameryki Środkowej. Miejscowi zwali to Joya de Cerén.

Oprawdzał nas Guillermo. Jak każdy rasowy przewodnik po swoim wywodzie zadawał retoryczne pytanie: „Questions”. Jak nie było pytań, to mogliśmy przejść do kolejnego pawilonu, czyli rozległego dachu ochraniającego wykopaliska w porze deszczowej. Znajdowały się tam odsłonięte ściany domów zwykłej wioski Majów, a nie tylko kamiennych piramid zbudowanych przez władców. Oglądanie samych reprezentatywnych budowli nieraz zniekształca nasze spojrzenie na tę czy inną cywilizację. Zamiast wielkiej świątyni znajdował się tam dom dla ważnych osób wioski, tzw. VIP-ów, czy siedziba „lekarza rodzinnego”, czyli domek szamana. Jego dom znajdował się na szczycie wzgórza bądź to dla uhonorowania osoby pomieszkującej z duchami czy też dając jej ważny punkt obserwacyjny nad swoimi owieczkami.

W dalszej drodze zatrzymaliśmy się w Santa Ana. To jedno z największych miast Salwadoru. Zabudowa prawie wyłącznie parterowa, z wyjątkiem stojącego przy rynku kościoła i zielonego teatru, o którym też wspomina podróżujący wzdłuż całej Ameryki miłośnik kolei, Paul Theroux w swojej książce *Stary ekspres patagoński*. W tym czasie, czyli w roku 1979, służyło to jako kino.

Coraz bardziej oddalaliśmy się od stolicy, korzystając z zatłoczonej nieraz wielkimi ciężarówkami drogi panamerykańskiej. Wreszcie dotarliśmy do małego miasteczka Chalchuapa (wysokość około 700 m n.p.m.), w którym znajduje się Tazumal, największy w Salwadorze kompleks cywilizacji Majów. Tazumal w języku Quiche oznacza „piramidy, gdzie ofiary są palone”. Było tam trochę napisów, ale wszystko po hiszpańsku. Nie miało w sobie nic z tajemniczości Tikalu czy Palenque, ukrytych w dżungli. Tuż obok ruin były zabudowania i oczywiście mnóstwo sklepików, które przynajmniej szczerze się przyznawały, iż sprzedają nowoczesną sztukę Majów. Hitem była oczywiście figurka rodzącej kobiety po indiańsku na siedząco. Andrea chciwa na pamiątki zostawiła tam nieco pieniędzy. Ja też wciągnąłem się w tę gorączkę i wziąłem kilka zakładek do książek.

Piramidę odkryto też podobno przypadkowo, gdy kopano kolejne groby w przyległym cmentarzu pod koniec XIX wieku. Na samą piramidę nie da się wejść, gdyż postawiono znaki i płotki zabraniające bliskiego kontaktu z cywilizacją Majów. Można było ją za to obejść dookoła. Na uwagę zwraca liczba stopni piramid, odpowiadająca 12 miesiącom. W tej części świata, gdzie nie da się odróżnić zimy od lata, określanie pory siewu należało do fachowców, w tym przypadku kapłanów.

Pora była na odwiedzinę stolicy kraju. Wpierw wjechaliśmy do Zona Rosa, gdzie mieszkała Andrea, dla której wycieczka się już kończyła. Dzielnica stanowi synonim bogactwa, ale i bezpieczeństwa, dodatkowo wzmocnione przez ogrodzone wysokim murem domy. Jednak im bliżej byliśmy tzw. centrum historycznego miasta, tym więcej było niszczących czy czasem zupełnie opuszczonych domów. Z dawnego centrum bogatsi swoje interesy i sklepy przenieśli do Zona Rosa. Na miejscu pozostał tylko drobny handel, który obecnie w sobotnie popołudnie oblepiał wszystkie uliczki, wiodące do Placu Katedralnego.

Auto mogliśmy zostawić na parkingu strzeżonym, należącym do katedry i bocznym wejściem weszliśmy do rozległych podziemi katedry. Znaleźli tutaj swoje miejsce wiecznego spoczynku arcybiskupi San Salvador, których portrety wisiały na ścianach. Wśród nich znajdował się Oskar Arnulfo Romero, zamordowany w 1980 roku podczas odprawiania mszy w kaplicy szpitalnej. Miał wtedy 63 lata.

Trzydzieści pięć lat później został beatyfikowany ze względu na męczeństwo za wiarę, a nie dlatego, że zamordowano go jako przeciwnika politycznego. Samą katedrę niedawno dopiero otwarto po zniszczeniach trzęsienia ziemi w 1986 roku. Guillermo wspomniał mi, iż ma w swojej ofercie trasę po mieście, poświęconą głównie odwiedzaniu miejsc związanych z sylwetką arcybiskupa. Ale na to już czasu brakowało.

Wjechaliśmy na autostradę, aby już dojechać do wcześniej zarezerwowanego hotelu położonego nad brzegiem oceanu. Droga czteropasmowa stanowi spore wyzwanie dla tych, co mieszkają po obu stronach. Owszem, czasem zdarzają się raz na kilkanaście kilometrów jakieś mosty przewieszone nad drogą, ale kto ryzykuje, ten wie, że żyje. A więc kto z mieszkańców miał w nogach siłę i trochę szaleństwa, próbował przebiec przez tę tzw. autostradę. Wielu się to nawet udawało. Wreszcie dojechaliśmy do wybrzeża. Ostatni odcinek drogi stanowiły niekończące się tumulos, czyli garby po 10–20 na wioskę i ocean. Jednak duża część domów nad brzegiem była zniszczona. Trzęsienia ziemi notorycznie nawiedzały te okolice, jak również powodowały pojawienie się tsunami, które niszczyło wszystko, co znajdowało się na jego drodze. A w ostatnich latach powtarzały się one nad Oceanem Spokojnym zarówno w październiku 2014 roku, jak i maju 2015 roku. Ci, co mieli pieniądze, mogli je odbudować, tym biedniejszym pozostało bytowanie w nędznych szałasach. Tak wyglądała droga do resortu. Szosa się kończyła przy hotelu. Sam hotel pomalowany na ostry, żółty kolor był upstrzony przeróżnymi bibelotami i małymi rzeźbami. Mogłem się w nim czuć w miarę bezpiecznie, gdyż tabliczki ostrzegały przed wchodzeniem z nabitą bronią. Rozpakowałem swoje bagaże, przeglądałem menu restauracji położonej tuż nad brzegiem oceanu iobudziłem się w środku nocy.

Dzień 3. Podróż do Granady w Nikaragui

Na lotnisku w Salwadorze szczyt odlotów przypada na szóstą rano, przynajmniej lotów linią Avianca. Przed salą odlotów znowu było mnóstwo osób, a na każdą z nich przypadała olbrzymia masa bagaży, a do tego wszędzie kręciło się mnóstwo małych dzieci. W sumie galimatias, który pozwalał mi zrozumieć, dlaczego koniecznie trzeba być dwie godziny wcześniej. Co ciekawe, to prawie wszyscy przybywają na 2 godziny wcześniej, kiedy odlatuje kilka samolotów. Wystarczyłoby być kwadrans później i już byłoby niemal pusto przy odprawie.

Siedziałem na lotnisku w San Salvador w oczekiwaniu na samolot do Managui. Już za chwilę pewnie mieli nas wołać na lot do Nikaragui, i miałem już niemal dosyć wpatrywania się w ekran telewizora. Niektóre filmiki były całkiem intrygujące, jak zabawa w wielki bąbel wody, miażdżący grupę ludzi, zbiegających z górki i próbujących przed nią uciekać. Pewnie wielka frajda, jak już ta wielka kula wody z kierującymi lub niepanującymi nad jej kierunkiem pasażerami w środku dosłownie przejeżdża po tym jak walec, a oni za chwilę się podnoszą, tak jakby mieli jeszcze darowanych kilka żywotów dodatkowo.

Lot miał trwać zaledwie 40 minut, ale nie miałem nawet okazji, aby wyciągnąć komputer, gdyż już zaczęliśmy schodzić do lądowania. Warto spojrzeć z lotu ptaka na Managuę. Z początku dominowały dachy kryte srebrną blachą falistą, która bliżej lotniska stopniowo zmieniała swój kolor na rudawy. Stolicę postanowiłem zwiedzić na samym końcu podróży, a w tym dniu chciałem znaleźć jakiś transport bezpośrednio do Grenady. Tam już bowiem po przeróżnych wahaniach wybrałem wyglądający bardzo dostojnie Hotel Dario. Jeszcze nie wiedziałem jak tam długo będę i czy mi się tam spodoba. Co dalej robić, zależało od tego, jaką sobie wybiorę trasę podróży po Nikaragui.

Na granicy nie było już żadnego zbierania odcisków; bardziej ich interesowało, czy opłaciłem 10 USD za wjazd do Nikaragui. Tu również się interesowali moim stanem zdrowia, ale czynili to na odległość. Miałem pokazać swoją deklarację celno-zdrowotną, gdzie, jeśli przecząco odpowiem na podchwytliwe pytania odnośnie do gorączki, to mogli mnie wpuścić do kraju.

Nie miałem nawet okazji, aby zacząć się dopytywać o jakieś auto do Grenady. Prowadzony niemal za rękę podszedłem do małego stoiska firmy Servicio de Transporte Turistico „Moreno”, gdzie za 40 USD wykupiłem przejazd dla siebie do tego miasta. Pewnie połowa turystów tuż po przylocie kieruje się na południe, do Granady i dalej w kierunku jeziora Ometepe bez oglądania stolicy. Czy dobrze czynią, o tym się miałem dopiero przekonać mojego ostatniego dnia w Nikaragui.

Mój hotel w Granadzie („Dario”) znajdował się przy deptaku Calle La Calzada. Miał ładne patio, ale było jeszcze za wcześnie na wprowadzenie się do mojego pokoju. Kilkanaście metrów od niego znajdowało się małe biuro turystyczne, gdzie zamierzałem wstąpić po południu, aby mi coś sensownego doradzili, co tu robić z tymi kilkoma dniami na to miasto i okolice. Czas było ruszyć w miasto, choć upał zaczynał zniewalać. Próbowałem znaleźć jakieś chłodniejsze miejsce. Podobno im wyżej, tym zimniej. Sporo było tu kościołów, a w jednym z nich, Iglesia de la Merced można było za dolara wspiąć się po wąskich schodach na dzwonnice. Trzeba tylko uważać przy tym, aby nie pokusić się o pociąganie za sznur, bo można by zakłócić zwykły rytm dnia w tym miasteczku. Dopiero z wieży można było ogarnąć usytuowanie tego miasta pomiędzy jeziorem Nikaragua a wulkanem Mompacho. Siedziałem tam sobie na tyle długo, iżomal nie zostałbym zamknięty na porę sjęsty. Dobrze, że pojawił się chłopak, który musiał się pofatygować na górę, aby mi o tym powiedzieć.

O godzinie 14 otrzymałem pokój w swym hotelu, wyglądał całkiem nieźle, więc prawie natychmiast rezerwuję przez booking.com kolejny nocleg, choć podobno miał to być pokój z widokiem na ulicę.

Muzeum kakao w Granadzie. Było to nie tylko muzeum, ale i kawiarnia. Zamówiłem sobie gazpacho, owoce w czekoladowym fondue oraz sok z tropikalnych owoców. Nie musiałem z niecierpliwością czekać, kiedy mi to wszystko podadzą, miałem bowiem co tu robić. Wokół mnie w tym muzeum-kawiarni porozwieszano dziesiątki plansz, które opowiadały o karierze, jaką w świecie zrobiła ta roślina, znana z początku tylko Majom.

Na głównym rynku przy kiosku przygrywała, pewnie jak zawsze w niedzielę po południu grupa muzyków. Ochotnicy do tańca się znaleźli. Jeszcze więcej było tych, co się im przyglądali. To był dopiero raj dla mnie jako fotografa. Plac Centralny po zmroku opustoszeje, ale tymczasem gorące rytmy wlewały w mieszkańców Granady ochotę do życia i tańca.

Tuż przed zamknięciem agencji turystycznej udało mi się tam jeszcze zdążyć, aby omówić szczegóły mojej wyprawy następnego dnia. Byłem sam, więc wszystko kosztowało mnie drożej, ale za to ja wybierałem moment rozpoczęcia i zakończenia wycieczki. Rano miałem opłynąć okoliczne wysepki, a wczesnym popołudniem ruszyć na wulkan. To ten wulkan, którego sylwetka kusiła mnie za każdym razem, aby na niego wejść, gdy codziennie otwierałem okno w moim pokoju. Jeszcze tylko zadałem standardowe pytanie, jaki lokal poleca mi w Granadzie. Ruszyłem więc do El Zaguán, lokalu położonego w pobliżu katedry i parę minut spacerkiem od mojego hotelu. Słyszał on w mieście z najlepszych steków. Rzeczywiście smakowały. Lokal był pełen klientów, a stoliki rozmieszczone przy jednym z patio.

Dzień 4. Okolice Granady

Widok o piątej rano z balkonu na katedrę w Granadzie usprawiedliwił wszystkie moje przeprowadzki. Wciąż jeszcze nie nastawiłem się na strefę czasową, różniącą się od polskiej o osiem godzin. Godzina 5 rano w Granadzie, a w Polsce była godzina 13. Śniadanie podawano w patio. Przez 3 kolejne dni przywykłem już do smażonych bananów, słodkich rogalików z dżemem i dużej ilości kawy. Czasem mój wzrok ogarniał wywieszone na ścianach fotografie sprzed wielu, wielu lat, przedstawiające pewnie dolce vita właścicieli tego okazałego budynku. Wśród zdjęć nie mogło zabraknąć uroczystego pogrzebu seniora rodu.

To był mój pierwszy dzień, w którym nie musiałem wstawać, aby zdążyć na kolejny lot. Absolutny relaks, można by go nawet było spędzić nad basenem, który miał te swoje kilka metrów długości, że nawet dawał szansę, abym się mógł rozciągnąć.

W biurze – równo o dziewiątej rano – czekał na mnie mój przewodnik. Na wybrzeże mieliśmy dotrzeć ekologicznie – rowerami. Nie musieliśmy zbyt mocno pedałować, gdyż jezioro leżało nieznacznie niżej niż miasto. Potem czekała nas zmiana środka komunikacji. Zamiast ciągniętego siłą ludzkich mięśni roweru przenieśliśmy się na pokład pyrkającej motorówki „La Nueva Jerusalem”. Pomknęliśmy żwawo – przy stosunkowo o tej porze dnia spokojnej tafli jeziora – do Las Isletas położonych tuż przy brzegu Półwyspu de Asese, kilka kilometrów od Granady. Ta okolica jest zachwalana jako rezerwat przyrody. Ale o dziewiątej przyrodę było tam dość trudno. Szczerze mogę dodać, że te wysepki stanowią przedmiot wycieczek turystycznych pt. „Who is who in Nicaragua”, zupełnie jak w Beverly Hills. Prywatyzacja wybrzeża jeziora ostatnio przybrała na sile i prawie każda wysepka ma jakiegoś swojego posażnego właściciela, czasem ro-

dzimego, a niekiedy kupcami bywali jankesi. O tym wszystkim można się było dowiedzieć z ust przewodnika.

Nie można zapomnieć o jeszcze jednej atrakcyjnej wysepce, której nie oddano jakiemuś milionerowi. To Isla de Los Monos, gdzie stałymi rezydentami są małpki kapucynki i czepliaki. Ku memu rozczerwowaniu można je było oglądać tylko z łodzi. Nie było szans, aby wysiąść na wyspie i je sobie tak zwyczajnie pogłaskać. Małpki też zostały włączone w nurt polityczny kraju. Na tablicy informacyjnej, oprócz zwyczajowego przedstawienia, że należą one do rodziny naczelnych, nie mogło zabraknąć hasła, że prowadzą Nikaragwę od zwycięstwa do zwycięstwa (Nicaragua de Victoria en Victoria), dodając do tego jeszcze „Cristiana Socialista Solidaria”. Te dwa zdania-klucze czy slogany można spotkać niemal wszędzie w całym kraju. Wypełniły one swe zadanie i zaprowadziły w 2011 roku Daniela Orteę po zwycięstwo w trzeciej już dla niego prezydenturze (1985, 2006 i 2011). W onym roku 2016 wódz narodu szykował się na kolejne wybory, które miały się odbyć 6 listopada.

Powrót zgodnie z planem wypadł nam przed dwunastą. Nie miałem zbyt dużo czasu na relaks, bo już o 12.15 czekała mnie kolejna wyprawa, tym razem wysoko, wysoko w góry, do rezerwatu wulkanu Mombacho. Jego szczyt wznosi się nad równiną na wysokość 1345 metrów. Kiedy rano płynąłem po jeziorze, jego wierzchołek tonął w chmurach, ale po południu niebo miało być już przejrzyste. Mój kierowca dowiózł mnie na polanę na wysokość 850 metrów, gdzie czekała już ciężarówka. Miała ona nas wywieźć 300 metrów wyżej, niemal pod sam szczyt wulkanu. Mając do wyboru trzy trasy, wybrałem Sendero el Tigrillo. Miała mieć podobno morderczy charakter i dawała okazję na co najmniej 2,5-godzinne łażenie wzdłuż krawędzi jednego z kraterów i odwiedzenia kilku punktów widokowych na Jezioro Apoya czy Nikaragua. Towarzyszyła mi w tym obowiązkowo przewodniczka, co było wliczone w cenę biletu za wstęp. Jakoś jednak dałem radę; na tej wysokości nie było już tak gorąco, a i tak szlak wiódł przez tropikalny las, dający nieco cienia; czasem można i było się czegoś tam przytrzymać przy wspinaniu.

Dzień 5. Jezioro Apoyo i Białe Wioski

Ten dzień miał być już relaksujący. W programie miałem odwiedzić Białe Wioski i okolice wulkanu Masaya. Na niemal każdym ryneczku odwiedzanych miasteczek widać było młodych ludzi z laptopami, korzystających w tych miejscach z bezpłatnego Wi-Fi. W centrum miasteczek wszystko wygląda na bardzo zadbane, odmalowane, nikt tutaj jakoś nie próbował wyrażać swojej frustracji przez jakieś bohomazy na ścianach. I jakoś sobie musieli radzić bez funduszy pomocowych Unii Europejskiej na rozwój zaniedbanych okolic.

Przy wjeździe do jednego z miasteczek o nazwie Diriá powitała nas figurka św. Piotra. Opiekuje się on od co najmniej 370 lat parafią św. Piotra. Ale na trzęsienia ziemi nawet patronat św. Piotra ma ograniczone moce. Praktyczne w niemal całej Ameryce Środkowej trzęsienia ziemi czy wybuchy wulkanu to prawie codzienność. Parafię św. Piotra dotknęło ono w roku rewolucji francuskiej w 1789, jak i całkiem niedawno w lipcu 2000 roku.

Najlepszy widok na jezioro Apoyo otwiera się z Mirador de Catarina. Jak przystało na miejsce odwiedzane przez turystów, znajdowało się tam sporo różnych sklepików

z pamiątkami; tu również zwykle można posłuchać muzyki marimba. Dla tych, którym się zbyt szybko nie spieszy, warto wtedy usiąść w pobliskiej restauracji; sącząc kawę, można pokontemplować uroki tego miejsca z widokiem na leżące kilkadziesiąt metrów niżej lustro wody jeziora Apoyo czy wulkan Mombacho. Do lustra wody trzeba się pofatygować mocno w dół; w taki upał turystom lepiej wsiąść na małe kucyki, na co namawiali mnie usilnie ich właściciele.

Niestety moje plany wędrowki po Parku Narodowym Wulkanu Masaya położonym kilkanaście kilometrów dalej spełzły na niczym. Wulkan ponownie okazał swoją wzmożoną aktywność i przez to szlaki dla pieszych zostały zamknięte. Zostało mi jedynie odwiedzić miasteczko o tej samej nazwie położone kilka kilometrów od wejścia do tego parku. Może się ono pochwalić deptakiem (*Malecon*) zbudowanym wzdłuż jeziora o tej samej nazwie co wulkan i miasto. Największą atrakcją tego miasta jest sporych rozmiarów targ z miejscowymi wyrobami (*Mercado Artesanias*).

Robiło się coraz goręcej i ku mojemu zdziwieniu nadszedł koniec zwiedzania, gdyż przygotowano mi niespodziankę. Zaplanowano mi relaks nad brzegiem jeziora Apoyo w resorcie Laguna Beach Club. Miałem tam do woli drinki, zejście na plażę, hamaki, leżaki nad samym brzegiem jeziora; mogłem się trochę ochłodzić w wodach jeziora, coś przekąsić w pobliskiej restauracji i spisać na gorąco parę refleksji z tej mojej nikaraguańskiej wędrowki.

Następnego dnia miałem się przenieść do miasta Leon. Można było jechać zwykłym autobusem do miasta Leon i do tego z przesiadką w stolicy. Ceny miały być niskie. Jeden dolar za około godzinę jazdy, czyli tyle, ile się jedzie z Granady do Managui, a potem przesiadka na dworcu centralnym i kolejne dwie godziny. Łącznie miało wypaść jakieś 3 dolary. To mniej niż 85 USD, jakie mogli mi zaproponować w firmie za prywatny transport.

Ale czasem warto się jeszcze rozejrzeć. Idąc na Parque Central, zerknąłem w bok na biuro podróży Buena. A tam ciekawa oferta shuttle bus do Leon po 13 USD. Dziewczyna potwierdziła, że odjeżdża następnego dnia w samo południe. Nie było się więc co zastanawiać. Postanowiłem, że kiedy indziej zgłębię komfort państwowego przewoźnika. A do tego miał być tam w ciągu 2 godzin, no może minimalnie dłużej.

Dzień 6. Kierunek – Leon

Wstałem dopiero przed ósmą. Ale drapanie w gardle, coś jakby niewielka gorączka, to usprawiedliwiało mnie absolutnie. A na dodatek padało. Niesłychane, to pierwszy taki deszczowy dzień w tej porze suchej, trwającej w tym regionie aż do kwietnia. Ale za jakieś pół godziny deszczyk ustał.

W agencji podróży byłem punktualnie, ale gorzej, że bez wzajemności. Busik nie pojawiał się, a ja byłem nakłaniany, aby uzbroić się w cierpliwość. Ruszyliśmy z półgodzienną zwłoką. Byłem tylko jednym z dwóch pasażerów, ale moja współtowarzyszka miała wsiąść na lotnisku w Managui. Trasę już znałem, więc pograżyłem się w lekturze kolejowych przygód po Ameryce Centralnej. Podróż się dłużyła, więc ostatecznie w drodze do Leon dojechałem z moim bohaterem Paulem Theroux aż do Panamy.

To był koniec pory suchej. Dookoła suche, wysokie trawy, służące jako pastwiska; sporadycznie trochę trzciny cukrowej. W odróżnieniu od Salwadoru rzadko widziało

się jakieś uprawy roślinne. Czasem pojawiały się wałęsające stada bydła, niekiedy jakieś pasące się konie. A na horyzoncie wysoko nad taflą jeziora Managua rysował się stożkowaty kształt wulkanu Momotombo.

Leon. Drugie pod względem liczby ludności miasto w Nikaragui. Zabudowa wydawała mi się nieco chaotyczna. Szczególnie dla takiego nowo przybyłego jak ja, który wciąż żył wspomnieniami z Granady i próbował wszystko porównać. Do głównego placu przylega olbrzymia katedra, którą postawiono w drugiej połowie XVIII wieku. To największy kościół w tej części świata, a przynajmniej w Ameryce Środkowej. Niełatwo tu wznosić budowle, które mogłyby przetrwać pojawiające się dość często trzęsienia ziemi. Wewnątrz tuż przy ołtarzu znajdował się grób najbardziej znanego poety w Nikaragui i obywatela miasta Leon, czyli Rubena Dario. Na jego grobie spoczywa zatroškany lew, będący też symbolem tego miasta. Z drugiej zaś strony tuż przy wejściu znajoma postać Jana Pawła II z wmurowaną tablicą, upamiętniającą jego wizytę w tym mieście 4 marca 1983 roku.

Niełatw frajdą jest zapłacić nieco grosza za wejście na dach katedry. To nie tylko widoki na miasto, ale przede wszystkim możliwość pospacerowania sobie po stosunkowo płaskim dachu kościoła, otoczonym szeroką balustradą.

Po jednej stronie placu jest katedra, po drugiej przeciwległej stronie Parque Central Museo de la Revolucion zachęca do odwiedzenia. Na plastikowych krzeselkach w patio Muzeum Rewolucji przesiadywali weterani zrywu rewolucyjnego ludu Nikaragui gotowi do oprowadzenia po zbiorach muzealnych. Gros zbiorów stanowiły liczne zdjęcia z okresu walk o zwycięstwo FSLN. Jeden z weteranów z czapeczką Brave zaczął mi wyjaśniać po hiszpańsku drogę do wolności spod dyktatorskiej władzy rodziny Somoza. Na jednej z fotek mój przewodnik z nieukrywaną dumą pokazał mi swoją postać z bronią, kiedy to na ulicach Leonu wykuwa wolność spod jarzma Somozy.

Co nie rozumiałem, to najwyżej potem sobie doczytałem. Na koniec tradycyjnie próbował mi sprzedać płytę DVD, co niejako należy do tradycji tego miejsca i wspomniane jest we wpisach przez wielu turystów, którzy to miejsce odwiedzają. Nie byłem pierwszym więc ani ostatnim, który odmówił kolejnej pamiątki, ale za to dorzuciłem jeszcze parę groszy jako „tip” dla weterana rewolucji.

Było jeszcze kilka innych ciekawych miejsc do zobaczenia w tym mieście, wszystko w odległości kilku minut spaceru od głównego placu miasta. Jednym z nich jest Museo de Tradiciones y Leyendas, które zostało urządzone w budynku dawnego więzienia. To przedziwny kolaż sal muzealnych z celami więziennymi. Ścienne graffiti ilustrują losy więźniów bitych kolbami karabinów, wieszanych głową w dół czy zabijanych strzałem z rewolweru przez policję Somozy. Natomiast zbiory folklorystyczne zostały skompletowane wysiłkiem jednej dzielnej kobiety Doña Carmen Toruño de Garcia. Przestrzeń ogrodu i cel wypełnione były wielkimi lałkami czy modelami z wosku. Wiele z tych mniej lub bardziej przerażających stworów zapamiętałem, inne odeszły w mrok mojej pamięci.

Miasto Leon szczyti się oprócz katedry wieloma kościołami zbudowanymi w stylu baroku. Wart odwiedzenia i zapamiętania był Kościół Kalwaryjski położony malowniczo na niewielkim wzniesieniu niczym kalwaria jerozolimska. To była czysta fanta-

zja kształtów i kolorów. Posiada dwie flankujące dzwonnice, pokryte burgundzką czerwienią, przylegają do środkowej części żółtawej fasady. Wnętrze kościoła, gdzie w tym czasie trwała msza, było całe w bieli. Przy wejściu – tak jak kiedyś na Kalwarii – wystawiono trzy krzyże, na których wisiał Chrystus, mający po boku ukrzyżowanego Dobrego i Złego Łotra. Kilka przecznic dalej na ciemnożółtej, przysadzistej fasadzie kościoła La Merced z 1762 roku umieszczono rekwizyty Męki Chrystusa, jak: jego suknię i kości, które zostały o nią rzucone, czy też młotek i gwoździe.

Przyjemnie było wracać do mojego Hotelu El Convento, gdzie mieszkalem przez okres mojego pobytu w Leon. Od czasu do czasu, gdy upał dawał mi się we znaki, wracałem do przyjemnego chłodu w moim pokoju, aby się choć na chwilę zrelaksować, po czym ruszałem w upalne miasto.

Dzień 7. Cerra Negro – saneczkowanie po wulkanie

W tym dniu miałem wziąć udział w kilkugodzinnej wycieczce (od 8 do 13), której celem było wejść na wulkan Cerra Negro, mierzący sobie obecnie 726 metrów. Wpierw trzeba było tam wejść na nogach, ale już powrót miał być urozmaicony. Można było zjechać na desce, czyli tzw. volcanboarding „na stojąco”, albo też zjechać na desce, ale w pozycji siedzącej, czyli tzw. wulkaniczne saneczkowanie. Trzecia możliwość nie wymagała już żadnego sprzętu – po prostu biegło się w dół.

To był hit turystyczny ostatnich lat z wchodzeniem na ten młody wulkan. Było nas – bez kierowcy i przewodnika – łącznie 11 osób. Zapakowano nas do dwóch mikrobusek. Po jakimś czasie od wyjazdu z miasta skręciliśmy w drogę gruntową. Wokół nas ziemia była bardzo żyzna, bo wszędzie dookoła był pył wulkaniczny. Droga była dość uczęszczana przez chłopów z transportem chrustu na wozach ciągniętych przez woły. Czasem nawet tworzyły się korki przy wymijaniu, gdyż trudno było się nie zakopać w grząskiej drodze. To był koniec pory suchej, więc rosło tylko to, co jest w stanie przetrzymać suszę. Aby dostać się do wody, trzeba byłoby kopać studnie na dużą głębokość i mało którego gospodarza na to stać. Stąd przeważały drzewa eukaliptusowe, które przynajmniej stanowiły przeszkodę, aby pył zbyt daleko nie wiewiał.

Nasza góra wyglądała jak wielka kopa czarnego piasku. Spośród okolicznych wulkanów Cerra Negro to młodzieniaszek. Z dachu wyładowano sprzęt do zjeżdżania z góry. To głównie deski, które z jednej strony obite są blachą, a po drugiej stronie jest coś, na czym się siedzi, mając jeszcze sznurek do dyspozycji i własne nogi, które służą jako hamulce. Dostaje się jeszcze do ekwipunku plecaczek z kombinezonem oraz goglami. Ale jak to wygląda, można się dopiero przekonać na samej górze. Sprzęt należy samemu wnieść na szczyt góry lub zapłacić miejscowemu tragarzowi, który szybko wysuwa się na prowadzenie. Im wyżej, tym bardziej wiało, i tym trudniej wchodziło się z deską. Mieliśmy do pokonania podobno pięćset metrów w pionie i zajęło nam to niecałe półtorej godziny wspinaczki.

Było kilka grup, stąd utworzyła się kolejka przy trasach zjazdowych. Pierwszych dwóch śmiałków zrobiło sobie wyścigi, a zjazd ich trwał dosłownie kilka minut. Sam zbiegłem w dół do połowy góry, aby pstryknąć kilka fotek wulkanicznym saneczkarzem. Jedni szli na całość, inni zaś bardzo asekuracyjnie. Ale kiedy się używa nóg jako

hamulców, wtedy nie przedstawia to sporych trudności. Wreszcie wszyscy zjechali, ja zaś już na samym dole strzepnąłem z moich butów te kilka kilo pyłu.

Po tej wycieczce w pełnym słońcu niemal koniecznością było odwiedzenie sokarni. Znajdowała się ona na centralnym placu i stanowiła moje ulubione miejsce o niemal każdej porze, kiedy była otwarta. Tym razem zamówiłem moje wymarzone smaki, czyli manjar (mieszanka mango, banana, papai) za 40 CS. Wieczorami można było chodzić wąskimi uliczkami Leon, ale tym razem czułem się już nieźle zmęczony, szczególnie że następnego dnia czekała mnie kolejna podróż – do stolicy.

Dzień 8. Przejazd do Managui

Rubén Darío – najbardziej znany obywatel miasta Leon – ma również w tym mieście swoje muzeum. Mieszkał tam przez 14 lat swego dzieciństwa u dziadków. Jego dom w Leon był pełen odwiedzających, którzy ze skupieniem słuchali i notowali wszystko, co im przewodnicy wyjaśniali. W tym domu zachowało się nawet łóże, na którym poeta wydał ostatnie tchnienie.

Niedługo później opuszczam na dobre miasto Leon, aby dotrzeć do stolicy, Managui. Hotel Los Robles miałem zarezerwowany w dość spokojnej i bogatej dzielnicy Villa Santa Fe, skąd nawet nie trzeba się było ruszać, aby znaleźć jakieś miłe knajpki. Mogłem się w nim czuć dość bezpiecznie. Ilekroć zamawiano dla mnie z hotelu taksówkę, tylekroć ktoś z hotelu wyjaśniał wszystko kierowcy, jak i na wszelki wypadek zapisywał numery rejestracyjne pojazdu. Ciągnęło mnie jednak do dawnego, wciąż jeszcze niecałkowicie odbudowanego centrum starej Managui. Była ona położona nad brzegiem jeziora o tej samej nazwie o kilka kilometrów od mojego hotelu Los Robles. Managua niefortunnie została założona w miejscu dość aktywnym sejsmicznie. Ale w tym rejonie kraju trudno znaleźć takie miejsce, gdzie mieszkańcy mogliby spać spokojnie bez obawy, iż ich domy rozsypią się jak domki z kart podczas kolejnego nieuchronnego trzęsienia ziemi.

Wciąż widać było spore połacie miasta świecące zupełną pustką. Choć od potężnego trzęsienia ziemi minęło już 44 lata, to wciąż ślady po tym wydarzeniu się nie zatarły. Widowym tego znakiem jest opuszczona stara katedra w Nikaragui, która została zbudowana w latach trzydziestych XX wieku i obecnie jest szczelnie odgradzona wysokim płotem. Może ona przypominać Kaiser Wilhelm Memorial Church na Kurfurstendamm w Berlinie. Kiedy jednak w Berlinie zniszczona wieża otoczona jest tętniącym życiem miasta, w tym dniu kiedy tam byłem, okolica tchnęła pustką. Jedyne co tętniło życiem, to Transamericana biegnąca w pobliżu placu Rewolucji. Zawsze była ona pełna ciężarówek i ludzi usiłujących przebiec na drugą stronę ulicy pomiędzy sznurem aut.

Jak wyglądała Managua przed 1972 rokiem, mogłem łatwo się przekonać, gdy wysiadłem z taksówki w pobliżu Malecon (bulwar) i placu Rewolucji. Tam znajduje się centrum dawnej Managui, tzw. Managua Vieja a Escala, ale w mniejszej skali. Nie dorosłem wprawdzie wzrostem do budynku dawnej katedry, ale za to mogłem większość tych budynków czy ich dachów niemal dotknąć. Nieopodal zaś mogłem już po raz drugi odwiedzić dom-muzeum Rubena Dario, tym razem w Managui.

Kiedys nad bulwarem nad jeziorem Managua (czy też Xolotlán) było mnóstwo tętniących życiem restauracji, ale obecnie królują kilkunastometrowe metalowe drzewa, tzw. „drzewa życia” w dość jaskrawych kolorach. To *idea fixe* pierwszej damy Nikaragui, Rosario Murillo. Styl ich przypomina New Age.

Wieczorem rozpocząłem kolejne polowanie na taksówkę, aby wybrać się do La Casa de los Mejia Godoy (www.losmejiagodoy.com) – w pobliżu Hotel Crowne Plaza. Nazwisko lokalowi użyczył Carlos Arturo Mejia Godoy, rocznik 1943. Jest on nierozłącznie związany od samego początku swej kariery z lewym skrzydłem sceny politycznej. Już w latach siedemdziesiątych wraz ze swym bratem zapoczątkował Ruch Nowej Pieśni, w której muzyka ludowa zmieszana była z elementami rewolucyjnymi. Stał się bardem rewolucji sandinistowskiej i do dzisiaj utrzymuje pozycję jednego z najbardziej popularnych artystów w Nikaragui. Carlos pomimo swego wieku 70+, na scenie tryskał energią i żywotnością. Po koncercie miałem spobność zakupienia kilku płyt z tej części świata i tuż przed północą z duszą na ramieniu jechałem z przypadkowo wziętą taksówką do mojego hotelu

Dzień 9. Wylot do Panamy

Postanowiłem w tym dniu przed południem już nigdzie nie ruszać się poza mój hotel. Jedyne odstępstwo to spacer do pobliskiej restauracji Pan y Vino, gdzie według nazwy powinna królować włoska kuchnia. W lokalu siedziała średnia klasa Nikaragui. Dzielnica bowiem nie należy do biednych. Ceny też były odpowiednie. Spagetti za 10 USD to nieco więcej niż w dalekiej Italii. Ale za przysmaki w stylu Europy miejscowa elita, a ja wraz z nią byliśmy gotowi zapłacić.

Wyruszyłem standardowo na co najmniej dwie i pół godziny przed odlotem. Tylko czym tu jechać. Zawsze jest jakiś wybór. Samochód rekomendowany przez hotel to wydatek 25 USD, ale też może być taksówka z ulicy. Strażnik z naszego hotelu, z nieodłączną krótką bronią za pazuchą i jednocześnie odźwierny od kraty izolującej nasz hotel od zewnętrznego świata, złapał mi na ulicy jakiegoś chłopaka, z którym negocjowałem cenę. Ustaliliśmy za 250 cordobas czyli 2,5 raza mniej. Zawsze jakaś satysfakcja. Kłapa od bagażnika co chwilę się nam podczas jazdy otwierała, jak tylko wjeżdżaliśmy na jakieś wertepy czy śpiącego policjanta, ale poza tym tempo mieliśmy dobre. Cała filozofia, aby bocznymi uliczkami, wzdłuż parterowych domków dotrzeć do Panamericany przecinającej całe miasto i ocierającej się o lotnisko.

Nie straszne mi były tłoki przy Aviance. Miałem przecież srebrną kartę Frequent Flyer, starczyło mi więc jeszcze czasu, aby spróbować upłynnić miejscową walutę. Było przynajmniej na co. Rękodzieł mieli dużo, ale szukałem jakiejś ludowej muzyki. Ceny nie były wcale niskie. Standardowo około 14–15 USD, a do tego nie można było posłuchać.

Krótki lot, a Salvador powitał mnie czerwoną kulą słońca, chowającą się już za horyzont. Tam znowu wpadłem w wir zakupów, a był jeszcze większy wybór niż w Nikaragui. Lotnisko było znacznie większe i przeszedłem się dobrych kilka kilometrów tam i z powrotem łypiąc wzrokiem na rękodzieła. Potem już usiadłem w tej samej poczekalni, co tydzień temu i oglądałem te same kawałki w telewizji lotniskowej o wielkiej kul wodnej. Czyżby jakieś deja vu.

Do samolotu spakowali nas na 3 kwadranse przed planowanym odlotem, i start był też przed czasem. Niby jakaś odwrotność latynoamerykańskiego mañana. Lepiej więc tutaj nie przyjeżdżać na ostatnią chwilę, gdyż można zobaczyć tylko strużkę dymu z turbin. Przysypiam, aby się nagle zbudzić. Wyraźne szarpnięcie samolotu. A więc wylądowaliśmy. Tak mi się tylko zdawało. Trafiliśmy na jakieś turbulencje powietrzne, ale kolejne szarpnięcie okazuje się już być lądowaniem na płycie lotniska. Uff. To już mój szósty lot, a do tego na pół godziny przed planowanym czasem.

Na granicy w Panamie przynajmniej mnie już nie męczyli o odciski wszystkich moich palców. Już je mieli w swoim archiwum. Przynajmniej trwało to szybciej. Taksówkarzy łatwo było rozpoznać po zielonych ubrankach. Za 30 USD dojechałem do hotelu w wielkiej, rozkrzyczanej metropolii w stylu Las Vegas.

Ewa Flak, Jarosław Kociel

Kolumbia – kolorowa kraina



Termin: 21 lutego – 11 marca 2017 r.

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Czarek

Trasa lotnicza: Berlin–Amsterdam–Bogota (KLM 2 loty 2324 PLN/os.), Bogota–Cartagena (Viva Colombia 129 PLN/os.) Barranquilla–Medellin (Avianca 192 PLN/os.)

Koszty podróży: 4874 PLN/os. (z pamiątkami)

Kursy walut: 1 USD = 4,085 PLN, 1 USD = 2778 COP, 1000 COP = 1,40 PLN

Czas: W zależności od pory roku zimą – 6 godz., latem – 5 godz.

Bezpieczeństwo: Ogólnie spokojnie, jedynie w dużych miastach należy zachować czujność

Wizy: Przy pobycie turystycznym do 3 miesięcy wizy nie są potrzebne

Język: Hiszpański, w miejscach turystycznych angielski

Pogoda: Jest słonecznie, gorąco i mamy prawie 80% wilgotność

Elektryczność: 110 V, należy mieć adapter z dwoma płaskimi bolcami

Przewodniki i mapy: Lonely Planet „Colombia”

Koszyk podróżnika: Woda mineralna 1,5 l – 1100 COP, coca-cola 1,5 l – 3200 COP, 3 l – 5100 COP, napój pomarańczowy 2 l – 3000 COP, lody 1 l – 15 000 COP, chleb tostowy 1500 COP, bagietka 2000 COP, Nutella 13 500 COP, margaryna Rama 0,5 kg – 8000 COP, ser żółty 1 kg – 10 000 COP, mleko 1 l – 1600 COP, 6 jajek – 2100 COP, olej 1 l – 3500 COP, ryż 1 kg – 2500 COP, makaron 250 g – 700 COP, sos pomidorowy 2900 COP, ziemniaki 1 kg – 700 COP, pomidory 1 kg – 1700 COP, cebula 1 kg – 1100 COP, ogórek 1 kg – 1100 COP, rzodkiew 1 kg – 3800, marchewka 1 kg – 600 COP, papryka czerwona 1800 COP, kurczak z rożna 10 000 COP, banan 1 kg – 1000 COP, papaja 1 kg – 2000 COP, kawa Nescafe słoik – 6700 COP, piwo 1 l – 3000 COP, wino 0,7 l – 12 000 COP, ropa 8100 COP, benzyna 8600 COP, gaz 1680 COP.

RELACJA Z PODRÓŻY

21 lutego • Katowice–Berlin–Amsterdam–Bogota–Cartagena. Tak naprawdę podróż zaczęliśmy w poniedziałek o godz. 23.40, jadąc Polskim Busem z Katowic do Berlina ZOB Zentraler Omnibus Bahnhof (bilety kosztowały 233 PLN/os. w dwie strony). Po 7.40 godz. byliśmy na jednym z większych dworców autobusowych stolicy Niemiec. Tu szybko przeszliśmy na stację S-bahn na pociąg nr S41 w kierunku Jungfernhöhe, następnie autobusem X9 dojechaliśmy na lotnisko Berlin Tegel, pojedynczy przejazd kosztuje 1,70 euro/os. O godz. 10.10 wylecieliśmy do Amsterdamu, następnie o godz. 13.10 poleciliśmy do Bogoty, lot trwał 11.15 godz. Na miejscu byliśmy o godz. 18.25, przestawiliśmy zegarki o – 6 godz., i tu poczekaliśmy na wieczorny lot liniami Viva Colombia do Cartageny. Wylot mieliśmy o godz. 22.40, cały lot prześpaliliśmy, by o godz. 0.10 wylądować na miejscu. Wychodząc z samolotu, uderzyła w nas fala wilgotnego gorąca. Z lotniska wzięliśmy taxi, tutaj podeszliśmy do okienka, gdzie wydrukowano nam cenę za przejazd na danym odcinku, a kierowca ma tylko dostać pieniądze. My za kurs zapłaciliśmy 13 500 COP/3 os., (ceny będą dziwnie wysokie, przez liczbę zer, rzeczywiście wartość kolumbijskich peso – COP jest niska). Dotarliśmy do Mama Waldey Hostel 237 600 COP/2 noce/3 os. (Carrera 9 #29–03, Cartagena, Bolívar). Kierowca chciał napiwek, bo niby taryfa nocna, itp., ale my nie daliśmy się naciągnąć. Hostel położony jest w starej części Cartageny, w dzielnicy Gatsemani, skąd wszędzie mieliśmy niedaleko.

22 lutego • Cartagena. Wstaliśmy o godz. 8.00. Zjedliśmy śniadanie złożone z tostów, owoców, kawy. Potem podeszliśmy do banku Colombia, gdzie wymieniliśmy pieniądze 1 USD = 2778 COP. Następnie Czarek kupił kartę i doładowanie do telefonu sieci kolumbijskiej Tigo za 35 000 COP, 1,5 GB. Po załatwieniu tych formalności przeszliśmy do głównego skrzyżowania z Monumento a la India Catalina, skąd odjeżdżają autobusy miejskie w różnych kierunkach metropolii. Jechaliśmy w korkach ok. pół godziny w celu dotarcia do terminala autobusów dalekobieżnych. Tam naganiacze pokazali nam autobus w kierunku El Totumo. Jak na pierwszy dzień poszło nam nieźle, w rzeczywistości transport w miastach jest bardzo dobrze zorganizowany, jednak radzimy dopytywać ludzi, bo większość pojazdów ma dużo napisów na szybach, ale są to ich skróty, które określają dzielnicę, skrzyżowania ulic, miejsca charakterystyczne dla danej trasy. Przejazd autobusami miejskimi wyniósł nas po 2000 COP/os., dalej zapłaciliśmy po 18 000 COP/os. z Berlinas Tour, chyba nas policzyli jak za przejazd do Santa Marta, ale cóż... Po 43 km dojechaliśmy do skrzyżowania, skąd piechotą przeszliśmy 1 km do sztucznie usypanego 18 m wulkanu błotnego El Totumo. Wstęp wynosił 10 000 COP/os. Wnętrze wypełnia szaro-ciepłe gęste błoto. Na górze wulkanu oddaje się aparaty fotograficzne i telefony, którymi obsługa robiła zdjęcia. Najpierw mieliśmy opór, ale widząc uśmiechnięte twarze turystów wyłaniające się z błotnej mazi, postanowiliśmy też zażyć kąpeli. Tak więc weszliśmy po drewnianych schodkach na „wulkan” i po drabinie w dół do gęstej mazi, gdzie zostaliśmy zassani przez błoto. Ciekawe uczucie, breja jest tak gęsta, że trzeba było użyć sporo siły, aby przemieścić się w środku. Przytrzymywaliśmy się drewnianych belek, ale błoto jest tak gęste, że nie ma obawy utonięcia. Przypomina to trochę kąpiel w Morzu Martwym. Fajna przygoda. Słoń-

ce paliło niemiłosiernie, więc po kilkunastu minutach wyszliśmy z krateru i przeszliśmy do pobliskiego jeziora. Tu można obmyć się samemu lub oddać w ręce miejscowych kobiet, które za mycie biorą drobne pieniądze. Wystarczy jednak zanurzyć się w ciepłej wodzie jeziora i błoto samo schodzi, gorzej z bielizną i różnymi zakamarkami ciała. Pryszniców nie ma, więc warto pomoczyć się dłużej w wodzie i doprowadzić do porządku. Zaleca się wziąć klapki, bo droga prowadząca do jeziora jest nierówna, a chodzenie po rozgrzanych kamieniach sprawia ból. W okolicy są restauracyjki, gdzie można się posilić obiadem i napojami. Jest to miejsce stworzone typowo do relaksu, ludzie spędzają tutaj cały dzień na pikniku, korzystając ze SPA. Z turystów żyje cała wioska, skupiona wokół wulkanu.

Udaliśmy się w drogę powrotną do miasta. Ustawiliśmy się przy drodze, oczekując na autobus powrotny, ale po chwili złapaliśmy okazję i niejaki Herman dowiózł nas do centrum Cartageny. Wysiedliśmy w pobliżu potężnych murów obronnych, otaczających starówkę. Rozpoczęliśmy powolną wędrówkę po tym uroczym miejscu. Jest to taka okolica, gdzie można się „zgubić” na kilka godzin, spacerując po uliczkach starożytnego miasta, odnajdując małe, pomysłowo urządzone knajpki i galerie. Cartagena ma unikalny system fortyfikacji, okalający miasto dwoma rzędami murów. Zbudowano je ze względu na częste najazdy piratów. Po południu na miasto wyjeżdżają rumby chivy, rozklekotane stare autobusy bez drzwi i okien z muzykami w środku i ze sporym zapasem rumu i coca-coli. Muzycy grają żywiołowo, a obsługa dba o pełne szklanki cuba libre. Tu odbywa się co roku jeden z najważniejszych festiwali filmowych na kontynencie południowoamerykańskim oraz wybory Miss Columbia. Po mieście uwijają się tłumy obnośnych sprzedawców i dostawców usług. Nie są nachalni, tworzą wrażenie, że nie trzeba niczego szukać, że towar dotrze do klienta pierwszy. Głód zagonił nas do Los Pollos, sieciówki z kurczakami, która oferuje różne zestawy z drobiem i frytkami. Dosyć tanio i dużo. Potem chłopaki raczyli się jeszcze kolumbijskim piwem o słusznej pojemności butelki 1 l.

23 lutego • Cartagena–Santa Marta. Od rana spacerujemy po starówce, odkrywając kolejne zabytkowe miejsca. Cartagena urzeka swym przepięknym starym miastem, pełno tu wąskich kolorowych uliczek, placów, katedr, kościołów i zabytkowych budynków. Jest to jedno z najciekawszych miast w Ameryce Południowej, od 1984 r. jest wpisane na listę UNESCO. Cartagena ma czar starego kolonialnego miasta. Nas ciekawią ludzie, ich codzienne życie, jedzenie, itp. Weszliśmy do darmowego muzeum złota, gdzie znajdują się ciekawe ekspozycje prekolumbijskiej biżuterii i innych wyrobów. Następnie udaliśmy się do Fortu San Felipe. Wstęp kosztował 25 000 COP/os., dla miejscowych ceny są niższe. Budowla jest okazała, ale wnętrza są puste, bez wyposażenia. Atrakcją są tunele wokoło murów, stanowiące element obronny. Potem przeszliśmy do portu, gdzie znajdują się rzeźby Pegazów.

Wróciliśmy do hostelu po bagaże i taxi za 15 000 COP/3 os. pojechaliśmy na dworzec autobusowy. Wzięliśmy pod uwagę przesiadki, korki, bagaże i okazało się, że czasem bardziej opłacało się nam podjechać taksówką niż autobusami. Oszczędzaliśmy czas, a koszty rozkładały się na trzy osoby, co nie było takim obciążeniem dla portfela, a nawet wychodziło taniej. Kupiliśmy bilety do Santa Marta za 20 000 COP/os.

Po 5 godzinach jazdy w „zamrażalniku” dotarliśmy na miejsce. Słyszeliśmy dużo o klimatyzacji w kolumbijskich autobusach, ale tylko w przejazdach nocnych. Tutaj schłodzono nas maksymalnie, biorąc pod uwagę 40°C na zewnątrz. Przejazd włókł się nie miłośernie, bo w tym rejonie wiedzie jedna trasa wzdłuż wybrzeża, która jest zakorkowana z powodu prowadzonych licznych remontów dróg na odcinkach mostów i grobli. Dojechaliśmy w okolice terminala autobusowego i stąd taxi za 6000 COP/3 os. dotarliśmy do Hotel Bahia Blanca 85 600 COP/3 os. (Carrera 1 #11–13, Santa Marta, Magdalena). Ponieważ było dosyć późno, postanowiliśmy zjeść w okolicach hotelu u przydrożnego sprzedawcy. Zaserwował nam ryż z kurczakiem i sałatką. Oczywiście zewsząd dobiega latynoska muzyka, która towarzyszy nam od momentu wylądowania na kolumbijskiej ziemi. Co do atrakcji dodatkowych, to w okolicy znajduje się kilka „czerwonych” hoteli. Po kolacji zrobiliśmy jeszcze krótki spacer bulwarem nad Morzem Karaibskim. W recepcji hotelu dowiedzieliśmy się, że główna atrakcja tego regionu, Park Narodowy Tyrona jest od grudnia 2016 r. zamknięty dla turystów, z uwagi na duże zniszczenia w ekosystemie. Jeszcze w Polsce docierały do nas te informacje, ale nie mogliśmy ich potwierdzić. Postanowiliśmy wykorzystać pobyt tutaj i odwiedzić polecaną miejscowość Taganga.

24 lutego • Santa Marta–Taganga–Barranquilla. Po śniadaniu (krakers, masło, dżem, jajecznicza, owoce, kawa i sok) pojechaliśmy autobusem za 1400 COP/os. do Taganga. Większość ulic jest jednokierunkowa i trzeba dojść do odpowiedniej przecznicy, gdzie są przystanki we właściwym kierunku jazdy. Każdy pomoże i wskaże odpowiedni przystanek i autobus. Na miejscu okazało się, że okolica żyje karnawalem w Barranquilli. Tutaj też odbywał się mini karnawał dla dzieci. Maluchy wystylizowane, poprzebierane miały swoje występy. Podchodziły do tego dosyć poważnie, odbywały się wybory królowej i króla karnawału. Do tego wszechobecna, głośna muzyka, która jest nieodzownym atrybutem codziennego życia w Kolumbii. Albo się ją polubi, albo przypawi o migrenę. Po sesji fotograficznej udaliśmy się drogą wzdłuż klifu do plaży, gdzie można zażyć kąpieli wodnych i słonecznych. Szlak nie jest trudny, rozciągają się przepiękne widoki na morze i okoliczne wzgórza. Niestety okolicę nawiedziła susza, więc brakuje spektakularnej, tropikalnej zieleni, ale turkusowe wody rekompensują wszystko. We wsi można spotkać naganiaczy, którzy oferują rejs łódką do tej plaży, więc jeśli komuś nie chce się wędrować ok. 20 minut, to może zapłacić 7000 COP/os. za 5 minut rejsu łodzią. Na miejscu stworzona jest baza dla relaksujących się osób. Można wynająć leżaki (my daliśmy 10 000 COP/3 os.), by wygodnie spędzić czas. Miejsca są zasłonięte, więc można schronić się przed palącym słońcem. Popływaliśmy, poopalaliśmy się i zrelaksowani wróciliśmy do Taganga. Tu zjedliśmy obiad za 11 000 COP/os., tzw. comida corriente, czyli danie dnia: zupa, ryba z ryżem, sałatka, sok. Wróciliśmy do miasta, wzięliśmy bagaże z hotelu i za 6000 COP/3 os. taxi pojechaliśmy do dworca autobusowego, stąd za 15 000/os. pojechaliśmy do Barranquilli. Po 3 godzinach byliśmy na miejscu. Następnie dotarliśmy do Hotel Plaza Ventura (Calle 38 #36–50, Barranquilla, Atlántico). Za nocleg zapłaciliśmy 152 000 COP/3 os., duży, czysty pokój z łazienką, śniadanie można dokupić w restauracji hotelowej. Jest tu również sala bilardowa oraz siłownia.

25 lutego • Barranquilla – Medellin. Zjedliśmy śniadanie i ok. 9.00 pojechaliśmy autobusem za 1900 COP/os. w okolice via 40. Karnawał zaczyna się w sobotę na cztery dni poprzedzające środę popielcową. Co roku na trybunach zasiada prawie 1 mln ludzi. Rozpoczęcie imprezy zaplanowane było na godz. 12.00, ale ludzie schodzili się już wcześniej, ponieważ karnawał cieszy się dużym zainteresowaniem, warto zająć sobie dobre widokowo miejsca, czyli wykupić plastikowe krzesło w którymś z zadaszonych rzędów. Okazało się to dobrą inwestycją (od 20 000 do 40 000 COP za krzesło), bo kilka godzin w pełnym słońcu może zakończyć się udarem. Karnawał uchodzi za trzeci co do wielkości w Ameryce Południowej, w Rio de Janeiro jest przy tym bardziej skomercjalizowany. Tutaj jest atrakcyjniejszy ze względu na różnorodną muzykę. Muzycy grają na ludowych instrumentach perkusyjnych i dętych. Parada ciągnie się wzdłuż rzeki Magdaleny przez sąsiednie ulice. Tańce przeplatają się widowiskami historycznymi i współczesnymi o polityczno-satyrycznym zabarwieniu. Widzowie wokół zaczęli raczyć się rumem, piwem i innymi trunkami, częstować się nawzajem i nas przy okazji. Dodatkowo strzelali w nas pianą ze specjalnych karnawałowych tub, posypywali mąką kukurydzianą. Istne szaleństwo. Przez cały czas przechodziły grupy taneczne, przejeżdżały przyozdobione platformy samochodowe, było kolorowo, głośno, rytmiczna muzyka, dobry humor nie opuszczał do samego końca. Wielu ludzi zmorzonych upałem i alkoholem siedziało w cieniu, jednakże nie było większych ekscesów. Nad całością i bezpieczeństwem czuwały setki policjantów i wolontariuszy. Niebo patrolowały helikoptery.

Miasto tętni życiem. Muzyka jest nasycona energetyczną wibracją. Kolumbijczycy mają te rytmy po prostu we krwi. Oni wręcz w czasie tańca pływają. Tańczą absolutnie wszyscy: starzy – młodzi, ładni – brzydzy, mali – wysocy. Ci którzy nie tańczą, śpiewają i wystukują rytmy salsy. Jest to pulsująca muzyka, która uchodzi za najbardziej rasową. Po godz. 17.00 przeszła ostatnia grupa taneczna i ludzie zaczęli się rozchodzić. My zostaliśmy doprowadzeni do odpowiedniego przystanku, skąd autobusem dojechalismy w okolice hotelu.

Wzięliśmy bagaże i taxi za 20 000 COP/3 os. (ceny w czasie karnawału rosną kilkukrotnie), podjechalismy na lotnisko. Byliśmy przed czasem, unikając korków, związanych z powrotem balowiczów. Odlot do Medellin liniami Avianca mieliśmy o godz. 20.25, w samolocie zabrzmiała muzyka z karnawału i ze zgrozą pomyśleliśmy, że całą podróż będziemy atakowani cumbią lub merenge. Na szczęście po kilku minutach lotu zapanowała cisza i trochę odpoczęliśmy przed kolejną atrakcją – Medellin. Z lotniska do miasta można dostać się zwykłymi autobusami. Trzeba tylko powiedzieć, że jedzie się do centrum, a kierowca wysadzi nas w odpowiednim miejscu. Bilet kosztował 9500 COP/os. Dojechalismy w pobliże terminalu Norte, skąd taxi za 9000 COP/3 os. dotarliśmy do Enzo Hostel (Calle 47 #70A-44, Medellín, Antioquia). Za nocleg zapłaciliśmy 100 000 COP/2 noce/3 os. Kolację zjedliśmy w fast foodzie w okolicy.

26 lutego • Medellin–Guatapé Najpierw w pobliskiej stacji metra Estadio (kolejki ziemnej) kupiliśmy kartę z doładowaniem na 15 przejazdów. Karta kosztuje 5000 COP, z doładowaniem wyniosło nas 35 000 COP/3 os. Można było kupić jedną kartę, na której wszyscy jeździliśmy, ale trzeba pamiętać, że po wyczerpaniu automat ją „zjada”

i trzeba kupić nową. Stąd podjechalśmy do stacji Acevedo, a dalej kolejką linową w ramach karty przejechalśmy nad biednymi dzielnicami miasta. Widoki powalające, miasto jest ogromne, wzgórza obklejone domami, które wyglądają jednakowo czerwono. Wynika to z taniego budowania, bez tynkowania i malowania. Większość domów ma pudełkowy kształt, a dachy pokryte są falistą blachą. Wzgórza skomunikowane są autobusami, podłączona jest kanalizacja, prąd. Stanowi to kontrast w stosunku do tego typu miejsc w Rio de Janeiro lub innych biednych dzielnic.

Przez cały czas nie odczuliśmy żadnego napięcia, niepokoju, nikt nas nie zaczepiał, nie straszył, nie ostrzegał. Każdy jest zajęty własnymi sprawami. Słyszac naszą mowę, pytali skąd jesteście. Jak mówiliśmy, że z Polski, to zazwyczaj uśmiechali się i mówili ...Si, papa Juan Pablo II..., a my ...papa Francisco... i już byliśmy kumplami.

Dojechalśmy do stacji San Diego, skąd kolejną już płatną kolejką za 5200 COP/os. dotarliśmy do końcowej stacji, gdzie znajduje się Park Arvi. Miejsce, gdzie przyjeżdżają mieszkańcy na pikniki i spacerki po okolicznym lesie. Uroczo, ale nam podobała się trasa kolejki nad dżunglą okalającą miasto. Wróciliśmy do centrum dojeżdżając do stacji Caribe. Stąd trzeba przejść na terminal Norte, dalej łapiemy autobus do El Penon za 12 500 COP/os., które słynie z tzw. głowy cukru (trzeba poinformować kierowcę, że chcemy wysiąść w La Piedra). Niebo zasnuwały chmury i baliśmy się, że reszta dnia będzie deszczowa, ale ładna pogoda utrzymała się do wieczora. Z przystanku do El Penon jest jeszcze mały kawałek drogi (wstęp na 220 m górę kosztuje 18 000 COP/os.), potem jeszcze tylko 656 schodów na szczyt. Dodatkowo na górze skały powstała trzykondygnacyjna wieża widokowa oraz sklepiki z pamiątkami i produktami regionalnymi, co łącznie daje 740 betonowych schodków. U podnóża El Penon na początku lat 70 XX w. powstała tama, która spiętrza wody rzeki Nare, i dzięki pagórkowatemu ukształtowaniu terenu stworzyła wyjątkowo malowniczy zbiornik wodny z setkami małych wysepek. Właśnie dla tych niesamowitych widoków turyści wspinają się na szczyt skalnego kolosa. W międzyczasie drobny śniący deszcz spowodował, że na niebie pojawiło się kilka tęczy. Do tego turkusowe wody okolicznych zatoczek i jezior wśród wzgórz rekompensowały trudy wspinaczki. Zeszliśmy z góry, wiedząc, że okupimy to zakwasami.

Podjechalśmy autobusem do Guatape za 2000 COP/os. Miasteczko słynie ze starych zabytkowych domków pomalowanych w pastelowe kolory oraz rzeźbionych fasad ozdabiających budynki we wszystkich kolorach tęczy. Nazywane jest „Pueblo de Zocalos”, czyli miasteczko cokołów. Każda fasada przedstawia to, czym zajmują się ludzie w danym budynku, np. gimnazjum ozdobione jest książkami, bochen chleba to piekarnia, dom krawcowej ozdobiony jest nożyczkami i maszyną do szycia, rower lub skuter to warsztaty mechaniczne itp. Poza tym ma się wrażenie, że Guatape to miniaturowe miasteczko, w centrum jest mały ratusz, restauracje, galerie z rękodzielnictwem, kościół Nuestra Señora del Carmen. Jest to idealne miejsce na jednodniową wycieczkę i odpoczynek od głośnego miasta. W miejscowej pizzerii zamówiliśmy największą z możliwych i posilliliśmy się, a resztę wzięliśmy ze sobą. Z Guatape wracamy do Medellin autobusem za 13 500 COP/os. Bilet powrotny do Medellin trzeba kupić na kilka godzin przed powrotem, bo autobusy są pełne wracających turystów.

27 lutego • Medellin–Manizales. Metrem podjechalśmy do Jardin Botanico – ogrodu botanicznego (czynny od godz. 9.00–16.30, wstęp darmowy), następnie przeszliśmy do starego cmentarza San Pedro będącego narodowym panteonem kolumbijskich artystów i pisarzy, pełnym pięknych rzeźb. Wróciliśmy metrem do centrum miasta, gdzie na głównym placu znajdują się 23 rzeźby z brązu Fernando Botero. Jest on jednym z ważniejszych artystów Ameryki Południowej. Jego dzieła to zazwyczaj puszyste postacie uwiecznione na płótnie lub rzeźbach. No cóż o gustach się nie dyskutuje... Następnie przeszliśmy do Basilica de la Candelaria oraz Basilica Metropolitana, z wyjątkiem starych kościołów nie zachowały się tu praktycznie żadne zabytki architektury kolonialnej. W drodze do hostelu zajrzelśmy jeszcze na stadion piłkarski im. Atanasio Girardot o pojemności 40 043 tys., a potem wzięliśmy bagaże i pojechalśmy na dworzec południowy. Bilet do Manizales kosztował 37 000 COP/os. Po 5 godzinach byliśmy na miejscu. Miasto położone jest na 2100 m n.p.m. Z dworca autobusowego do centrum podjechać można kolejką linową, która oszczędza czas w korkach i jest bezpieczniejszym rozwiązaniem (przejazd 1700 COP/os.). Zatrzymaliśmy się w Minga House (Calle 27 #23-41, Manizales, Caldas) za 55 000 COP/2 noce/3 os. Jest to pensjonat prowadzony przez panią Angelę, czyściutki i zadbane. Załatwiliśmy jeszcze całodzienną wycieczkę do Parku Narodowego Los Nevado za 180 000 COP/os., (w cenie zawarte jest wejście do parku za 28 500 COP/os. transport spod hotelu, 2 posiłki, ubezpieczenie, opieka przewodnika),.

28 lutego • Manizales–Park Narodowy Nevado. O godz. 4.30 Jarek z Czarkiem wyruszyli na wycieczkę. Na teren parku można dostać się tylko w sposób zorganizowany z lokalną agencją turystyczną Ecosistemas. Najpierw mamy 2 godz. jazdy jeepem ładną, widokową drogą do drewnianego hotelu La Laguna (3500 m n.p.m), gdzie jemy śniadanie. Posililiśmy się jajecznicą z krakersami, białym serem, a popijaliśmy to gorącą czekoladą lub kawą, czyli skromne i syćące produkty. W przeszywającym zimnym i wilgotnym powietrzu śniadanie smakowało wybornie. Potem zatrzymujemy się na wysokości 3700 m n.p.m. u bram parku, tam dostajemy dokładną instrukcję, jak się zachować w czasie niebezpieczeństwa. Wjazd do parku Los Nevados oznacza wejście w gęste chmury, które wznoszą się i opadają wraz ze zmieniającym się ciśnieniem i szybkością wiatru. Zmienność pogody jest tutaj kalejdoskopowa, gdyż mżawka ustępuje słońcu w ciągu kilku sekund, chmury zastępuje niebieskie niebo, a temperatura waha się między 2–10°C. Krajobraz jest jedyny w swoim rodzaju, gdyż spłaszczona lawa przypomina powierzchnię księżyca. Na wysokości 4000 m n.p.m. istniała jeszcze drobna roślinność, powyżej jednak widać było już tylko szary pył, piach, kamienie, skały, a w dali szczyt wulkanu pokryty lodowcem – zjawisko niezwykle ze względu na bliskość równika, jednak zanikające z roku na rok przez globalne ocieplenie i zanieczyszczenie powietrza. Dojechalśmy samochodem na wysokość 4100 m n.p.m. Dalej już musieliśmy dojść sami, do pokonania mieliśmy raptem 593 m wzniesień. Powoli maszerujemy 8-osobową grupą za przewodnikiem w kierunku lodowca znajdującego się u szczytu wulkanu El Ruiz. Zbocze było niezwykle strome, uczestnicy wycieczki co kilka kroków przystawali, żeby złapać powietrze w płuca, podłoże z piasku nie dawało oparcia stopom, a przy nieuważnym stąpieniu miał w górę, zsuwało się na nowo w dół. Po 2-godzin-

nej wspinaczce dochodzimy na wysokość 4693 m n.p.m. Są tu wulkaniczne pustynie, aktywne i zastygłe wulkany. Krajobrazy pasują bardziej do wyobraźni o życiu na innej planecie. Pobyt na tej wysokości okazał się w miarę przyjemny, nie dokucza nam choro-
roba wysokościowa, ani zbytnio się nie męczyliśmy. Doszliśmy pod granicę lodowca, bo dalej już nie pozwolono pójść. Rzeczywiście, widoki warte były poświęcenia, gdyż krajobraz księżycowy zmieszał się z lodem, ze śniegiem, z płynącym potokiem górskim, ze skałami niespotykanych kształtów i niebieskim kolorem nieba. Widać było inne wzgórza, oświetlone słońcem, a wrażenie potęgowała całkowita cisza. Poza sercem i oddechem nie słyszało i nie czuło się ani odrobiny wiatru, ani jednego odgłosu natury, niczego, tylko grobową ciszę. Jakby wszystko zamilkło. Schodziliśmy w dół w milczeniu, z ciężkim oddechem, przytłoczeni potęgą natury. Po zjeździe samochodem w dół, zostaliśmy zabrani do restauracji na obfity posiłek (zupa, stek z ryżem i sałatką oraz napoje). Obiad pochłonęliśmy w szybkim tempie. W Parku Narodowym Nevada znajdują się trzy wulkany, z których najwyższy El Ruiz ma 5311 m n.p.m. Wulkan ten obecnie zaczął wykazywać aktywność i możliwe jest dostanie się tylko na wysokość 4693 m n.p.m., pod lodowiec. W 1985 r. w trakcie wybuchu zabił ponad 25 tys. osób, większość zginęła pod spływającymi ze stoków zwałami błota. Była to jedna z największych eksplozji stulecia.

Ja natomiast dzisiejszy dzień spędziłam na zwiedzaniu miasta. Najpierw poszłam do katedry, która znajduje się przy Plaza Bolivar, oferuje wjazd windą do baszt i przejście na sam szczyt. W katedrze jest kawiarenka, w której można poprobować kolumbijskiej kawy. Tutaj znajduje się jedna z rzeźb Botero i Monumento El Bolivar Condor. Następnie udałam się na dworzec kolejowy, który zamieniony został na uniwersytet. Stacja jest główną administracją, a wagoniki służą jako sale wykładowe lub bar dla studentów. Miasto położone jest na wzgórzu, a drogi są strome. Komunikację miejską stanowią autobusy, które mozolnie wspinają się pod górę, oraz kolejka linowa, która ułatwia szybkie przemieszczanie się z centrum miasta na położone niżej dzielnice. Dalej poszłam do kościoła del Sagrado Corazon Los Agustinos i odwiedziłam supermarket Fundadores Centro Comercial. Idąc główną ulicą handlową, która stanowi serce miasta, dotarłam do punktu widokowego. Stąd rozciąga się panorama na okoliczne osady. Po lewej stronie od głównej drogi znajduje się Plaza de Toros, czyli budynek corridy. W kilka godzin pozwiedzałam główne atrakcje Manizales. Po południu ugotowałam zupę i ryż, aby odmienić trochę dietę kurczakowo-frytkową. Chłopaki wrócili około godz. 17.00 zadowoleni, odrobinę zmęczeni, ale pełni wrażeń.

1 marca • Manizales–Salento. Ok. godz. 6.00 wstajemy, jemy jajecznicę, a potem kolejną linową udajemy się na dworzec autobusowy. Stąd za 8000 COP/os. jedziemy do Pereria, po 1.40 godz. byliśmy na miejscu. Tu przesiadliśmy się na autobus do Salento za 7000 COP/os. Ok. godz. 11.00 byliśmy w Salento. Z bagażami podeszliśmy do punktu znajdującego się na rynku, gdzie stoją jeepy (po hiszpańsku hepy) Willys. Kilka z nich ma trasę do Valley de Cocora za 3700 COP/os. Inne jeżdżą po okolicznych plantacjach i osadach, stanowiąc środek transportu turystycznego i codziennego dla mieszkańców. Zastanawiamy się, skąd tu tyle tych już kultowych samochodów terenowych. Okazuje się, że jeepy willys to pozostałość po stacjonujących tu w latach

50. amerykańskich wojskach, które zostawiły Kolumbijczykom samochody w ramach prezentu. Wytrzymałość i pojemność tej terenówki jest legendarna. Po 10 km dojechaliśmy na miejsce, zostawiliśmy plecaki w jednej z restauracji i piechotą ruszyliśmy na szlak. Park Narodowy Valley de Cocora to malownicza dolina, tutaj rosną woskowe palmy (od 1985 r. symbol Kolumbii). Mają charakterystyczny kształt, są bardzo wysokie i dopiero na samym czubku znajduje się korona. Kiedyś pozyskiwano z nich surowiec do produkcji świec, dzisiaj są pod ścisłą ochroną. Wstęp do wzgórz porośniętych palmami kosztował 3000 COP/os. Żeby móc podziwiać dolinę i palmy z różnych perspektyw, udajemy się na trzygodzinny trekking. Niebo zasnuły chmury, które zeszły do doliny, zakrywając całkowicie spektakularne widoki. Potem zaczął padać deszcz i zrobiła się słaba widoczność. Pogoda w tym rejonie zawsze jest niespodzianką, na wszelki wypadek mamy kurtki i peleryny przeciwdeszczowe, tak więc poszliśmy dalej w górę. Szlak jest dobrze oznaczony, są nazwy, kilometrą, wysokość terenu. Po 5,1 km doszliśmy do małego schroniska Finca la Montania na wysokości 2860 m n.p.m. kończącego szlak. Stąd rozpoczynamy zejście wzdłuż malowniczej Valle de Cocora. Dolina robi piorunujące wrażenie – skąpana w słońcu i zieleni cała jest pokryta cienkimi palmami. Najwyższe palmy dochodzą do 30 m, w pionie utrzymują się tylko dzięki rozbudowanemu systemowi korzeniowemu, ale i tak często łamią się pod naporem silnego wiatru. Tajemnicą pozostaje, dlaczego osiągają tak imponujące rozmiary. Napawamy się jeszcze egzotycznymi widokami przez godzinę zejścia w dół. Można również zejść innym szlakiem, w inne miejsce, gdzie widoczki są równie ładne. My idziemy tą samą drogą, co jakiś czas zatrzymując się w punktach widokowych. Warunki na tyle się poprawiły, że robiliśmy zdjęcia przy słonecznej pogodzie. W Salento zatrzymaliśmy się w Hostel Camelot (Calle 5 #2-28, Salento, Quindío) za 55 000 COP/3 os.

2 marca • Salento–Popayan. Po śniadaniu pojechaliśmy do Cafe La Arzacia w ramach coffe tour. Zorganizowaliśmy sobie go sami, choć w agencjach można kupić wycieczkę za 16 000 COP/os. Przejazd jeepem to 3000 COP/os., a wejście na plantację kosztuje 7000 COP/os. Gospodarz oprowadził nas po okolicy, pokazując różne gatunki kawy, drzew owocowych, młode siewki kawy, kompostownik i suszarnie. Poza tym pokazał, jak się łuska kawę, selekcionuje, mieli. Zaparzył swojej i poczęstował nas. Kupiliśmy paczkę, Czarek nawet hurtowe ilości. Zadowoleni wróciliśmy do miasteczka, wzięliśmy bagaże i poszliśmy na autobus do Armenii. W ogóle są tu fajne nazwy miasteczek i osad, bo np. jechaliśmy do Palestyny, Palermo, Armenii. Autobus kosztował 4200 COP/os., stąd pojechaliśmy do Popayan za 39 000 COP/os., gdzie byliśmy przed godz. 22.00. Z dworca autobusowego wzięliśmy taxi za 4000 COP/os. do hotelu Alcala Colonial (Carrera 6 # 0n-44 Barrio Bolívar, 190 003 Popayán) za 45 000 COP/3 os. Kolację zjedliśmy w okolicznym barze. Okazało się, że to dzielnica rozpusty, bo ulicę oblegały panie do towarzystwa i inne szemrane elementy. Wzbudzało to nasz śmiech, bo za każdym razem, gdy Cezary bookował hotel, to potem okazywało się, że nocujemy w dzielnicach seksu. Takie miejsca stanowiły „atrakcję” samą w sobie...

3 marca • Popayan–San Andrdes de Pisimbala (P.N. Tierradentro). O godz. 6.00 pobudka, autobusem dojeżdżamy do dworca. Następnie o godz. 7.00 minibusem z firmy Sotracauca jedziemy 3 godz. do tzw. Cruce San Andrdes (skrzyżowania) za 25 000

COP/os. Droga jest w ciągłym remoncie, często podmywana przez ulewy, z wielkimi osuwiskami ziemi. Mimo to na lepszych odcinkach kierowca daje z siebie wszystko i sprawnie sunie po krętej drodze. Czasem lepiej nie patrzeć w dół skarpy. Dotarliśmy do skrzyżowania, skąd przesiedliśmy się do jeepa (1000 COP/os.) jadącego do San Andrés Pisimbala. Wysiedliśmy niedaleko Parku Archeologicznego Tierradentro. Nieopodal jest kilka pensjonatów oraz jeden wypasiony hotel z bungalowami w cenie... 98 000 COP. My zatrzymaliśmy się w hospedaje obok (Maria Angela Ortega, Hospedaje Ricabet). Budynek jest niebieski, więc nietrudno znaleźć. Za nocleg ze śniadaniem zapłaciliśmy 51 000 COP/3 os. Potem szybko poszliśmy do parku, bo jest otwarty do godz. 16.00, wstęp kosztował 25 000 COP/os. i obejmuje dwa dni zwiedzania.

Ruszyliśmy na szlak wyposażeni w „paszporty” z najważniejszymi punktami programu. Fajna atrakcja, bo przechodząc z punktu do punktu strażnik pieczętuje odpowiednią kartkę i zalicza jak w rajdach na orientację. Trasa pnie się w górę łagodnym wzgórzem Segovia, gdzie znajduje się grupa grobowców, do których wchodzi się przez wąskie skalne kominy schodami ślimakowymi ułożonymi w różnych kombinacjach. Wchodzenie wymaga sporo gimnastyki. Podziemne komnaty grobowców są zdobione wzorami geometrycznymi w kolorach czarnym i czerwonym (symbolizują one życie i śmierć), ich łukowate stropy wspierają się na kolumnach. Niektóre są pokryte płaskorzeźbami przedstawiającymi postacie ludzkie. W skale wydłubano około setki podziemnych komór grobowych, niektóre z nich mają głębokość od 4–8 m. Są one podświetlone i można je fotografować. Idąc stromo jeszcze wyżej, dochodzimy do kolejnego miejsca pochówku Duende. Tu odwiedzamy kolejne grobowce, jedne są lepiej zachowane, inne trochę gorzej, w każdym razie na pewno warto tu przyjechać. W Parku Tierradentro na powierzchni 19 000 m² znajduje się wiele śladów zaginionej prekolumbijskiej mało znanej kultury Indian. Znaleziska z wykopalisk Tierradentro uczeni badają od 1936 r., natrafiono tu również na kilka rzeźb i figur. Cała trasa jest przepiękna widokowo, wokół rozciągają się wspaniałe górskie krajobrazy.

Schodząc w dół do wioski Pisimbala, zwiedzamy XVIII w. malowniczy kościół, który kiedyś był kryty strzechą. Pogoda sprzyja zwiedzaniu, szlak obeszlśmy w kilka godzin, zdążyliśmy jeszcze odwiedzić Muzeum Archeologiczne oraz Muzeum Etnograficzne, w którym zgromadzono przedmioty i naczynia Indian Paéz. W książce wpisów zauważyliśmy, że dzisiaj było tylko...13 zwiedzających. Potem zjedliśmy kolację w postaci jajecznicy na polskich kabanosach i udaliśmy się do kwatery.

4 marca • San Andres Pisimbala–San Agustin. Pospaliśmy do oporu, a po kolejnej jajecznicy wyszliśmy na drogę, czekając na jeepa jadącego do La Plata. Załapaliśmy się na przejazd w górę wsi i z powrotem, zajmując tym samym lepsze miejsca w kabynie kierowcy. Przejazd kosztował 13 000 COP/os. i trwał 1,30 godz. Potem przesiadka do Pitalito za 22 000 COP/os. (3 godz.), z Pitalito do San Agustin za 7000 COP/os., 30 minut. Drogi lepsze, ale mimo krótkiego odcinka wspinamy się na 3000 m n.p.m. i zjeżdżamy w dół, i tak kilka razy. Zatrzymujemy się w Hotel Raices (Carrera 14 #3-36, San Agustín, Huila) za 150 000 COP/2 noce/3 os. Na dworcu kupiliśmy bilety autobusowe do Bogoty na następny dzień za 60 000 COP/os. Zjedliśmy na targowisku tzw. danie dnia: zupa, kurczak, ryż i fasola. Następnie zwiedzamy centrum San Agustin, któ-

re jest typowym kolumbijskim miasteczkiem z rynkiem, małymi parterowymi domami i trzema kościołami.

5 marca • San Agustín–Bogota. Miasteczko jest małe, zaledwie kilka przecznic, więc po paru godzinach chodzenia większość taksówkarzy i naganiaczy już nas pozna. Chcą za wszelką cenę przekonać nas, by wykupić wycieczkę po okolicy, bo trudno dojechać do pewnych punktów. Nie mówią tylko jednego, że dojazd to jedno, ale jeszcze trzeba się wspiąć, podejść czasem kilka kilometrów. My jak zwykle musimy sprawdzić samodzielną opcję zwiedzania, aby można było zweryfikować informacje. Dwie przecznice od hotelu odjeżdżają autobusy miejskie do Parku Archeologicznego San Agustín, bilet kosztuje 1200 COP/os. Wstęp do parku archeologicznego kosztował 25 000 COP/os. i można z niego korzystać dwa dni. Jest to takie samo rozwiązanie jak w Tierradentro. Tuż przy kasie biletowej usytuowane jest muzeum, składające się z trzech pomieszczeń z licznymi rzeźbami, naczyniami i dzbanami, w których przechowywane są prochy zmarłych.

Park jest bardzo ładnie położony w tropikalnym lesie, składa się z kilku stref oznaczonych literami A, B, C. Wzdłuż krętej ścieżki rozmieszczone są posągi, reprezentujące zaginioną kulturę sprzed 2500 lat, wybudowane przez tajemniczą i do chwili obecnej niepoznaną cywilizację. Nieznani artyści kultury San Agustín pozostawili po sobie największą kolekcję megalitycznych rzeźb w Ameryce Płd. Te monumentalne posągi wykonano bardzo prymitywnymi narzędziami. Ciekawostką jest również to, że wokół San Agustín nie ma kamieniołomu, skąd wobec tego brano kamienne bloki do obróbki? Rejon kultury San Agustín obejmuje prawie 500 monumentalnych kamiennych postaci ludzi, zwierząt i bogów. Jest to 30 stanowisk archeologicznych rozrzuconych w okolicy na wysokości 1800 m n.p.m. Obeszliśmy cały obszar, robiąc zdjęcia ciekawym eksponatom. Jeśli ktoś był w Peru lub w Meksyku, to tutejsze pozostałości prekolumbijskie może nie robią aż tak spektakularnego wrażenia, ale gigantyczne posągi są ciekawe. Rejon słynie właściwie z posągów, co stanowi atrakcję dla archeologów i antropologów, którzy badali zwyczaje Indian.

Wróciliśmy autobusem do miasteczka za 1200 COP/os., a potem jeepem z głównej ulicy dotarliśmy do el Cruze, czyli skrzyżowania głównej ulicy San Agustín z drogą „krajową” w kierunku Pitalito. Tu wszystko jest tak zorganizowane, że z jednego środka transportu przesiadamy się do następnego, bez rozkładów jazdy, przystanków, czekania. Każdy pomaga, informuje, gdzie wysiąść, ile kosztuje przejazd. Jest to fajna forma podróży. Na skrzyżowaniu zaraz przesiadliśmy się do kolejnego jeepa, który za 3000 COP/os. zawiózł nas do San Jose de Isnos.

Pisząc jeep, mamy na myśli przerobione pickupy, z zadaszeniem i ławkami, które są głównym środkiem transportu w Kolumbii w większości miejscowości. Są wytrzymałe na górskich drogach, z łatwością pokonują trudniejsze trasy, kursują często i są tanie. Drugim środkiem transportu są mikrobusy, które biorą pasażerów według liczby miejsc, ale odjeżdżają po załadowaniu kompletu, zatrzymują się co parę metrów na każde żądanie pasażera.

Z Isnos pojechaliśmy taksówką do Parku Archeologicznego Alto de Los Idolos za 2000 COP/os. Okazało się to dosyć daleko od miasteczka, w dodatku droga była w fa-

talnym stanie. Miejsce jest skromniejsze od San Agustin, ale warto je zobaczyć. Słynie z kurhanów i dużych kamiennych grobowców. Tam właśnie znajduje się największa 7 m rzeźba. Na całym terenie odkryto około 15 stanowisk archeologicznych.

Do miasta wróciliśmy, łapiąc stopa. Chłopaki pojechali we dwóch motorem, a ja zabrałam się z kolumbijską rodziną. Podjechalśmy jeszcze taxi do miejsca, skąd wiedzie droga do piramidy La Chaquira. Ruszyliśmy malowniczym szlakiem, w pełnym słońcu. Trasa wiedzie w dół do skarpy pełnej kamieni, która podobno jest pozostałością piramidy. Wzdłuż zbudowano schody, prowadzące w dół do punktu widokowego na dolinę i wodospad. Warto tu zajrzeć, bo okolica jest bardzo ładna. Można również wypożyczyć konie i odbyć wycieczkę w siodle. Jeśli ktoś ma więcej czasu, to warto zostać tutaj kilka dni, bo jest to rejon obfitujący w górskie szlaki i urokliwe miejsca.

W drogę powrotną zabraliśmy się z wycieczką rodzinną, z którą była dziewczyna z Polski. Załatwiła nam podwiezienie, przy czym chłopaki jechali stojąc na zewnątrz, trzymając się rurek jeepa. Pokonaliśmy ten odcinek wdzięczni, bo wizja wspinania się w tym upale wcale nam się nie uśmiechała. Do centrum wróciliśmy ciężarówką, co zwieńczyło nasze dzisiejsze dokonania podróżniczo-autostopowe. Po przepakowaniu się i wyposażeniu w ciepłe ubrania poszliśmy do kompanii autobusowej Coomotor, skąd o godz. 19.45 odjechalśmy do Bogoty.

6 marca • Bogota. Noc i podróż zgodnie z przewidywaniami skończyła się porażką. Do północy raczeni byliśmy kolumbijskimi teledyskami puszczanymi dosyć głośno w TV. Poza tym klimatyzacja w autobusie jest włączona na poziom arktyczny. Jakoś zdołaliśmy się przespać, by po 530 km dotrzeć o godz. 6.45 na dworzec autobusowy do Bogoty. Stąd taksówką za 13 000 COP/3 os. dojechalśmy do hostelu Tiptop w starej dzielnicy (Calle 12 d No 3–30, Barrio Candelaria). Nocleg kosztował nas 264 000 COP/3 noce/3 os. Co ciekawe, cena noclegu była inna według recepcjonisty, ale jak pokazaliśmy ofertę z booking.com, to przystał na naszą. Zostawiliśmy bagaże, wykąpaliliśmy się i ruszyliśmy na podbój Bogoty.

Okazało się, że do najważniejszych zabytków i atrakcji miasta jest niedaleko. W rejonie Candelaria znajduje się plac Bolívara, który jest centralnym punktem tutejszej starówki otoczonej historycznymi rządowymi budynkami, m.in. siedziba Kongresu (Capitolio Nacional), Pałac Sprawiedliwości, gmach Alcaldía – siedziba burmistrza Bogoty, neoklasyczna katedra z 1823 r. Spotkać można tu liczne patrole wojska i policji, stojące na rogach ulic i pod ważnymi budynkami, pilnujące i reagujące w razie potrzeby. Czasem sprawdzają bagaże, pokazują, gdzie można przejść, są spokojni i uprzejmi. Pozwalają robić sobie zdjęcia. Następnie przeszliśmy do Muzeum Fernando Botero, które zawiera ogromną kolekcję obrazów oraz rzeźb. Przede wszystkim nadmiernie otyłych ludzi, jest tu również kilka prac Pabla Picassa. Dalej przechodzimy na Plazoleta del Rosario, gdzie znajdują się sklepy ze szmaragdami, a w ich pobliżu można spotkać handlarzy tych kamieni.

Obiad zjedliśmy w jednej z restauracji oferujących różne rodzaje mięs z grilla. Przydominało to argentyńskie Parilla, gdzie na potężnych rusztach piekły się polacie mięsa. Tutaj spróbowałam mięsa kapibary, która nawet była dobra. Trzeba przyznać, że jest chłodno, wyciągnęliśmy już nasze zimowe ubrania, jest bardziej jesienno niż letnio. Bogota leży na wysokości 2640 m n.p.m.

7 marca • Bogota. Rano z przystanku Universidad pojechaliśmy autobusem K6 Transmilenio do ogrodu botanicznego. Karta kosztuje 3000 COP i można ją doładowywać. Wstęp do ogrodu to wydatek 2700 COP/os. Z przystanku Av. Roja trzeba dojść ok. 1,3 km do bramy głównej. Miejsce jest bardzo ciekawe. Podobają nam się ogródki tematyczne dla dzieci, które mogły zobaczyć, jak rośnie marchew, burak, pietruszka, brokuł i inne warzywa. Ciekawe doświadczenie dla dzieci, które owoce i warzywa znają tylko z marketów. Tutaj mogą zobaczyć na własne oczy, że roślina rośnie zanim kupi się ją w sklepie.

Wróciliśmy do centrum miasta i udaliśmy się do Muzeum złota (wstęp kosztował 4000 COP/os.). Muzeum posiada największą na świecie kolekcję wyrobów z tego kruszcu, obecnie liczba eksponatów wynosi około 30 tys. złote przedmioty w większości reprezentują najważniejsze kultury, rozwijające się niegdyś na tym obszarze. Muzeum jest imponujące i warte obejrzenia, ponieważ można tutaj zobaczyć wartościowe przedmioty, jakie zostały znalezione po odkryciu grobowców w Tierradentro i San Agustín: maski pośmiertne, zbroje, biżuteria, a przede wszystkim tratwa ze złota, tzw. Balsa Muisca, wszystko ładnie wyeksponowane i podświetlone. Niestety blask kruszcu stał się przyczyną zagłady Indian dokonanej przez zarażonych gorączką złota kolonizatorów.

Na obiad udaliśmy się do pizzerii, gdzie zjedliśmy ogromną Mexicanę. Oj paliło na maksa!!! Wyszliśmy jeszcze na mały pamiątkarski shopping, a dzień zakończyliśmy, oglądając latynoskie teledyski w hostelowym pokoju.

8 marca • Bogota–Zipaquira–Bogota. Rano pojechaliśmy do Zipaquira oddalonej od Bogoty o 51 km. Najpierw trzeba dojechać Transmilenio do Portal Norte, czyli jednego z dworców autobusowych, a potem busikiem za 5000 COP/os. do miasteczka. Tutaj 200 m pod ziemią znajduje się jedna z najśłynniejszych katedr solnych (75 m długości, 18 m wysokości, mieści się tu 8400 osób). Wstęp do kopalni soli w opcji podstawowej kosztuje 50 000 COP/os., a wersja z górniczą trasą 56 000 COP/os. My wybraliśmy drugą opcję. Do kopalni wchodzi się chodnikiem zabezpieczonym obudową, tzw. ringami, a potem są już tylko wykute w soli ogromne korytarze i chodniki. Trasa wiedzie wzdłuż podświetlonej i mieniającej się różnymi kolorami drogi krzyżowej. Finał wycieczki kończy się w katedrze, którą stanowi olbrzymia przestrzeń po urobionej skale. Warto zwiedzić to miejsce, jest inne niż nasza Wieliczka czy Bochnia, ale wydaje się większa i bardziej monumentalna.

Poszliśmy jeszcze na górniczy tour, dostaliśmy kaski z latarkami i ciemnym korytarzem dostaliśmy się do chodnika z solnym wyrobiskiem. Tu rozpoczął się instruktaż i przygotowania do odpalenia materiału wybuchowego, pokazano też wiele innych atrakcji górniczych. Ponieważ była z nami szkolna wycieczka, każdy z dzieciaków mógł ucisnąć sobie kawałek skały. I zaczęło się... chłopaki wzięli kilofy i każde uderzenie w skałę powodowało drobne odpryski. Nie było to wcale łatwe. Każdemu wydawało się, że sól jest miękka, a kilof wejdzie gładko. Otóż nic bardziej mylnego, to ciężka i żmudna dłubanina. Wróciliśmy do głównego chodnika, gdzie można było kupić pamiątki i wyszliśmy z kopalni. Przy wyjściu tworzy się bańka zepsutego powietrza, co powoduje spowolnienie i dziwne uczucie znużenia, ale po chwili na świeżym powietrzu jest już lepiej.

Obiad zjedliśmy w jednej z domowych knajpek (comida corriente). Potem przeszliśmy do starego centrum Zipaquirá, które ma oryginalną architekturę i jest atrakcją turystyczną. Na głównym placu znajduje się katedra i ratusz z budynkami administracyjnymi w stylu kolonialnym. Wróciliśmy do Bogoty w strasznych korkach, była to godzina szczytu i tłumy ludzi próbowały dostać się do stolicy. Sklepy zamykane są o godz. 20.00, tak więc wróciliśmy do hostelu, zaopatrując się w bagietki i warzywa na lekką kolację.

9 marca • Bogota–Amsterdam. O godz. 9.00 poszliśmy na targ warzywno-owo-cowy Paloquemao (Calle 19 # 25), na którym można uchwycić ciekawe kadry fotograficzne. Przechadzaliśmy się po tym molochu, oglądając co różniejsze owoce, które nie wiadomo jak jeść. Pytaliśmy się o nazwy, ale nic nam nie mówiły, czy to się je na surowo, czy gotuje? Okolica też ciekawa, bo kilka przecznic od Candelarii rozpoczyna się dzielnica biedy i rozpusty. Na rogach ulic stały prostytutki, a na chodnikach i skwerach spało mnóstwo bezdomnych. W ogóle w Bogocie problemy społeczne są bardziej widoczne niż w Medellin, które jest owiane złą sławą. Widać tu chaos architektoniczny, dużo budynków jest zaniedbanych, ale są też tzw. „perełki”. Uroku dodaje starówka, mimo swej chaotyczności, gdzie stare miesza się z nowym. Wyjeżdżając z miasta, można zauważyć nowoczesne osiedla i apartamentowce.

Czarek postanowił wykorzystać ostatnie godziny pobytu i pojechał na wzgórze Monserrate kolejką szynową za 19 000 COP/os. (w dwie strony). My tymczasem doszliśmy z powrotem do centrum, gdzie kupiliśmy kilka pamiątek, zwiedziliśmy Muzeum Wojska (wstęp darmowy) i wróciliśmy do hostelu, w którym udało nam się przedłużyć dobę hotelową do godz. 14.00. Wykąpaliśmy się, spakowaliśmy i z plecakami poszliśmy do pizzerii na obiad. Najedzeni wsiedliśmy do autobusu Transmilenio K6 i po kilku przystankach przesiedliśmy się na K86 na lotnisko.

Na terminalu okazało się, że nasz lot został zmieniony na Bogota–Cali–Amsterdam–Hamburg. Trochę się wkurzyliśmy, bo mieliśmy zabukowane bilety powrotne na autobus z Berlina do Katowic, a tu nagle Hamburg. Stało się tak, bo obsługa naziemna w Berlinie strajkowała i nastał lotniczy chaos. Takich osób jak my było w samej Bogocie kilkadziesiąt, a co dopiero w Europie. Pani z KLM próbowała coś nam pomóc, ale samoloty do Warszawy i Krakowa były pełne i nic się nie dało zrobić. No cóż, na razie o godz. 20.00 lecimy do Cali, gdzie samolot zatankowano i dokoptowano kolejnych pasażerów, potem prawie 12 godz. lot do Amsterdamu. Po obejrzeniu programów dokumentalnych o tym lotnisku mieliśmy wyobrażenie, że od razu będziemy kontrolowani i zaczepiani przez służby mundurowe itp., a tu nic. Zobaczymy co się jeszcze wydarzy.

10 marca • Amsterdam–Hamburg–Berlin. O godz. 14.40 jesteśmy w Amsterdamie, najpierw na przywitanie dokładnie każdego pasażera obwąchał pies przeszkolony do wykrywania narkotyków. Potem udaliśmy się do punktu KLM, gdzie też bezradnie rozłożyli ręce na ten cały bałagan. O 20.40 mamy 45-minutowy lot do Hamburga i dalej niech Niemcy martwią się, co z nami zrobić. Odlecieliśmy do Hamburga, a stąd tak-sówką lotniskową zawieziono nas gratis na lotnisko Berlin Tegel. Zadanie linii polegało na tym, że musieli nas dowieźć do portu lotniczego docelowego. Poprosiliśmy kierowcę, aby podrzucił nas za free do Berlin ZOB, ale chciał za 6 km 15 euro. Trochę sporo,

jechał 300 km, a za 6 km trzeba było zapłacić. Zostaliśmy na lotnisku, które jest ciche i czyste, więc stało się naszą poczekalnią. Zarezerwowaliśmy jeszcze bilety do Katowic na Polski Bus na godz. 6.55 i trzeba było cierpliwie dotrzeć do rana.

11 marca • Berlin–Katowice–Bytom. O godz. 5.45 pojechaliśmy komunikacją miejską na dworzec autobusowy Berlin ZOB. Po wejściu na dworzec okazało się, że czekanie na lotnisku było dobrym posunięciem. Smród bezdomnych i śmieci potwierdziły opinie zawarte w Google na temat tego miejsca. Czasem ludzie przesadzają, ale rzeczywiście dworzec ZOB jest kiepski, nic tylko wysiąść/wsiąść i ruszać w dalszą drogę. Poczekaliśmy do godziny 6.55 na nasz autobus i po kilku zakrętach... obudziłam się we Wrocławiu, potem Opolu, aż dojechaliśmy o godz. 14.25 do Katowic. Trochę odeśpani dotarliśmy do Bytomia.

Podsumowanie

Kolumbia to kraj o wyjątkowym położeniu, jej brzegi opływa zarówno Pacyfik, jak i Morze Karaibskie. Jest to rejon stworzony nie tylko do aktywnego wypoczynku, ale także do błęgiego relaksu. Wszyscy amatorzy rajskich plaż z pewnością znajdą dla siebie dogodne miejsce na któreś z kilku tropikalnych wysp należących do Kolumbii – do wyboru jest 1600 km plaż nad Oceanem Spokojnym i 1300 km nad Morzem Karaibskim.

Kolumbia to również tereny pełne niesamowitej przyrody. W granicach tego kraju leżą Andy, amazońska dżungla i rzeka Orinoko. Kolumbia posiada drugą najbardziej bogatą florę i faunę na świecie, zaraz po Brazylii. Kraj leży w kilku strefach klimatycznych i w związku z tym ma bardzo zróżnicowany krajobraz – natkniemy się tu nie tylko na wyżej wspomniane tropikalne plaże, dżunglę, wysokie góry, rwące rzeki, ale także na pustynię czy wulkany. Wszystko to czyni Kolumbię bardzo atrakcyjnym krajem, także pod względem przyrodniczym.

Niezwykłe w mieszkańcach Kolumbii jest to, że niezależnie od statusu społecznego wszyscy są pomocni, przyjaźni i serdeczni, i to w standardach o wiele wyższych niż spotyka się w innych krajach latynoamerykańskich. Kolumbia jest bardzo uporządkowanym krajem, wszystko jest na czas i zrobione porządnie. W kraju słynącym z uprawy kokainy nikt nam niczego nie zaproponował do spróbowania, na targowisku można kupić legalnie liście koki jako herbatę.

Ciekawostki

- W niedzielę w dużych miastach od godz. 7.00–14.00 zamyka się główne arterie, władzę na ulicach przejmują przechodnie, biegacze, rowerzyści, rolkarze, bawiące się dzieci, sprzedawcy. Wtedy to aż 120 km głównych i pobocznych ulic zostaje zamknięta dla samochodów, a otwarta dla mieszkańców miast. Trasy są tak poprowadzone, aby na dwóch kółkach można było dotrzeć do najważniejszych miejsc w całej Bogocie, włącznie z historycznymi placami, budynkami i parkami. W rowery można bez problemu zaopatrzyć się w licznych wypożyczalniach.
- Kolumbia to kolory, zapachy, to muzyka, dźwięk, ruch, to błękit, zieleń, uśmiech, pasja, namiętność. Muzykę słysząc wszędzie w samochodach, autobusach, taksówkach. Wylewa się z charczących głośników na bazarach, dudni w sklepach, grzmi w dyskotekach.

- Tutejsi ludzie stanowią niesamowitą wprost mieszankę rasową: kreolsko-indiańsko-latynosko-afrykańską i to we wszystkich możliwych kombinacjach.
- Kolumbia to kraj świeżych, dojrzałych, słodkich i egzotycznych owoców, rośnie tu mnóstwo lokalnych pyszności, których nie ma w innych częściach świata: pitaya, gu-ayaba, borojo, guanabana, maracuja, mamey, chontaduro, curumba, zapote, nispero, lula – to tylko niektóre owocowe pyszności.
- Bezpieczeństwo Kolumbii w świecie ma czarną reklamę, zupełnie bezzasadnie. Tu nie ma się czego bać, jedynie w dużych miastach trzeba być ostrożnym, choć nawet w Bogocie jest bezpieczniej niż 11 listopada w Warszawie.
- O obiady należy pytać się w miejscowych restauracjach (domowych stołówkach). Comida corriente, jest to obiad dnia, który składa się z sytej zupy i drugiego dania (ryż, mięso, fasola) oraz świeżego soku z owoców. Smakuje nieźle, a można się na-jeść za małe pieniądze.
- W ogóle kawa i jajecznica, oprócz muzyki, jest codziennym naszym towarzyszem podróży. Okazało się, że to podstawowe danie śniadaniowe każdego hotelu/hostelu w wersji omletowej, z pomidorami, na gęsto, rzadko. Do tego kawa z mlekiem 1:1, tosty, owoce i sok. Kawa jest tu parzona i sprzedawana na ulicach prosto z termosów. Nazywają ją tinto i kosztuje od 500 COP za malutki kubeczek. Herbata jest rzadko serwowana, a jeśli już to zazwyczaj rumianek lub mięta.
- Kartel narkotykowy Pablo Escobara zasłynął z oferty spłacenia narodowego długu Kolumbii w wysokości 13 miliardów dolarów, w zamian za zawieszenie ciężących na szefie wyroków i umożliwienie powrotu do kraju. Na skutek protestu Stanów Zjednoczonych rząd odmówił. Po Eskobarze pozostały już tylko wspomnienia. Zginął w 1993 r. zastrzelony przez wojsko.

Spis treści

Drodzy Czytelnicy	3
www.travelbit.pl	4
W świecie globtroterów	5
Krzysztof Batycki	
Rowerami wokół Gotlandii	13
Beata Rujner, Tomasz Cukiernik	
Świąteczno-noworoczny Cypr	19
Roman Husarski	
Jechać czy nie jechać? O etycznych problemach podróży do Korei Północnej	24
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Luksus na piasku	31
Piotr Wiland	
Indie – Gudźarat, stan Maharasztra i Bombaj w czasie Diwali	45
Radomir Kolmas, Anna Kolmas	
Borneo, Brunei i coś na dodatek	63
Jacek Strejch	
Indonezja	72
Tomasz Szymkiewicz	
Z Wysp Świętego Tomasza i Książęcej do Angoli	84
Tomasz Szymkiewicz	
Granitowe wyspy Seszeli	94

Jacek Strejch	
Madagaskar	103
Tomasz Szymkiewicz	
Madagaskar, Mauritius i Reunion 2017	111
Katarzyna Anoszczenko (Zuza), Rafał Robak (Mundi)	
Oregon Roadtrip	120
Paweł Burchard	
Karaiby... czy chciałbym żyć w raju?	150
Piotr Wiland	
Nikaragua i El Salvador wiosną 2016 roku	160
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Kolumbia – kolorowa kraina	174